

Szantaż w internecie

Dzieci krzywdzą dzieci ▶4



Sędzia Krystian Markiewicz:

Nie będę siedział na fotelikach w poczekalni TK ▶27



WYSOKIE OBCASY

Soraya Akhlaghi

Zawsze chciałam być jak lis

FOT. SHUTTERSTOCK, DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

MAGAZYN

wyborcza.pl

wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



Katarzyna Grochola

To, że wybrałyśmy w życiu złą drogę, nie podlega ocenie naszych dzieci

▶23

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wydawnictwo Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348398



Orbán light,
czyli lewica
nie istnieje
▶16

Kadry Opus Dei
Jak krzyż
opanowuje
świat ▶20

**Kogo się
boją**
krytycy
literacy ▶27

**Deszczowe
miasto,**
które widać
z księżycą ▶31

Czarnobyl
Kto tam dziś
mieszka
▶40

**Kod dostępu
do Wyborcza.pl
na weekend**

World Press Photo 2026

Emma potrafi mnie rozśmieszyć



FOT. PAULA HORNICHEL

Waltraud rozmawia z Emmą – robotem, który rozpoznaje twarze i pamięta poprzednie rozmowy. Choć początkowo była sceptyczna, Waltraud mówi, że z czasem poczuła więź z Emmą.

Domy opieki w Niemczech stoją w obliczu dwóch kryzysów: niedoborów kadrowych i samotności podopiecznych. Badanie z 2023 roku wykazało, że co piąty mieszkaniec w wieku 80 lat lub starszy opisuje siebie jako „bardzo samotnego”.

Ta rzeczywistość skłoniła do przeprowadzenia testów robotów społecznych, takich jak Emma, opracowanych przez monachijski startup. Waltraud, mieszkanka Haus im Wiesengrund w Albershausen miała wątpliwości, ale z czasem nawiązała więź z Emmą. „Jej żarty są naprawdę dobre. To moje poczucie humoru” – mówi Waltraud, choć podkreśla, że kontakt z ludźmi zawsze jest lepszy.

Albershausen, Niemcy, 3 lipca 2025 r.

Kod dostępu
do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju i ze świata czytaj
teraz na Wyborcza.pl

UŻYJ BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco przez cały weekend*
4Z39YB7

- Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 25-26.04.2026 r.

W poniedziałek
„Duży Format”

LUZDIE CHCĄ
RAZEM CZYNIĆ CUDA

Zebrał w kilka dni 7 mln dla dzieci chorych na SMA, na plakatach wyborczych pozował z psami ze schroniska i dostał więcej głosów niż Czarzasty. „Pozer”, „pomaga dla reklamy” – mówią jedni. „Dobry człowiek” – zachwycają się drudzy. Łukasz Litewka, poseł z Sosnowca budzi emocje.

Reportaż
Anny Malinowskiej

Wielowiejska



Powodem wstrząsów w PiS są spadające notowania i słabnące przywództwo Jarosława Kaczyńskiego. To przełomowy moment, w którym różne frakcje pozycjonują się przed ostateczną bitwą o schedę po prezesie. Ważną potyczkę wygrał właśnie Mateusz Morawiecki.

Były premier był spychany na margines przez frakcję postziobrystów, która przekształciła się w „maślarzy” Tobiasza Bocheńskiego, Jacka Sasina, Przemysława Czarnka i Patryka Jakiego.

Morawiecki od chwili wejścia do czynnej polityki planował przejście władzy w partii z udziałem swojej frakcji „harcery”. Przez lata był lojalnym wykonawcą rozkazów „Naczelnika”. Przewodził cyniczną grę, opowiadał nonsensy, bo jako technokrata i „bankster”, który doradzał Tuszkowi, chciał się uwiarygodnić w twardej elektoracie PiS. Liczył, że Kaczyński namaści go.

Tyle że po wyborach w 2023 r. i w obliczu zbliżających się wyborów prezydenckich PiS realizował nowy plan. Nowogrodzka zaczęła się dystansować od wielu decyzji rządu Morawieckiego, by zbudować poparcie dla Karola Nawrockiego w elektoracie Konfederacji i Grzegorza Brauna. To był strzał w dziesiątkę. Jednak potem Kaczyńskiego zawiodła polityczna intuicja: uważał, że skoro Nawrocki wygrał na takim przekazy, to trzeba się go trzymać. Okazało się, że to fundamentalny błąd. Wyborcy rozczarowani odcinaniem się PiS od własnej schedy popłynęli do obu Konfederacji.

Kaczyński nie zorientował się w tej przemianie. Dopuścił do dominacji postziobrystów głoszących hasła antyunijne i krytykujących rząd Morawieckiego z pozycji radykalnej prawicy. Choć od miesięcy widać było, że to środowisko zniechęca umiarkowanych wyborców prawicy i coraz bardziej irytuje partyjny aktyw – prezes uznał, że trzeba jeszcze bardziej iść w konfederacką stronę: wystawił Czarnka jako kandydata PiS na premiera.

Tyle że działalność Jakiego i Czarnka utwierdziła część wyborców w przekonaniu, że faktycznie Morawiecki źle rządził. W efekcie PiS w sondażach spadł z 35 proc. w 2023 r. do 20-27. Konfederacja się tylko uśmiechała i powtarzała: kradną nasz program, podszywają się pod nas, ale wy, kochani wyborcy, chyba widzicie, że lepiej wybrać oryginał, a nie podróbkę. Tymczasem ludzie Morawieckiego w mediach powtarzali: „Nie godzimy się na suwopolizację PiS” To odniesienie do Suwerennej Polski, nazwy nieistniejącej już partii Ziobry.

Czarnek zaczął objazd kraju, ale notowania PiS nadal spadały. Morawiecki postanowił więc przejść do ofensywy. Były premier wie, że nie będzie w stanie przejąć całej władzy a partia bez Kaczyńskiego się rozpadnie. Dlatego myśli o budowaniu swojego środowiska, aby zagospodarować jak największy kawałek tortu. Stąd założenie stowarzyszenia Rozwój Plus, które będzie załączkiem przyszłej partii bądź koalicji środowisk centroprawicowych z udziałem PSL czy resztek po Polsce 2050. Nie przypadkiem ekspremier miło się wypowiada na temat Władysława Kosiniaka-Kamysza i Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz.

Gdy będzie trzeba, Morawiecki w każdej sprawie zmieni zdanie. Mało to wolt zrobił? Gdy Kaczyński demolował sądownictwo, premier milczał, ale gdy PiS już zmierzał ku utracie władzy, ostro krytykował Ziobrę.

Gdy obóz PiS zaostrzył ustawę antyaborcyjną, potakiwał, ale gdy PiS przegrał wybory, ogłosił, że on zawsze był za tak zwanym kompromisem aborcyjnym. W 2018 r. oświadczył, że zakaże handlu kryptowalutami w Polsce albo wprowadzi restrykcyjne przepisy, lecz gdy rząd Tuska uchwalil taką ustawę, to głosował przeciw. Zawsze grał na dwa fronty: w Brukseli opowiadał, że jest ostatnim Europejczykiem w PiS, w Warszawie- jaka ta Unia okropna. Więc teraz ekspremier będzie wyznawał takie lub inne poglądy w zależności od potrzeb. „Prawda etapu” jest jego hasłem.

„Maślarze” uważają, że trzeba pozbyć się Morawieckiego, bo ludzie źle wspominają ten rząd, i budować partię na odcięciu się od przeszłości. Niech sobie Morawiecki jakąś partyjkę założy, słuch szybko po niej zaginie. Kaczyński od zawsze opierał władzę w partii na napusz-

Fronda inna niż

Ten syn marnotraw

Tym razem to już na serio. W PiS zaczęła się

czaniu jednej frakcji na drugą. Istotna różnica między tym konfliktem a poprzednimi polega na tym, że teraz notowania są niskie i dużo posłów boi się, że wypadnie za burtę po najbliższych wyborach. A Morawiecki gra ostro. Ma świadomość, że prezes PiS zdaje sobie sprawę, iż odcięcie frakcji „harcery” oznacza poważną degradację PiS w Sejmie. Ekspremier postawił na blitzkrieg i szybko zebrał grupę blisko czterdziestu posłów, do tego ma jeszcze samorządowców, senatorów i europosłów. I nim wahający się Kaczyński postawił ultimatum, miał już konkretną ekipę. Oraz pewność, że tym razem frondyści nie przestraszą się.

Bo ludzie, którzy zadeklarowali akces do tej organizacji, wiedzą, że spora grupa posłów wypadnie z Sejmu po wyborach i gwarancję pozostania w polityce daje przystąpienie do silnej grupy, która będzie się wspierać w przyszłorocznej batalii. A Morawiecki udowodnił, że jest koniem, na którego warto stawiać – w wyborach europejskich jego ekipa była sprawna i zyskała mandaty z tzw. miejsc niebiorących, przeskakując kolegów z listy wspieranych przez ziobrystów, a nawet przez samego prezesa.

Nic dziwnego, że na wieść o powstaniu stowarzyszenia przestraszeni „maślarze” uznali, że najlepszą obroną jest atak. Zaatakowali w zeszłym tygodniu na spotkaniu Prezydium Komitetu Politycznego. Mają za sobą szefka klubu PiS Mariusza Błaszczaka, który nie znosi jednego z najbliższych współpracowników byłego premiera, Michała Dworczyka.

Przeciuki wskazywały, że władze PiS chcą postawić „harcerzom” ultimatum: macie rozwiązać stowarzyszenie, inaczej nie będzie miejsc na listach. „Maślarze” suflowali, że mówił to sam Kaczyński. Taki komunikat wrzucił na X rzecznik partii Rafał Bochenek na polecenie Błaszczaka.

Kaczyński milczał. Dopiero w czwartek, mając za sobą na scenie i Czarnka, i Morawieckiego, wygłosił apel, by zwolennicy PiS wpłacali na partię pieniądze. To miał być pokaz jedności. O ultimatum nie było ani słowa. Dziennikarze nie mogli zadawać pytań.

Wieczorem odbyło się kolejne spotkanie władz PiS. Morawiecki oznajmił, że stowarzyszenie powstanie, i znów został zaatakowany. W trakcie zebrania wyszedł

Andrzej rysuje



wszystkie

ny nie przeprosi

ostateczna walka o przywództwo

na wywiad do TV Republika, a gdy był na antenie, do dziennikarzy wyszedł Bochenek z komunikatem: stowarzyszenie nie może działać, a ci, którzy do niego się zapisali, mają zaangażować się w nową Radę Ekspertów.

Kaczyński był pod ścianą, a „maślarze” naciskali. Wyszedł więc na konferencję prasową w piątek i stwierdził, że nie można zakładać stowarzyszenia, które będzie konkurencją dla PiS, a nawet swego rodzaju „pasożytem”. Ale zostawił sobie furtkę, żeby nie stracić twarzy, gdyby miał jednak ulec Morawieckiemu: odwoła ultimatum, jeśli okaże się, że stowarzyszenie nie jest konkurencyjną strukturą.

„Przemek, przestań w nas walić, my z Rozwój Plus się nie wycofamy. Zakończmy tę awanturę, bo najwyższą cenę zapłacisz ty. W lipcu czy sierpniu prezes cię wymieni, bo notowania spadają” – usłyszał Czarnek od ludzi Morawieckiego

„Harcerze” nie przegapili okazji i obskoczyli wszystkie media, ogłaszając, że Rozwój Plus jest i będzie, a prezes został źle poinformowany o jego celach, gdyż chodzi o to, by grać na dwóch fortepianach. – Nie możemy Tuszkowi oddać centroprawicowych wyborców, bo on zamierza ich przyciągnąć – stwierdził Morawiecki w Kanale Zero. W innych wywiadach podnosił, że gdy on był twarzą kampanii PiS, to partia w 2023 r. miała 35 proc. głosów, raptem o 2 proc. mniej, niż w zwycięskim 2015, a gdy koledzy z PiS zaczęli go atakować, to wynik zjechał w dół o 10 punktów. Ekspremier poczuł się na tyle pewnie, że gdy Kaczyński polecił mu wystąpić na wspólnej konferencji prasowej z Czarnkiem, gdzie mieli przedstawić jedność, odmówił.

W poniedziałek wieczorem doszło do spotkania Kaczyńskiego z Morawieckim. Rozmowa odbywała się w mieszkaniu europosła Adama Bielan, jednego z najważniejszych spin-doktorów PiS. Trwała siedem godzin, do 2 nad ranem. Wtedy Bielan opublikował na X zdjęcie zrobione przez panią Bielanową z podpisem: „Są pomysły, jest porozumienie i wspólny kierunek. A że czasem iskrzy? Kto się lubi, ten się czubi”.

We wtorek Morawiecki z Kaczyńskim wyszli na spotkanie z dziennikarzami, ale

pytań nie można było zadać. Obaj wygłosili oświadczenia. Kaczyński powiedział, że jest kompromis, działalność Rozwój Plus będzie się odbywała wewnątrz partii, w Radzie Ekspertów. Członkowie będą mogli tam się wykazać, a pozostałe działania organizacji „pana premiera” będą wstrzymane. – Partia będzie miała dwa płuca. Jesteśmy formacją, która musi ścierać się z formacjami konfederackimi. Ci, którzy popierają Konfederację, powinni zdawać sobie sprawę, że deklarujemy realizację ich postulatów, a jednocześnie mamy doświadczenie w rządzeniu – wyluszczał, zaznaczając, że krytyka pod adresem rządu Morawieckie-

wysłannicy „harcerzy” przyszedli do niego i powiedzieli: „Przemek, przestań w nas walić, my ze stowarzyszenia się nie wycofamy, i zakończmy tę dyskusję. Jeśli ta awantura będzie kontynuowana, to najwyższą cenę zapłacisz ty. W lipcu czy w sierpniu prezes cię wymieni na kogoś innego, bo każda kłótnia działa na twoją niekorzyść, notowania spadają i żadnego efektu Czarnka nie ma”. I Czarnek trochę odpuścił. Ale za rogiem już czai się inna grupa, która chce dołączyć do polowania. Własną rozgrywkę zaczęła od strzału w Czarnka, na powrót zaogniając sytuację.

„Mam złą informację dla Panów ze zdjęcia: Milionom Polek i Polaków prędkiej ręka uschnie, niż oddadzą głos na PiS w obecnej formule, z Przemysławem Czarnkiem jako kandydatem na Premiera. Zamiast politycznej maskarady potrzeba prawdziwej zmiany” – to komentarz do wpisu Bielana, jaki zamieścił Maciej Wilk, menedżer branży lotniczej i jeden z inicjatorów ruchu „TAKdlaCPK”. Cezary Gmyz i Piotr Gociek napisali w „Do Rzeczy”, że Wilk szykuje się do założenia partii i ma za sobą grono zamożnych ludzi.

Kaczyński nie chce wyrzucić Morawieckiego, bo wie, że rozłam byłby bolesny. Były premier stworzyłby klub co najmniej 30 posłów i dostałby wicemarszałka. Morawiecki też nie chce odejść z PiS. Jeśli trzeba będzie, to założy swoją formację. Ale jego podstawowym celem jest pozostanie w PiS, zdominowanie w nowym sejmie – i przejęcie jak największej części partii w chwili próby. W czym może utrzymywanie dobrych relacji z prezydentem Karolem Nawrockim.

Tę batalię Morawiecki wygrał i buduje swoją pozycję. A jego grupa ma istotną przewagę nad rywalami: u „harcerzy” jest jeden niekwestionowany lider, u „maślarzy” nie wiadomo, kto przewodzi. Każdy z czwórki liderów ma olbrzymie aspiracje, a tym, co ich spaja, jest wyłącznie przeciwnik – czyli Morawiecki. Za chwilę sami ze sobą mogą się pokłócić. Toteż „Harcerze” zacierają ręce i biorą się do pracy: to, że ma to być praca w Radzie Ekspertów, nie ma znaczenia, po prostu ją zdominują.

Kaczyński będzie miał coraz większy problem z opanowaniem chaosu w partii. ●
Dominika Wielowiejska

REKLAMA

Kraj/34427896

Albatros travel

Dzień dobry Wietnam!

Albatros 40 lat

Poznaj tętniące życiem miasto Ho Chi Minh (dawny Sajgon), tunele Cu Chi, Deltę rzeki Mekong, a następnie przez 5 dni odpoczywaj na plaży w Mui Ne.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Ho Chi Minh. Dz. 2 Przyjazd do Ho Chi Minh. Powitalna kolacja. Dz. 3 Ho Chi Minh, tunele Cu Chi, zwiedzanie miasta. Dz. 4 Ho Chi Minh. Dzień wolny. Dz. 5 Ho Chi Minh City i Vinh Long w delcie rzeki Mekong. Dz. 6 Vinh Long. Wizyta na lokalnym targu i warsztaty kulinarne oraz wycieczka łodzią do wioski garmarzy. Dz. 7 Delta rzeki Mekong. Wyprawa łodzią po sieci kanałów. Dz. 8 Z Vinh Long do Mui Ne. Dz. 9-12 Mui Ne. Indywidualny wypoczynek na plaży. Dz. 13 Przejazd autokarem z Mui Ne do Ho Chi Minh. Wylot z Ho Chi Minh do Warszawy. Dz. 14 Przyjazd do Warszawy.

14 dni | Wyloty z Warszawy 28/12 2026, 01/02 2027 | od 9.998,-



Irlandia – zielona wyspa Celtów

Niezwykła wyprawa, podczas której odkryjemy wspaniałe zabytki i cuda natury, poznamy sympatycznych mieszkańców, skosztujemy piwa Guinness i najlepszej whisky.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Dublin. Przejazd do Waterford i pokaz psów pasterskich. Dz. 2 Miasto Wikingów – Waterford. Zamek Cahir. Dz. 3 Pierścień Kerry, posiadłość i ogrody Muckcross. Dz. 4 Kerry – prom do Killimer – Klify Moheru – Burren – Galway. Dz. 5 Malowniczy region Connemara, zwiedzanie miasta Galway. Dz. 6 Clonmacnoise – destylarnia whisky – Dublin. Dz. 7 Zwiedzanie Dublina i czas wolny. Dz. 8 Dublin – Warszawa. Powrót do domu.

8 dni | Wyloty z Warszawy 18/08, 17/09 2026 | od 7.498,-

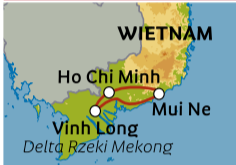
albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8 p.

Kod reklamy: CW17

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Sylwester i Nowy Rok



WIETNAM
Ho Chi Minh
Vinh Long
Mui Ne
Delta Rzeki Mekong

5 kolacji w cenie



IRLANDIA
Connemara
Clonmacnoise
DUBLIN
Galway
Klify Moheru
Waterford
Pierścień Kerry



Stop klatka przestępstwa

Na początku to może być: „Nadepnij chomika. I pokaż dowód, że to zrobiłeś. Dalej to narasta. „Wytnij sobie znak na ciele”, „Skrzywdź swojego brata”.

Z **KATARZYŃĄ STACIWA**,
BYŁĄ POLICJANTKĄ, BADACZKA*
ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

AGNIESZKA JUCEWICZ: Patrzymy na interaktywną mapę świata. Co sekunda zapalają się na niej żółte punkciki: w USA, Francji, Hiszpanii, Włoszech, Słowenii. O, teraz w Polsce. Co pokazują?

KATARZYŃA STACIWA: Próbę pobrania treści, których opisy sugerują, że mogą przedstawiać wykorzystanie seksualne dziecka.

Mapa ta jest częścią przedsięwzięcia, które rozpoczęło się w 2017 roku, a jego liderem jest norweska policja.

Chodzi w nim o oddziaływanie na bardzo specyficzne środowisko w otwartej części internetu – „peer-to-peer”- czyli takie, gdzie użytkownicy pobierają i udostępniają sobie pliki za pomocą specjalnego oprogramowania.

To nie jest jakaś zaawansowana technologia. Nie jest to Darknet, czyli ukryta część Internetu, po której użytkownicy poruszają się anonimowo.

Z tego systemu korzystają zwykle początkujący sprawcy, których łatwiej namierzyć. Z drugiej strony, skala zainteresowania tymi materiałami jest tam tak duża, że nie ma takiej policji na świecie, która byłaby w stanie zareagować na każde takie pobranie i udostępnienie. Sama pani widzi, że te punkciki zapalają się jeden po drugim.

Jaki jest więc sens tej akcji?

– Policja utworzyła w tym systemie fałszywe katalogi opisane takimi hasłami, jakimi zwykle opisuje się materiały tego typu, które nazywamy CSAM (od ang. Child Sexual Abuse Material).

Po ich otwarciu użytkownik znajduje zdjęcie policjanta z następującym komunikatem:

„Pobrałeś ten plik z policyjnego komputera i ze względu na charakter sieci peer-to-peer znamy twój adres IP, nazwę użytkownika, listę udostępnianych plików oraz wpisywane hasła wyszukiwania. Możemy przekazać te informacje lokalnej policji, gdziekolwiek się znajdujesz na świecie.”

Czyli to jest taka przynęta?

– Dokładnie, tak. Ale jest też tam przekierowanie do pomocy.

Bo ideą tej akcji, z jednej strony, jest pokazanie skali problemu, dlatego w Polsce tę mapę na swojej stronie zamieściła Państwowa Komisja ds. przeciwdziałania wykorzystaniu seksualnemu małoletnich poniżej lat 15. A z drugiej – dotarcie do użytkowników, próba skonfrontowania ich z tym, co robią.

I jaka jest skala tego problemu?

– Dzięki tej akcji udaje się ustalić około 600 tysięcy adresów IP rocznie. A to jest tylko jedno środowisko w cyberprzestrzeni! Małeńka część całego zjawiska.

W częściej poświęconej pomocy dla sprawców widzę flagi różnych państw.

– Pod nimi znajdują się linki do źródeł wsparcia dla osób, które chcą zapobiegać takim zachowaniom.

Co jest pod polską flagą?

– Nie ma jej. Bo nie mamy systemu pomocy podobnego do tych istniejących w innych państwach, w tym dla osób, które nie zostały jeszcze skazane.

Wielka Brytania i Irlandia, na przykład, prowadzą anonimową infolinię „Stop It Now”, która oferuje, między innymi, konsultacje ze specjalistami i przekierowanie do pomocy online oraz lokalnych form wsparcia.

Niemcy od ponad 20 lat realizują świetny program „Dunkelfeld”. Jest on dla osób interesujących się dziećmi seksualnie, np. korzystających już z CSAM, które chcą nad tym zapanować. Zapewnia im dobrowolną, bezpłatną i poufną pomoc w różnych formach.

Jeśli jakieś państwo nie posiada podobnych zasobów, fińska organizacja pozarządowa „Protect children” przygotowała program samopomocowy, dzięki któremu takie osoby mogą spróbować odpowiedzieć sobie na pytania: skąd się u nich wzięło zainteresowanie treściami CSAM, jaką funkcję pełni w ich życiu i jak mogą je pohamować.

W Polsce przetłumaczyła go niedawno Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę. Jednak wydaje mi się, że w systemie powinno chodzić o coś więcej niż tylko o samopomoc. O to, żeby te osoby były prawdziwie zaopiekowane, miały możliwość rozmowy z drugim człowiekiem.

Zwłaszcza, jeśli nie tylko oglądają tego typu materiały, ale też zaczynają szukać kontaktu z dziećmi.



FOT. GETTY IMAGES



• ***Katarzyna Staciwa**

podinspektor policji w stanie spoczynku. Przez ponad 25 lat pełniła służbę w polskiej Policji, również – jako analityczka kryminalna, a następnie strategiczna – w Europolu oraz Europejskim Centrum ds. Walki z Cyberprzestępczością. Obecnie koordynuje obszar badań i rozwoju w Państwowej Komisji ds. przeciwdziałania wykorzystaniu seksualnemu małoletnich poniżej lat 15 i współpracuje jako niezależna ekspertka z Polską Platformą Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

– To już nie jest przedmiot naszej rozmowy, ale wiem, że osoby, które na przykład sąd wyrokiem zobowiązał do odbycia terapii, często muszą jeździć na nią daleko od domu. Czasem nie stać ich na bilet kolejowy, albo nie mogą sobie pozwolić na wzięcie wolnego z pracy. System ma więc wiele dziur.

A to jest nasz wspólny problem, bo takie osoby są częścią społeczeństwa. Udawanie, że ich nie ma nie jest rozwiązaniem. Dlatego kiedy pani do mnie zadzwoniła, ogromnie się ucieszyłam, że ktoś w ogóle chce rozmawiać na ten temat.

Szczególnie, że nie jest on niszowy. Zainteresowanie materiałami typu CSAM jest ogromne i stale rośnie.

– I tu ważna uwaga. Przez lata nazywano je pornografią dziecięcą. Dziś już się tego określenia nie używa, a przynajmniej nie powinno, bo wprowadza w błąd i rani osoby, które zostały pokrzywdzone.

Słowo „pornografia” jest zarezerwowane dla przemyślu rozrywkowego adresowanego do dorosłych. Zakłada się, że osoby, które w nim uczestniczą wyraziły na to świadomą zgodę. No chyba, że zostały do tego zmuszone – wtedy to przestępstwo.

Dziecko, ze względu na swój etap rozwoju, nie jest w stanie takiej zgody wyrazić. Nie rozumie nawet, na co miałoby się zgodzić. Jeśli więc znalazło się w takim kontekście, to oznacza, że doszło do jego seksualnego wykorzystania. Stąd apele różnych organizacji o uporządkowanie tej terminologii.

Dla mnie te treści to nic innego jak stopklatka zatrzymanego przestępstwa. Zatrzymana krzywda dziec-

Użytkownicy Darknetu mówią wprost, że nowe technologie to dla nich marzenie. Mogą zdjęcia dzieci przerobić tak, jak chcą i spełniać swoje fantazje

ka. Określenie „pornografia dziecięca” tej krzywdzie umniejsza. Znosi ciężar gatunkowy tego materiału.

To mogą być zdjęcia, filmy, coś jeszcze?

– Wszystkie materiały, które upraszczając, ukazują dziecko albo podczas czynności wyraźnie seksualnej, albo pokazują jego narządy płciowe w celach głównie seksualnych.

Czyli zdjęcie dziecka biegającego nago po plaży do takich materiałów się nie zalicza?

– Nie. Wylączy się z nich też tak zwane seksualne pozowanie, kiedy dziecko jest na przykład mocno umalowane, skąpo odziane albo przebrane i pozuje przyjmując prowokacyjną pozę. To nie jest treść, o którą nam chodzi.

Zgodnie z proponowaną zmianą definicji do tej kategorii wkrótce zostanie zaliczony także materiał, niezależnie od jego formy, więc może to być też tekst, który daje wskazówki na temat sposobu wykorzystywania lub nagabywania seksualnego dzieci.

W Darknecie jest już zresztą dystrybuowany taki podręcznik, sama go widziałam.

Kto go napisał?

– Też chciałabym wiedzieć.

Czytałam, że w Darknecie użytkowników zainteresowanych krzywdzeniem seksualnym dzieci jest około miliona.

– O nie, dużo więcej! Tu wracamy do fundamentalnego pytania, jak oszacować to zjawisko, jego zasięg i skalę. Nie ma na to odpowiedzi. Bo możemy wziąć pod uwagę przestępstwa ujawnione, czyli zgłoszone. Możemy też mówić o przestępczości rejestrowanej, stwierdzonej, wykrytej oraz osądzonej. Ale to nadal będzie ułamek, ponieważ należy uwzględnić tzw. ciemną liczbę, czyli przestępstwa poza statystykami.

Poza tym, każde państwo ma inne przepisy, co oznacza, że jeśli chciałaby pani to ująć jakoś globalnie, nie do końca da się to policzyć.

To, co wiemy na pewno? Jakie jeszcze liczby możemy podać?

– Wspomniała pani o Darknecie. Tu możemy powiedzieć na przykład o liczbach dotyczących platform, które udało się zlikwidować.

Jedną z nich o znamiennej nazwie Kidflix w momencie zamknięcia w marcu zeszłego roku miała 1,8 miliona zalogowanych użytkowników. Udostępniono na niej 91 tysięcy filmów CSAM, 6 tysięcy 288 godzin. Średnio na platformę przesyłano ok. 3,5 nowego filmu na godzinę. To, że były one nowe, jest istotne.

Dlaczego?

– W cyberprzestrzeni są dwa rodzaje treści. Pierwszy to materiały historyczne, które mogą przedstawiać dorosłą już dziś osobę. To nie oznacza, że ona nie cierpi.

Kanadyjskie badania pokazują, że 70 proc. osób w takiej sytuacji wciąż przeżywa silne emocje, związane zwłaszcza z obawą o bycie rozpoznany. Co trzeci respondent zresztą tego doświadczył, więc to jest życie z takim cieniem w tle, że jest coś czego się wstydzę, co mi zagraża. Dlatego wysiłki zmierzające do usuwania tych treści są tak ważne.

Drugi rodzaj to treści nowe, które mogą dotyczyć wykorzystywania dziecka w czasie rzeczywistym. Dowiadujemy się o nich głównie dzięki infoliniom zrzeszonym w stowarzyszeniu INHOPE, których jest 57 na świecie. W Polsce jest nią Dyżurnet (dyzurnet.pl).

Większość z nich zbiera zgłoszenia od osób, które w Internecie trafiły na niepokojące ich zdaniem treści. Analitycy infolinii sprawdzają je, a jeśli zaklasyfikują je jako CSAM to od tej pory w systemie ta treść zostaje oznaczona jako znana. I generuje się dla niej tak zwany hash, czyli unikalną kombinację znaków.

Taki jakby odcisk palca dla danego zdjęcia czy filmu?

– Tak jest. Jeśli system napotka potem identyczny hash, to znaczy, że treść, której został przypisany została już sklasyfikowana. Jeśli natomiast jest to materiał, który jeszcze takiego kodu nie ma, to oznacza, że mógł być on wyprodukowany niedawno.

Największym dostawcą takich informacji jest amerykańska infolinia Cybertipline, która funkcjonuje w ramach NCMEC (National Center for Missing and Exploited Children, Narodowego centrum działającego na rzecz dzieci zaginionych i wykorzystywanych - red.).

W Stanach Zjednoczonych – zgodnie z tamtejszym prawem federalnym – jeśli zarejestrowane tam firmy znajdą w swoich zasobach treści typu CSAM, muszą je obowiązkowo zgłosić do tej infolinii.

Takich zgłoszeń jest między 20 a 36 milionów rocznie. Jest ich tak dużo dlatego, że w USA siedziby mają najwięksi dostawcy, czyli m.in. Google, Meta, Microsoft.

W Europie nie mamy takiego systemu. Dopiero o niego walczymy.

Rozumiem, że w Polsce póki co opieramy się głównie na tym, co zgłoszą sami użytkownicy?

– Nasze służby korzystają też z informacji, które trafiają do Cybertipline, bo na przykład w latach 2023-2024 tylko od ok. 8 do 16 proc. tamtejszych zgłoszeń dotyczyło Stanów Zjednoczonych, zaś pozostałe 84- 92 proc. innych państw. Na ich podstawie nasi policjanci są w stanie namierzyć i zidentyfikować użytkownika z Polski.

Z drugiej strony Meta przegrała właśnie proces w Nowym Meksyku i została ukarana 375 milionami dolarów grzywny za to, że nie dość, że nie wystarczająco chroniła dzieci na swoich platformach to jeszcze ułatwiała wykorzystanie seksualne. Nie jest tajemnicą, że sprawcy często kontaktują się z dziećmi m.in. przez Instagrama, Facebooka, czy WhatsAppa. Jak również przez Tiktoka, Snapchata, czy gry typu Roblox.

Sprawcy są po prostu wszędzie tam, gdzie są dzieci.

To, o czym pani mówi to jest trochę inny rodzaj zaniedbania, który wiąże się z tym, że te produkty i usługi nie zostały zaprojektowane zgodnie z zasadą „safety by design”. Czyli, z jednej strony na przykład Facebook w samym roku 2023 przekazał do Cybertipline blisko 18 milionów przypadków ujawnienia u siebie CSAM, a z drugiej – to, że w takich produktach czy usługach w ogóle dochodzi do takich zjawisk wynika stąd, że od początku nie było tam troski o dobrostan dzieci.

Jakie są jeszcze zjawiska związane z ich krzywdzeniem przy użyciu nowych technologii?

– Na przykład uwodzenie, czyli nawiązywanie relacji z dzieckiem po to, żeby móc zrealizować jakąś swoją motywację i potrzebę. One mogą być bardzo różne, bo ten rodzaj przestępczości stale ewoluje i przybiera coraz to nowe postaci.

Przed wszystkim, nie można już sprowadzać przestępczości na tle seksualnym do przestępstwa kontaktowego. Tradycyjne przestępstwa są popełniane w nowy sposób.

Chce pani powiedzieć, że to, co się dzieje między sprawcą a dzieckiem w sieci nie zawsze musi prowadzić do spotkania, ale przestępstwo i tak ma miejsce?

– Dokładnie, tak.

Często takie uwodzenie prowadzi do szantażu na tle seksualnym. Jest to mechanizm, który obserwuję od dawna i którym zaczęłam się zajmować, kiedy jeszcze pracowałam w Europejskim Centrum ds. Walki z Cyberprzestępczością.

Wtedy, czyli te ponad 10 lat temu mieliśmy pierwsze informacje na temat takich zachowań. Często zresztą tragicznych w skutkach, bo wiążących się z niewyjaśnionymi samookaleczeniami, próbami samobójczymi czy

samobójstwami dzieci. Z tego co wiem, pierwsza zaczęła analizować te powiązania brytyjska policja.

W 2013 roku głośno było o Danielu Perrym, nastolatku ze Szkocji, który padł ofiarą takiego przestępstwa.

– Daniel nawiązał przez Internet kontakt z osobą, o której myślał, że jest jego rówieśniczką ze Stanów Zjednoczonych. W którymś momencie ich komunikacja nabrała seksualnego charakteru i najprawdopodobniej doszło do wymiany intymnych zdjęć, albo nagrania jakiegoś zachowania. Wtedy, okazało się, że chłopiec nie rozmawia z żadną dziewczyną, tylko...

...z mężczyzną z grupy przestępczej z Filipin.

– Który od razu zażądał od niego pieniędzy. I szantażował go, że jeśli tego nie zrobi, „kompromitując” go zdjęcia, czy też filmy zostaną upublicznione. Napisał też podobno: „sprawię, że będziesz cierpiał” oraz „popelnij teraz samobójstwo”.

Takie doświadczenie jest dla dziecka paraliżujące, bo dzieci zwykle nie mają żądanych kwot. Poza tym, czymś bardzo trudnym jest dynamiczny zwrot akcji. Nagle pojawienie się żądania finansowego w takiej relacji jest ciężarem, który często jest dla dziecka nie do udźwignięcia. Dla niego takie przeżycie to jak koniec świata.

Daniel zaledwie kilka godzin po próbie wyłudzenia odebrał sobie życie. Uświadomiło mi to, jak niewiele czasu możemy mieć na reakcję.

Takich zdarzeń, które zakończyły się tragiczną śmiercią było od tamtej pory kilkadziesiąt, jeśli nie więcej. W samej Wielkiej Brytanii co miesiąc notuje się ok. 110 tego rodzaju wymuszeń. Niektórzy się dziwią: „dlaczego dziecko nie poszło z tym od razu do rodziców?”

– A ono czasem nawet nie wie, jak o tym opowiedzieć. Może się też bać, że rodzice go nie zrozumieją. Wstydzić się. Mieć poczucie winy. Wyobrażam sobie, że dla dziecka, które dopiero eksploruje swoją seksualność, uczy się życia, takie doświadczenie jest dewastujące.

Niedawno miałam szczęście rozmawiać na ten temat z uczniami jednej z warszawskich szkół. Usłyszałam od nich, że to, co można by było w takiej sytuacji powiedzieć, a najlepiej jeszcze zanim do niej dojdzie, to że cokolwiek się wydarzy – właśnie nie będzie końcem świata. I, że dobrze byłoby, gdyby rodzice chcieli najpierw zrozumieć, a nie oceniali i osądzali. Użyli nawet takiej metafory: „Przecież zdarza się, że się przewracamy, łamiemy ręce albo nogi i wtedy nie ma tragedii. To dlaczego miałyby być, kiedy zrobi się coś głupiego i wyszło komuś swoje nagie zdjęcie?”

Dodali też, że czasami rodzice zabierają się do budowania relacji z nimi zbyt późno.

W Wielkiej Brytanii istnieje „Report Remove” – narzędzie pozwalające na zgłoszenie intymnego zdjęcia lub wideo, które mogą zostać upublicznione. Jeśli do tego dojdzie, zostają one automatycznie usunięte. Podobnie działa amerykańska strona „Take it down”. Czy w Polsce mamy taką możliwość?

– Kiedy pracowałam jeszcze w NASK-u (Naukowa i Akademicka Sieć Komputerowa-red.) mój zespół przetłumaczył stronę „Take It Down” i dziś polscy użytkownicy też mogą z niej korzystać.

Poważnym wyzwaniem jest natomiast to, że ponieważ te zjawiska tak szybko ewoluują, regulacje prawne czasami za nimi nie nadążają.

Profesor prawa Małgorzata Skórzewska-Amberg pisze, że „polskie prawo karne nie zapewnia małoletniemu wystarczającego poziomu ochrony przed wykorzystaniem seksualnym, ponieważ ustawodawca w ogóle nie przewidział możliwości zaistnienia pewnych zachowań, które są realizowane

w cyberprzestrzeni albo tam, gdzie taką możliwość przewiduje, zakres ochrony nie jest wystarczający”.

– Na szczęście, coraz więcej osób pokazuje, że ustawę o charakterze ogólnym można stosować do nowego stanu faktycznego.

Myślę teraz o wyroku z Tarnowa, gdzie użyciu artykułu 197 Kodeksu Karnego traktującego o zgwałceniu i wymuszeniu czynności seksualnej – do zachowania polegającego na tym, że sprawca przez Internet dyrygował zachowaniem dziewczynki w wieku 10-17 lat, zmuszając ją do wysyłania intymnych zdjęć i filmów oraz zachowań o charakterze seksualnym.

Działal w sposób wyjątkowo brutalny, poniżający, okoliczności są drastyczne. Ostatecznie jednak ten wyrok został nazwany „wyrokiem za zgwałcenie w cyberprzestrzeni”. To określenie pewnie nie do końca jest zgodne z tradycyjnym pojęciem zgwałcenia, ale to pokazuje, jak można wykorzystać to prawo, które mamy w nowych okolicznościach.

Na stronie <https://www.europol.europa.eu/stopchildabuse> są elementy zdjęć przedstawiających wykorzystywanie dzieci. Jeśli ktoś rozpozna te przedmioty, może to anonimowo zgłosić, a analitycy pójdą tym tropem

Jak temu mężczyźnie udało się przekonać dziewczynki do takich czynności?

– Scenariusz był dokładnie taki sam, czyli najpierw pozyskanie kompromitujących treści, a potem szantaż.

Kiedy zaczęliśmy badać to zjawisko w Europie doszliśmy do wniosku, że najważniejsze jest, aby sprawca nie dostał takich materiałów od dziecka. Bo bez nich dalszy ciąg zdarzeń by nie nastąpił.

W rezultacie w 2017 roku stworzyliśmy dużą kampanię społeczną „Say No!”, czyli „Powiedz nie!”. Filmik jej towarzyszący, krok po kroku, pokazywał mechanizm tego zjawiska na przykładzie dwóch historii.

W pierwszej sprawca był motywowany seksualnie. Szantażował dziewczynkę uzyskanymi od niej materiałami, żeby wymusić na niej kolejne zachowania i spotkanie w realnym świecie. W drugiej motywacją była finansowa, a pokrzywdzonym grupy przestępczej, która domagała się pieniędzy, był chłopiec.

Ta kampania to było chyba najważniejsze osiągnięcie w mojej karierze. Mój syn miał wówczas 17 lat. Konsultowałam scenariusz tej kampanii z nim i z jego kolegami. A potem wraz z zespołem zrobiliśmy to samo w jednej ze szkół w Hadze. Uczniowie pomogli nam dobrać odpowiednie emotikony, skorygowali nasz język. Poczuli się panami tego projektu.

Kiedy usłyszała pani o Danielu Perrym pani syn był jeszcze młodszy. Co sobie pani wtedy pomyślała?

– Zawsze dużo rozmawialiśmy, natomiast wtedy chyba zdałam sobie sprawę, że choćbym nie wiem jak się starała, on też może znaleźć

się w niebezpieczeństwie. Wyobraziłam sobie zresztą taką potencjalną sytuację.

Syn grał w siatkówkę i któregoś dnia zamieścił na swoim profilu na Facebooku zdjęcie, jak wraca z treningu, bez koszulki, a przez ramie ma przewieszzone buty.

Spytałam go, co by zrobił, gdyby ktoś napisał mu, że super wygląda i mógłby wziąć udział w reklamie jakiegoś sprzętu sportowego, tylko musi przysłać zdjęcie, na którym pokaże więcej ciała, żeby można było ocenić całą postać. Przyznał, że mógłby się dać na to złapać.

Pomyślałam wówczas, że ta kampania po prostu musi powstać, że musimy pokazać, jak do tego dochodzi. I wzmocnić dzieci, żeby czuły, że mają prawo powiedzieć: – Nie, nie wysyłę żadnego zdjęcia. Nikt nie ma prawa mną manipulować, grozić mi, narzucać jakiegokolwiek zachowanie. A jeżeli tak robi, to wiem, że jest to zabronione.

Dlatego w filmie podkreślamy, że to są przestępstwa, które trzeba zgłaszać.

ciała tych osób, tylko manipulacja.” Jak można im uświadomić, czym to właściwie jest i co powoduje?

– Przede wszystkim, wykreowanie takiego zdjęcia, czy wideo pozwala stworzyć treści, którymi można szantażować. Dzięki tej nowej technologii osoby, które chcą skrzywdzić dziecko, są już o krok dalej.

Kiedy uruchamialiśmy kampanię „Say No!” sprawca musiał sobie zadać trud, żeby zdobyć taką treść. Dziś wystarczy zdjęcie czyjejś postaci i aplikacja. Przeraza mnie to, że ktoś jeszcze nie rozumie powagi sytuacji.

Tego typu narzędzia powinny być absolutnie zabronione. Dlatego cieszę się, że Państwowa Komisja ds. przeciwdziałania wykorzystaniu seksualnemu małoletnich poniżej lat 15 domaga się zakazu ich wytwarzania i udostępniania. Nie znajduję żadnego powodu dla ich istnienia.

Możliwość wykorzystania takich zdjęć do szantażu to jedno. A co powoduje samych upublicznienie?

– Oprócz tego, że ewidentnie narusza prawa do ochrony wizerunku? Dla kruchej, rozwijającej się dopiero tożsamości dziecka, to może być ogromny cios.

Niestety, wciąż zdarza się, że szkoły zamiatają takie sprawy pod dywan, bo na przykład „chłopcy się tylko wygłupiali”, a policja uważa je za czyny o niskiej szkodliwości społecznej.

– Technologia wciąż nas zaskakuje, ale na każdym z nas, jako członku społeczeństwa, spoczywa pewna odpowiedzialność. Jej elementem jest też obowiązek dokształcania się w tym zakresie. Próba nadążania za tym, co się dzieje ze światem, rozumienia zachodzących w nim zjawisk.

Co chce pani przez to powiedzieć?

– Na przykład to, że oczekiwałabym od placówek edukacyjnych, że będą takie sprawy traktowały poważnie.

No i może szkoły i przedszkola nie muszą mieć profili na Facebooku, na których na potęgę upubliczniają wizerunki dzieci?

– Tym bardziej, że już wiadomo co można z nimi zrobić. Ale nie tylko szkoły to robią. Niektórzy rodzice też szafują wizerunkami swoich dzieci. Przyznam, że nie jestem w stanie tego zrozumieć.

Właśnie obejrzałam dokument BBC pt. „The Darkest Web” o specjalnej jednostce tropiącej pedofili w Darknetcie i już sobie wyobrażam, jak mogą zostać wykorzystane zdjęcia dzieci, które celebrytki i celebryci pokazują codziennie na swoich profilach.

– Dodam tylko, że analizy publikowane przez brytyjską infolinię IWF (Internet Watch Foundation) dowodzą, że użytkownicy Darknetu mówią wprost, iż technologie pozwalające na tworzenie CSAM za pomocą sztucznej inteligencji to dla nich marzenie. Dzięki nim mogą codziennie zdjęcia dzieci przerobić tak, jak chcą, nadać im kontekst, jaki chcą i w ten sposób spełniać swoje fantazje.

Spotkałam się z taką opinią: „Niech sobie przerabiają te zdjęcia i fantazjują. Dzięki temu być może nie będą szukać jakiegoś dziecka w realu.”

– Ale często jest dokładnie odwrotnie! Jeśli ktoś interesuje się seksualnie dzieckiem i rozbudza w sobie te fantazje to kolejnym krokiem może być próba nawiązania z nim kontaktu fizycznego.

Czy to, że technologie cyfrowe umożliwiają dziś nowe realizacje starych pragnień powoduje, że wykształca się nowy typ osób krzywdzących seksualnie dzieci? Wszyscy sprawcy, których ujeli policjanci w filmie „The Darkest Web”, to byli bardzo młodzi, dwudziestoletni mężczyźni. Zwy-

kle inteligentni, posiadający ponadprzeciętne kompetencje informatyczne.

– Te pragnienia mogą nie być jednoznaczne od początku i tutaj szukamy jeszcze twardego, naukowych dowodów. Ale na przykład Michael Sheath, wybitny brytyjski specjalista, który przez ponad 30 lat pracował ze sprawcami i słuchał ich historii, powiedział w zeszłym roku dziennikowi „The Guardian” o mechanizmie tak zwanej eskalacyjnej ścieżki, która zaczyna się od legalnej pornografii, a prowadzi do poszukiwania coraz bardziej drastycznych treści, które dziś są łatwo dostępne.

Tu powolałam się jeszcze na badania organizacji „Protect Children”, która anonimowo ankietuje osoby zainteresowane treściami CSAM w Darkwebie. Otóż, prawie połowa z ponad 20 tysięcy badanych odpowiedziała, że zetknęła się z materiałami typu CSAM przypadkowo. 59 proc. miała wtedy mniej niż 18 lat, a 13 proc. mniej niż 10 lat. Podobne szacunki dotyczą aktywnego szukania takich materiałów. To szokuje.

Gdzie dziesięciolatek mógł trafić na taką treść?

– Albo jeszcze ważniejsze pytanie: – Co się stało, że miał kontakt z takimi treściami tak wcześnie?

Przygotowując się niedawno do wystąpienia na I forum Fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa odwiedziłam kilka popularnych platform z pornografią. Ich dostępność poraża. Naprawdę wystarczy kliknąć ten słynny kwadracik „mam 18 lat” i już.

Poza tym, niektóre z tych platform publikują statystyki – wiek i narodowość użytkowników – i widać, że w większości są nimi młodzi ludzie.

Uderzyło mnie też nazewnictwo poszczególnych kategorii, zwłaszcza „hardcore” w połączeniu z na przykład „step sister” (siostra przyrodnia). Co to ma sugerować? Obserwatorowi takiemu, jak ja od razu zapala się czerwona lampka.

Z badania „Internet Dzieci” wiemy, że popularny serwis pornograficzny znajduje się w Top 10 domen najczęściej odwiedzanych przez polskie dzieci w wieku 7-14 lat, a pierwszy kontakt z pornografią ma miejsce w wieku ok. 11 lat.

– No i to jest przerażające. Bo musimy mieć świadomość, że wczesny kontakt z pornografią, w dodatku coraz bardziej przepelnioną przemocą, może prowadzić do zainteresowania treściami przedstawiającymi wykorzystanie seksualne dzieci. A na gruncie prawnym to oznacza możliwość popełnienia przestępstwa z artykułu 202 Kodeksu Karnego.

W dużym śledztwie „Guardiana” z 2023 roku pojawiło się takie zjawisko, jak sprzedaż usług seksualnych z wykorzystaniem dzieci na odległość. Jak to może wyglądać?

– To „Live Distant Child Abuse” i najczęściej polega ono na streamingu na żywo wykorzystania dziecka.

W takiej, nazwijmy to, klasycznej odsłonie wygląda to tak, że obywatel jakiegoś kraju rozwiniętego zamawia taki przekaz z państwa rozwijającego się, na przykład z Kambodży, czy z Filipin. I wybiera, które dziecko ma być wykorzystane seksualnie, jakiej ma być płci, w jakim wieku i w jakiej konfiguracji ma wystąpić.

Kto do tego zmusza to dziecko po drugiej stronie?

– Proceder organizują tak zwani facilitatorzy, ale często uczestniczą w nim też członkowie rodzin poszkodowanych dzieci. Niektórzy w ten sposób na nich zarabiają. Mogą też sprzedawać nagrania z ich udziałem. W Europie też to się dzieje, choć pewnie na mniejszą skalę.

Powiedzieliśmy już o szantażu na tle seksualnym motywowanym finansowo, albo

seksualnie. Ale jest jeszcze jedna motywacja – czysta przemoc.

– Europol już kilka lat temu sygnalizował, że w cyberprzestrzeni pojawiają się wyjątkowo brutalni sprawcy nakierowani na krzywdzenie dzieci. Polują na nie na przykład w środowisku popularnych gier, a później przenoszą konwersację do komunikacji szyfrowanej – na Discorda, na WhatsAppa – i tam eskalują przemoc.

Czyli najpierw sprawca „urabia” dziecko, zaprzyjaźnia się z nim, a potem?

– Najczęściej pozyskuje od niego materiały, którymi może je szantażować, po czym żąda od niego coraz bardziej ekstremalnych zachowań.

Na początku to może być: „Nadepnij chomika”, „Podtruj psa”. I pokaż dowód, że to zrobiłeś. Dalej to narasta. „Wytnij sobie znak na ciele”, „Skrzydź swojego brata”. „Wykorzystaj młodszą siostrę”.

Znam tak dobrze szczegóły, bo przygotowując się niedawno do wykładu w Akademii Policji w Szczytnie przejrzałam dużo materiałów związanych z tym zjawiskiem.

Jakie wrażenie robi na pani kontakt nimi?

– Przede wszystkim mam w sobie ogromny sprzeciw, ale też poczucie, że my dorośli, stwarzając takie technologiczne możliwości komunikacyjne, gdzie to wszystko się może odbywać, potwornie zawiedliśmy to młode pokolenie.

Kim są sprawcy tych brutalnych szantaży?

– Często są to inne dzieci. Działalność jednej z takich sieci, zwaną „764”, rozpoczął w 2020 roku na Discordzie 15-latek z Teksasu. 764- to był jego kod pocztowy.

Chłopak przez rok nie wychodził z domu. Robił tylko to. Później został zatrzymany, ale zjawisko się już rozniosło. Powstały jego nowe odnogi, które przenoszą się z jednej platformy na kolejną, co stanowi duży kłopot dla organów ścigania.

Ich schemat organizacyjny jest podobny do tego w grach. Liderami zostają ci, którzy są najbardziej brutalni i posiadają największą liczbę dowodów przemocy. W ten sposób zyskują uznanie środowiska.

Drugim znanym, ujętym sprawcą był Niemiec o pseudonimie Biały Tygrys. Hamburgskie służby interesowały się nim już w 2021 roku, między innymi w związku z komunikacją, w której miał wywierać presję psychologiczną na nieletnie dziewczynki i zachęcać je do samobójstwa.

Postępowanie zostało jednak umorzone.

Dlaczego?

– Nie wiem, ale być może na tamtym etapie służby nie dysponowały wystarczającą ilością informacji. Natomiast z relacji prasowych z początku tego roku wiemy, że akt oskarżenia wobec niego liczy już 199 stron.

Zarzucono mu 204 przestępstwa, w tym przeciwko życiu, na tle seksualnym, nakłanianie do samookaleczeń i prób samobójczych.

To była osoba, która miała też doprowadzić do transmisji na żywo samobójstwa 13-letniego chłopca ze Stanów Zjednoczonych.

Straszne.

– Dodam jeszcze, że w tych środowiskach pojawiają się elementy ideologii nihilistycznej, w której chodzi o destabilizację społeczeństwa poprzez przemoc skierowaną szczególnie przeciwko dzieciom. A mizoginiczne podejście jest jej kluczowym komponentem.

Czy są osoby bardziej podatne na takie wykorzystanie, czy właściwie każdego może to spotkać?

– Jest to splot wielu różnych czynników. Ale ja bym to chyba sprowadziła do szeroko rozumianych deficytów dziecka. Brak uwagi, brak poczucia pewności siebie, czy docenienia to

oczywiste deficyty. Ale może też nim być na przykład nadmierna empatia.

Jak to?

– Jeśli ktoś mówi, że jest samotny, smutny, to takie dziecko będzie chciało tę osobę pocieszyć. A ten szantaż często brzmi tak: „Jak nie prześlesz mi tego zdjęcia, to sobie coś zrobię”. Takie dziecko nie myśli wtedy o swojej szkodzie, tylko o tym drugim człowieku.

Czy istnieje u nas jakieś wsparcie dla osób, które zostały skrzywdzone przy użyciu nowych technologii?

– Fundacja „Dajemy Dzieciom Siłę” prowadzi Poradnię „Dziecko w Sieci”, w której pomoc mogą uzyskać m.in. dzieci, które zetknęły się z pornografią w Internecie lub doświadczyły uwodzenia bądź wykorzystania seksualnego online. Wsparcie otrzymują również ich rodzice i opiekunowie. Jest też całodobowy Telefon Zaufania dla Dzieci i Młodzieży 116 111.

Po czym poznać, że dziecko może być ofiarą takiego przestępstwa?

– Odwołam się do skarbnicy wiedzy, czyli do tych młodych ludzi, z którymi niedawno rozmawiałam. Powiedzieli mi, że na pewno będzie widać jakieś zmiany w zachowaniu dziecka – niechęć do rozmów, jeśli wcześniej chętnie rozmawiało, zaniedbywanie obowiązków, rezygnację z zainteresowań. „Takie dziecko staje się jakieś inne”- to ich słowa. Co ciekawe, stwierdzili, że opuszczenie się w nauce nie zawsze musi na to wskazywać.

Ponieważ mamy do czynienia z tak różnym spektrum zachowań sprawców, wszystko co odbiega od codziennej rutyny dziecka powinno nam dać do myślenia.

Rozmawialiśmy o „764” i innych podobnych sieciach. FBI wydając ostrzeżenie o ich działalności podpowiadało, że wskazówką może być to, iż dziecko latem chodzi w koszulkach z długimi rękawami, którymi zakrywa samookaleczenia.

Czy jest pani zwolenniczką prowadzenia z dziećmi takich rozmów wyprzedzających: – Słyszeliśmy, że są takie zdarzenia. Pamiętaj, że jeśli kiedykolwiek by cię coś takiego spotkało, zawsze możesz do nas przyjść, powiedzieć nam o tym, poradzimy sobie?

– Tak, o ile są one naturalne, a nie jest to nieoczekiwany wykład. Kiedy coś na przykład razem robimy, a jednocześnie jesteśmy uważni, słuchamy. Wtedy młody człowiek ma szansę nie uciec przed taką rozmową.

Oczywiście, to na nas dorosłych spoczywa obowiązek ich inicjowania. Bo młodzi już bardzo dużo wiedzą, ale to my mamy narzędzia, które pozwalają nadać tym zdarzeniom odpowiedni kontekst. A zwłaszcza powiedzieć dziecku, że rozumiemy, że cierpi, że rozwiązania istnieją, i że jesteśmy w tym razem z nim.

Dlatego tak namawiam rodziców, w ogóle dorosłych, do doksztalcania się, bo wiedza wzmacnia. Sprawia, że zauważamy więcej.

Zajmuje się pani krzywdzeniem dzieci od ponad 20 lat. Co sobie pani myśli, kiedy patrzy pani dziś na tę sferę?

– Kiedy pracowaliśmy nad kampanią „Say No!” miałam ogromną nadzieję, że uda się nam ograniczyć te zachowania, zmniejszyć skalę ich rażenia. Ale dziś, siedząc tutaj z panią, już wiem, że to się nie udało. Miało być lepiej, a jest gorzej. Przybývają nowe formy krzywdzenia wykorzystujące ten sam mechanizm szantażu. A sprawcy, dzięki rozwojowi technologii, dostali do rąk nowe narzędzia.

Co się pani zdaniem powinno zadziać w pierwszej kolejności, żebyśmy mogli spróbować odwrócić ten kierunek?

– Przede wszystkim, trzeba chcieć wiedzieć, że takie zjawiska istnieją, a zagrożenie jest realne. Nie w kategorii sensacji, ale po to, by

móc przelożyć tę wiedzę na konkretne działania.

Powinniśmy też zrozumieć, że krzywda doświadczana w cyberprzestrzeni jest realną krzywdą, a emocje jej towarzyszące są dokładnie te same. A nie tkwić w przekonaniu, że wirtualnie to znaczny jakości słabiej, mniej poważnie.

Zjawiska, które dziś dotyczą dzieci są dużo bardziej skomplikowane, nieoczywiste, wielowątkowe. Trzeba dużej gotowości, oraz wrażliwości, żeby móc je zrozumieć, bo to prewencja powinna być najważniejsza.

Poza tym, potrzebujemy systemu. Na poziomie unijnym – takich rozwiązań, jakie są w Stanach Zjednoczonych, czyli obowiązku wykrywania treści typu CSAM przez platformy. W Polsce, dodatkowo potrzebujemy pilnego wdrożenia DSA.

Konieczny jest też system pracy z potencjalnymi sprawcami, jak i tymi, którzy wracają do społeczeństwa po odbyciu kary. Jaką ofertę dla nich teraz mamy?

A systemowe wsparcie dla ofiar i ich rodzin?

– Oczywiście też! Zwłaszcza dla tych, którzy doświadczają tych nowych form zachowań, żeby im uświadomić, że to też są przestępstwa, które należy zgłaszać. Także dlatego, że najprawdopodobniej nie jest to jednorazowe zachowanie. Nie dotyczy tylko tego jednego dziecka, ale i innych.

Na marginesie dodam, że w takich sytuacjach bardzo ważne jest zabezpieczenie dowodów. Zachowanie wszystkich zdjęć, konwersacji, nie usuwanie ich.

Film „The Darkest Web” pokazuje, jak mordercze jest rozpracowywanie takich spraw. Żeby zamknąć wspomnianą platformę Kidflix potrzebna było kilka lat. Namierzanie jednego sprawcy to czasem kilkunastomiesięczne śledztwa. Wielu z nich nie udaje się złapać. A problem narasta. Jak to na panią wpływa?

– Jeszcze bardziej mnie motywuje. Nie chcę, żeby to zabrzmiało patetycznie, ale osoby, które zajmują się tym obszarem, łączą poczucie misji.

W Europolu pracowałam w zespole, który m.in. identyfikował dzieci pokrzywdzone.

Śledczy, którzy trafiają na zdjęcia, czy filmy z ich udziałem, mają najczęściej tylko te materiały do dyspozycji. Żadnych nazwisk, żadnych adresów. Szukają więc drogi do sprawców i do tych dzieci po śladach. To może być specyficzny rodzaj cegły na ścianie, charakterystyczny plakat, mebel, napis na lyżeczce, ubranko, zabawka.

Ten zespół stworzył pamiątkową monetę – symbol naszej pracy. Jest na niej rozgwiazda – symbol naszej pracy. Jest na niej rozgwiazda, które szło nad morzem i wrzucało do niego z powrotem rozgwiazdy wyrzucone na brzeg. Kiedy przechodzący obok człowiek zapytał je: „Dlaczego to robisz? Przecież nie uratujesz wszystkich”, odpowiedziało: „Ale mogę uratować tę jedną”. I to jest właśnie o naszej motywacji.

Wspomnę tylko, że jest takie miejsce, gdzie wszyscy możemy pomóc. Kolejną inicjatywą Europolu jest „Trace an object” („Namierz przedmiot”). Na stronie <https://www.europol.europa.eu/stopchildabuse> znajdują się elementy pochodzące ze zdjęć przedstawiających wykorzystywanie dzieci. Oczywiście, są one na bieżąco aktualizowane. Pokażę pani.

Co tu mamy? Fragment dziecięcej koszulki z logo, spodenek, kamizelki, jakieś pudełko. Mam ciarki, kiedy na to patrzę.

– Jeśli ktoś jest w stanie rozpoznać te przedmioty, może to anonimowo zgłosić, a analitycy pójść dalej za tym tropem. Dodam tylko, że do tej pory dzięki tej akcji udało się zidentyfikować i uchronić przed dalszą krzywdą 34 dzieci, a 8 sprawców zostało ujętych i skazanych. ●

Nie ma trzeciej połowy meczu

Do wszystkich apeluję za każdym razem, żeby nie tracili żadnego dnia. Bo za tydzień, miesiąc, czy rok, nie będzie łatwiej.

Z **KRYSTIANEM MARKIEWICZEM***, WYBRANYM NA SĘDZIEGO TRYBUNAŁU KONSTYTUCYJNEGO, ROZMAWIA **WALDEMAR PAŚ**

Co jest teraz dla Pana ważne?

Aby nie skupiać się na sprawach trzeciorzędnych.

Trudne, życie się z nich składa.

– Lubię moje powroty z Warszawy do Katowic. Tam mogę popatrzeć na świat z innej perspektywy niż warszawska, gdzie politycy rządzą spektakl dla mediów. Tam wiem, co jest naprawdę ważne.

W Warszawie to niemożliwe?

– W Warszawie bez przerwy biega się za różnymi sprawami. I jak tak wszyscy biegamy, każdy oczywiście za najważniejszymi rzeczami w swoim mniemaniu, to chyba często gubimy poczucie proporcji, przestajemy widzieć świat z odpowiedniej perspektywy. Nie mylmy gwiazd z ich odbiciem w stawie.

Nawet w Katowicach nie zawsze znajduję odpowiedź. Dlatego jeżdżę do ukochanych Działoszyc, jednej z najmniejszych miejscowości w Polsce.

Co jest w Działoszycach?

– Zawsze rozmawiam tam z panem Stanisławem, który twardo stąpa po ziemi i nie daje się zwieść warszawskiej gadce, oczekuje konkretów. Bardzo lubię te pogawędki. Mam nadzieję, że gdy spotkam go następnym razem będę mógł powiedzieć o co najmniej dwóch rzeczach, które udało się zrobić.

Jakich?

– O tym za chwilę. Najpierw o tym, że w Polsce musimy się umówić, że przewidziane prawem instytucje nie mogą udawać, że działają. Bezprawie nie może szantażować obywateli. Bo polskie państwo przestanie działać i wszyscy za to zapłacimy. Nie może być tak, że od zwykłego człowieka państwo wymaga przestrzegania prawa, a rozkłada ręce, gdy ktoś jest wysoko postawiony.

Jak poznać, że coś jest pierwszorzędne, czy trzeciorzędne?

– Trzeba mieć zawsze jakieś wskazówki?

Wierzę, że Polaków łączy konstytucja. Przyjęliśmy ją w referendum. Ten najważniejszy akt prawny mówi, Trybunał Konstytucyjny składa się z 15 sędziów. To oznacza, że musi składać się z 15 sędziów. Konstytucja powiada też, że sędziów Trybunału Konstytucyjnego wybiera Sejm. To jest dość proste, biblijne podejście, tak, tak, nie, nie. Bez trzeciorzędnych dodatków.

Jak ma być działająca, legalna Krajowa Rada Sądownictwa, to niech taka będzie.

Jak mają być sądy niezależne, to niech będą niezależne.

Albo tego się trzymamy, albo zmierzmy konstytucję, wprowadźmy alternatywny ustrój. Tylko bądźmy świadomi, co robimy.

Wpisałem teraz pańskie nazwisko w Google. Pojawiło się mnóstwo artykułów z ostatnich godzin i dni. O, tu np. niegdyś prominentny dziennikarz „Wyborczej”, dziś uchodzący za wzorcowego symetrystę, mówi, że jest Pan jednym z najbardziej toksycznych funkcjonariuszy frontu zemsty.

– Wychodzi na to, że dla możliwości mówienia takiego zdania walczyłem o wolne sądy i niezależne media. Ale co tam, jak ktoś chce, niech tak mówi. Jedynie zarzuty o zemstę, są całkowicie przykre, nieprawdziwe i niesprawiedliwe, projekty Iustitii nigdy nie zawierały w sobie chęci zemsty, byliśmy i jesteśmy otwarci na różne opinie. Niszczona przez lata praworządność wymaga naprawy, przywrócenie bezpieczników demokracji. To wymaga konkretnych aktów prawnych. My położyliśmy na stole rozwiązanie i je krok po kroku wdrażamy. Do dziś nie zobaczyłem innej gotowej propozycji, a bez niej trudno traktować dywagacje oponentów poważnie.

Czy zabiegi o praworządność jeszcze mają sens?

Dopadła nas inflacja zmiany znaczenia słów. My mówiliśmy przez lata o neo-sędziach, oni dziś mówią o antysędziach. Dwie równoległe rzeczywistości, podwójne państwo. Czy tzw. zwykli ludzie odnajdą się w tym doppelstaat?

– Po pierwsze wierzę, że ta walka zawsze ma sens.

I zamiast grzęznąć w koleinach koncepcji doppelstaat wolę odwołać się do apelu prof. Marcina Matczaka, aby rzeczy nazywać po imieniu, tak jak powinny być one nazywane. Musimy mieć jakieś stałe punkty odniesienia, z nich można stworzyć większe elementy, wiadomo czego się trzymać.

Jeśli nie będziemy umieli odróżnić bieli od czerni, nasze państwo zacznie się chwiać, a my sami zwątpimy, gdzie jest horyzont.

Obawiam się, że coraz więcej ludzi patrzy na problem przywracania praworządności jak na polityczny cyrk, w którym coraz chętniej grają obie strony podzielonej Polski. Nie chodzi o to, aby rozwiązać problem, tylko aby była zabawa. W tym wszystkim żał tylko prawdziwych sędziów, prokuratorów i innych prawników-ideowców.

– Myślę, że przesadza Pan w czarnowidztwie. Wedle badań nastrojów opinii publicznej, zdecydowana większość Polaków wie, jak jest, np. uważa, że prezydent powinien odebrać ślubowanie od razu od całej naszej szóstki.

Ludzie chcą rozwiązania problemu neo-sędziów. Chcą wreszcie stabilizacji.

I dobrze wiedzą, czyje działania zmierzają do destabilizacji i osłabienia państwa. To prawda, są już tym wszystkim zmęczeni, niepewność co do prawa, stawia nas wszystkich w bardzo niekorzystnej sytuacji.

Optymizm budzi społeczna dezaprobatą dla burzenia państwa prawa.

To wyzwanie, nie tylko dla nas, sędziów, ale i was dziennikarzy, oraz polityków oczywiście. Trzeba znaj-



dować rozwiązania i koncentrować się na tym, co ważne, nie ulegać pokusie kreowania setek sensacji wokół pobocznych awantur pomiędzy politykami. Politycy będą zawsze kreować sztuczne newsy i spory, bo to pozwala im zachować pracę. My natomiast, jako społeczeństwo, media, instytucje, powinniśmy jednak stawiać im czasem pytanie, co poza tym „bieganiem z taczkami” zrobili. Czy sprawy idą do przodu. Ucinamy tę „zabawę”, jak Pan to nazwał – bo ona nie służy państwu. Idźmy do przodu.

W ostatnich trzech latach rozmawialiśmy kilka razy. Ze spotkania na spotkanie wydawał się Pan być coraz bardziej zniechęcony, zmęczony, i to nie tylko słowami krytyki...

– Najgorsza jest krytyka zza pleców, bo jej się nie spodziewasz. Ale, jak powiedział pewien Francuz: strzeż mnie Boże od przyjaciół, bo z wrogami sobie poradzę.

Widziałem pańskie rozczarowanie. Im bardziej starał się Pan bić na alarm, tym bardziej było to wolać na puszczy. Ale teraz został pan sędzią Trybunału Konstytucyjnego.

– Rzeczywiście po dziewięciu trudnych latach prezesury Iustitii, nie był to przecież spacer, ataki były z wielu stron, każdy miał prawo być odrobinę zmęczony. Dużo się udało, Iustitia jest silna, jednolita i stabilna, wkroczyliśmy na ścieżkę odbudowy. Pewnie, że wolałbym odpocząć, zająć się innymi rzeczami. Ale w sytuacji, w której państwo mówi, że cię potrzebuje, nie można się wycofać.

Mimo wielu różnych środowiskowych podziałów sędziowie rozumieją, co jest ważne. Cieszy mnie olbrzymie wsparcie, które ostatnio otrzymałem, od sędziów, prawników, przyjaciół, i wielu zwykłych ludzi. To dzięki temu mam dziś siłę i determinację.

Przeglądałem w sieci wrzawę, dlaczego od razu nie zrezygnował Pan z pracy w sądzie po wyborze na sędziego Trybunału. Mnóstwo ataków nie tylko z dobrozmiannowej strony. Miałem poczucie pochłaniającego mnie lupieżu, czy już złożył, czy złoży, dlaczego nie wpłynęło.



FOT. ADAM STEREN / AGENCJA WYBORCZA

Krystian Markiewicz: Nie przyszedłem pracować w prywatnym sądzie Bogdana Świączkowskiego, tylko w Trybunale Konstytucyjnym Rzeczypospolitej Polskiej

– Znowu zastanawiamy się nad sprawami trzeciorzędnymi. Jakby ktoś był zainteresowany tym, żeby TK nie funkcjonował.

Żeby było jasne, złożyłem urząd sędziego.

Zaspokójmy ciekawość socialmediowego Lewiatana: dlaczego nie od razu, tylko po czasie?

– Bo sytuacja związana m.in. ze ślubowaniem była mocno dynamiczna. Kwestia dotyczyła też niejednoznacznej interpretacji przepisów, co podnoszą konstytucjoniści.

To co, złożył Pan poprzednie stanowisko wbrew swoim przekonaniom i prawnemu obowiązкови w swoim najlepszym rozumieniu?

– Przecież nie jestem dopuszczony do pełnienia urzędu w Trybunale Konstytucyjnym. Ale po uchwale Sejmu wziąłem urlop, żeby nie nakładać na siebie dwóch funkcji. Podobnie od razu zrzekłem się funkcji w Komisji Kodyfikacyjnej, Krajowej Szkole Sądownictwa i Prokuratury. Dlatego pytam krytyków: o czym my mówimy?

Myszę, że w tak zwanych normalnych czasach, jeżeli takowe były, byśmy o tym dyskutowali dopiero wtedy, gdyby zaczął Pan pracę jako sędzia w TK, a nie zrezygnował z poprzedniej.

– No właśnie! O to chodzi, aby dwa systemy nie nałożyły się na siebie, gdzie jako sędzia sądu powszechnego podlegam ustawie i konstytucji, a z drugiej strony jako sędzia konstytucyjny podlegam tylko konstytucji.

I w normalnej, jak Pan mówi sytuacji, kilka godzin po wyborze złożyłbym ślubowanie, oświadczenie majątkowe i zrezygnował z poprzednich funkcji.

Jednak sytuacja jest daleka od normalności. Dla pełnej transparentności, żeby uciąć wszelkie dyskusje, w poniedziałek 13 kwietnia złożyłem na ręce ministra sprawiedliwości oświadczenie o rezygnacji z urzędu sędziego w sądzie okręgowym w Katowicach.

Żałuje Pan?

– Nie. Choć niedawno rozmawiałem z wybitnym sędzią Naczelnego Sądu Administracyjnego, który mówił, że on by się nigdy nie zrzekł do czasu rzeczywistego rozpoczęcia pracy. Również konstytucjoniści mówią, że trzeba się zastanowić, czy objęcie urzędu, o którym mowa, powinno się łączyć z możliwością rozpoczęcia orzekania.

Sędzia Korwin-Piotrowska mówi, że nie musi się zrzekać, bo to dzieje się automatycznie.

– Różne są argumenty. Ja się zrzekłem, ona powiedziała, że utraciła z mocy prawa swój urząd.

• – **Czuję się, jakbyśmy dziś podnosili tę deptaną przez lata Konstytucję RP z ziemi – mówi sędzia Markiewicz**

*Krystian Markiewicz

• rocznik 76, doktor habilitowany nauk prawnych, profesor Uniwersytetu Śląskiego, cywilista, w latach 2016–2025 prezes Stowarzyszenia Sędziów Polskich „Iustitia”. W tym roku wybrany na sędziego Trybunału Konstytucyjnego, był jednym z czterech, od których prezydent Karol Nawrocki nie odebrał ślubowania. Za rządów Zjednoczonej Prawicy organizował protesty „dobrej zmiany” w polskich sądach, szykanowany dyscyplinarnie i w ramach afery hejterskiej. Autor ponad 50 publikacji naukowych (postępowanie cywilne, prawo cywilne i ustrojowe).

Po wygranych ostatnich wyborach wielu demokratycznych prawników postulowało, aby Sejm w pierwszych dniach urzędowania przyjął dwie uchwały de facto rozwiązujące neo-KRS i TK.

W tamtej sytuacji politycznej, na fali zwycięstwa 15 października 2023 roku, to mogło się udać. Ale tych kategorię uchwał nigdy nie było.

– Być może jakieś racje stały, aby stabilne funkcjonowanie organów było ważniejsze niż to, czy są one legalne. Był za to uprzejmy apel, aby sami zrezygnowali.

Jednak osoby demontujące państwo prawa nie były tak uprzejme.

– I za te uprzejmości, państwo i my wszyscy płacimy dziś wysoką cenę. Mamy KRS, która nie funkcjonuje, zapaść w sądownictwie, bo brakuje tysięcy etatów. Więc jeśli ktoś ma przeciągający się proces, nie dostaje rozstrzygnięcia tak szybko, jak powinien, niech podziękuję politykom i tym, którzy ten system niszczyli, nie patrząc jednocześnie na to, że wyracają do góry nogami codzienną pracę sądów. W których po prostu, jak i w szpitalach czy innych sektorach, nie ma dziś wystarczającej liczby ludzi, żeby obsługiwać sprawy obywateli tak szybko, jak tego wymagają.

Trybunały Konstytucyjne wymyślono po II wojnie światowej, aby siła polityczna nie zdominowała podstawowych praw i wolności. I teraz jest pytanie, jak długo państwo może funkcjonować bez tej ochrony konstytucyjnej?

Wszyscy pamiętamy uliczne protesty o prawa kobiet, to wiązało się z działalnością TK. Tak jak i dziesiątki innych, zwykłych, codziennych ludzkich spraw np. utraty prawa jazdy.

Nie stać nas na komfort tego, aby w jednej z najważniejszych gospodarek na świecie nie było sądownictwa konstytucyjnego.

Kto zaprzepścił szansę na przełomie 2023 i 2024? Sejm? Premier? Minister Sprawiedliwości?

– Myszę, że lekcja jest bardzo prosta. W życiu trzeba działać. Nic samo się nie dzieje i trzeba być odważnym i konsekwentnym w dochodzeniu praw.

Demokraci nie skorzystali z okazji, aby być odważnymi?

– W moim przekonaniu zabrakło determinacji, aby realizować to, co zostało już stwierdzone wyrokami sądów i trybunałów. Dziś istotne jest, żeby wróciło państwo prawa. Aby działały sądy, które ostatecznie pewne rzeczy rozstrzygają. Aby Polska przestrzegala orzeczeń sądów działających w ramach Unii czy Rady Europy.

Jeżeli w pewnym momencie Trybunał stwierdza, że jakiś organ u nas nie spełnia podstawowych wymagań, albo że ktoś nie został wybrany tak, jak trzeba, to się zastanawiam, jak to jest, że tamten Trybunał mówi, że ktoś nie może wydawać wyroków, a z drugiej strony ta osoba jednak wydaje wyroki i państwo je wykonuje. Mam dysonans poznawczy.

Skoro ja mam takie trudności, to dlaczego się później dziwimy, że ludzie rozkładają ręce? Oni rozumieją jeszcze mniej, są w jeszcze większym kłopotcie niż my, którzy znamy wszystkie orzeczenia, analizy. To nie buduje prestiżu i autorytetu państwa.

To po prostu demoluje państwo.

Gdzie dzisiaj byśmy byli, gdyby wtedy, jak mówi Pan, nie zabrakło nam odwagi i determinacji.

– To są już spekulacje. Ale wyobraźmy sobie na chwilę, że legalna KRS funkcjonuje od dwóch lat, mamy te tysiące etatów już obsadzonych, że nie mówi się neo-sędziach, bo problem już rozwiązany.

Ale może już w maju tego roku zacznie działać odnowiona i legalna KRS.

Co jednak, gdy stara nie przestanie działać? Będziemy mieli dwie KRS? Na łamach „Wyborczej” przestrzegła przed tym Ewa Ivanova.

– Wracamy do punktu, czy rzeczywiście jesteśmy w stanie przekonać społeczeństwo, że jednak coś legalne jest, a coś nie jest.

Na czym polega odpowiedzialność za funkcjonowanie państwa? Wierzę, że czas wreszcie powiedzieć, że jest tak i tak. Odpowiedzialność za państwo dotyczy każdej strony sceny politycznej i pana prezydenta, i rządu, i Sejmu, i Senatu, i nas wszystkich prawników, jeżeli chodzi o kwestie praworządnościowe – powinniśmy usiąść do stołu i powiedzieć: dalsza destabilizacja systemu wymiaru sprawiedliwości jest zła dla państwa, bo to jest jeden z głównych jego fundamentów. Umówmy się, jak to chcemy naprawić.

Wymienione osoby usiądą?

– W końcu będą musiały. Jeżeli mamy 16 milionów spraw rocznie w sądach, to oznacza, że to jest olbrzymia funkcja usługowa wobec społeczeństwa. Trzeba założyć, że statystycznie każdy, od jednodniowego noworodka do stuletniego seniora, jest raz w roku w sądzie. To jest taka skala. Sprawiedliwość dotyczy nas wszystkich. I to nie jest zabawa. Wymagajmy czegoś od establishmentu politycznego.

Podczas mojego wysłuchania publicznie mówiłem do posłów PiS-u: no to zgódźmy się co do pewnych rzeczy, co proponujecie? Chcemy, aby funkcjonował Trybunał Konstytucyjny i nie był już areną politycznej i prawniczej wojny, no to zróbmy to. I o tym dyskutujemy, jak do tego doprowadzić. I to jest sprawa pierwszorzędna.

A my jesteśmy na poziomie dyskusji, czy farba, którą pomalowano magazyn miał wszystkie atesty. Tymczasem przed magazynem tłum skanduje: Nie ma chleba! Nie ma chleba!

Czy będzie pan orzekał kiedykolwiek w Trybunale?

– Oczywiście, że tak.

Kiedy?

– Jak najszybciej, mam nadzieję. Mam na pewno nie mniejsze prawo orzekać w TK niż Bogdan Świączkowski.

Pójdzie pan na kompromisy ze Świączkowskim?

– Nie przyszedłem pracować w prywatnym sądzie Bogdana Świączkowskiego, tylko w Trybunale Konstytucyjnym Rzeczypospolitej Polskiej. I żadna z osób, które zasiadają w TK, nie ma prawa zabronić mi orzekania.

Nie będę siedział na fotelikach w okolicach wejścia do Trybunału Konstytucyjnego popijając wodę mineralną – także dlatego, że dziś marnowanie mojego czasu jest marnowaniem zasobu podatników.

Jak i kiedy doprowadzi pan do tego, że będziesz orzekał w TK?

– Lubię mówić o rzeczach, które się dokonują, nie będę więc zapowiadał, kiedy to się wydarzy.

Jestem prawnikiem, sędzią Trybunału Konstytucyjnego, zgodnie z prawem zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wykonać mój obowiązek, który nałożyło na mnie państwo polskie.

Mam dwudziestoparoletnie doświadczenie prawnicze, naukowe, sędziowskie. Teraz mogę oddać państwu wszystko, co mam w głowie, po to, żeby chronić prawa i wolności ludzi. I to zrobię.

Trzymacie się państwo razem w szóstkę, czy raczej we czwórkę w gronie nowych sędziów TK? Czy razem rozważacie różne strategie i taktykę?

– Cała szóстка jest solidarna. Dwoje z nas, którzy ślubowali u prezydenta, powtórzyło ślubowanie z pozostałymi w Sejmie.

Co zrobi pan, jeżeli przez najbliższy rok nie zostanie ani razu powołany do orzekania?

– Nie zakładam takiej sytuacji.

A z czego będzie Pan żył, jak nie będzie dostawał pensji, bo Bogdan Świączkowski jej nie wypłaci?

– Jestem pracownikiem naukowym, będę też pisał różne rzeczy jako sędzia Trybunału Konstytucyjnego. Nie szkodzi, że zarobię mniej, wiedziałem na co się piszę.

Tylko połowa z was wyklada na uczelniach, prawda? Co będzie z pozostałymi?

– Trudno mi powiedzieć. Rzeczywiście mogą znaleźć się w bardzo trudnej sytuacji życiowej.

Rozmawiacie ze sobą o tym?

– Na razie nie, choć to ważne. Każdy, przyjmując wybór Sejmu miał świadomość, co może nas spotkać, np. że prezydent – bezprawnie – ominie niektóre osoby.

Zastanawiam się, jaki jest wasz pomysł na siebie, co będziecie robić przez ten czas. Poza tym, że niektórym może zabraknąć do pierwszego.

– Na pewno użyjemy wszystkich możliwych narzędzi prawnych, które są w każdej dziedzinie prawa. Jesteśmy niezłymi prawnikami. Może wniesiemy do sądu pracy o zasądzenie wynagrodzenia, podejmiemy też inne kroki prawne.

Taki proces w Warszawie z odwołaniami zakończy się za sześć, a może więcej lat. I to pod warunkiem, że nie traficie na neo-sędziego. Kiepska perspektywa.

– Można złożyć wnioski o zabezpieczenie, teoretycznie powinny być rozpatrzone w tydzień. Poza tym, powiem to niemal wprost, majestat państwa prawa nie może ustąpić przed bezprawiem.

Dlatego złożyliśmy w nietypowy sposób ślubowania, bo wcześniej trzykrotnie apelowaliśmy do prezydenta w formie pisemnej, aby nas przyjął.

Dzień po dniu staramy się obejmować swój urząd, składamy różne pisma.

I co to wam da?

– Doświadczenie prawnicze uczy, że każde pismo ma znaczenie. Nie składamy tych pism, aby je składać.

Obawiam się, że będą one miały większe znaczenie, powiedzmy, z punktu widzenia historycznego niż skutecznie tu i teraz coś zmienia. Tamci państwo żyją w innej rzeczywistości niż wy i my.

– Gdybym tak myślał, gdyby z takim defetyzmem do sprawy podchodziły tysiące innych sędziów czy obywateli, nie byłibyśmy dziś w Polsce w miejscu, w którym jesteśmy. Mam zupełnie inne zdanie. I wiem, co mówię. To nie może być tak, że ktoś mówi nie, bo nie. Weźmy np. obowiązki pracownicze, one są gwarantowane autorytetem państwa. To różne wykroczenia i przestępstwa pracownicze, skarbowe itd. Niektóre działania mogą być zakwalifikowane jako utrudnianie funkcjonowania organów władzy publicznej. Bo my występujemy w roli sędziów Trybunału Konstytucyjnego.

Nie uzurpuję sobie odgrywania roli innych władz państwowych, które mogą działać. Siła autorytetu państwa powinna zapewnić to, żebyśmy się nie musieli nad tym zastanawiać. To moja odpowiedź na pytanie, czy wiem, ile trwają procesy sądowe. Jasne, że wiem, bo jeszcze parę tygodni temu pracowałem w sądzie powszechnym.

Dla dobra interesu publicznego, to trzeba cały czas podkreślać, państwo musi działać sprawnie.

Boję się, że przez ostatnie lata, już za rządu demokratów, wielu ludzi przestało odczuwać, że tak jest. Pan mówi, że jest sędzią Trybunału Konstytucyjnego. Świączkow-

ski powie, że nie. Może rzeczywiście nie ma jednej, obiektywnej rzeczywistości, tylko tyle, ilu jest obserwatorów?

– Tak podchodząc do życia możemy zapomnieć o funkcjonowaniu państwa, a prawo zostawmy gdzieś na boku, porzućmy sądy i żyjmy z tym ludowym podejściem do wszystkiego. Wtedy jakieś inne jednostki przyjdą i na oko będą mówiły, co dobre, a co nie.

Jestem profesorem prawa, cenionym w Polsce i za granicą, z dorobkiem naukowym i orzecznictwem, napisałem parę specjalistycznych książek. Co mam odpowiedzieć na to, że pan był prokurator Świączkowski uważa, że nie jestem sędzią TK? Do tego zastrasza sędziów Trybunału, którzy złożyli zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa w związku z niedopuszczeniem nas do orzekania w TK. Nie dajmy się zwariować.

We mnie jest złość, że 2,5 roku temu i później demokraci nie słuchali pana ostrzeżeń. Choć bardzo wtedy pan krzyczał.

– Tak było.

**Trzeba założyć,
że statystycznie każdy,
od jednodniowego noworodka
do stuletniego seniora,
jest raz w roku w sądzie**

A teraz jesteśmy w sytuacji, którą przepowiadał. Trzy lata przywracania praworządności poszły z wiatrem.

– No właśnie. Dlatego z taką determinacją mówię, że na boisku nie ma trzeciej połowy meczu. Czas się przebudzić. Jeśli nie wyciągniemy wniosków i zabraknie nam determinacji, to gangrena bezprawia będzie się rozwijać. Polska będzie przypominać wielkie miasto, z którego miesiącami, a może latami nie wywozi się śmieci.

Wejdziecie z policją na al. Szucha? Chyba nie ma takiej siły, aby przymusić Bogdan Świączkowskiego, żeby was zatrudnił.

– Nie chcę odpowiadać na tak postawione pytanie. Nie jestem politykiem, nie mam swojej policji. Policję ma państwo, które ja mam kontrolować. Jeśli państwo chce, aby Trybunał Konstytucyjny był zdrowy, to niech się nad tym zastanowi, jakie ma przepisy w Konstytucji, w ustawach i niech działa. Są np. możliwości różnych postępowań immunitetowych i dyscyplinarnych. Zresztą karne już się toczy.

Dawno mówiłem, doprowadzamy w Polsce do bezkarności niektórych prawników. Balem się sytuacji, która właśnie nadeszła. Że sędzia czy prokurator będzie jechał po pijaku, a system zadziała w ten sposób, że nie można mu zrobić nic.

Co powiedziałby Pan premierowi i ministrowi Żurkowi, gdyby Pan ich teraz spotkał? Co powinni zrobić?

– Do wszystkich apeluję za każdym razem, żeby nie tracili żadnego dnia. Bo za tydzień, miesiąc, czy rok, nie będzie łatwiej.

Może być za to gorzej.

– Roboty tyle samo, co kiedyś, ale czasu trzy razy mniej. Gdy pojedę do moich Działoszyń, spotkam się z panem Staszkiem. On zawsze pyta o trzy rzeczy, które zostały już zrobione. Chciałbym mu odpowiedzieć pozytywnie na to pytanie.

Co Pan odpowie?

– Jak przyjadę następnym razem, to mu powiem, że pierwszą rzeczą, która się udała, jest Trybunał Konstytucyjny. Drugą Krajowa Rada Sądownictwa, a następne będą chwilę później.

I powiem mu, że o jego dzieci i wnuki za dbają polskie sądy, Trybunał Konstytucyjny i że nie musi się już o nie bać.

W Święta nie śmiał się z pańskich wysiłków?

– To jedna z najmniejszych miejscowości w Polsce. Tamtejsi ludzie potrafią docenić wykonaną robotę, to że traktuje się ich poważnie, że ktoś podejmuje wysiłek ponad kolorami politycznymi. Większość widzi sytuację kuziołalną jak np. podczas posiedzenia Trybunału Konstytucyjnego 16 kwietnia. Dlaczego państwu z obecnej neo-KRS dopiero teraz zaczęły przeszkadzać przepisy, choć wcześniej na ich podstawie zostali wybrani dwa razy? To jest bardzo czytelne.

Sędziowie dostrzegli, że przeprowadzone 20 kwietnia 2026 r. wybory przedstawicieli sędziowskiego środowiska do Krajowej Rady Sądownictwa były po raz pierwszy w historii, że to było prawdziwe święto demokracji dla sędziów.

W połowie maja kończy się kadencja KRS-u. Mam nadzieję, że za kilka tygodni będę w Trybunale Konstytucyjnym.

Ale jak już rozmawialiśmy, możliwe będą dwa trybunały. Pierwszy legalny, taki mały wewnątrz tego oficjalnego, ale nieuznawany przezeń, cokolwiek by to znaczyło. I dwie KRS.

– Wie Pan, jednak nie jestem kosiarem umysłów. Nie wejść komuś do głowy, by się dowiedzieć, czy i co będzie uznawał.

Jeżeli komuś kadencja wygasła, to wygasła. Jeżeli kończy się kadencja KRS-u, to się kończy, zaczyna się nowa. Jeśli kończy się kadencja parlamentu, to się zaczyna nowa. Bo w innym razie, marszałek Sejmu po następnych wyborach parlamentarnych powie; wiecie państwo, musimy przeprowadzić kolejne wybory. Albo że dokonał analizy i uważa, że 200 posłów to jednak nie są posłowie.

I nie odbierze ich ślubowania.

– On po prostu wpuści ich na salę plenarną i powie, że coś tam uważa. Tak właśnie tracimy państwo. Powtórzmy: państwo to rodzaj umowy. Określa ją konstytucja. I pewne osoby nie mogą robić pewnych rzeczy. A my nie powinniśmy wchodzić w niepotrzebną dyskusję, tylko reagować na złe rzeczy dla państwa.

Nie będzie dwóch Krajowych Rad Sądownictwa, zobaczy Pan.

A jak obecna nie będzie chciała wyjść albo założyć KRS na uchodźstwie?

– Nie moja sprawa. To decyzja ministra sprawiedliwości, prokuratora generalnego. Mam nadzieję, że na sam koniec swojej kadencji osoby z neo-KRS będą w stanie zachować się godnie.

Bo w przeciwnym razie...

– To tak, jakby ktoś ogłosił, że zakłada z kumplami sąd i będzie wydawał wyroki. Pytanie, czy w państwie znajdzie się siła, która zacznie ich przestrzegać.

W prawie karnym podawanie się za organ, gdy się nie sprawuje danej funkcji, jest karalne.

Może trzeba będzie wdrożyć zastępcze formuły, inne niż proces nominacyjny, przy obsłudze prezydenta. W Hiszpanii było podobnie. Poradzili sobie, my też damy radę. ●

Wyjaśnienie

• W nawiązaniu do artykułu pt.: „Fejki po faktach” („Magazyn Wyborczej” 21.03.2026) wyjaśniamy, że senator Grzegorz Bierecki nie był prezesem upadłej parbankowej sieci SKOK. Grzegorz Bierecki w przeszłości pełnił funkcję Prezesa Zarządu Kasy Krajowej, nie zaś „sieci SKOK”. Kasa Krajowa, ani poszczególne SKOKI – nie są instytucjami parbankowymi.

DRODZY RODACY

„To prywatna organizacja, która nie musi się przed nikim tłumaczyć”.
Co się dzieje z dziesiątkami milionów dotacji dla Polonii?



FOT. PAPIL ESZEK SZYMAŃSKI

• Parada Pułaskiego w Nowym Jorku to jedna z największych imprez polonijnych w USA, odbywa się z okazji amerykańskiego Dnia Pamięci o Kazimierzu Pułaskim (Nowy Jork, 1.10.2023)

Arkadiusz Gruszczyński

Ozy Polska ma pełną kontrolę nad pieniędzmi, jakie płyną z Warszawy do organizacji polonijnych działających na całym świecie?

– Śmiało możemy mówić o czymś, co przypomina Fundusz Sprawiedliwości, który my nazywamy Funduszem Polonijnym – slysze od jednego z założycieli stowarzyszenia działającego w zachodniej Europie.

– Nie możemy sprawdzić, czy organizacje polonijne wydają pieniądze zgodnie z prawem – mówią mi posłowie koalicji rządowej. – A najbardziej oburzające jest to, że największa organizacja polonijna pobiera 10-procentową prowizję od małych fundacji – slysze od tego samego polityka.

• Mój rozmówca ma na myśli Wspólnotę Polską, założoną w lutym 1990 roku, w pierwszych miesiącach wolnej Polski, przez sena-

tora i późniejszego ministra edukacji narodowej profesora Aleksandra Stelmachowskiego. Legendarny prawnik, który w latach 50. stracił pracę w sądzie, ponieważ poszedł na pielgrzymkę do Częstochowy, chciał wspierać finansowo Polonię na całym świecie.

Kolejnymi prezesami stowarzyszenia byli Maciej Płażyński, były marszałek Sejmu i jeden z „trzech tenorów”, czyli założycieli Platformy Obywatelskiej czy Longin Kołomołowski, zasłużony organizator podziemnej „Solidarności” u schyłku PRL i wicepremier w centroprawicowym rządzie Jerzego Buzka. Od 2017 roku stowarzyszeniem kieruje Dariusz Piotr Bonisławski, związany z organizacją od 2002 roku. Obecny prezes ma skromny biogram: był dyrektorem szkoły, współpracował z Salezjanami i Chrystusowcami, przez wiele lat był wiceprezesem Wspólnoty Polskiej.

Ciekawe są dwa organy stowarzyszenia. W radzie patronackiej obok biskupa polowego Wiesława Lechowicza czy księdza Stanisława Dziekońskiego, rektora UKSW w Warszawie, zasiada Jarosław Szarek. To bliski współpracownik Karola Nawrockiego

z Instytutu Pamięci Narodowej, a wcześniej prezes IPN, który zasłynął wizerunkowymi wpadkami, w tym związanymi z niesławnym projektem ustawy pozwalającej karać badaczy za mówienie o polskim udziale w Zagładzie, oraz zwolnieniami cenionych badaczy Holocaustu.

A w radzie krajowej Wspólnoty Polskiej są m.in. skarbnik Prawa i Sprawiedliwości poseł Henryk Kowalczyk oraz poseł tej partii Jarosław Krajewski.

– Wspólnota Polska za każdą władzą żyje dobrze. Kiedy rządził Kaczyński, to prezes Bonisławski fotografował się z ówczesnymi szczykami – z marszałkiem senatu, Stanisławem Karczewskim, ministrami edukacji Anną Zaleską, marszałkiem sejmu Markiem Kuchcińskim, odprowadzono msze. A kiedy rząd tworzy Tusk, to portale społecznościowe zapełniają się zdjęciami marszałek Senatu Małgorzaty Kidawę-Błońską i Władysławem Bartoszewskim, wiceministrem spraw zagranicznych – opowiada jeden z dyplomatów.

Tylko w ostatnim roku z budżetu Ministerstwa Spraw Zagranicznych stowarzyszenie otrzymało 6,5 miliona złotych dotacji, z In-

stytutu Rozwoju Języka Polskiego 23 miliony, a z Senatu 24,8 miliony, z czego część otrzymały inne organizacje polonijne, a Wspólnota Polska rozdysponowała te pieniądze.

Za rządów PiS stowarzyszenie też mogło liczyć na hojne dotacje. W 2021 r. MSZ przekazało Wspólnocie ponad 30 milionów złotych.

Obecnie stowarzyszenie prowadzi kilkadziesiąt projektów na całym świecie i w Polsce – na przykład organizuje lekcje języka polskiego za granicą czy – za 9-milionową dotacją – zlot młodzi polonijnej w Polsce, szkoli wolontariuszy polskiego pochodzenia, prowadzi również Domy Polskie, czyli swego rodzaju polonijne domy kultury, w 14 krajach.

Komentatorzy nierzadko zastanawiają się, po co podatnik dopłaca do lekcji języka, spektakli czy wakacji młodych polonusów z bogatych państw, w przeciwieństwie do ich dziadków czy pradziadków migrantów świetnie zintegrowanych z krajem urodzenia. I owszem, można się zastanawiać nad sensownością dotacji takich jak 100 tysięcy złotych dla Zespołu Pieśni i Tańca Żywiec z Londynu, 125 tysięcy na konkurs recytatorski im. Adama Mickiewicza, 30 tysięcy na wzmac-

nianie pozycji Polek w Grecji czy 370 tysięcy na konkurs piosenki polonijnej w Opolu. Ale wiele z projektów ma sens – skoro w Berlinie czy Nowym Jorku są młodzi Polacy, którzy po szkole chcą się dowiedzieć czegoś o ojczyźnie swoich dziadków, to warto w nich zainvestować nie tylko z przyczyn sentymentalnych. Kto wie, kim zostaną i jak zaprocentuje rozbudzenie w nich – np. 350 tysięcy wydane na konkurs „Być Polakiem”, którego laureaci otrzymują flagę i 5-dniową wycieczkę po Polsce – sympatii i zaszczerpienie wiedzy o kraju przodków.

Ale wymyślony w latach 90. system finansowania fundacji i stowarzyszeń polonijnych wydaje się osobliwy. Te organizacje nie mogą bezpośrednio ubiegać się o pieniądze publiczne w Polsce, robią to za pomocą pośredników. Największymi operatorami polonijnych pieniędzy – a mówimy o 659 milionach złotych rocznie rozdzielanych pomiędzy setki organizacji – są: Fundacja Wolność i Demokracja związana z Michałem Dworczykiem – niesławnym z powodu afery mailowej, która odsłoniła kuchnię władzy, zaufanym premiera Mateusza Morawieckiego, zajmującym się Polakami z Kresów od harcerskiej młodości; Fundacja Pomoc Polakom na Wschodzie imienia Jana Olszewskiego, która należy do Skarbu Państwa; oraz interesujące nas Stowarzyszenie Wspólnota Polska.

Stowarzyszenia działające za granicą składają więc wnioski grantowe za pomocą operatorów z Polski. Wszystkie te organizacje pobierają 6-7 procent prowizji od każdego przyznanego grantu – obecnie, bo do tego roku stowarzyszenia musiały oddawać operatorom z Polski aż 10 procent.

Te wszystkie szczegółowe informacje są konieczne, jeśli chcemy zrozumieć, dlaczego państwo utraciło kontrolę nad pieniędzmi przekazywanymi Polonii. A mówimy o 70 milionach rocznie przekazywanych z kasy Senatu, 23 milionach z MSZ i około 40 milionach z Instytutu Rozwoju Języka Polskiego im. św. Maksymiliana Kolbego.

12 września ubiegłego roku, na prośbę MSZ, utajniono część posiedzenia sejmowej komisji łączności z Polakami za granicą. Omawiano na niej budowany przez stowarzyszenie Wspólnota Polska Dom Polski we Lwowie. Inwestycja prowadzona od połowy poprzedniej dekady utknęła, mieszkalców Lwowa straszy regularnie zalewany deszczem i śniegiem szkieletor.

Dzieje Domu Polskiego we Lwowie sięgają 1991 roku. W momencie odzyskania przez Ukrainę niepodległości, środowiska polonijne zamierzały zdobyć własną nieruchomość, w której mogłyby prowadzić działalność edukacyjną i kulturalną. Dopiero w 2013 roku rada miejska przekazała Polonii plac przy ulicy Szewczenki. Dwa lata później MSZ podjął decyzję o sfinansowaniu inwestycji. W piątek 6 listopada 2015 roku uroczystie wmurowano kamień węgielny.

Lwowski Dom Polski miał mieć salę widowiskową na 500 miejsc z profesjonalną sceną oraz salami konferencyjnymi. Jednak już w 2017 roku wstrzymano prace na działce, a Wspólnota Polska stwierdziła, że początkowy budżet w wysokości 17 milionów złotych jest za mały. Polska ostatecznie miała przekazać 34 miliony na lwowską inwestycję. Jak czytamy w raporcie Izby Administracji Skarbowej w Krakowie, która zbadała sprawę, „zaplanowano zwiększenie kosztów, by wprowadzić do inwestycji takie elementy, które pozwoliłyby obiektowi funkcjonować niezależnie, biznesowo”.

Mówiąc po ludzku: Stowarzyszenie Wspólnota Polska zmieniła projekt Domu Polskiego. Miał stać się również hotelem z 49 pokojami.

Wspólnota Polska miała otworzyć Dom Polski w 2020 roku. Budowa trwa do dzisiaj, 13 lat od przekazania działki przez stronę ukraińską. Dwa lata temu sprawą zainteresowało się Centralne Biuro Antykorupcyj-



• Budowa Domu Polskiego we Lwowie trwa już ponad dekadę. MSZ od 2020 r. do 2024 r. przekazywał pieniądze na utrzymanie wstrzymanej budowy. Teraz chce je odzyskać

FOT. PAP/DAREK DELMANOWICZ



• Dom Kultury Polskiej w Wilnie rozbudowano dzięki dotacji z budżetu państwa m.in. po to, żeby powstało w nim studio telewizyjne oraz hotel i restauracja

FOT. PAP/WOJCIECH PACEWICZ

ne oraz Izba Administracji Skarbowej, której końcowy raport udało nam się zdobyć.

Kontrolerzy zadają dwa pytania: czy budowa Domu Polskiego we Lwowie miała charakter inwestycji publicznej i dlaczego MSZ nie otrzymał informacji od Stowarzyszenia, że budowa nie jest kontynuowana.

Resort twierdzi, że żadne dokumenty związane ze wstrzymaniem prac budowlanych nie wpłynęły do ministerstwa, bo budowa Domu Polskiego nie miała publicznego charakteru, a pieniądze dla Stowarzyszenia zostały wypłacone i rozliczone w formule konkursowej. To stanowisko – zdaniem audytorów – „nie może zostać uznane za trafne”, ponieważ państwo polskie de facto zleciło organizacji poza-

rządowej prowadzenie inwestycji za pieniądze publiczne.

Przełożymy to na zrozumiały język: państwo miało przekazać 34 miliony złotych na inwestycję we Lwowie i nie miało żadnej kontroli nad tym, co dzieje się w Ukrainie.

MSZ od 2020 roku co roku aż do 2024 roku przekazywał pieniądze na utrzymanie wstrzymanej budowy. Resort kierowany przez Radosława Sikorskiego chce odzyskać pieniądze, ale ostateczną decyzję – czy skierować sprawę do sądu, czy zawrzeć ugodę ze stowarzyszeniem – minister podejmie po „analizie celowości kontynuowania inwestycji”, jak przekazuje mi w urzędowej nowomowie rzecznik resortu spraw zagranicznych Maciej Wewiór.

Nieoficjalnie w sejmowych korytarzach słyszę od polityków koalicji rządzącej, że sprawa jest bulwersująca. – Wydano miliony na budowę domu polonijnego, nikt nie miał nad tym kontroli, a Wspólnota Polska nadal dostaje od nas dotacje! – mówi wyraźnie wzburzony polityk Koalicji Obywatelskiej.

A jak sprawę komentuje Wspólnota Polska? – Nie bez znaczenia dla realizacji projektu jest pełnoskalowa wojna spowodowana atakiem Rosji na Ukrainę, a wcześniej pandemia – przekazuje mi Iwona Więckowska ze stowarzyszenia. I przypomina, że „inwestycja została wstrzymana w 2020 roku. Od 2020 do 2024 roku ze środków MSZ finansowane było zabezpieczenie placu budowy, w tym ochronę i ubezpieczenie”.

Wspólnota Polska nie wspomina jednak, że kłopoty na budowie zaczęły się na trzy lata przed pandemią i na pięć lat przed wybuchem wojny.

Ale to nie koniec inwestycji prowadzonych przez Wspólnotę Polską z budżetu państwa.

Stowarzyszenie Wspólnota Polska, MSZ, przedstawiciele rządu Mateusza Morawieckiego, Telewizji Polskiej, wówczas kierowanej przez Jacka Kurskiego oraz Fundacji Do-

broczności i Pomocy Dom Kultury Polskiej w Wilnie 17 września 2020 roku podpisali „List intencyjny w sprawie rozbudowy Domu Kultury Polskiej w Wilnie i powstania studia TVP Wilno”. Stowarzyszenie chciało zbudować w Wilnie studio telewizyjne, dodatkowe pokoje hotelowe, salę konferencyjną, restaurację, salę widowiskową i parking. Koszt? 71,7 miliona złotych. W dokumentach Izby Administracji Skarbowej, które ma redakcja, czarno na białym napisano, że „budowa studia telewizyjnego w Wilnie nie mieści się w sferze zadań publicznych polegających na pomocy Polonii i Polakom za granicą”. Stowarzyszenie za pieniądze publiczne rozbudowało hotel i restaurację działające przy Domu Kultury Polskiej w Wilnie.

Oglądalność TVP Wilno jest nieznaną, władze telewizji publicznej planują redukcję programów tworzonych w Litwie, a na początku marca publiczny nadawca podjął decyzję o odebraniu stacji autonomii. TVP Wilno włączono do Ośrodka Mediów dla Zagranicy.

Oddajmy głos stowarzyszeniu. – Rozbudowa Domu Kultury Polskiej w Wilnie ukończona i uroczystie otwarta przez premierów Polski i Litwy w 2023 roku pozwoliła na funkcjonowanie studia telewizyjnego TVP Wilno. Inicjatywy potrzebnej w prowadzeniu polityki informacyjnej i kulturalnej i wyczekiwanej przez polską społeczność na Litwie – wspomina Iwona Więckowska. Według niej Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” nigdy nie czerpało i nie czerpie żadnych przychodów z funkcjonowania Domu Kultury Polskiej w Wilnie.

Kontrowersje budzi również działalność Wspólnoty Polskiej w ramach systemu przyznawania dotacji organizacjom polonijnym. Przypomnijmy: Wspólnota Polska jest jednym z operatorów, za pośrednictwem których stowarzyszenie i fundacje działające poza krajem mogą ubiegać się o pieniądze z budżetu państwa.

Jedną z belgijskich organizacji oskarża Wspólnota Polska o kradzież projektu.

– W 2024 roku złożyliśmy do Fundacji Stowarzyszenia Wspólnota Polska projekt „Sztabki uczą Wolontariatu” który zakładał szkolenia wolontariuszy polonijnych w Belgii. W marcu 2024 roku Wspólnota Polska ogłosiła nabór do konkursu zorganizowanego przez Senat RP. Wysłałem wniosek w drugi dzień świąt wielkanocnych, co potwierdził mail zwrotny z generatora projektów Wspólnoty Polskiej. Ta miała 8 dni na opracowanie naszego projektu i wysłanie go do Senatu albo poinformowanie nas o braku jego procedowania. Nie zrobiła tego, a po czasie okazało się, że złożyła go jako swój własny, w drugim, wydłużonym terminie – opowiada „Wyborczej” Jacek Waldhaus z Help Centre Belgium – Sztabki ASBL, czyli organizacji polonijnej zajmującej się pomocą humanitarną i promocją kultury polskiej.

Waldhaus twierdzi, że Wspólnota Polska przepisała projekt – którego charakter przy okazji pokazuje sensowność prowadzenia obecnie, w demokratycznej Europie bez granic, polityki polonijnej, gdyż chodzi o uczenie młodych ludzi adaptacji w sytuacjach kryzysowych, od pomocy rówieśnikom, przez wyjazd do miejsca katastrofy po pracę w szpitalu – zmieniając jedynie formułę na szkolenia online i zmniejszając liczbę godzin. – W czerwcu pojawiły się wyniki konkursu senackiego, a wśród nagrodzonych projektów znalazł się ten związany ze szkoleniem wolontariuszy. Zapytałem Wspólnotę Polską, czy chodzi o nasz program. Nigdy nie uzyskałem odpowiedzi.

Belgijska organizacja napisała więc do Senatu, następnie doszło do spotkania z Małgorzatą Kidawą-Błońską, marszałkinią izby wyższej. – Pani marszałek pogratulowała nam uzyskania finansowania na ten projekt. Przez kolejne trzy tygodnie próbowaliśmy uzyskać informacje ze Wspólnoty Polskiej za pośrednictwem maili, aby w końcu pojawić się w siedzibie Stowarzyszenia – opowiada Waldhaus.

Osoby pracujące w organizacjach polonijnych mówią, że system finansowania Polonii nie działa. Wymieniają jego główne wady:

- rozproszenie konkursów grantowych w dziewięciu instytucjach, od Senatu przez MSZ i resort edukacji po IPN;
- brak kontroli państwa nad środkami;
- pobieranie prowizji przez operatorów będących prywatnymi organizacjami;
- sposób przyznawania dotacji poprzez pośredników

– Niestety odmówiono nam spotkań z kimkolwiek, pomimo obecności w budynku zarządu organizacji. Telefonicznie od koordynator-ki uzyskaliśmy informacje, że projekt nie trafi do naszej organizacji. Wróciliśmy do Senatu, tam spotykamy senatora Roberta Tyszkiewicza z komisji łączności z Polakami za granicą, opowiadamy o przywłaszczeniu naszego projektu przez Wspólnotę Polską, a ten nam mówi tak: wiemy, że oni kradną, ale nic z tym nie możemy zrobić.

Robert Tyszkiewicz – w PO od samego początku, od lat jako poseł zajmuje się dyplomacją i wspomaga Polonię, zwłaszcza białoruską, dziś jest doradcą marszałkini senatu do spraw Polonii – dementuje wersję belgijsko-polskiego działacza. – Absolutnie zaprzeczam. To jest zwykła insynuacja, nie pierwsza w wykonaniu tej osoby. Każda z organizacji jest kontrolowana przez państwo – przekazuje mi senator.

Belgijska organizacja wysłała skargi do Senatu, Ministerstwa Sprawiedliwości, Najwyższej Izby Kontroli, a także prośbę o interwencję poselską do kilku posłów. Pytam, dlaczego nie zgłoszono sprawy do prokuratury. – Nie mieliśmy żadnych podstaw, ponieważ Wspólnota Polska nie złamała prawa. To prywatna organizacja, która nie musi się przed nikim tłumaczyć. Wydawało nam się, że Senat powinien mieć narzędzia prawne, które umożliwiłyby mu kontrolę działaniami takich organizacji. W oficjalnych odpowiedziach przeczytaliśmy, że Senat ani MSZ nie ma do tego prawa – mówi Waldhaus.

We wrześniu 2024 roku organizacja reprezentowana przez Waldhausia złożyła oficjalne wnioski do NIK-u o skontrolowanie Wspólnoty Polskiej, co potwierdza mi rzecznik Izby. – Stowarzyszenie będzie jedną z jednostek kontrolowanych w ramach kontroli. W ramach czynności kontrolerzy sprawdzają, czy środki publiczne na realizację zadań w zakresie wspierania Polonii i Polaków za granicą były udzielane i rozliczane prawidłowo oraz wykorzystywane gospodarnie, efektywnie i skutecznie – przekazuje mi Bartłomiej Pograniczny.

To nie koniec. – We wrześniu 2023 roku siostrzana organizacja Help Brigade ASBL złożyła inny projekt, na renowację dachu Centrum Wszechświata w Brukseli, w ramach konkursu Ministerstwa Spraw Zagranicznych „Infrastruktura Polonijna 2024 i 2025” za 240 tysięcy złotych. Dostaliśmy informację ze Wspólnoty Polskiej, że wniosek nie będzie procedowany ze względu

Dotacje na polonijne wspólnoty i projekty

6,5 mln zł

• dostała w 2025 r. od MSZ Wspólnota Polska. 23 mln zł dostała z Instytutu Rozwoju Języka Polskiego

659 mln zł

• rocznie dostają w sumie od państwa organizacje i projekty polonijne

6-7 proc.

• prowizji pobierają od każdego przyznanego grantu trzej operatorzy systemu finansowania Polonii – Fundacja Wolność i Demokracja, Fundacja Pomoc Polakom na Wschodzie im. Jana Olszewskiego oraz Stowarzyszenie Wspólnota Polska

34 mln zł

• wygospodarowało państwo na Dom Polski we Lwowie, w budowie od 11 lat

dów technicznych. Zapytaliśmy w mailu, co oznaczają te względy, poproszono nas dwukrotnie „o telefon”. Finalnie koordynator SWP oddzwonił z informacjami – opowiada Jacek Waldhaus.

W trakcie rozmowy telefonicznej dowiedział się, że szefostwo Wspólnoty Polskiej nie przyjęło projektu. – W dalszej rozmowie, na pytania o to, czy problem dotyczy wszystkich podmiotów polonijnych, koordynator wskazał z imienia i nazwiska osobę, której projekt zostanie złożony jako jedyny z Belgii. To pokazało coś niebezpiecznego: operator ręcznie może wykluczyć projekt, zanim zapozna się z nim eksperci wskazani przez Senat czy MSZ. To oznacza, że konkursy są na poziomie organizacji ustawiane. Politycy i urzędnicy tłumaczą, że nie mają prawa w to ingerować. Racja, ale to nadal oznacza ustawianie konkursów publicznych, o których de facto decyduje prywatna organizacja.

Więc belgijska organizacja znów składa do MSZ skargi i pyta, czy państwo polskie ma jakikolwiek wpływ w to, w jaki sposób są wydawane środki publiczne. – Opisałiśmy tę sytuację

w zawiadomieniu do NIK-u. Złożyliśmy również skargę do Komisji Europejskiej, w której opisaliśmy: wykluczenie terytorialne związane z wymogiem rejestracji organizacji w Polsce, brak efektywnego środka zaskarżenia, nieprzejrzystość i asymetrię informacyjną, sprzeczne z zasadami równego traktowania i przejrzystości. Domagamy się wszczęcia postępowania przeciwko Polsce – kończy Jacek Waldhaus.

Wspólnota Polska odpiera oskarżenia naszego rozmówcy. – Żaden z projektów prowadzonych przez Stowarzyszenie nie zawierał założeń, które były w propozycji organizacji Help Centre Belgium – Sztabki ASBL. Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” nigdy nie przywłaszczyła sobie projektu innej organizacji – przekazuje Iwona Więckowska. Dodaje, że belgijskie stowarzyszenie zostało poinformowane o problemach organizacyjnych, które uniemożliwiły przyjęcie wniosku na sfinansowanie remontu dachu. – Jednocześnie informujemy, że za pośrednictwem Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” organizacja Help Brigade otrzymuje od kilku lat wsparcie na swoją działalność programową ze środków Senatu RP, na przykład w 2025 roku otrzymała kwotę 152 008 złotych na projekt „Polska Biblioteka w Belgii – Centrum Kultury i Tożsamości Polonijnej”.

Działacze polonijni, którzy nie chcą występować pod nazwiskami, bo „wszyscy się w tym środowisku znają”, zadają w rozmowach ze mną kilka pytań: Dlaczego Wspólnota Polska pozostaje wiarygodnym partnerem dla Senatu i MSZ, skoro za publiczne pieniądze nie potrafiła wybudować Domu Polskiego we Lwowie? Każda inna organizacja miałaby spalone mosty w instytucjach publicznych. Dlaczego organizacja, która jest poddawana krytyce podczas obrad Sejmu, może sięgać po dotacje z parlamentu?

Osoby pracujące w organizacjach polonijnych nieoficjalnie mówią, że system nie działa. Wymieniają jego główne wady:

- rozproszenie konkursów grantowych w dziewięciu instytucjach takich jak: Senat, MSZ, Ministerstwo Edukacji Narodowej, Urząd do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych czy Instytut Pamięci Narodowej,
- brak kontroli państwa nad środkami, które trafiają do Polonii,
- pobieranie prowizji przez operatorów, które są jedynymi pośrednikami między Polonią a państwem polskim,
- ale też sposób przyznawania dotacji poprzez pośredników.

Z tymi uwagami zgłaszam się do posła Marka Rząsy z KO, wiceprzewodniczącego sejmowej Komisji Łączności z Polakami za Granicą. – Jestem zwolennikiem zmiany prawa, a w konsekwencji wyeliminowania operatorów pośredniczących między państwem a Polonią. Również ze względu na pobierane prowizje, które są zbyt wysokie. Wiem, że Senat pracuje nad ich obniżeniem – odpowiada. I dodaje: – Według mnie organizacje polonijne powinny składać samodzielnie wnioski grantowe tak samo jak inne organizacje działające w Polsce. Państwo broni się przed tym rozwiązaniem, ponieważ musiałaby zatrudnić dodatkowych urzędników, którzy rozpatrywałyby te wnioski. Dzisiaj możemy mówić o pewnej wygodzie, ponieważ całą pracę wykonują wspomniani pośrednicy.

Poseł przypomina, że jeszcze w czasach rządów PiS działał Pełnomocnik Rządu do spraw Polonii. – Problemem są instytucje, które dysponują pieniędzmi. Raz rozdziela je Ministerstwo Spraw Zagranicznych, a raz Senat. Jeśli premier powołałby pełnomocnika, to pieniądze musiałyby w całości być w dyspozycji rządu, a nie parlamentu, który ma 70 milionów budżetu dla organizacji polonijnych – mówi poseł Rząsa. W takim układzie Senat i inne instytucje spoza rządu stracą fundusze polonijne.

Spółecznicy i politycy zgodnie potwierdzają, że dziś państwo zwyczajnie nie widzi, do kogo i z jakich konkursów trafiają pieniądze publiczne. – I należy to zmienić, o co apelowałem do ministra spraw zagranicznych. Radosław Sikorski w ubiegłorocznej informacji o celach polityki zagranicznej zapowiedział utworzenie grupy, która kontrolowałaby podział dotacji. Wiem, że w MSZ powstaje taka komórka. Sejm i nasza komisja chciałyby wiedzieć, czy dane stowarzyszenie składa dwa wnioski w różnych ministerstwach na ten sam projekt, co jest prawnie zakazane. Powstają fundacje, które prowadzi ta sama rodzina, choć inaczej się nazywają. Każda z nich składa wniosek na podobny projekt. Myślmy więc o systemie, który wyłapywałby podobne przypadki – mówi poseł Rząsa.

Senat przekazał, że „Biuro Polonijne Kancelarii Senatu w roku 2025 formalnie nie otrzymało skarg na działalność Stowarzyszenia »Wspólnota Polska«, które realizuje zleczone zadania publiczne w zakresie opieki na Polonią i Polakami za granicą”. A wybrane umowy dotacyjne są kontrolowane przez pracowników Senatu. ●

Kontakt do autora:

arkadiusz.gruszczynski@wyborcza.pl

REKLAMA

Kraj/34428888

CZYTAŚ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ E-BOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

www.wydawnictwoagora.pl

Wydawnictwo Agora

Normalsi

„Określenie »normalsi« – powiedział ostatnio Jarosław Kaczyński – jest tak nieprecyzyjne, że ja nie wiem, czy ja jestem »normalsem«. Kiedyś miałem kontakt z takim panem, który mówił o sobie, że jest »normalsem«, no i sądzę, żeśmy się od siebie jednak mocno różnili”.



Michał Rusinek

Podobno, kiedy poprosimy dzieci, żeby namalowały mapę świata, to jeśli mieszkają w Europie – mapy będą podobne: pośrodku Europa, po prawej Azja i dalej Australia, po lewej obie Ameryki, a nad nimi Grenlandia, u dołu Afryka.

Natomiast jeśli będą to dzieci mieszkające w Australii – pośrodku będzie Australia, a dookoła niej porozrzucane „znieszczone” pozostałe kontynenty. Europejskie dzieci uznałyby zapewne mapę narysowaną przez dzieci australijskie za „nienormalną”, a australijskie dzieci wyśmiałyby mapę dzieci europejskich.

My w centrum świata

Rysując mapę, zaczynamy bowiem od siebie i swojego miejsca zamieszkania. To miejsce jest zawsze w środku. Tam, gdzie jesteśmy – jest też normalnie i normalna jest nasza wizja świata. Wszelką inność traktujemy najpierw jako nienormalność, choć czasami w odruchu dobrej woli ją oswajamy, dostrzegając jakieś punkty wspólne lub tłumacząc ją sobie na kategorie, z którymi jesteśmy oswojeni, czyli kategorie normalne: to taki jakby dom, a tamto – jakby kościół, a to coś, to taki jakby taki nasz ślub. Do tego przydają się podróże, a przynajmniej ciekawość świata.

Normą jest to, co uznajemy za normę. Zwykle nie istnieją obiektywne przesłanki, za pomocą których możemy wyznaczyć normę. Normy są zwykle efektem pisanych lub niepisanych umów, czasami myślowej wygody czy psychologicznego komfortu. Powinniśmy mieć świadomość, że różni ludzie w różnych kulturach i częściach świata co innego będą uważali za normy. Tak więc to, co uznajemy za normalne, jest normalne dla nas i niekoniecznie musi być automatycznie normalne dla innych.

Zaczyna się od mody

Od pewnego czasu w potocznym języku funkcjonuje słowo „normals”. Słowniki podają, że oznacza ono człowieka, który – w porównaniu z innymi przedstawicielami wybranej grupy – nie odbiega stylem życia i zachowaniem od tego, co większość uznaje za społeczną normę.

Określenie to pojawiło się najpierw w tekstach dotyczących mody, gdzie oznacza człowieka, który ubiera się skromnie, w prostą odzież w stonowanych kolorach, kupowaną w tańszych sklepach. „Normals” ubiera się w stylu „normcore”. To określenie powstało natomiast dzięki połączeniu wyrazów „normal” i „hardcore”, bo wyraża ma „ekstremalną normalność”. Brzmi jak oksymoron, bo normę na naszej mapie wyobrażamy sobie pośrodku, a „extremus” to

po łacinie skrajny, czyli najdalszy, ale do oksymoronów już przywykliśmy i rozumiemy „normcore” jako styl będący jak najbliższej środka.

Polityka zawsze się wciśnie

„Normalsi” pojawili się ostatnio także w języku polityki.

W zeszłym roku poseł PiS Marcin Horała mówił w TVN 24, że w ramach jego ugrupowania pojawiają się głosy, by „nie zostawiać grzecznie miejsca w centrum Donaldowi Tuskowi i tak zwanym »normalsom«, których w Polsce jest najwięcej”.

Teraz mianem „normalsów” określają siebie członkowie założonego przez Mateusza Morawieckiego Stowarzyszenia Rozwój Plus (nazwa wyłącznie do użytku osób o nieposzlakowanej dykcji, bo wystarczy drobne przejęzyczenie i pojawiają się skojarzenia z raczej niepożądanym rozbojem) i takich „normalnych” wyborców chęć do siebie przyciągnąć.

Poseł Marek Jakubiak w Radiu Wnet powiedział, że „ci wszyscy »normalsi«, którzy nie chcą agresywnych działań, nie czują krwi w polityce, odchodzili do Hołowni 2050 lub PSL-u [...]. Oni przyciągają w ten sposób normalnych ludzi, którzy chcą zmian w Polsce, ale zmian nieniosących za sobą szablę w dłoni”. Wizja zmiany z dłonią (i bronią białą) jest dość brawurowa, ale poseł Jakubiak słynie z językowej brawury, nie powinna nam ona jednak zasłonić „normalsów”, których jakoś trzeba do siebie przekonać, żeby ich nie stracić.

Wzorzec normalności z Sèvres

Europoseł PiS Patryk Jaki w TV Republika przyznał, że „normalsi” wylamują się z szeregów partii: „Są niestety osoby, które zaczynają kwestionować decyzje pana prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Niestety ta grupa osób określa siebie mianem tak zwanych »normalsów«, a na pozostałych członków Prawa i Sprawiedliwości patrzy niestety w sposób obraźliwy dla nas. Polityka to jest gra zespołowa i osoby, które funkcjonują w partii, powinny się podporządkować w większości”.

Nie wiedzieliśmy, że można na kogoś patrzeć w sposób obraźliwy, a nie np. z odrazą (to podobnie brzmiące słowa, ale znaczą coś innego), nie chcemy tu jednak kwestionować zranionych uczuć posła Jakiego. Z wypowiedzi tej wynika, że normalność „normalsów” rozjeżdża się z normalnością pisowskiej większości: to, co jest uznawane przez „normalsów” za normalność, nie jest uznawane przez Jarosława Kaczyńskiego, uważającego siebie zapewne za wzorzec normalności z Sèvres.

A nawet – na pewno. „Określenie »normalsi« – powiedział ostatnio Kaczyński – jest tak nieprecyzyjne, że ja nie wiem, czy ja jestem »normalsem«. Kiedyś miałem ze względów medycznych kontakt z takim panem, który mówił o sobie, że jest »normalsem«, no i sądzę, żeśmy się od siebie jednak mocno różnili”.

Jak wiadomo, z osób odstających od normy, zwłaszcza psychicznej, zawsze łatwo się wyśmiewać, bo liczyć można na rechot tych, którzy się uważają za normalnych. Kaczyński mówi tu, że określenie siebie mianem „normalsa” nie wystarczy, by nim być, i sugeruje, że „normcore” normalności jest bardzo precyzyjnie wyznaczalnym na mapie świata: jej centrum znajduje się na Żoliborzu, przy ul. Mickiewicza. Pamiętajcie o tym, dzieci, kiedy będziecie rysować mapę. ●

Śródtytuły od redakcji

Niedasizm i niuansoza

Prawnicy to są tacy „Ghostbusters”, tylko na opak. Tamci zwalczali i wypędzali duchy, a prawnicy o ducha się troszczą – o ducha prawa oczywiście.



Marcin Matczak

Prawo staje się własnością ludu i chociaż to twierdzenie ma bardzo prodemokratyczne brzmienie, niczego dobrego nie zapowiada. Lud rozumie tutaj jako sporą grupę laików, którzy uznają, że prawo do stosowania prawa należy odebrać prawniczej elicie.

Ludzie ci wyrażają populistyczne przekonanie, że decyzje w sprawach wspólnych podejmuje się najlepiej przy użyciu zdrowego rozsądku i że elita prawnicza choruje na co najmniej kilka ciężkich, powodujących niepełnosprawność intelektualną chorób.

Na niedasizm, a więc mnożenie przeszkód dla oczywistego w sprawie rozwiązania. Na niuansozę, a więc rozdzielanie włosa na czworo tam, gdzie trzeba zinterpretować jedno słowo. Wreszcie na szybko postępującą mamejowość i melepetyzm ogólnoustrojowy, które wspólnie czynią przeintelektualizowanego prawnika niezdołnym do podjęcia szybkiej decyzji w sprawie, która takiej decyzji w sposób oczywisty wymaga.

Ludzie chcą prostych rozwiązań

W jakich okolicznościach się te schorzenia objawiają? Na przykład w dyskusji o sprawie kłódzkiej, przerażającej zbrodni rodzinnej, pedofilskiej i zoofilskiej jednocześnie. W tym przypadku zdemoralizowana elita nie chce przywrócić kary śmierci, choć ta w sposób oczywisty się należy.

Dłaczego nie chce? Ma oczywiście sto powodów, choćby ten, że prawo nie ukarze sprawcy z Kłodzka, bo nie działa wstecz. Jednocześnie w systemach z karą śmierci orzeka się ją błędnie wobec 4-5 proc. skazanych, co oznacza, że oprócz pozostałych 99 powodów przeciw, wprowadzenie kary śmierci z powodu zbrodni w Kłodzku spowoduje śmierć niewinnych ludzi zupełnie z nią niezwiązanych.

Weźmy ślubowanie sędziów TK „wobec” prezydenta. „Wobec” to „wobec”, na cholerę roztrząsać. A to, że interpretacja prezydencka pozwala Karolowi Nawrockiemu dowolnie decydować, kto do TK trafia, i uczynić ten organ na wieki wieków pisowski, to już nieważne.

I w sprawie kary śmierci, i w sprawie ślubowania ludzie chcą prostych rozwiązań tu i teraz, sprawy przyszłe i aspekty globalne nikt nie interesują. Trzeba by się więc poważnie zastanowić, czy my tych prawników w ogóle potrzebujemy. Jakie oni mają niby specjalne umiejętności, których zwyczajny człowiek nie ma? Po co się uczą dziewięć lat (studia i aplikacja), skoro do rozumienia prawa wystarczy umieć czytać?

Duch prawa

Dużo się nad tym ostatnio zastanawiam i wychodzi mi na to, że prawnicy to są tacy „Ghostbusters”, tylko na opak. Tamci zwalczali i wypędzali duchy, a prawnicy o ducha się troszczą – o ducha prawa oczywiście. Problem w tym, że z tym duchem jest jak z potworem z Loch Ness albo z Yeti: wielu o nim słyszało, ale mało kto widział, a na pewno nikt go na gorącym uczynku nie złapał.

Jest duch prawa postrzegany jak megaoszustwo elit. Literę prawa widać, a ducha nie do końca, i dlatego ludzie postrzegają go jak zaslonę dymną albo trik, który prawnikowi jak średniej klasy magikowi pozwala wyciągać z prawa, jak z kapelusza, coraz to nowe króliki, których według zdroworozsądkowego umysłu zwyczajnego człowieka w tym kapeluszu nigdy nie było.

Czymże jest ten *l'esprit du droit*? Posługuję się tu francuszczyzną nieprzypadkowo, gdyż jest to język najlepiej wpędzający w kompleksy. Trzeba nam się bowiem bronić przed brutalnym atakiem ludu na Bastylię naszej wiedzy i autorytetu, ryzykując oczywiście nierozpoznanie wyrafinowanej ironii.

Aby tę obronę przygotować, musimy odejść na moment od prawa. Są inne praktyki społeczne, pod jednym względem do prawa podobne. W nich też mamy elementy składowe i mamy coś, co łączy te elementy na wyższym poziomie organizacji. Na przykład w muzyce mamy nuty, w architekturze cegły, a w literaturze wyrazy i zdania. Ale muzyki nie wyczerpują dźwięki – na tym wyższym poziomie organizacji pojawiają się harmonia i forma, coś, co sprawia, że jedne ich zestawienia są na miejscu, a inne – choć poprawne technicznie – brzmią jak pomyłka. W architekturze cegły układają się nie tylko w ściany, ale w strukturę nośną i typ budynku, które decydują, czy dom prawidłowo stoi i czy da się w nim żyć. A w literaturze zdania podporządkowane są fabule i światu przedstawionemu, który rozstrzyga, co w tej opowieści jest możliwe, a co wygląda jak błąd popełniony przez skacowanego autora.

Prawo działa dokładnie tak samo, tylko konsekwencje są mniej estetyczne, a bardziej społeczne. Można zastosować przepis poprawnie, można przejść całą procedurę bezbłędnie, można mieć rację co do litery – i jednocześnie zrobić coś, co psuje całość. To właśnie nazywamy naruszeniem ducha prawa.

Abstrakcje nieatrakcyjne

I to nie jest żadna metafora, tylko zwykła cecha systemów. Złożone społeczne artefakty, jak muzyka i prawo, składają się z mikroelementów i makrostruktur funkcjonalnych, które pozwalają realizować ich zadania. W przypadku muzyki dawać satysfakcję estetyczną, w przypadku prawa realizować spójną rzeczywistość ustrojową, w której sąd konstytucyjny, aby był niezależny, musi być zbalansowany, a nie zdominowany przez jedną siłę polityczną.

Jest tego sporo: muzykalność, harmonia, układ proporcji, duch piłki nożnej i ducha prawa. To mechanizmy korygujące układ elementów w taki sposób, aby funkcja całości nie została zaprzepaszczone. I to ochrony tej funkcji uczą się przez lata prawnicy, choć nie wszyscy z sukcesem. A potem jedni słuchają symfonii, a drudzy pojedynczych nut.

W czasach umiłowania konkretnych abstrakcji są jednak wysoko nieatrakcyjne. Dlatego w naszym życiu społecznym tak dużo fałszowania i faulu, a tak mało fair play i fundamentalnych form, które kiedyś trzymały całość w ryzach. To wszystko powoduje nostalgię, która coraz częściej wydaje się mi łagodniejszą formą rozpaczki. I nastroje ironiczne.

Na przykład ostatnia uchwała Polskiego Towarzystwa Prawa Konstytucyjnego zrzeszającego najlepszych polskich konstytucjonalistów wykazała czarno na białym, dlaczego Karol Nawrocki łamie Konstytucję RP, blokując rozpoczęcie urzędowania sędziom TK wybranym przez Sejm. Mnie jednak dziwnym trafem skądś jarzyła się ona z fragmentem z „Lokomotywy” Tuwima:

„I choćby przyszło tysiąc prawników,
I każdy zjadłby tysiąc słowników,
I każdy nie wiem, jak się wyteżał,
Nie przekonają – taki to ciężar!”.

Polemika

Chcemy dzieci

Kobiety chcą od partnera stabilności emocjonalnej, życzliwości i lojalności; a od władzy, by i ta wydorowała.

Monika Płatek

Po lekturze felietonu Marcina Matczaka: „Nie chcemy mieć dzieci, bo dla innych stajemy się wówczas niewidzialni”, poczułam irytację. Matczak pisze o współczesnej kulturowej, a więc nienaturalnej, sztucznie i władczo wytworzonej izolacji matek małych dzieci i kobiet ciężarnych. Rzecz w tym, że nie tylko ją dostrzega, również ją reprodukuje.

Tytuł jest neutralny płciowo. Jakiś czas autor operuje pojęciem „osoby”. Pozornie więc dotyczy kobiet i mężczyzn i ich niechęci do posiadania dzieci. Bo? Z powodu narcystycznego rozbuchania.

Wymaga ono bycia zauważonym, dobrze płatnej, sensownej pracy i „budowania wizerunku kompetentnego »ja«”. Zajmowanie się dzieckiem ma być syzyfowym, brudnym, śmierdzącym, pozbawionym satysfakcji i płacy wyrobniactwem. W efekcie „osoba zajmująca się małym dzieckiem żyje w deficycie potwierdzenia”. Niby robi najważniejszą rzecz, kształtując nową osobę, ale podobno nie czuje tego, bo odebrany jest jej narcystyczny podziw.

Marcin Matczak wskazując, jak temu zaradzić, zdradza jednocześnie, że w istocie rzecz dotyczy kobiet. Nie należy więc, jak twierdzi, mówić kobietom, że „nie rodzą, bo dają w szyję”. Zamiast tego należy je uhonorować, poka-

zując światu tę niewidzialną pracę kobiet, „ile jest warta i ile kosztuje w walucie utraconej przez kobiety kariery i emerytury”. W tym momencie zakląłam.

Skąd w ogóle pomysł, że ludzie/kobiety w Polsce nie chcą mieć dzieci? Nie jest to prawda. Z tego, że ich nie posiadają, nie wynika, że nie chcą. Z raportu Anny Gromady, socjolożki, doradczynie ONZ i Parlamentu Europejskiego do spraw polityki społecznej wynika, że wśród osób w wieku 18-40 zaledwie 6 procent mężczyzn i 10 procent kobiet deklaruje, że na pewno chce być bezdzietna. Zdecydowana większość chce więc mieć dzieci.

W czym problem? Niekoniecznie wyłącznie w kiepskiej polityce mieszkaniowej. Także w postawie, która wybrzmiewa z felietonu o tym, że „w końcu pisanie felietonów dla »Wyborczej« i występowanie w TVN są dużo bardziej atrakcyjne niż zmiana brudnej pieluchy.” Stąd, aby kobiety zaczęły rodzić, należy je „uhonorować” felietonem o utraconych szansach, fetorze codzienności i brudnych pieluchach. Autor pomija, że to mężczyzna mógłby zmienić pieluchy, a kobieta w tym czasie napisać felieton. Umyka mu, że i mężczyzna w ten sposób zyskuje szansę na nawiązanie bliskiej więzi z dzieckiem. Jest dowiedzione, że to, co

nazywamy instynktem macierzyńskim – nie istnieje (Sarah Blaffer Hrdy, „Matki i inni”).

Więź rodzicielska, ojcowska, matczyna rodzi się, rozwija. To proces. Wymaga wspólnego z dzieckiem czasu. Jego częścią są nieprzespane noce, dziecięcy płacz, brudne pieluchy, ale i pierwszy uśmiech małego człowieka, wyciągnięte do przytulenia rączki, jego spokojny sen na dorosłym ramieniu, wzajemna czułość i bliskość. Do tego potrzeba, by być. I potrzeba móc od tego odpocząć, dzieląc tę podróż z innym, dojrzałym dorosłym. Nie trzeba kobiecie felietonów, że macierzyństwo wymaga, by o sobie zapomniała. Potrzeba pamiętać, że nie istnieje specjalny żeński gen na umiejętność zmieniania pieluch i opiekę na dzieckiem. To kwestia praktyki. Ta w równym stopniu czyni mistrzynię, co i mistrza.

Dzietność spada, gdy dla niej ma to być proces samotny, brudny i śmierdzący, a dla niego czas samorealizacji i pisania felietonów o honorowaniu utraconych przez kobietę szans. Kobiety chcą od partnera stabilności emocjonalnej, życzliwości i lojalności; a od władzy, by i ta wydorowała. Są zdolne do samodzielnych decyzji, kiedy i czy chcą urodzić dziecko. Władza ma obowiązek to zapewnić od 1996 roku w „Ustawie o planowaniu rodziny”. Wciąż się uchyla.

Ciąża, dopóki będzie przymuszaniem do roli „matki Polki” i jednoczesnym narażeniem na pogardę, odczłowieczenie, kryminal i śmierć nie musi być atrakcyjną myślą.

Anna Gromada wskazuje, że dużo dzieci jest tam, gdzie albo panuje konserwatyzm i brak równości, jak w Turcji, albo liberalizm i równość w pracy, w domu i wsparciu państwa w opiece, jak w Skandynawii. Polkom bliżej do Skandynawii. Oferta Marcina Matczaka jest konserwatywna. Nie pasuje ani u nas, ani już i w Turcji. Turczynki, pytane o wybór, podobnie jak większość kobiet na świecie, chcą najwyżej dwójki dzieci (Nicholas D. Kristof,

Sheryl WuDunn, „Half the sky. Turning oppression into opportunity for women worldwide”).

Tymczasem, w badanej przez Gromadę grupie w wieku 18-40, co czwarta osoba wychowywała się bez ojca. Śmierć była rzadkością, odejście w siną dal dominowało. W efekcie niedoświadzi się, że spadek dzietności to efekt także dojrzałego lęku samych mężczyzn przed rolą ojca z braku wzoru, którego byli pozbawieni.

Marcin Matczak to wybitny prawnik, świetny publicysta, wrażliwy na teoretyczne problemy praworządności. Czy ta ma coś wspólnego z rodzeniem dzieci? Zdecydowanie tak. Konstytucja tam, gdzie mowa o niedyskryminacji (art. 32), równości kobiet i mężczyzn (art. 33) czy sprawiedliwości społecznej (art.2) wymaga, aby polityka pronatalistyczna gwarantowała równe prawa i szanse mężczyznom i kobietom tak w życiu publicznym, jak i prywatnym. To się odnosi zarówno do miejsca dla ojca na czas z dzieckiem i zmianę pieluchy jak i do czasu dla matki na pisanie felietonu. Jak to zrobić? Wykorzystując już dostępne instrumenty prawne.

Od 1981 roku obowiązuje Konwencja ONZ w sprawie likwidacji wszelkich form dyskryminacji kobiet. Od 2015 roku Konwencja Stambulska. Od 2019 roku Dyrektywa Parlamentu Europejskiego i Rady (UE) 2019/1158 w sprawie równowagi między życiem zawodowym a prywatnym rodziców i opiekunów. Pozwalają wdrożyć praktyki, które eliminują przesady i zwyczaje sprowadzające kobiety jako gorsze do pieluch, a mężczyzn jako lepszych do klawiatury.

Wdzięczna jestem za felieton Marcina Matczaka. Pozwolił pokazać, że w istocie chcemy dzieci i mamy instrumenty prawne, by i ojcu dać przestrzeń na tworzenie więzi z potomstwem.

Nie wiem, czy będzie z tego więcej dzieci. Wiem, że stwarza to realną szansę na dobrą jakość życia i rodziców i dziecka. ●

OGŁOSZENIE PŁATNE

Kraj/34429555

DECYZJA, KTÓRA ZMIENIŁA POLSKĘ.

Rusz śladem Konrada Mazowieckiego

Zdrajca czy pragmatyk? Bezwzględny władca, a może dobry strateg? Dla jednych był krótkowzroczny i porywcy, dla innych działań racjonalnie w trudnych warunkach epoki. Ślady panowania Konrada Mazowieckiego są zamknięte w zabytkach. Wyrusz ich tropem, by poznać historię tego władcy.

Ten od krzyżaków – mówi się, gdy ktoś pyta o Konrada Mazowieckiego. To jednak z najbardziej wyrazistych i kontrowersyjnych postaci polskiego średniowiecza. Pochodził z linii Piastów. Był synem Kazimierza II Sprawiedliwego, wnukiem Bolesława Krzywoustego.

Po śmierci ojca otrzymał do zarządzania Mazowsze – jedną z dzielnic podzielonego Królestwa Polskiego. Jego ambicje były wielkie, rządy trudne i bezwzględne. Za jego największą porażkę uchodzi sprowadzenie w 1226 roku na ziemię polskie Zakonu Krzyżackiego. Nic wtedy jednak nie zapowiadało, że ta decyzja będzie tak brzemienne w skutkach, a Krzyżacy staną się poważnym zagrożeniem dla całego państwa na wiele stuleci....

Tu, gdzie wszystko się zaczęło

Jakim władcą był Konrad Mazowiecki? Krótkowzrocznym władcą, a może dobrym strategiem? Podróż jego śladami najlepiej zacząć od wizyty w Płocku, a tam



Zamek w Czerny, archiwum UMWM (G. Gerek)

na Wzgórzu Tumskim. Płock był jednym z najważniejszych ośrodków władzy dawnego Księstwa Mazowieckiego. Na Wzgórzu Tumskim znajdują się zabytkowe budowle o najwyższych wartościach historycznych, artystycznych i naukowych: Bazylika Katedralna pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, dawne opactwo benedyktyńskie z relikwiami zamku książęcego oraz budynek Muzeum Diecezjalnego.

W Bazylice pochowany jest Konrad Mazowiecki. Warto jednak zajrzeć do pobliskiego Muzeum Diecezjalnego, gdzie przechowywane są bezcenne regalia: ufundowany przez księcia złoty kielich z pateną oraz diadem płocki, przez wielu historyków uznawany za dawną koronę książęcą. Spacer po nadwiślańskich bulwarach w Płocku to dobra okazja do refleksji nad strategicznym położeniem Mazowsza, które wymuszało szukanie sojuszników, nawet tych niefortunnych.

Zamek w Czerny

Z Płocka ruszamy do Czerny. Choć obecnie jest to jedynie spokojna wieś, w XIII wieku miasto pełniło funkcję stolicy wschodniej części księstwa i było kluczowym ośrodkiem władzy Konrada. Nad miejscowością do dziś górują potężne mury zamku obronnego, będącego świadectwem dawnej świetności Mazowsza.

Warto pamiętać, że charakterystyczne, ceglane wieże wzniesiono w późniejszym okresie panowania książąt mazowieckich. Za czasów Konrada stał tu potężny gród drewniano-ziemny. Mimo to, spoglądając z wysokiej, wiślanej skarpy w obrębie dzisiejszych murów, łatwiej nam pojąć strategiczny zamysł władcy. To stąd ambitny książę spoglądał na panoramę doliny Wisły, planując swoje kolejne kampanie i wyprawy. Surowość tego miejsca i jego dominacja nad okolicą pozwalają zrozumieć skalę politycznych ambicji księcia, który z Czerny uczynił swój główny bastion.

Konrad Mazowiecki mierzył się nie tylko z niepokojami przygranicznymi, ale także z wewnętrzną sytuacją w kraju. Przy tym rościł sobie prawa do władania również Małopolską, ze stołecznym Krakowem, co mógł osiągnąć tylko zbrojnie. Aby móc swobodnie angażować się w walki o dzielnicę Mazowsze, musiał zapewnić jej spokój i ochronę od sąsiedzkich najazdów. Dumny i ambitny był pewien, że tę ochronę zapewni Zakon Krzyżacki, a jego sprowadzenie przyniesie mu wieczną chwałę.

Mazowsze.
serce Polski

ŚWIAT



FOT. REUTERS/BERNADETT SZABO

• Premier-elekt Peter Magyar w drodze na konferencję prasową po spotkaniu z partiami, które weszły do nowego węgierskiego parlamentu. Budapeszt, 17 kwietnia br.

WYGRAŁ ORBAN *light*

Europejscy liberałowie fetujący Petera Magyara nie przyjrzeni się składowi nowego węgierskiego parlamentu.



Mateusz Mazzini

Wybory na Węgrzech miały nie jedno, ale dwóch zwycięzców. Najważniejszym jest oczywiście Peter Magyar, którego prawicowa, opozycyjna partia TISZA nie dość, że pokonała 16-letnią, zahaczającą o autorytaryzm dominację Viktora Orbána, to jeszcze zdobyła większość konstytucyjną. Ale w tle rozegrał się też inny triumf – mniejszy pod względem skali, choć wcale nie mniej znaczący dla kształtu węgierskiej sceny politycznej.

Na ostatniej prostej 5-procentowy próg wyborczy przekroczyła bowiem skrajnie prawicowa, otwarcie rasistowska i antynaukowa partia Mi Hazánk. Jej nazwę na polski tłumaczy się jako „Nasza Ojczyzna”, choć w co bardziej kontekstualnych interpretacjach za poprawniejszą uznaje się wersję „Nasza Ojcowizna”.

Już ten spór semantyczny oddaje naturę i ideologiczną orientację ugrupowania. To formacja radykalna, wywodząca się z nieistniejącego już Jobbiku, partia z założenia destrukcyjna. Łatwiej bowiem powiedzieć, przeciwko czemu się opowiadają, niż co popierają.

Sprzeciw wobec Unii, NATO i sojuszy wielostronnych. Mocny przekaz antyszczepionkowy. Blokada imigracji. Odrzucenie postępu technologicznego. Czerwona kartka dla Brukseli, ale też dla Trumpa. Jednym słowem Mi Hazánk to partia retrospektywna, której hasło wyborcze mogłoby brzmieć: Cofnijmy wskazówki zegara. Niewiele może w ten sposób Węgom zaferować, nawet pobieżna analiza ich autarkicznego programu ekonomicznego pokazuje, że jego realizacja oznacza gospodarcze samobójstwo. A jednak rewolucyjni w swym reakcjonizmie radykalowie zdobyli 5,88 procent głosów, niemal tyle samo co cztery lata wcześniej.

Co to za sukces, ledwo utrzymali stan posiadania, czyli nędzne sześć mandatów – powie ktoś. Ale mówimy przecież o przełomowym momencie w najnowszej historii Węgier i Europy, o uwolnieniu się antyautorytarnych, wolnościowych emocji, wyborach, które położyły kres całej epoce, odsunęły od władzy współtwórcę i symbol „suwerennej” i „nieoliberalnej demokracji”. Autokratę, którego metody podglądali marzący o władzy alt-rightowi populiści na całym Zachodzie. Słowem,

o pierwszym symptomie – jak zgodnie uznano – odwracania się trendu, odbicia, nareszcie, wahała ku starej, dobrej, liberalnej demokracji.

Mniej więcej do godziny 20.30 tamtej wyborczej niedzieli byli jeszcze pod progiem, co zgodnie ze skomplikowaną arytmetyką narzuconą przez orbanowską ordynację wyborczą oznaczało trzy dodatkowe mandaty dla TISZY i dwa dla Fideszu. Ostatecznie przez próg się prześlizgnęli – a w istocie dokonali czegoś więcej. Bo ich obecność w węgierskim Zgromadzeniu Narodowym ma spore znaczenie, zwłaszcza jeśli popatrzy się na parlament jako całość.

Oto bowiem Węgrzy, 10-milionowy naród w środku Europy, wybrali sobie parlament w stu procentach konserwatywny. Dominuje w nim TISZA, ugrupowanie szanujące reguły demokracji, praworządność i trójpodział władz, proeuropejskie – ale przecież prawicowe, stworzone przez dysydentów z Fideszu, które w kampanii unikało jak ognia jakichkolwiek tematów progresywnych i w ogóle obyczajowych.

Sam Magyar, celebrowany dzisiaj na europejskich salonach, gdzie technokraci obsadzają go w roli uzdrowiciela węgierskiej demokracji, to polityk, który w Polsce najlepiej czułby się pewnie w szeregach PSL. A na jego wiecach, zwłaszcza tych na prowincji, nie brakowało akcentów typowych bardziej dla Donalda Trumpa niż dla europejskiego liberalnego głównego nurtu.

W czasie jednego ze spotkań z wyborcami Magyar wytykał np. Orbánowi, że w swojej retoryce jest antyimigrancki, a tak naprawdę wpuszcza do kraju mnóstwo pracowników najemnych z Azji Południowo-Wschodniej. A to dla Węgier szkodliwe, wyraźnie sugerował lider TISZY, bo tacy imigranci popełniają przestępstwa. Na dowód opowiedział historię o Filipinczykach, którzy ponoć zjedli wszystkie kaczki z miejskiego stawu w pobliskim parku.

Anegdotę Magyara wylał portal Lakmusz, jedna z ostatnich węgierskich redakcji śledczych. Szilárd Teczár, kierujący działem fact-checkingowym portalu, opowiadał mi w Budapeszcie, że jego zespół nie miał wątpliwości. Słowa Magyara były klasyczną dezinformacją, fake newsem stworzonym na potrzeby kampanii. Żadnych kaczek nie barkowało w miejskim stawie, a samych imigrantów w miasteczku, gdzie odbywał się wiec, mieszkało kilkoro, tylko wcale nie z Azji. Lakmusz wytknął premierowi elektowi kłamstwo, zauważając

Czy jest się z czego cieszyć?

3 partie

• są w nowym węgierskim parlamencie. To prawica, populistyczna prawica i quasi-faszystowska prawica

32 proc.

• wyborców TISZY uznaje Rosję za „niezbędnego partnera”. Średnia dla Węgier to 37 proc.

45 proc.

• deklarujących poparcie dla TISZY sprzeciwia się też jakiegokolwiek pomocy – finansowej czy militarnej – dla Ukrainy

Od 123 lat

• socjaldemokraci nie mieli tak słabego wyniku wyborczego w Danii

◀ Plakat wyborczy quasi-faszystowskiej partii Mi Hazanak („Nasza Ojczyzna” lub „Nasza Ojcowizna”). Na ostatniej prostej przekroczyła 5-procentowy próg wyborczy i weszła do węgierskiego parlamentu

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

przy tym, że to kalka z podobnego motywu użytego przez Trumpa i jego ludzi.

Przed wyborami w 2024 r. J.D. Vance i radykalizujący się celebryta, niegdyś gwiazdor Fox News Tucker Carlson, rozpowszechniali informacje o haitańskich imigrantach, którzy zjadali psy swoich amerykańskich sąsiadów w Springfield w stanie Illinois.

Przeróżający paradoks polega na tym, że TISZA, która zdominuje nowy węgierski parlament, jako partia wprost pravicową, jednocześnie odegra w nim rolę siły najbardziej progresywnej. Oprócz niej w Zgromadzeniu Narodowym zasiądzie nacjonalistyczny, populistyczny Fidesz, radykalna, zawierająca elementy quasi-faszystowskie Nasza Ojczyzna/Ojcowizna i... I już. Żadnych partii centrowych, liberalnych, żadnych ugrupowań lewicowych, socjaldemokratycznych czy socjalistycznych. Prawica, prawica nacjonalistyczna i prawica izolacjonistyczna. Na lewo pustka, na prawo przemoc.

Po części wynika to ze specyfiki tych konkretnych wyborów, które na Węgrzech przyjęły formę plebiscytową. Głosowanie na TISZĘ było dla części elektoratu po prostu wyrazem sprzeciwu wobec Fideszu, a pozostałe partie wycofały się z wyborów. Centrowe Momentum, Węgierska Partia Socjalistyczna (MSZP) czy Zieloni nie wystawili żadnych kandydatów, ponieważ nie chcieli rozdrabniać elektoratu opozycyjnego, a tylko TISZA miała realną szansę odsunięcia Orbána od władzy.

Niby więc z tego doświadczenia nie należy wyciągnąć generalizujących wniosków odnośnie całej Europy, bo na kontynencie – poza Białorusią i Rosją – żaden system polityczny nie był tak skrzywiony na korzyść partii sprawującej władzę, nigdzie też potrzeba zmiany nie jest tak paląca i dramatyczna.

Dodatkowo trzeba pamiętać, że Węgry to społeczeństwo konserwatywne, a wyborcy TISZY nie różnią się od zwolenników Fideszu tak bardzo, jak chcieliby tego zagraniczni obserwatorzy. Opublikowane trzy dni przed wyborami badanie Europejskiej Rady Spraw Międzynarodowych (ECFR) pokazało np., że co prawda tylko 3 procent wyborców Magyara uznaje Rosję za „sojusznika”, ale aż 32 procent za „niezbędnego partnera”. Średnia dla całych Węgier to 9 i 37 procent w tych dwóch pytaniach.

Aż 45 proc. osób deklarujących poparcie dla TISZY sprzeciwia się też jakiegokolwiek pomocy – finansowej czy militarnej – od Węgier

dla Ukrainy (węgierska średnia to 60 proc.). TISZA jest więc dla Węgów partią środka.

Tyle, że ten środek wychylony jest daleko na prawo – a lewica na Węgrzech w zasadzie przestała istnieć.

Żadnej partii lewicowej – w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, a więc formacji reprezentującej klasę pracującą, osoby w niestabilnej sytuacji materialnej, bliskiej ruchom związkowym, domagającej się progresji podatkowej i redystrybucji zasobów materialnych w społeczeństwie – nie ma dziś też w czeskim parlamencie.

Tu katastrofa lewicy jest bardziej widoczna, bo Czesi od zawsze przywiązani byli do mającej przedwojenne tradycje socjaldemokracji o rodowodzie innym niż komunistyczny.

Tymczasem wśród aż siedmiu formacji, które weszły do parlamentu po ubiegłorocznych wyborach, najbardziej progresywna jest Czeska Partia Piratów – ugrupowanie wywodzące się z oddolnych, antyelitarnych ruchów społecznych, nieco anarchizujących, gospodarczo raczej libertariańskie niż socjaldemokratyczne, którego główne postulaty to zwiększenie liczby referendów i zakresu demokracji bezpośredniej. Trudno taki program – poza wolnościowym rysem obyczajowym – nazwać lewicowym.

W Polsce choć istnieją w Sejmie aż dwie różne lewice, ale w istocie – gdy odsuniemy na bok powód, dzięki któremu Nowa Lewica ma większe wpływy i znaczenie w rządzie i państwie, niż wynikałoby to z jej reprezentacji, czyli wyręczenie Tuska na froncie społeczno-obyczajowo-kulturowym i łagodzenie rozczarowania wielkomiejskiego centrolewicowego wyborcy – w poselskich ławach dominuje centrowa, chadecja, prawica populistyczno-bogoojczyźniana i alt-prawica. A przecież mamy za sobą kadencję w pełni pravicową. W latach 2015-19 w Sejmie zasiadali przedstawiciele centrowej PO, chadecckiego – bo ludowego tylko z nazwy – PSL, populistycznego PiS, podobnie zorientowanej formacji Pawła Kukiza i liberalnej gospodarczo, zachowawczej, jeśli konserwatywnej obyczajowo Nowoczesnej. To, że ugrupowania Tuska z Grzegorzem Schetyną, Władysławą Kosiniak-Kamyszą i Ryszardem Petru są prawicą cywilizowaną, europejską, i walczyły z Kaczyńskim powodowane szczerą troską o państwo, nie zmienia ich charakteru.



• tylko tyle głosów dostała SPD – ostoją i wzór europejskiej lewicy – w Nadrenii-Palatynacie

Jedynym odstępstwem od normy w krajach wyszehradzkich jest Słowacja, gdzie rządzi SMER, czyli Kierunek, Roberta Fico – ale to odstępstwo wyłącznie nominalne. Pełna nazwa partii brzmi „Kierunek – Socjaldemokracja”, ale trudno brać to dosłownie, chodzi tylko o poręczny, sugerujący gorzej sytuowanym, sfrustrowanym wyborcom, że ktoś się nimi zaopiekuje. A sam Fico to polityk konserwatywny światopoglądowo, mocno antyimigrancki, w dodatku na usługach Kremla, utrzymujący uzależnienie swojego kraju od rosyjskich paliw kopalnych. Europarlamentarna Partia Europejskich Socjalistów wyrzuciła nawet SMER ze swoich szeregów właśnie za prorosyjską politykę i retorykę premiera.

Ten sam model prezentuje zwycięzca ubiegłotygodniowych wyborów parlamentarnych w Bułgarii. Rumen Radew mówi o sobie, że jest lewicowcem, ale jego partia, Progresywna Bułgaria, powstała zresztą zaledwie miesiąc temu, to formacja podręcznikowo populistyczna, wodzowska, skupiona wokół jego własnej osoby, w dodatku postulująca zbliżenie z Kremlem. Najwięcej głosów zyskała na wsiach i w małych miastach, wśród emerytów – a nie w tradycyjnie liberalnych ośrodkach miejskich, gdzie odsetek progresywnej, odważniejszej ideologicznie młodzieży jest w elektoracie większy.

Lewicowy kryzys rozciąga się na cały kontynent. W niedawnych przyspieszonych wyborach parlamentarnych w Danii zwycięży-

ła Partia Socjaldemokratyczna, zdobywając niecałe 22 procent głosów. Liberalny Zachód odtrąbił sukces, bo premier Mette Frederiksen obroniła pierwsze miejsce pomimo niedawnego kryzysu sondażowego. Według agregatora danych serwisu POLITICO na jeszcze początku grudnia poparcie dla Socjaldemokratów wynosiło tylko 18 procent, zaledwie o trzy punkty więcej niż Zielonych i o sześć niż centrowi z Venstre. Frederiksen pomógł Trump i jego groźby ataku na Grenlandię, zadziałał efekt flagi, ale Socjaldemokraci i tak skończyli z wynikiem najniższym od wyborów z 1903 roku, czyli od 123 lat. W tradycyjnie lewicowym, społecznikowskim, przyzwyczajonym do wysokich podatków, egalitaryzmu i otwartości kulturowej duńskim społeczeństwie tak słaby wynik lewicy to przewrót kopernikański.

W Niemczech po 35 latach nieprzerwanych rządów lewica spod znaku SPD straciła niedawno władzę w bogatym, przemysłowym landzie Nadrenii-Palatynatu. Wcześniej, na początku marca, w Badenii-Wirtembergii jedną z najstarszych partii lewicowych na świecie, poparło zaledwie 5,5 procent wyborców.

We Francji, gdzie przed wojną, przez cały okres zimnowojenny i długie lata po 1989 roku socjalistyczna klasyczna lewica była potęgą, jej reprezentacja parlamentarna to zaledwie 69 mandatów na 577 miejsc w Zgromadzeniu Narodowym – i to po dodaniu posłów niezależnych, którzy do partii nie należą, ale głosują w większości przypadków po tej samej linii ideologicznej.

W permanentnym kryzysie od dłuższego czasu są rozmaite lewicowe i centrolewicowe formacje we Włoszech, gdzie – choć całe włoskie powojnie determinowała niby rywalizacja, a w istocie kohabitacja lewicy z centrową – panowanie nacjonalistycznej koalicji pod przewodnictwem Giorgia Meloni wydaje się niezagrożone.

Socjaldemokracja oddała władzę w Szwecji, a teraz traci poparcie także w swoim portugalskim bastionie.

Osobnym przypadkiem jest sytuacja brytyjskiej Partii Pracy. Gigantyczny kryzys rządu Keira Starmera to historia najbardziej spektakularnego upadku politycznego w Europie ostatnich kilkadziesiąt lat.

Kiedy w 2024 roku laburzyści przejmowali władzę po 14 latach rządów Partii Konserwatywnej, większość partyjnego establishmentu była przekonana, że ma nie pięć, a dzie-

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414014

W CZWARTEK W WYBORCZEJ DODATEK SPECJALNY

HISTORIE BEZ SKRÓTÓW

Historie, które naprawdę mają znaczenie
Relacje, rozwój, praca, seks, związki
i psychologia - bez skrótów, bez uproszczeń



się lat na spokojne reformowanie kraju. Nie jedną, a dwie kadencje – bo torysi po Brexicie i różnych wybrakach byli tak niepopularni, że choćby nie wiadomo co stało się przez pierwszą pięciolatkę, Partia Pracy miała zagwarantowane zwycięstwo także w kolejnych wyborach. Tymczasem dzisiaj, niecałe dwa lata później, zaledwie 22 procent Brytyjczyków uważa, że Starmer dobrze wykonuje swoją pracę jako szef rządu. 69 procent źle ocenia działanie całego rządu, a gdyby wybory odbyły się jutro, samodzielną większość miałyby formacja Nigela Farage'a, Reform UK. Mało tego, ta skrajnie prawicowa i tandetnie populistyczna, ulepiona na podobieństwo ruchu MAGA formacja ma już więcej zarejestrowanych członków niż Partia Konserwatywna, a więc najstarsze ugrupowanie polityczne na całym świecie.

Upadek Starmera jest o tyle szokujący, że nie koreluje się z typowymi dla innych krajów czynnikami strukturalnymi. Jak w październiku na łamach „Prospect Magazine” pisał słynący z dalekowzrocznej przenikliwości bułgarski politolog Iwan Krastew, laburzyści nie mają na kogo zwalić swojej klęski. W eseju o wiele mówiącym tytule „Liberalizm czasów końca” Krastew pokazywał, że w przeciwieństwie do na przykład Tuska, Starmer nie musiał zmagać się z wrogią mu biurokracją i aparatem państwowym.

To porównanie trafne, bo obaj premierzy odziedziczyli władzę po długich latach rządów populistycznej prawicy, która z natury dewastuje niezależność instytucji państwowych. Ale choć torysi w Wielkiej Brytanii nie upolitycznili administracji tak bardzo jak Zjednoczona Prawica w Polsce, Starmer nie jest w stanie zwiększyć jej wydajności ani przeforsować kluczowych projektów.

Od znakomitej większości Europy Wyspy różni też to, że za kanałem La Manche nie wyparował elektorat lewicowy w kanonicznym tego słowa znaczeniu. Najlepiej świadczy o tym gigantyczny wzrost poparcia dla Zielonych, kierowanych przez charyzmatycznego Zacka Polanskiego. Jeszcze na początku ubiegłego roku według badań sondażowni YouGov popierało ich 7 procent wyborców, dzisiaj już 18-19 procent. Od września 2025 do marca 2026 liczba zarejestrowanych członków partii wzrosła z 68 do 200 tysięcy.

Według modelu analitycznego firmy Poll-Check, agregującego sondaże największych pracowni, przy obecnych trendach społecznych Laburzyści w nowej kadencji mogliby liczyć na 125 mandatów w Westminsterze

– aż 286 mniej niż obecnie. Zieloni zyskaliby 29 nowych posłów, progresywna Szkocka Partia Narodowa – 33, ale Reform UK – aż 250.

Pod wieloma względami upadek tradycyjnej, opartej na masowych partiach socjalistycznych lewicy to historia globalna.

W Australii laburzyści utrzymali się u władzy w ubiegłym roku dzięki krytyce Trumpa, a nie własnemu, skutecznemu programowi. W Brazylii coraz większe kłopoty ma Ostatni Mohikanin ruchu robotniczego, wiekowy niezłomny związkowiec Luiz Inácio Lula da Silva. Jeszcze w grudniu jego sondażowa przewaga nad Falviem Bolsonaro, synem byłego reakcyjnego prezydenta i prawdopodobnym rywalem w tegorocznych wyborach prezydenckich, wynosiła 10 punktów procentowych. Brazylijska gospodarka wprawdzie łapała zadyszkę, ale Lula zyskiwał dzięki aktywnemu oporowi wobec Trumpa – tak samo jak Anthony Albanese w Australii, Mark Carney w Kanadzie czy Mette Frederiksen w Danii. Brazylijscy socjaliści nie bali się podatku cyfrowego, nakazów usuwania nienawistnych treści nakładanych na platformę X Elona Muska czy krytyki Białego Domu za ekonomicznie irracjonalne cła. Efekty są jednak z reguły krótkotrwałe i nawet pomimo wyroku skazującego dla przebywającego w areszcie Bolsonaro seniora jego syn w sondażach jest teraz pierwszy, przebijając Lulę o 2 punkty procentowe.

Skąd ten już właściwie światowy kryzys tradycyjnej lewicy? Przyczyn jest kilka, większość ma charakter strukturalny, związany z globalizacją, wolnym handlem i przemianami, które te procesy wymusiły na bogatych społeczeństwach.

Po pierwsze, jak opisał to flagowy publicysta ekonomiczny „The Financial Times” Martin Wolf w książce „Kryzys demokratycznego kapitalizmu”, w większości krajów całkowicie zniknęły wspólnoty inne od religijnych – a wraz z nimi kolektywne środki reprezentacji politycznej.

Niegdyś lewica była silną siłą swoich struktur partyjnych, wielkich związków zawodowych, bliskich im gazet i stacji radiowych, nawet klubów sportowych. Dzisiaj żaden z tych instrumentów nie znajduje się w lewicowym arsenale. Związki skurczyły się i w wielu miejscach przeszły na prawo, gazety prawie nie istnieją, radia straciły tożsamość, kluby sportowe są zabawkami oligarchów. Wskutek tego wszystkiego elektorat lewicowy stał się po-



dzielony, rozproszony, stracił sporą część tożsamości. W ślad za tym poszły partie polityczne, które zaczęły się dzielić – na lewicę starą i nową, populistyczną i socjalliberalną, średnioklasową i małomiatieczkową. O jednej, wielkiej, silnej lewicy nie może być mowy, kiedy wyborcy w zatamizowanym elektoracie dbają tylko o siebie, a tego nauczyła ich przecież globalizacja, promująca indywidualną tożsamość na każdym kroku.

Po drugie – dzisiejsza lewica jest bardzo mało lewicowa. Dobrze wyjaśnia to profesor Cas Mudde, holenderski badacz populizmu z University of Georgia. Komentując ostatnie wybory w europejskich państwach, zwrócił uwagę, że duńscy socjaldemokraci na przykład w zakresie polityki migracyjnej stoją na pozycjach bliższych alt-prawicy niż partiom lewicowym. Podobnie jest w kwestii ponoszenia kosztów rewolucji energetycznej czy dbania o klimat. Dla Mudde Mette Frederiksen to oportunistka, która przejęła część języka i postulatów skrajnej prawicy, goniąc za iluzorycznym przesunięciem się elektoratu w prawo.

Co widać w rozkładzie poparcia dla duńskich partii, bo ci wyborcy, którzy mają poglądy tradycyjnie lewicowe, wołają dzisiaj głośno na Zielonych niż na zasłużoną partię z socjalizmem w nazwie. Podobne zjawisko zaobserwować można w Niemczech, gdzie Olaf Scholz w poprzedniej koalicji tak bardzo przesunął swoje SPD ku centrum, że zapomniał, kto jest jego wyborcą i jakie ma potrzeby. Czyli, jak jego koledzy i koleżanki z reszty

Zachodu, zapomniał o kosztach deindustrializacji i rosnących nierównościach materialnych. Co wykorzystuje AfD, budująca się nie tylko – co bywa klasistowsko pomijane w wielu analizach – na podsytych nacjonalizmem konserwatywnie klas wyższych i przedsiębiorców – ale też na frustracjach dawnej klasy robotniczej. Ogólnoniemieckiej, nie tylko „niereformowalnych” i „roszczeniowych” Ossi.

Tak samo działa Zjednoczenie Narodowe we Francji.

A po trzecie – i może najbardziej interesujące – przywódców światowej lewicy niewiele ze sobą łączy. Przebadali to i opisali na łamach „Journal of Democracy” profesor Timothy Power oraz doktor Maryhen Jimenez z Oksfordu, pokazując, że w przeciwieństwie do globalnej międzynarodówki prawicowo-populistycznej, lewica i progresywiści nie mają międzynarodowej wspólnoty – ani organizacyjno-operacyjnej, ani nawet duchowej. Część z nich przesuwa się na prawo, próbując upodobnić się do prawicy mniej lub bardziej skrajnej. Inni zostają na pozycjach tradycyjnie lewicowych, jak Pedro Sanchez w Hiszpanii. Jeszcze inni stawiają na mocny populizm ekonomiczny i postulaty anty-technologiczne – tu prym wiodą „zielony” Brytyjczyk Zack Polanski i młodzi amerykańscy socjaliści.

Sanchez jest właściwie jedynym przywódcą lewicowym, któremu udaje się utrzymać klasyczną, socjalistyczną tożsamość, łącząc ją z odpowiedziami na współczesne wyzwania, jak migracja czy kwestie tożsamościowe. Dzięki temu, że nową lewicę z Podemos i Sumar wciągnął do koalicji i zdominował, uniknął wojny domowej o kwestie tożsamościowe. Nie uległ też pokusie przejścia na prawo w reakcji na pojawienie się partii skrajnych, jak Vox.

Tak więc lewicy brak wspólnych wydarzeń, punktów odniesienia, think-tanków. Trudno zresztą, żeby taka wspólnota istniała, jeśli socjalistyczny premier Sanchez chce legalizować status pół miliona nielegalnych imigrantów w swoim kraju, a socjalistyczna premier Frederiksen rozpważa stworzenie ministerstwa do spraw deportacji.

Potencjalnych wspólnych mianowników nie brakuje – wszak katastrofa klimatyczna, rewolucja sztucznej inteligencji czy kroczący faszyzm dotkną w jakimś stopniu każdego na planecie. Tylko że do zbudowania jedności wokół tych tematów potrzeba czegoś więcej niż tylko myślenia o najbliższych wyborach. ●

REKLAMA

Kraj/34429008

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA www.wydawnictwoagora.pl

K KULTURALNY SKLEP.PL

WOLISZ E-BOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

Wydawnictwo
Agora



• Spowiedź przed mszą świętą beatyfikacyjną biskupa **Álvaro del Portillo (1914-94)**, byłego przywódcy Opus Dei. **Madryt, 26.09.2014**

FOT. GERARD JULIEN/AFP/EAST NEWS

KRZYŻ MA OBJĄĆ ŚWIAT

Jan Paweł II w sprawie Opus Dei zdecydował się na krok, którego jego poprzednicy nie chcieli wykonać.

Artur Nowak

Sierpni 1978, Rzym. Duszny wieczór po kongregacjach, gdy kardynałowie ważą nazwiska i układają watykańskie koalicje. Karol Wojtyła znika za nieoznakowanymi drzwiami przy Viale Bruno Buozzi – w jednej z rzymskich siedzib Opus Dei. Kolacja u Álvaro del Portillo, chwila w krypcie przy grobie Josemarii Escrivy i kamienna płyta z jednym słowem: „Ojciec”.

To wygląda jak pobożny epizod z przedednia konklawe, ale w raporcie Garetha Gore'a jest prologiem do opowieści o tym, jak „świętość w codzienności” bywa jednocześnie technologią selekcji, dyscypliny i wpływu. Oraz jak jeden papieski podpis potrafi przestawić układ sił w samym centrum Kościoła.

Wojtyła na kolacji

Kardynał Wojtyła tego sierpnia przyjechał do Wiecznego Miasta na pogrzeb papieża Pawła VI i na konklawe, na którym – przynajmniej w pierwszych kalkulacjach – nie był papabile.

Álvaro del Portillo, nowego przywódcę Opus Dei, znał od lat. W czasie soboru watykańskiego II na początku lat 60. odkryli, że łączy ich nieufność wobec teologicznego liberalizmu i przekonanie, że katolicyzm potrze-

buje dyscypliny, jasnej doktryny i silnego centrum władzy.

Ta relacja była obustronnie użyteczna. Wojtyła chętnie występował na konferencjach organizowanych przez środowiska związane z Dzielom, a Opus Dei publikowało jego wykłady i przemówienia w formie książek krążących później wśród watykańskich hierarchów.

Kiedy kolacja dobiegła końca, zeszli do krypty, gdzie spoczywał założyciel Opus Dei. Uklękli przy grobie Josemarii Escrivy.

Elitarność ruchu i jego wpływy były już wtedy legendarne. Escrivá powtarzał, że Dzieło powinno docierać do tych, którzy podejmują decyzje: do polityków, bankierów, profesorów, prawników i dziennikarzy. Z czasem wśród sympatyków, współpracowników i członków zaczęły się pojawiać nazwiska należące do elit Kościoła i świata finansów.

Po raz pierwszy po polsku (dzięki wydawnictwa Prószyński i S-ka) w raporcie Gore'a „Opus Dei. Brudne pieniądze, handel ludźmi i skrajnie prawicowa organizacja kościelna” można przeczytać – bez thrillerowych przerysowań – jak działa ta organizacja: jak obok oficjalnej opowieści o „świętości w codzienności” istnieje drugi wymiar, bardziej przyziemny i konsekwentny – mechanika kontroli, selekcji i relacji.

Siła Opus Dei przez lata rosła nie tyle dzięki liczebności, ile dzięki sieci ludzi, którzy podejmują decyzje. Kardynał z Krakowa był jednym z nich.

Kościół w Kościele

Kilka tygodni później historia przyspieszyła. Najpierw 33-dniowy pontyfikat i nagła śmierć Jana Pawła I pogрузżyły Kościół w chaosie. Potem II konklawe utknęło w martwym punkcie.

Kolejne głosowania nie przynosiły rozstrzygnięcia, aż w końcu kardynałowie – szukając kompromisu – zwrócili się ku człowiekowi, którego jeszcze niedawno niewielu traktowało jak realnego kandydata.

Karol Wojtyła został papieżem. Dla Opus Dei zmieniały się reguły gry: w kolejnych latach Dzieło dostało od Jana Pawła II polityczne zaufanie, instytucjonalny awans i symboliczne przyzwolenie na wyjątkowość.

Krytycy – zarówno wśród biskupów, jak i teologów – zarzucali Opus Dei skrajną dyskrekcję działania i wewnętrzną dyscyplinę przypominającą zakon, choć organizacja przedstawiała się jako ruch świecki. W różnych krajach pojawiały się relacje byłych członków o silnej kontroli życia prywatnego, presji psychologicznej oraz praktykach umartwienia ciała, takich jak noszenie cilicium czy biczowanie.

Wskazywano też na polityczne powiązania Opus Dei w Hiszpanii czasów generała Franco. W latach 60. i 70. kilku jego członków zajmowało wysokie stanowiska w rządzie dyktatora, co sprawiło, że ruch zaczął być postrzegany jako jedna z ideologicznych podpór reżimu.

Wielu biskupów obawiało się, że Opus Dei tworzy Kościół w Kościele – sieć podległą bezpośrednio papieżowi, a jednocześnie działającą poza jurysdykcją lokalnych hierarchów. Do tego dochodziły kontrowersje finansowe: krytycy zwracali uwagę na powiązania ludzi Opus Dei ze światem banków i biznesu oraz na sieć fundacji wspierających działalność organizacji.

Jan Paweł II nie ustąpił

Te zarzuty były w Rzymie znane. Ale Jan Paweł II widział w Opus Dei zdyscyplinowaną, lojalną wobec Watykanu elitę katolików świeckich. Ludzi gotowych bronić konserwatyw-

nej doktryny Kościoła w świecie, który w jego oczach coraz szybciej oddalał się od chrześcijaństwa. Dlatego zdecydował się na krok, którego jego poprzednicy nie chcieli wykonać.

Już kilka miesięcy po inauguracji pontyfikatu organizacja złożyła w Watykanie wnioski o zmianę statusu. Sprawa była skomplikowana: Opus Dei nie przypominało żadnej z istniejących struktur kościelnych. Było ruchem łączącym księży i świeckich, funkcjonującym ponad granicami diecezji i w dużej mierze poza kontrolą lokalnych biskupów. Właśnie dlatego przywódcy Dzieła od lat szukali formuły prawnej, która dawałaby mu większą autonomię.

Najbardziej obiecującym rozwiązaniem wydawała się pralatura personalna – instytucja stworzona po soborze watykańskim II z myślą o szczególnych zadaniach duszpasterskich, ale wciąż nie do końca opisana w praktyce.

Ta niejasność była dla Opus Dei szansą. Organizacja mogłaby działać jak odrębna struktura: z własnymi księżmi, hierarchią i siecią instytucji, w dużej mierze niezależnie od ponad 2 tysięcy biskupów zarządzających diecezjami.

Kardynałowie i biskupi niemal jednogłośnie odrzucili pomysł nadania Opus Dei tak wyjątkowego statusu. Decydujący okazał się papież. Wojtyła interweniował osobiście i – korzystając ze swojej władzy – odrzucił zastrzeżenia zgłaszane przez urzędników i biskupów.

Opus Dei przekonywało go, że dzięki nowemu statusowi będzie mogło tworzyć globalne, mobilne zaplecze księży i współpracowników gotowych działać tam, gdzie papieska wizja Kościoła potrzebuje lojalnych wykonawców.

Dla papieża, który dopiero uczył się dynamiki władzy w Watykanie i mierzył się z narastającymi sporami ideowymi, była to propozycja atrakcyjna.

Do Watykanu napływały protesty – ponad 60 kardynałów i biskupów z całego świata zgłaszało zastrzeżenia. Bardzo głośno sprzeciwiał się episkopat hiszpański, który znał Opus Dei najlepiej i od lat patrzył na jego działalność z rosnącą nieufnością. Papież nie ustąpił.

W 1982 r. – już po zamachu na swoje życie – zatwierdził nowy status. Opus Dei stało się pierwszą w historii Kościoła pralaturą personalną, strukturą podporządkowaną bezpośrednio papieżowi, a nie lokalnym biskupom.

Zwłoki pod mostem w Londynie

I wtedy pojawiła się historia, która nadała temu awansowi inny kontekst. W czerwcu 1982 r. w Londynie, pod mostem Blackfriars, znaleziono ciało Roberta Calviego – bankiera związanego z Banco Ambrosiano i operacjami finansowymi z Bankiem Watykańskim.

Wychodziły na jaw szczegóły: setki milionów dolarów wyprowadzonych przez sieć spółek w rajach podatkowych, straty liczone w ogromnych kwotach i ryzyko kompromitacji, które mogło uderzyć bezpośrednio w Watykan.

Syn Calviego ujawnił w prasie, że ojciec próbował nakłonić Opus Dei do udzielenia Stolicy Apostolskiej pomocy finansowej. Kilka tygodni później podobną wersję publicznie potwierdziła wdowa po bankierze. Według tej relacji Calvi polecał do Londynu w związku z planem, w którym Opus Dei miałyby przejąć część ciężaru długów i stabilizacji po katastrofie Banco Ambrosiano. W zamian organizacja miała oczekiwać konkretnych wpływów w Watykanie, m.in. udziału w opracowywaniu strategii Kościoła wobec krajów komunistycznych i państw Trzeciego Świata.

Nigdy nie udowodniono, że taki układ zawarto. Ale z perspektywy obserwatorów zbieżność wydarzeń była uderzająca: w chwili, gdy Londyn odsłaniał finansowy krater po jednej z największych afer kościelnych, Rzym domykał decyzję, która dawała Opus Dei bezprecedensową pozycję w strukturach katolicyzmu.

Infrastruktura i kadry

Od tej chwili wpływy Opus Dei stawały się coraz wyraźniejsze. Gore nie próbuje zamknąć tego w jednym syntetycznym bilansie „ile mitr i ile purpury”, ale pokazuje kierunek marszu: pontyfikat Jana Pawła II przyniósł Opus Dei nie tylko status pralatury personalnej i kanonizację Escrivy, lecz także biskupie nominacje dla dziesiątków księży związanych z Dziełem oraz dwie nominacje kardynalskie.

Jednym z symboli tego awansu był Julián Herranz – bliski papieżowi hierarcha Opus Dei, wcześniej stojący na czele Papieskiej Rady ds. Tekstów Prawnych, później kardynał. Według Gore'a był też jednym z tych purpuratów, którzy w 2005 r. – gdy pontyfikat Wojtyły dobiegał końca – budowali zaplecze pod wybór Josepha Ratzingera.

Drugą emblematyczną postacią był Juan Luis Cipriani, jedna z najbardziej rozpoznawalnych twarzy konserwatywnego katolicyzmu w Ameryce Łacińskiej.

Niżej, ale nie mniej skutecznie, działali biskupi, eksperci i urzędnicy kurialni związani z Dziełem. Álvaro del Portillo zbudował Papieski Uniwersytet Św. Krzyża, który stał się kuznią wpływu: formowania kadr, wytwarzania ekspertyz i budowania długów wdzięczności.

Mechanizm był prosty i długofalowy. Uczelnie kształciła duchownych z biedniejszych diecezji Europy, Ameryki Łacińskiej i Afryki, często finansując część ich studiów i utrzymania. Po latach „dywidendy” wracały w postaci przychylności, sieci kontaktów i rosnącej obecności ludzi przeszkolonych w jednym modelu Kościoła. Stolica Apostolska regularnie korzystała też z ekspertyz osób związanych z uczelniami – zwłaszcza w obszarach prawa kanonicznego.

To nie była już pobożna nisza. To była kadrowa i intelektualna infrastruktura władzy.

W szczytowym momencie, u schyłku pontyfikatu Jana Pawła II i na początku XXI w., Opus Dei działało w ponad 70 krajach i liczyło ok. 90 tys. członków. W materiałach Dzieła i w opisach jego zaplecza pojawia się eko-

system instytucji: uczelnie, szkoły, domy studenckie, ośrodki formacyjne.

Gore dorzuca do tego drugi wymiar, mniej widoczny: skalę obecności w mediach i edukacji, opisywaną w kategoriach setek instytucji, które miały pozostawać w orbicie Dzieła.

Ta rozbudowana infrastruktura kosztowała – Gore podaje, że sam Uniwersytet Św. Krzyża co roku wymagał zasilania z globalnej sieci fundacji. Podaje przykłady wielomilionowych transferów (m.in. z USA, Chile, Niemiec, Włoch i Hiszpanii), które miały stabilizować funkcjonowanie tej instytucji oraz szerszej sieci szkół, akademików i formacji.

Katolik powinien zdobywać wpływy

Za powstaniem Bożego Dzieła stał jeden człowiek – Josemaría Escrivá de Balaguer, hiszpański ksiądz, który potrafił połączyć mistyczną wizję ze zmysłem organizacyjnym. W październiku 2002 r. Jan Paweł II ogłosił go świętym po jednym z najszybszych procesów w nowoczesnym katolicyzmie – tylko 27 lat po śmierci. Dla jednych kanonizacja była potwierdzeniem duchowej wielkości założyciela Opus Dei, dla innych – symbolem potęgi organizacji.

Escrivá – urodzony w 1902 r. w Hiszpanii – twierdził, że w 1928 r. podczas modlitwy miał wizję, w której „zobaczył Opus Dei”. Misja brzmiała prosto i radykalnie: uświęcić świat przez świecką pracę. Każdy zawód – lekarza, urzędnika, przedsiębiorcy czy profesora – mógł stać się drogą do świętości nie przez ucieczkę od świata, lecz przez życie w świecie.

Z tej idei wyprowadził konsekwencję polityczno-społeczną: katolik powinien się nie wycofywać, ale zdobywać wpływy. Nauka, administracja, gospodarka, media, uniwersytety – te sfery miały zostać przeniknięte „duchem chrześcijańskim”. Emblemat Dzieła – krzyż wpisany w kulę ziemską – był programem: krzyż ma objąć świat.

Escrivá od początku budował Opus Dei jako organizację: z hierarchią, dyscypliną, formacją i kultem lojalności wobec Ojca. Wojna domowa w Hiszpanii zmusiła go do ukrywania się i ucieczki, ale po zwycięstwie reżimu Franco Opus Dei zaczęło szybko zdobywać wpływy, zwłaszcza w środowiskach akademickich i administracji.

Prawdziwy przełom nastąpił w 1946 roku, gdy Escrivá przeniósł centralę do Rzymu i rozpoczął wieloletnią kampanię o status, który zapewniłby Dziełu niezależność.

Zza hagiograficznego wizerunku świętego z obrazków przebijają inne świadectwa – nie o mistyce, lecz o temperamencie i metodzie sprawowania władzy. Ojciec Vladimir Felzmann, były ksiądz Opus Dei, pracujący w latach 60. u boku założyciela w Rzymie, mówił publicznie o gwałtowności Escrivy i obsesji kontroli, która w jego otoczeniu miała uchościć za normalną cenę budowania Dzieła. W książce przewijają się świadectwa o instalowaniu urzędzeń podsłuchowych.

Felzmann relacjonował też, że założyciel miał lekki przed ludzką seksualnością, uważał, że wszystko, co napisał, pochodzi od Boga, a w prywatnych rozmowach potrafił wypowiadać sądy relatywizujące zbrodnie nazizmu i kwestionujące skalę Zagłady.

Numerariusze i supernumerariusze

W Opus Dei tkwi paradoks. Organizacja, która mówi językiem zwyczajnego życia i świeckiej pracy, potrafi organizować codzienność części swoich członków z precyzją przypominającą zakonny rytym – tyle że bez klasztornych murów i habitu. Najbardziej uderzające jest to, że dzieje się to tu i teraz, w XXI wieku, w samym środku cywilizacji celebryckiej jednostki, jej autonomii i prawo do siebie.

Dzieje się to w miastach – świątyniach ambicji i wolnego wyboru – w Madrycie czy Nowym Jorku – gdzie każdy metr kwadratu wydaje się krzyżyć: możesz mieć wszystko! A jednak w tej samej scenografii ktoś wybiera regułę, rytym i podporządkowanie.

Opus Dei zaczyna od ambitnego twierdzenia: świętość nie jest przywilejem nielicznych,

lecz zadaniem dla tych, którzy potrafią podporządkować jej całe życie – nawet w samym środku metropolii.

Rdzeniem Opus Dei są numerariusze. To elita organizacji – mężczyźni i kobiety żyjący w celibacie, oddani Dziełu z pełną dyspozycyjnością, jakby ich własne życie było narzędziem w większym planie.

Nie zakładają rodzin. Nie planują przyszłości etapami, z prywatnymi marzeniami odkładanymi „na później”. W ich przypadku „później” ma należeć do organizacji.

Mieszkają w ośrodkach Opus Dei – dyskretnych domach, które są jednocześnie mieszkaniem, miejscem formacji i zapleczem apostolstwa. Numerariusz nie zamyka się za bramą. Przeciwnie – każdego dnia wychodzi w świat. Do biura, na uczelnię, do sądu czy szpitala. Ma wyglądać jak każdy profesjonalista i funkcjonować jak każdy.

Różnica polega na tym, że jego dzieła ma twarde kręgosłup: stały plan życia. Modlitwa wpisana jest w grafik równie bezwzględnie jak spotkanie, raport czy dyżur. Chodzi nie o natchnienie, lecz o konsekwencję.

**Twórca Opus Dei powtarzał,
że Dzieło powinno docierać
do tych, którzy podejmują
decyzje: do polityków,
bankierów, profesorów,
prawników i dziennikarzy**

Równoległe działa liczniejsza grupa – supernumerariusze. Często żyją w małżeństwach: lekarze, przedsiębiorcy, profesorowie, urzędnicy, prawnicy. Ich ośrodkiem pozostaje własny dom, własna rodzina i codzienne życie. Oni także wchodzi jednak w rytym spotkań formacyjnych, relacji i wsparcia – także finansowego – które buduje krwioobiegi całej struktury.

Jeśli numerariusze są rdzeniem dyspozycyjności, to supernumerariusze tworzą krąg: dzięki nim ruch pulsuje w świecie, wchodzi w instytucje, utrzymuje kontakty, buduje prestiż.

W ruchu opowiadającym o uświęcaniu pracy i codzienności ciało nie znika. Przeciwnie – ciało bywa traktowane jako narzędzie dyscypliny. W książce Gore'a pojawiają się opisy praktyk ascetycznych, które krytycy uznają za drastyczne, oraz codziennych rytuałów „hartowania” – powtarzalnych, wpisanych w system. To ważne, bo odzierają pobożny język z metafory: pokazują, że „świętość” w tej konstrukcji ma charakter metody, nie nastroju.

Ludzie do naprawienia

Ale realizowanie powołania w Opus Dei ma jeszcze jeden, kluczowy wymiar – rekrutację. Gore opisuje ją jako logikę samonapędzania się organizacji: elitarna grupa ma „wzbudzać wokół siebie kolejne powołania”, a kandydatów rozpoznaje się wcześniej, buduje relacje, tworzy poczucie wyjątkowości i misji.

Z zewnątrz wygląda to jak mentoring, przyjaźń, troska. W środku działa jak procedura: rozpoznanie, przybliżenie, izolacja, kontrola, misja. Nowy członek ma przyprowadzić kolejnych.

Symbolem tej procedury-maszyny jest w książce Gore'a konkretny budynek. W Nowym Jorku, na rogu Alei Lexington i 34. Ulicy, stoi 17-piętrowy gmach bez szyldu – z osobnymi wejściami, z rozdzieleniem przestrzeni i rytmem.

To ma być miejsce formacji: przestrzeń, w której młodych odcina się od starych odruchów, narzuca regułę, a potem kieruje w stronę zawodów dających pieniądze, prestiż i dostęp – prawa, finansów, instytucji.

Silą opowieści Gore'a są postacie z krwi i kości. Ludzie, którzy wierzą, że weszli na drogę świętości, i odkrywają, jak wysoka jest cena.

Pierwszy z nich – Luis Valls-Taberner – jest bankierem i zarazem numerariuszem.

Gore pokazuje w nim postać podwójną. Za dnia – twarz instytucji finansowej, elegancki potentat. Po pracy – życie podporządkowane dyscyplinie, w którym prestiż nie znosi reguły, tylko ją wzmacnia. Ten kontrast robi największą robotę: luksus i asceza w jednej biografii, jakby dwa scenariusze toczyły się równoległe w tym samym człowieku.

Jeszcze bardziej duszna jest opowieść Marii del Carmen Tapii – sekretarki Ojca, kobiety z centrum decyzyjnego, która nagle staje się problemem do naprawienia.

Tapia opisuje, jak została wezwana do Rzymu, bo w Wenezueli kwestionowała praktyki Dzieła: sugerowała możliwość spowiedzi także poza kapłanami Opus Dei. Formalnie dopuszczalna, lecz źle widziana.

A do tego mówiła wprost, że nikt nie chce czytać narzuconego z Madrytu i Rzymu czasopisma kolportowanego na polecenie Escrivy.

W Rzymie potraktowano to nie jak różnicę zdań, tylko jak nieposłuszeństwo. Opisuje upokarzające sceny krzyku i reprimend „z wpisem do akt”. W jej relacji staje się jasne, że chodzi nie o spotkanie, tylko o korektę. Pojawiają się zakazy, kontrola informacji, odcięcie od świata, gotowa legenda na zewnątrz.

Trzeci – Antonio Pérez-Tenessa – pokazuje cenę odejścia z Opus Dei. To zerwanie całego świata relacji, autorytetów i lojalności. Świadomość zasięgu wpływu.

Gore opisuje też innych, którzy próbują odejść po latach. Społeczny i ekonomiczny reset, do którego nikt nie daje narzędzi: praca bez normalnych zabezpieczeń, życie podporządkowane strukturze, a potem samotność i pustka po wyjściu. To historie bez fajerwerków, ale z długim cieniem.

Apostolstwo przez pracę domową

W tej konstrukcji szczególne miejsce zajmują praca kobiet – przede wszystkim ta, której nie widać. Ośrodki muszą działać jak dobrze noliwione domy: ktoś gotuje, sprząta, pierze, organizuje. Ten poziom bywa nazywany „troską o dom” i „rodzinną atmosferą”.

W strukturze Opus Dei kobiety wykonujące te obowiązki określa się jako numerarie pomocnicze. Oficjalnie ich powołaniem jest „apostolstwo przez pracę domową”. W praktyce oznacza to życie w ośrodkach i utrzymywanie ich w ruchu.

W wielu relacjach droga do tej roli zaczyna się wcześniej: przez szkoły zawodowe i fundacje powiązane z organizacją, które oferują edukację i obietnicę awansu, a potem prowadzą w stronę życia podporządkowanego instytucji.

Dziewczęta, często z biednych środowisk, werbowano pod hasłem lepszego życia i kształcenia, a następnie kierowano do gotowania, sprzątania i obsługi domów Opus Dei, nierzadko bez realnej autonomii i wynagrodzenia.

Autor opisuje też system relokowania tych kobiet między krajami zgodnie z potrzebami organizacji, przy użyciu zaplecza administracyjnego i wizowego, co miało zapewnić stały dopływ taniej albo darmowej siły roboczej.

W tym ujęciu chodzi już nie tylko o „surową religijną dyscyplinę”, ale też o mechanizm pozyskiwania, podporządkowywania i przemieszczania kobiet do pracy służebnej. Dlatego w krytycznej literaturze pojawiają się nie tylko zarzuty wyzysku, lecz także twierdzenia, że system ten nosił cechy handlu ludźmi.

Bank

W lipcu 2022 roku Watykan ogłosił list apostolski „Ad charisma tuendum” – dokument, który wielu odczytało jako próbę przykroczenia śrubie Opus Dei. Zmiany były konkretne i instytucjonalne: nadzór nad pralaturą przeniesiono z Dykasterii ds. Biskupów do Dykasterii ds. Duchowieństwa, wprowadzono obowiązek regularnego raportowania, a zarazem zapisano,

że pralat nie będzie wyznaczony do godności biskupiej.

W języku dokumentu to przesunięcie akcentu: mniej „hierarchicznej wyjątkowości”, więcej „charyzmatu”, mniej symbolicznego prestiżu, więcej administracyjnej kontroli.

To nie wyglądało na rewolucję doktrynalną. Raczej na sygnał, że organizacja ma być oceniana jak inne struktury kościelne, a nie jak osobny byt pod specjalnym parasolem.

Tyle że dokument może zmienić nadzór i tytuły, ale nie unieważnia relacji, kanałów kształcenia kadr, środowiskowego prestiżu i finansowych mechanizmów podtrzymujących ekspansję.

W księżce Gore'a kluczowym silnikiem tej technologii jest przejście finansowej dźwigni – nie tyle formalne wykupienie Banco Popular, ile uzyskanie nad nim faktycznej kontroli przez powiązany z Opus Dei blok akcjonariuszy i wehikulów prawno-finansowych, które autor nazywa „Syndykatem”. Według jego ustaleń to właśnie ta sieć, działająca jak zasłona dymna i głosząca jako zwarty układ, przez dekady wywierała decydujący wpływ na zarządzanie bankiem i kierunek przepływu pieniędzy.

W tym sensie reformy z lat 2022-2023 nie kończą epoki, tylko zmieniają warunki gry. Organizacja dysponuje środowiskową infrastrukturą przetrwania – i może ją uruchamiać także wtedy, gdy symbolicznie odbiera się jej część przywilejów.

Chwała i upadek McCloskeya

Szczególnie ciekawie ten mechanizm widać w wątku amerykańskim. W Stanach Zjednoczonych Opus Dei działa przede wszystkim nie jak partia w sutannie, lecz jak infrastruktura formacji i selekcji: ośrodki, szkoły, programy dla młodych profesjonalistów oraz instytucje, które – nawet jeśli formalnie deklarują cele duchowe – w praktyce stają się miejscami spotkań, rekrutacji i budowania kapitału społecznego.

Opus Dei podaje, że rozpoczęło działalność w USA w Chicago w 1949 roku, a dziś posiada ponad 60 centrów w 19 miastach lub w ich pobliżu. Równolegle rozwija własny ekosystem edukacyjny obejmujący m.in. osiem szkół średnich prowadzonych przez członków organizacji we współpracy z innymi instytucjami. W okolicach Waszyngtonu szczególnie znane są szkoły The Heights i Oakcrest.

Szkoły te wytwarzają środowiska społeczne – absolwentów, rodziny, sponsorów, rady powiernicze i sieci lojalności. W praktyce tworzą miękką infrastrukturę wpływu.

Istotną rolę odgrywają również konkretne osoby. „Washington Post” opisywał działalność C. Johna McCloskeya, księdza Opus Dei i byłego dyrektora waszyngtońskiego Catholic Information Center (CIC) prowadzonego przez duchownych tej pralatury, jednego z najbardziej rozpoznawalnych księży konserwatywnego katolicyzmu w Waszyngtonie.

McCloskey przygotowywał wpływowo osoby do przejścia na katolicyzm – to znaczy prowadził je przez religijną formację, rozmowy duchowe i formalny proces wejścia do Kościoła – stając się z czasem czymś w rodzaju kapłana amerykańskiej prawicy. Wśród osób, którym towarzyszył w konwersji, wymieniano m.in. prominentnych przedstawicieli konserwatywnego establishmentu:

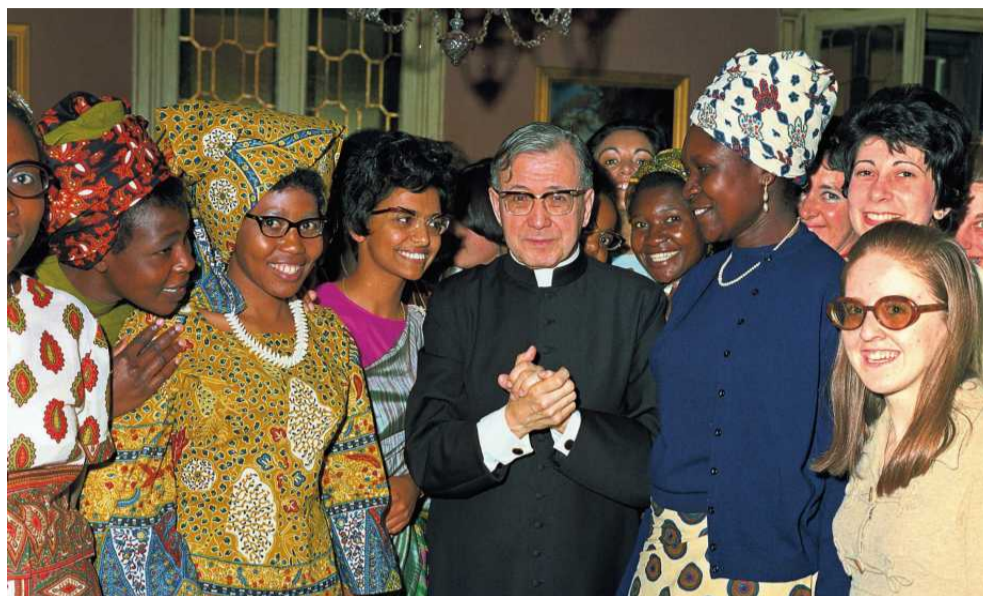
Newta Gingricha – byłego przewodniczącego Izby Reprezentantów;

Sama Brownbacka – senatora i późniejszego ambasadora USA ds. wolności religijnej;

Lawrence'a Kudlowa – ekonomistę i doradcę gospodarczego w administracji Donalda Trumpa.

Te trzy nazwiska pokazują, że wpływ nie musi przyjmować formy politycznych poleceń.

Kariera McCloskeya zalamana się w atmosferze skandalu po ujawnieniu wiarygodnych zarzutów o niewłaściwe zachowanie seksualne, zakończonych jego usunięciem z eksponowanej funkcji i ugodą finansową zawartą przez Opus Dei.



• Twórca Opus Dei Josemaría Escrivá de Balaguer (1902-75) z wiernymi w swojej rezydencji Villa Sanchetti (6.04.1971) Jan Paweł II kanonizował go w październiku 2002 r

Opus Dei przy K Street

Jeśli szukać miejsca, w którym religia, prawo i polityka spotykają się w Waszyngtonie w najbardziej materialny sposób, jest nim odcinek K Street: wielkie kancelarie, firmy lobbingowe, think tanki – codzienna maszyna wpływu.

Kilka przecznic dalej działa Catholic Information Center. To kaplica w centrum systemu, w której kierownictwo duchowe, towarzyskie relacje i zawodowe sieci zaczynają się przynikać. CIC wytwarza środowisko, wspólny język moralny, poczucie misji i prestiż – a w Waszyngtonie prestiż i relacje bywają równie realną walutą jak pieniądze.

Przykładem takiego środowiska jest Leonine Forum, program działający przy CIC, który deklaruje kształcenie „wschodzącego pokolenia liderów” w duchu katolickiej nauki społecznej.

Jednocześnie organizatorzy podkreślają, że program nie jest narzędziem rekrutacji do Opus Dei. Ten charakterystyczny mechanizm – staranna selekcja uczestników połączona z formalnym dystansem wobec zarzutów o rekrutację – pokazuje, jak działa nowoczesny wpływ: nie przez rozkaz, lecz przez socjalizację, prestiż i długotrwałe relacje.

Jeśli chodzi o realną przebudowę amerykańskiego sądownictwa w ostatnich dekadach, kluczową rolę odegrał szerszy ekosystem konserwatywnego ruchu prawniczego, przede wszystkim Federalist Society oraz jej wpływowi działacze Leonard Leo.

Reuters opisywał Leo jako doradcę Donalda Trumpa przy nominacjach sędziowskich oraz współtwórcę list kandydatów do Sądu Najwyższego USA. „Washington Post” wskazywał z kolei jego rolę w mobilizowaniu ogromnych – często nieprzejrzystych – środków finansowych na rzecz konserwatywnych nominacji sędziowskich.

Związek Opus Dei z tym procesem jest zwykle pośredni. Instytucje takie jak CIC nie wybierały sędziów, ale tworzyły środowisko prestiżu i legitymizacji dla ludzi, którzy odgrywali kluczową rolę w zmianie amerykańskiego sądownictwa.

Dobrym przykładem jest fakt, że CIC przyznało Leonardowi Leo Nagrodę św. Jana Pawła II za Nową Ewangelizację, przedstawiając go jako współprzewodniczącego Federalist Society. Taki gest nie dowodzi, że Opus Dei kierowało konserwatywną rewolucją sądową. Pokazuje jednak, że instytucje związane z Opus Dei potrafią nadawać religijne i moralne uzasadnienie projektowi polityczno-prawnemu.

Opus Dei w Polsce

U nas Opus Dei funkcjonowało nie jako egzotyczny dodatek do katolickiego pejzażu, lecz jako środowisko, które przez lata budowało realne relacje z częścią episkopatu.

Trzeba tu jednak odróżnić trzy porządki: formalne członkostwo, ideową sympatię i praktyczną współpracę. W polskich warunkach najlepiej udokumentowany jest ten

Dziewczęta, często biedne, werbowano pod hasłem lepszego życia i kształcenia, a następnie kierowano do gotowania, sprzątania w domach Opus Dei, nierzadko bez wynagrodzenia.

trzeci poziom: wykłady na uczelniach związanych z Dziełem, wysyłanie księży na studia do Pampeluny i Rzymu, publiczne celebrowanie liturgii dla środowiska Opus Dei, wspieranie jego szkół i obecność biskupów na uroczystościach organizowanych przez tę pralaturę.

Sama skala nie była mała: według raportu KAI z 2023 r. Opus Dei działa w Polsce od 1989 r. i skupia 15 kapłanów, ponad 700 wierznych oraz kilka tysięcy współpracowników formowanych w 10 ośrodkach.

Najmocniejszy krąg związków z Opus Dei tworzą nazwiska Tadeusza Pieronka, Józefa Żyzińskiego i Józefa Kowalczyka. W przypadku Pieronka to wieloletni związek akademicki: jego CV potwierdza, że w latach 1985-2003 był visiting professor na Wydziale Prawa Kanonicznego Uniwersytetu Santa Croce.

Żyziński z kolei sam wspominał, że kilkanaście lat wcześniej wykładał w Pampelunie.

Zaznaczmy tu, że Papiński Uniwersytet Świętego Krzyża w Rzymie i Uniwersytet Nawarry w Pampelunie są nie zwykłymi katolickimi uczelniami, lecz instytucjami organicznie związanymi z Opus Dei: Santa Croce sama podkreśla, że powstała z pragnienia Josemarii Escrivy, a Uniwersytet Nawarry oficjalnie wskazuje na Escrivę jako fundatora oraz zaznacza, że jego wielkim kanclerzem jest pralat Opus Dei.

Jeszcze bardziej osobisty ton pobrzmiewa u Józefa Kowalczyka, który mówił wprost, że zetknął się z Opus Dei już w czasach studenckich, znał Escrivę i uczestniczył w prowadzonym przez niego dniu skupienia. Jako nuncjusz przewodniczył też w Warszawie mszy z okazji wspomnienia założyciela Dzieła. To właśnie tu widać nie tylko łączliwość, ale też kanał wpływu: uczelnie, formację, osobiste kontakty i publiczną aprobatę.

Drugi krąg tworzą hierarchowie, którzy traktowali to środowisko jak sprawdzone zaplecze duszpasterskie, intelektualne i wychowawcze. Stanisław Dziwisz odwiedził krakowski ośrodek Barbakan, zostawiając w księdze pamiątkowej jednoznacznie życzliwy wpis, a później przewodniczył mszy za zmarłego pralata Opus Dei Javiera Echevarrię. Oficjalne materiały Dzieła przypominają też obecność Echevarrii na ingresie Dziwisza w 2005 roku.

Stanisław Gądecki nie tylko przewodniczył liturgiom środowiska Opus Dei, ale też w 2024 roku wprost mówił o dziełach w mszach za Josemarię „w wielu miastach w Polsce”, a wcześniej odwiedzał poznański ośrodek Dzieła.

Kazimierz Nycz podczas wizyty pralata Fernando Ocariza dziękował Opus Dei za edukację i formację ludzi „zapracowanych”, chwalał jego ideał „świętości tygodniowej”.

Marek Jędraszewski przewodniczył warszawskiej mszy dziękczynnej za beatyfikację Álvара del Portillo, a bp Grzegorz Balce- rek jeszcze w 2025 roku mówił o „wielkich zasługach” Dzieła, odnosząc to także do szkół Fundacji Sternik inspirowanych duchem Opus Dei.

To już nie są gesty kurtuazyjne. To forma publicznego patronatu.

Są jeszcze przykłady bardziej duszpasterskie, ale również znaczące. Henryk Hoser zaproził ks. Stefana Moszoro-Dąbrowskiego, regionalnego wikariusza Opus Dei, do wygłoszenia katechezy ascetycznej podczas dnia pokuty duchowieństwa diecezjalnego.

Wiktor Skworec po śmierci Javiera Echevarrii nie tylko wysłał list do Opus Dei, ale również odprawił za niego mszę w katowickiej katedrze. Z kolei Marian Jaworski wypowiedział jedno z najmocniejszych publicznych zdań, jakie w ogóle padły z ust hierarchy bliskiego Janowi Pawłowi II: że Opus Dei jest „dziełem Ducha Świętego”.

Strategia kulturowa

Na poziomie transnarodowym ważną rolę odgrywa także Uniwersytet Nawarry założony w 1952 roku jako projekt promowany przez Josemarię Escrivę. Uczelnia stała się jednym z najważniejszych akademickich brandów organizacji i tworzy międzynarodową sieć fundraisingu, stypendiów i relacji absolwentów.

Opus Dei konsekwentnie podkreśla, że jego cele są wyłącznie duchowe, a organizacja nie popiera projektów politycznych ani nie narzuca członkom poglądów partyjnych. Ten argument pojawia się m.in. w korespondencji cytowanej przez „Guardiana” oraz w wypowiedziach organizatorów Leonine Forum.

Ocena wpływu zależy więc od definicji samego wpływu. Jeśli rozumiemy go jako formalne partyjne sterowanie polityką – dostępne dowody tego nie potwierdzają.

Jeśli jednak wpływ oznacza zdolność do kształtowania elit przez formację, sieci instytucjonalne, prestiżowe wydarzenia i relacje osobiste, materiał źródłowy jest znacznie bardziej przekonujący.

Ryzyko polityczne polega tu nie na istnieniu tajnego spisku, lecz na kilku bardziej przyziemnych zjawiskach:

- nieprzejrzystości instytucjonalnej (brak list członków, prywatne zarządy, zamknięte wydarzenia);
- koncentracji kapitału społecznego w miejscach takich jak CIC, gdzie religia i polityka spotykają się w jednym środowisku;
- powiązaniach środowiskowych z siecią „dark money” w konserwatywnym ruchu prawniczym;
- trwałości kadrowej, ponieważ szkoły, programy formacyjne i sieci absolwentów tworzą efekt pokoleniowy, który w długim okresie może wpływać na prawo i instytucje państwa.

Na tym tle widać jedną rzecz bardzo wyraźnie: instytucje, o których mowa, nie znikają wraz ze zmianą administracji, kadencji parlamentu czy składu sądu najwyższego. To infrastruktura budowana na dekady.

Opus Dei jest jednym z przykładów takiej długiej strategii kulturowej. Ale nie jedynym. Historia pokazuje, że ruchy religijne, które wierzą, że ich zadaniem jest „uświęcanie świata” albo „czynienie świata dziełem Bożym”, mają szczególną zdolność przetrwania.

Zmieniają nazwy instytucji, formy organizacyjne i język publiczny, lecz ich podstawowa idea pozostaje ta sama: przekonanie, że religia powinna kształtować życie publiczne, prawo i kulturę. ●

Z PISARKĄ
KATARZYNA GROCHOLA
ROZMAWIA
DOROTA WODECKA
ZDJĘCIA
MATEUSZ SKWARCZEK/
AGENCJA WYBORCZA.PL

To, że nas zdradzano
albo że wybrałyśmy
w życiu niewłaściwą
drogę, jest naszą
sprawą i nie podlega
ocenie dzieci.

Niech to przerabiają na
terapii i nie zadręczają
swoich rodziców.

*Nie oczekujmy,
że dzieci
nam wybaczą*

• Katarzyna Grochola jest autorką m.in. „Nigdy w życiu!”, „Ja wam pokażę!”, „Serce na temblaku”, „Trzepot skrzydeł” oraz „Właśnie, że tak! Nigdy w życiu 20 lat później”

DOROTA WODECKA: Po 20 latach od premiery „Nigdy w życiu” wróciła pani do Judyty. Dla czytelniczek, które razem z nią się postarzały, czy dla młodszych, które mogłyby ewentualnie utożsamiać się z Judyty córką – Tosią?

KATARZYNA GROCHOLA: Kiedy piszę, myślę nie o czytelnikach, tylko o sobie. Chciałam się odciąć od świata, który przepełniają podziały i nienawiść, a w świecie Judyty znajdowałam schronienie i poczucie bezpieczeństwa.

Ludzie rozmawiają w nim ze sobą o tym, czego pragną i czego się lękają, nie czują się samotni i bezradni, bo mają wsparcie rodziny i przyjaciół. Codzienne problemy, które dręczą Judytę, sprowadzają się do rozmyślenia, czy jej córka ułoży sobie życie albo czy sałatka jarzynowa powinna być z porem i z jajkiem czy bez jajka. Byłam ciekawa jej losów, a zaczynając pisać, nie byłam pewna, jak się potoczą. Same mi się napisały.

Miałam ambiwalentne uczucia, kiedy przed laty oglądaliśmy z córkami film zrealizowany na podstawie pani książki i teraz, gdy czytałam „Właśnie, że tak”.

– Podobały się pani?

Wolałam, by mi się nie podobały. Byłam zła na siebie, że daję się uwodzić bajce.

– Nie lubi pani bajek? Ja lubię i czasami nawet sama je piszę. Tę napisałam po to, by nie zapomnieć, jak ważne są w życiu bliskość, miłość i przyjaźń. Czy to coś złego, jeśli i inni będą o tym pamiętać?

W pierwszej części mąż Judyty odchodzi do młodszej kobiety, przejmuje ich wspólne mieszkanie, a w zamian oferuje Judycie i córce obskurną kawalerkę. Judyta ją sprzedaje i buduje dom. Nie dość, że jej się to udaje, to jeszcze w jej życiu pojawia się rycerz na białym koniu.

– Nie wybawia jej z żadnej opresji. Dom jest już zbudowany, sytuacja życiowa ustabilizowana i Judyta jest gotowa odpowiedzieć na miłość, która się w jej życiu pojawia. On nie dodaje jej sprawczości.

Jeśli są jakieś badania społeczne, to powinny potwierdzać, że za sprawą pani bohaterki Polki uwierzyły w swoją sprawczość.

– Uwierzyły, o czym słyszałam na spotkaniach autorskich. Niektóre zbudowały dom, a inne odchodziły z nieszczęśliwych związków i od przemocowanych mężów.

Pani jest Judytą, prawda?

– Rzeczywiście, najbliższe jest mi do niej, ale w swoich książkach jestem każdym bohaterem. Kobietą, która zdradza i jej zdradzonym partnerem, facetem, który nie ogarnia, dziewczyną, która zaznaje przemocy, i kotem, którego ktoś oderwał ogon.

Dramaturgiczne zwroty w powieści przywodzą mi na myśl bardziej literaturę non fiction niż fiction. Możemy w ogromnym skrócie przywołać pani biografię?

– Możemy, ale o mojej biografii nic odkrywczego nie mam do powiedzenia, bo, jak się pani domyśla, moja biografia się nie zmieniła.

W liceum marzy pani o studiowaniu medycyny i po klasie humanistycznej postanawia zdawać maturę z chemii i fizyki, co okazuje się poronionym pomysłem.

– Tylko za pierwszym razem. Poprawkę zdałam.

Na rekrutację jest już za późno, dlatego zostaje pani salową w szpitalu, dzięki czemu przy rekrutacji na medycynę może pani liczyć na dodatkowe punkty. Zmienia pani plany i wybiera studia na polonistycę we Wrocławiu. Mimo że napisała pani najlepszą pracę pisemną, na egzaminach ustnych zżera panią stres i ostatecznie daruje sobie pani studiowanie. Pani matka się martwi, że bez studiów nie pozostanie pani nic innego



Jestem podobna do Judyty: mądra w cudzych życiach, kiepska w swoim

jak praca na poczcie, co – jak rozumiem – w rodzinie inteligentnej nie uchodzi.

– Wbrew jej prognozom dostaję pracę jako asystentka cukiernika, a potem korektorka w wydawnictwie Nasza Księgarnia. Wtedy poznaję swojego przyszłego męża, z którym wyjeżdżam do Libii. Kilkanaście dni przed naszym wyjazdem okazało się, że mogę dostać tam pracę jako sekretarka w polskiej firmie. Od nauczycielki stenotypii dostaję kartkę z wyrysowaną klawiaturą i wskazówki, jak mam trzymać palce. Mówi, że najważniejsze to nie patrzeć w klawiaturę, bo jeśli spojrzę, to nigdy się nie nauczę.

Naprawdę nauczyła się pani w tygodniu?

– Tyle miałam czasu do wyjazdu. Nie znałam żadnego języka, a pisanie bezwzroczne na maszynie pozwala na przepisywanie tekstów bez ich znajomości.

I?

– I jest świetnie. Mam 21 lat i rodzi się Dorota. Wracam z nią do Polski, bo się zakochuję. Mąż i ukochany zostają w Libii, a ja dostaję pracę jako korektorka w Krajowej Agencji Wydawniczej. Rozwodzę się, dostaję raka, a wtedy mój ukochany mnie zostawia.

Przeżyłam i w 1989 roku zakładamy z trzema przyjaciółkami spółkę, która nie przynosi zysków. One sprowadzają z Hiszpanii buty i tkaniny, a ja jestem dyrektorem składu całego, czyli zwalniam do cła towary, a wieczorami pracuję jako magazynier.

Gdzie?

– We własnej spółce. Potem zatrudniam się w Fundacji Rozwoju Demokracji Lokalnej jako asystentka dyrektora programu amerykańskiego. Świetnie tam zarabiam, ale jest strasznie nudno. Właściwie jestem „panią od ksero”, moja praca zajmuje mi 40 minut, a przez pozostałe siedem godzin nie mam nic do roboty. Dowiaduję się, że wydawnictwo Prószyński i Spółka poszukuje kogoś, kto będzie odpisy-

wał na listy czytelników do „Poradnika Domo-wego”. Dostaję trzy listy, na które mam napisać odpowiedź. I zostaję przyjęta.

Judyta też odpisuje na listy czytelników. Kiedy pojawia się rycerz?

– Na tym etapie życia. I, niestety, wychodzę za niego za mąż. Wyobrażałam sobie, że mężczyzna po przejściach i kobieta z przeszłością mogą się dogadać, jeśli są dorośli.

Co dalej, wiem, bo czytałam. Współczuję pani.

– Robi się z tego opowieść, jakby to było pół życia, a nie tylko trzy lata.

„Tylko” czy „aż”?

– Oczywiście, że „aż”, ale są kobiety, które trwają w takich związkach kilkanaście lat albo i dłużej. Co najdziwniejsze, odpowiadałam wtedy na listy kobiet bitych, żyjących w przemocowanych związkach, żon alkoholików i jakie to były mądre listy!

Pisałam im, jak odejść, jak się bronić i chronić, i gdzie szukać pomocy. Pisałam, że powinny powiedzieć wszystkim przyjaciółce, rodzinie, rodzicom i poinformować jego rodzinę.

To jest nieprawdopodobne, że tymi rękami pisałam mądre, a na głowie miałam coś w rodzaju helmu, przez który nie docierały do mnie rady dawane innym kobietom. Niewiele pamiętam z tamtego czasu. Głównie uczucie zakleszczenia, jakbym została wsadzona w spiralę, która mnie wciąga w dół. Opisałam to w książce „Trzepot skrzydeł”.

Nie wiedziała pani, że jest alkoholikiem?

– Mówił, że nie jest, a skoro tak mówił, to mu wierzyłam.

Jak sobie pani wytłumaczyła pierwszy raz?

– Jak on mi wytłumaczył? Że nie wie, co się z nim stało, że się napił, że nie pamięta, że już nigdy w życiu.

Powiedziała pani rodzicom?

– Skąd?! Wiadomo, że to się zdarzyło raz i nie wypada nawet o tym wspominać. Było mi wstyd za niego. Byłam tak zdziwiona tym, co zrobił, że nawet nie wiem, czy poczułam ból.

A drugi raz?

– Dorotka spała, a ja czytałam w kuchni książkę. Wpadł i zaczął mnie obkladać kijem. Scho-wałam twarz i głowę w obu rękach. A potem uciekłam przez okno do sąsiadki i błagałam ją, żeby wyciągnęła z domu Dorotkę. Następnego dnia moje przedramiona były w poprzecznych pręgach. Zatraskany mąż zawiózł mnie do lekarza.

Mąż?!

– Tak, bo przecież on kochał mnie nad życiem i nie wiedział, co mu się stało. Nie pamiętał. I może pójść do wszystkich psychologów świata, by zrozumieć, jak mógł zrobić coś takiego. Powiedziała lekarzowi, że psy się pogryzły i oberwałam, kiedy mąż próbował je rozdzielać. Popatrzył na mnie ze współczuciem albo ze złością.

Nie chcę panią dręczyć i przywoływać innych razów, bo każdy jest potworny. Nie przyszło pani do głowy, że trzeba uciekać?

– Nie, bo jeśli człowiek jest wciągnięty w krąg przemocy, to wie, że partner jest dobry, tylko mu się wymknęło. Nie zapanował nad emocjami, nie wiedział, co robi, „przecież on by mnie w życiu nie uderzył”.

Człowiek poddany przemocy przestaje być w kontakcie z samym sobą. W takim stanie bezkontaktu podjęłam kilka ważnych decyzji. Sprzedałam swoje mieszkanie w Warszawie, byśmy mogli wybudować dom w Grodzisku, i nie pamiętałam, bym to robiła świadomie. Uczucia były odcięte, ale moje ciało czuło.

Kiedy wrócił z ferii zimowych, przytulił mnie i powiedział, że bardzo się stęsknił i mnie kocha, przeszył mnie ból i osunęłam się na podłogę. W szpitalu się okazało, że mam 22 ty-

siące białych ciałek krwi, czyli jakieś zapalenie, które minęło po trzech dniach.

Po dwóch latach pani uciekła.

– Do przyjaciół, którzy mieszkali trzy kilometry dalej. Dorota mnie wtedy uratowała, bo było o krok, że mnie zabije. Udawała, że zadzwoniła do znajomych. Mówiła do głuchej słuchawki, żeby przyjechali albo ona dzwoni po policję.

Przestał mnie wtedy dusić, wyrwał ze ściany kabel telefoniczny i powiedział, że mamy minutę na wyniesienie się. Wzięłam dziecko, pieska, naszego szczura i bez bagaży, bez dowodu, bez niczego poszliśmy do przyjaciół.

Wróciła pani po swoje rzeczy?

– Z policją nawet, ale nie mogliśmy się dostać do środka, bo spał. Ale sprawy nie zgłosiłam na policję.

Rok później uciekła pani ostatecznie.

Wrzucił wtedy pani kota między psy. Aż trudno o tym mówić.

– Wtedy nie uciekłam, tylko podjęłam świadomą decyzję, że odchodzę. Miałam w nosie, że ma kochankę. Ten rozszarpany kot przechrzył szalę.

Dlaczego pani w ogóle do niego wróciła?

– Obiecał, że zacznie się leczyć. Jego terapeuta próbował mi wtedy wytłumaczyć, że są ludzie gumy, którzy spełniają oczekiwania innych tak długo, aż się nie wkurwią, nie sięgną po nóż i nie zabiją.

Mówiłam na to, że mój mąż się leczy, jest w AA, na co on znów o ludziach gumach, którzy nawet jeżeli przestaną nadużywać alkoholu, seksu czy narkotyków, dalej pozostają gumowii.

A ja znów swoje, byśmy wrócili do mojego męża. Jak sobie przypominę tę rozmowę, to ogarnia mnie współczucie, jakie się ma do malej dziewczynki, która trzeci raz sięga do trójwymiarowej pocztówki, żeby wyjąć pileczkę.

Wypierała pani fakty?

– Kiedy miałam pierwszego raka, mój przyjaciel Jacek, który o czasie, gdy razem byliśmy salowymi, został lekarzem, mówił mi, że nie będę operowana, na co ja kiwałam głową, że dobrze, tylko muszę znać termin operacji, żeby powiedzieć mamie, kiedy musi się zająć moim dzieckiem.

Ordynator powtórzył, że jest za późno na operację i zdecydowali, że będę leczona innymi metodami. Pytał, czy rozumiem, co do mnie mówi, a ja że rozumiem, ale proszę mi podać termin operacji, bo muszę powiedzieć mamie.

I to samo było w moim drugim małżeństwie. Za pierwszym razem moje odcięcie mi pomogło, bo lekarze postanowili mnie jednak otworzyć. Operacji podjął się profesor Doroszewski, którego siostrzenica albo bratanica zmarła w moim wieku na raka. Może był wzruszony, że ma przed sobą 30-latkę z małym dzieckiem.

Czy wie już pani, dlaczego używała mechanizmów wyparcia?

– Mechanizm wypierania nie polega na świadomym podejmowaniu decyzji. Wszystko się dzieje na poziomie podświadomym i dlatego jest mi trudno odpowiedzieć na pytanie: „Dlaczego?”. Dlatego, że tak.

Jak pani tłumaczyła córce, że jej mama jest bita?

– Uspakajałam ją, że wszystko będzie dobrze, prosiłam, żeby szła na górę do swojego pokoju i go nie denerwowała. A przede wszystkim to jej nie wierzyłam, że ją na przykład kopnął w głowę. Jej oskarżenie było tak surrealistyczne jak to, że za chwilę podejdzie do nas kelnerka, stanie na rękach i położy stopy na naszym stoliku. Nikt nie uwierzy przecież, że tak by mogło się zaraz stać.

Wie pani, co musi czuć dziecko, kiedy jego rodzic nie wierzy mu, że jest krzywdzone?

– Wiem... Niestety, wiem... Przeprosiłam ją.

Pomyślałam o czymś strasznym...

– Dorota miała zamek w drzwiach. Kiedy znalazłam swój pamiętnik z tamtego czasu, okazało się, że zamki w drzwiach były moim pomysłem, więc może podświadomie się spodziewałam, że będą nam potrzebne? W moim domu nie ma zamków. Nawet w łazienkach, chociaż akurat tam by się przydały.

Nie, nie molestował mojej córki, ale molestował córkę mojej następczyni. Zgłosiła się do Doroty, zapytała, co ma robić, bo sądziła, że Dorota też była w takiej samej jak ona sytuacji.

I on nigdy nie poniósł kary?

– A jakie mamy dowody na to, że mówię prawdę? Może mnie oskarżyć o zniesławienie albo wybić mi okna w domu. Robimy przerwę. Pali pani?

###

Gdzie mieszkacie, kiedy wyprowadza się pani z Grodziska?

– Przez pół roku różnie: trochę u przyjaciół, trochę u rodziny. Kiedy Dorotka idzie we wrześniu do liceum, instaluje się w Warszawie u mojego ojca, a ja buduję dla nas mały domeczek.

Skąd ma pani pieniądze? Tak jak Judyta od babci?

– Nie. Dostałam mniejszą część ze sprzedaży domu w Grodzisku, wtedy 45 tysięcy, a na dzisiejsze pieniądze 450 tysięcy. 10 tysięcy kosztowała ziemia, ale ostatecznie zapłaciłam za nią 20 tysięcy...

Negocjacje opisała pani w „Nigdy w życiu”? Im bardziej pani się nakręcała, tym wyższą cenę proponowała sprzedawczyni.

– Tak rzeczywiście było. Za resztę zbudowałam z murarzem domek. Był mały, 45 metrów kwadratowych.

Budowała go pani w sensie ścisłym?

– Tak. Robiłam klej i układałam 30-kilogramowe pustaki. Górne warstwy układał murarz, ja podawałam pustaki. Z książkową Ulą stawałyśmy w nocy komin. Zośka podawała mi z dołu cegły, ja stałam na przęśle i przekazywałam je murarzowi.

Mieszkałam u jednej albo u drugiej sąsiadki, bo musiałam być na budowie o 6 rano. Dla dobrej wróżby przy wylewaniu fundamentów wrzuciłam pod próg list w butelce, w którym napisałam, że to jest mieszkanie Katarzyny i Doroty Szelańgowskiej, w którym będą żyć szczęśliwie. Pod każdy róg położyłam niewielkie pieniądze, a pod jednym dołożyłam swoje jedyne złote kolczyki. Piękne, miały kształt drobnych listeczków.

Pomyślałam, że skoro murarze zamurują ją w fundamenty pieniądze jako zapowiedź szczęścia i dostatku, to co to będzie za dom, jeśli ja wmuruję złoto?! Wzięłam też kamień od dobrej rodziny i wrzuciłam w cement jako zapowiedź, że i ja będę miała kiedyś dobrą rodzinę. Dobre rzeczy mi się wtedy przydarzały, takie jak z bajki.

Opowie pani?

– Zepsuła się betoniarka i robotnicy wylewający fundamenty powiedzieli, że nie będą pracować, dopóki nie przyniosę im drugiej. Wyszłam na ulicę Łąkową w Milanówku i zobaczyłam, że stoi przy jednym z domów. Zapukałam i zapytałam, czy mogę ją pożyczyć na dwa dni.

Mogłam, tylko nie miałam pojęcia, jak ją przewiozę. I wtedy na ulicę, po której dziennie przejeżdżały dwa, trzy samochody, wjechał ostrówek, czyli wielka, żółta maszyna z łyżką. Zatrzymałam ją i zapytałam kierowcę, czy za 10 złotych przewiezie mi ją 50 metrów dalej. Przewiózł. Trzeba było widzieć miny tych facetów, gdy przyjechałam z betoniarką. Więc zdarzały mi się cuda naprawdę piękne.

Jak sobie pani radziła finansowo, budując dom i posyłając córkę do prywatnego liceum?

– Pomagali mi rodzice. Dostałam ich cały majątek, czyli ze 125 dolarów i 800 złotych od matki. Odpowiadałam na listy, przepisywałam na maszynie prace magisterskie, czasami udawało mi się wydrukować pod pseudonimem jakieś opowiadanie, za co dostawałam 300 złotych.

Dlaczego pod pseudonimem?

– Dlatego że jak wysyłałam pod Grocholą, to nikt nie chciał go opublikować. Gdy wysyłałam to samo pod pseudonimem Anna Borsuk – chcieli.

Alimenty?

– Niewielkie. Wywalczono sądownie.

Kształcenie córki w prywatnej szkole kosztem skromnego, a niekiedy biednego życia?

– Być może córka z powodu swojej skłonności do anarchii nie dostałaby się do publicznej szkoły? Czasami kupowałam w sklepie na umowny zeszyt.

Od czasu do czasu postanawialiśmy z Dorotką, że zjemy coś luksusowego. Na przykład szparagi za 12 złotych. Byłam wdzięczna panu, który sprowadzał dla nas jeden słoiczek szparagów albo puszczkę muli czy anchois, a kiedy nie miałam pieniędzy, mogłam zapłacić później.

Wtedy oczywiście już nie kupowałam puszczonej z anchois, tylko pół chleba i ćwierć kostki masła.

Przestał mnie wtedy dusić, wyrwał ze ściany kabel telefoniczny i powiedział, że mamy minutę na wyniesienie się. Wzięłam dziecko, pieska i naszego szczura

Bywało, że mogłam wydać 8 złotych dziennie, co starczało na kawalek kurczaka, ale już nie na warzywa. Raz stanęłam przed samochodem pana Andrzeja, który do dzisiaj przyjeżdża do Milanówka z warzywami, i zapytałam, czy da mi trochę buraków albo rzepy, nie pamiętam już, jeśli za niego poodcinam tasakiem łodygi od bulw.

Najpierw potraktował moją propozycję jak żart, sądził, że gdzieś jest ustawiona ukryta kamera. Dzielnie walczyłam z tasakiem i kiedy oczyściłam z lodgy jedną czy dwie skrzynki, mogłam sobie zabrać trochę warzyw.

Chciał mi je dawać za darmo, kiedy uwierzył, że naprawdę nie mam pieniędzy, ale ja chciałam uczciwie na nie zarobić.

Bez wstydu?

– Ale czego miałam się wstydzić? Prosiłam o pomoc i czułam się obdarowana. Cieszyłam się, że sprzedawcy mi ufają i wiedzą, że oddam im pieniądze.

Jak na te starania matki patrzyła nastolatka?

– Na pewno było jej ciężko, bo musiała dojeżdżać do szkoły w Warszawie. Nie miałyśmy ogrzewania, tylko komin, a na betonowych podłogach zamiast dywanów leżała sztuczna trawa, dwa złote za metr bieżący i dwa metry szerokości.

Zimą temperatura spadała do dziewięciu stopni, a czasami i do dwóch, ale wtedy Dorotka mieszkała u moich rodziców. Kiedyś otworzyła lodówkę, w której był tylko trójgłok topionego sera tylżyckiego, i się rozplakała.

Co było najtrudniejsze w samodzielnym macierzyństwie?

– Brak wsparcia ze strony ojca dziecka czy partnera. Dorotka gorączkuje w nocy, a ja nie mogłam zostawić jej samej, by pojechać do apteki, zresztą nie miałam samochodu. Czasami bałam się, że coś nam się może stać i nie będziemy w stanie sobie poradzić. Moja córka dwa razy wzywała do mnie pogotowie, była wtedy sześciolatnią dziewczynką.

Czy ona była pani przyjaciółką i opiekunką?

– Myśmy nigdy nie miały, dzięki Bogu, relacji przyjacielskiej. Zdarzało się w znanych mi rodzinach, że dzieci mówiły do rodziców po imieniu, ale ja wołałam, by Dorotka krzyczała do mnie: „Nienawidzę cię, mamo!”, niż „Nienawidzę cię, Kasiu!”.

Miałyśmy nielatwą relację. Klóczyłyśmy się. Nie słuchałyśmy siebie, a szkoda. Dorotka miała wystrzone spojrzenie i gdybym jej słuchała, być może wcześniej przejrzałabym na oczy i ominęłyby mnie dwa związki, w których byłam nadużywana, co ona widziała. Gdyby ona słuchała mnie, prawdopodobnie też uniknęłyby bólu.

Co za różnica, czy w tej awanturze dziecko wrzeszczy per mamo, tato czy po imieniu?

– Dla mnie istotna. Nie przestaję być jej matką. Nigdy. I ona nie traci matki – nigdy – nawet jak jest na nią wściekła.

Czy wychowując samodzielnie córkę, popełniła pani błędy, których nie może pani sobie wybaczyć?

– Gdybym nie mogła sobie wybaczyć, to bym dzisiaj nie mogła być lepszą matką. Muszę je sobie wybaczyć. Muszę sobie wybaczyć wszystkie te razy, kiedy moja teściowa szczypała mnie i mówiła: „No przytul ją, no przytul”. Ja wtedy martwiałam, zamiast przytulić swoje dziecko.

Znam ten rodzaj odrętwienia.

– Noszenie w sobie poczucia winy ustawia nas w roli ofiary. Swojej, ale jednak ofiary. Nie umiałaś. Nie nadawałaś się. Byłaś zła. Jesteś zła. Nie można się zadręczać przeszłością, tylko zrobić ratunek sumienia, żałować za grzechy, zadośćuczynić i ruszać do przodu. Mogłabym zostać w poczuciu, że byłam matką niewyrabiającą się, ale po co?

Byłam matką, która nie jeździła z dzieckiem na wakacje, bo nie miałam na to pieniędzy. Dorotka napisała w jednym ze swoich felietonów, że wtedy miała do mnie pretensje, że wypycham ją na wakacje z ciocią i wujkiem, ale jako dojrzała kobieta rozumie, dlaczego tak się działo. Inaczej myśli dziecko, które się czuje zaniedbane, a inaczej dorosła kobieta i matka.

A myśli pani, że jesteśmy w stanie zadośćuczynić dorosłym dzieciom za przeszłość?

– Nie. Czy one tego oczekują?

Może to jest tylko nasze oczekiwanie?

– Tak sądzę.

Chcemy, by nasze dzieci wybaczyły nam przeszłość, kiedy nie ogarnialiśmy.

– Nie, nie i nie. One nie mają dużo do wybaczenia. Z całym szacunkiem do wszystkich obecnych tu córek, to my mamy sobie wybaczyć. Sorry, ale gradacja w świecie jest oczywista: pan Bóg, pradziadkowie, dziadkowie, rodzice, dzieci.

To my zakładamy sobie maskę tlenową w samolocie pierwsze, a my chcemy odwrotnie – i tej zasady też trzeba się trzymać w życiu. A to, że nas zdradzano albo wybrałyśmy w życiu niewłaściwą drogę, jest naszą sprawą i nie podlega ocenie dzieci.

Niech to przerabiają na terapii i nie zdręczają swoich rodziców, tym bardziej że tamtych rodziców już dawno nie ma. Są starszankami, którzy kiwają się w fotelach przed telewizorem albo leżą w grobach.

Moja ciotka powiedziała mi kiedyś, że gdybym mogła być lepszą matką, to bym nią była. A jeśli nie byłam, to znaczy, że byłam najlepszą, jaką mogłam być. I mam się od siebie odpiąć. Dodam, że to cytat.

Fajny postulat, ale trudny do zrealizowania. Swoją drogą, kiedy przed laty zapytałam Wiktora Osiatyńskiego, co jest najważniejsze w życiu, powiedział: „Wstać rano, zrobić przedziałek i odpiąć się od siebie”.

– I jest w tym mądrość. Nie oczekujemy, że dzieci nam wybaczą. Zrozumieć – tak. Wybaczyć – nie. Wybaczać nam może Pan Bóg.

###

Co „Nigdy w życiu” zmieniło w pani życiu?

– Zasadniczo zmieniło wszystko. Przestałam marznąć w domu, bo kupiłam piec. Położyłam podłogi i mogłam nawet kupić samochód.

Wymyśliła pani Judytę w lodowatym domu?!

– Tak, kiedy padł mi komputer i straciłam swoje listy i felietony, które pisałam do czasopisma „Jestem”. Próbowałam je odtworzyć z pamięci, część na szczęście miałam zachowanych w papierze. Ta książka wzięła się z moich felietonów, które nadbudowałam fabułą, co zajęło mi cztery tygodnie.

W domu było 11 stopni na plusie, Dorotka mieszkała u moich rodziców. Siedziałam przy kominku z nogami w miednicy, obok postawiłam czajnik elektryczny, który dostałam od kuzynki, i kiedy woda w miednicy stygła, dolewałam do niej wrzątku. Ale nie poczułam się jeszcze wtedy pisarką.

Miała już pani za sobą książkę „Przegryźć dżdżownicę”.

– Przeszła bez większego echa. W 1997 roku tekst „Przegryźć dżdżownicę” trafił do Joanny Żółkowskiej. Dotarłam do niej przez koleżankę, która pracowała w telewizji. Powiedziała, że jej się podoba i wystawi go w teatrze w Poznaniu i w związku z tą zapowiedzią kolega wydał moją książkę.

Reżyserował Andrzej Chyra. Huśtał się na huśtawce w moim ogrodzie i mówił, że już nie zostanie aktorem, skoro do tej pory mu się to nie udało, a miał 35 lat. Powiedziałam mu wtedy, że zostanie aktorem i będzie miał publiczność na kolanach.

Dlaczego chciała go pani pocieszyć?

– Bo chyba wiedziałam, że jest wybitny. Paweł Królikowski, świętej pamięci, też siedział u mnie w ogródku. Piliśmy koniak, a on się żalił, że już nigdy niczego nie zagra, bo kto ze chce zatrudnić kogoś, kto prowadzi w telewizji program dla dzieci. Paweł, powiedziałam, zobaczysz, jeszcze cię będzie publiczność kochać.

No to może i mnie pani jakąś dobrą przyszłość wywieszy, ale na razie nie rozumiem, dlaczego nie czuła się pani pisarką po sukcesie „Nigdy w życiu”?

– Nabrałam pewności, że mogę pisać, ale żeby nazywać siebie pisarką? Skutecznie studiowała mnie w tej kwestii matka, bo mówiła, że każdy człowiek może napisać w życiu jedną bardzo

dobrą książkę. Pisarką poczułam się po „Trzepocie skrzydeł” i „Przeznaczonych”.

Co to właściwie znaczyło?

– Poczułam, jakbym została pasowana na rycerza i dostała swój miecz. Mogłam pisać jawnie, a nie do szuflady, co robiłam od czasów nastoletnich. Wewnętrzny imperatyw nakazywał mi być uważną i nie pisać niczego, co mogłoby pociągnąć ludzi w stronę zła. Chciałam pisać tak, by promować dobro. I nie oszukiwać. Nie chciałam pisać politycznych manifestów, tylko to, do czego jestem przekonana.

Sądzi pani, że kobieta nie może mieć spełnionego życia bez partnera?

– Przez długi czas byłam samodzielną matką i nie czułam, że z tego powodu moje życie nie jest spełnione. Ale kiedy pięć lat temu poznałam swojego męża – zakochałam się.

Ludzie pragną miłości, nie licząc socjopatów, psychopatów, ludzi z gumy i tych, którzy nie dopuszczają do siebie emocji ze strachu, że się rozpadną na czynniki pierwsze.

Są też buddyjscy mnisi, którym samotność pozwala doznać oświecenia, i dziewice konsekrowane, które wybierają samotne życie dla Jezusa. Nie znamy źródeł ludzkiej samotności.

Z pewnością Judyta była feministką i kobietą niezależną, ale mam wrażenie, że przez dwadzieścia lat nie dojrzała.

O ile rady, jakich udziela innym, wydają się rozsądne, o tyle jednak wtrącanie się w życie córki i manipulacje, jakich się dopuszcza, by ratować ją przed rzekomo niewłaściwym mężczyzną, są nie do zniesienia. Plus nieustające czarnowidztwo i zamartwianie się.

– Judyta potrafi mądrze doradzić innym, ale w swoich sprawach niekoniecznie umie zachować rozsądek. Jestem do niej podobna – mądra w cudzych życiach, kiepska w swoim.

Szewe bez butów chodzi?

– To jest prawda życiowa, trzeba przyznać. Poza tym do mojej intrygi była mi potrzebna osoba, która będzie mnożyć rozmaite scenariusze, nie tylko czarne.

Uważa pani, że zamartwianie się przynależy tylko kobietom?

– Na pewno nie tylko, ale my, kobiety, chcemy mieć ogarniętą rzeczywistość, co w ogóle jest bzdurą, bo rzeczywistości się nie da ogarnąć. Można tylko reagować na nią. Poza tym czarne scenariusze mogą przesłonić nam realność, co mnie się zdarzyło. Myślałam, że już koniec ze mną, ale gdy się zebrałam w sobie, całkiem niezłe sobie poradziłam.

Co się stało?

– Nie było prądu, padło ogrzewanie, woda zamrzła, bo na dworze minus 23 stopnie, w samochodzie siadł akumulator, ja byłam sama w domu, miałam 20 złotych, nic do jedzenia ani dla siebie, ani dla psa i kota, bo mąż wyjechał z kochanką na narty.

I w takim stanie ducha otworzyłam książkę, która wypadła mi z półki, i przeczytałam: „Wypisz 10 rzeczy, które posiadasz i które są dobre”. Napisałam więc, że mam kartkę i ołówek, kominek, telefon, z którego mogę zadzwonić do rodziców – i uzmysłowiłam sobie, że sama sobie wyprodukowałam niemożność działania.

Napaliłam w kominku, zsyłam resztki makaronu i ryżu do garnka i zagotowałam je zwierzętom, okraszając jedną zwiędłą parówką. Byłam uratowana. Znalazłam tę kartkę 15 lat temu i bardzo się wzruszyłam.

To stąd pani przekonanie, że „wszystko jest odbiciem stanu naszego umysłu”?

– Świat jest, jaki jest, a nasz stosunek do niego determinuje ten świat. Kiedy brałam udział w „Tańcu z gwiazdami”...

...swoją drogą po kolejnym życiowym rozstaniu...

– Nie chciałam się nim zadreć, dlatego zgodziłam się wziąć udział w programie. Więc siedzieliśmy z moim partnerem Janem Klimentem i przez 10 godzin oczekiwania na występ patrzyliśmy na przechodzących koło nas ludzi i o każdej osobie mówiliśmy coś dobrego, wynajdywaliśmy coś, co nas w niej zachwyciło.

Po co?

– Żeby świat był lepszy.

Judyta prowadzi z mężem biuro matrymonialne, co również pani może wpisać sobie w CV. Z jej doświadczenia wynika, że oczekiwania wobec kandydata warto czasami pomniejszyć, zwłaszcza w kwestii wyglądu i wykształcenia, a algorytm wyliczający zgodność par na poziomie zbliżonym do stu procent, nie gwarantuje trwałego związku. To co go gwarantuje?

– Brak oczekiwań, że partnerka czy partner będą dzielić z nami wszystko. Albo chcemy kochać kogoś, albo kochać swoje odbicie w cudzych oczach. Naprawdę płacziwy film możemy obejrzeć z przyjaciółką, do filharmonii pójść ze znajomymi, a kiedy partner ogląda mecz, możemy poczytać.

No i fundamentalne – albo masz rację, albo masz związek.

Albo chcemy kochać kogoś, albo kochać swoje odbicie w cudzych oczach

Na festiwalu Góry Literatury zwróciła się pani do męskiej publiczności z apelem. Jeśli zdradzona lub zraniona żona mówi im, że mają się wyprowadzić, to broń Boże nie powinni tego robić. Bo tak naprawdę ona nie chce, by się spakowali, tylko by powiedzieli, że ją kochają i jest dla nich ważna. Trudno mi się z tym zgodzić.

– Dlaczego?

Bo w ten sposób powiela pani stereotyp, że kobiety nie wiedzą, czego chcą, a ich „nie” tak naprawdę znaczy „tak”.

– Mam uwierzyć, że pani się nigdy nie zdarzyło powiedzieć „tak”, podczas gdy wolala powiedzieć „nie” – albo odwrotnie? Wszystkim się to zdarza, bez względu na płeć. Takie prawdziwe życie, a ja nigdy nie chciałam pisać feministycznych manifestów.

Historia, o której pani wspomina, ma kontekst. Kiedyś po moim spotkaniu zgłosił się do mnie delikwent w oplakany stan emocjonalnym. Miał ze sobą książkę „Nigdy w życiu” i prosił, bym napisała w niej list do jego żony.

A w tym liście, co miała pani napisać?

– Że ją kocha i żeby mu wybaczyła. Opowiedział mi, że miał przygodę niepotrzebną, głupią i zbędną, o której powiedział żonie, a ona kazala mu się wynieść z domu; co zrobił.

Powiedziałam mu, że nikt nie jest zabawką, której można powiedzieć: wynoś się. Jeśli facetowi zależy na kobiecie, to ma tupnąć nogą, a nie się wynosić, chyba że mu nie zależy, to wtedy jak najbardziej.

Patrzył na mnie wielkimi oczami i pytał, co ma teraz zrobić. Powiedziałam, żeby wracał do domu, klęknął przed żoną i przeprosił, że był idiotą.

Co to znaczy „wynoś się”? Nie wolno się wynosić. Nie możemy traktować innych ludzi jak rzeczy. Dom to nie hotel, z którego można kogoś wyrzucać. Dorośli ludzie, jeśli decydują się na rozstanie, rozmawiają o tym, a nie działają w emocjach.

Moja przyjaciółka, zraniona przez męża, wniosła o pozew rozwodowy. Na rozprawie sędzia poprosiła ich o dowody osobiste i zapytała, czy chcą się rozwieść. On powiedział, że absolutnie nie, złapał żonę za rękę, wziął oba dowody ze stołu i wybiegli. I wciąż żyją razem.

Bywa, że ludzie się rozwodzą, bo unoszą się z honorem i fałszywie pojmovaną dumą, a rozwód jest dla nich bułką z masłem w porównaniu z przyznaniem się do swoich prawdziwych uczuć.

Swoją drogą w drugiej części książki, jeśli ludzie ze sobą szczerze porozmawiają albo godzą się ze sobą, potrzebują wsparcia alkoholu. Dlaczego?

– A dlaczego nie? Alkohol rozwiązuje języki i wprawia w dobry nastrój. Pani nie pije wina z przyjaciółmi?

Czy takie sceny nie są promowaniem alkoholu jako sposobu na życiowe trudności?

– Na 500 stronach moi bohaterowie piją trzykrotnie. To dużo? To, co napisałam, nie jest już moje i wiem, że może wywoływać złe skojarzenia u osób, które wychowały się w rodzinie przemocowej. Dla innych sięganie po wino czy mocniejsze trunki jest neutralne i nieobarczone żadnym przykrym kontekstem.

Jak byśmy bardzo nie chcieli naśladować naszych rodziców, to zawsze to robimy.

Nie martwi to pani?

– Dorotka mi kiedyś powiedziała, że gdyby nie stało się, co się stało, byłaby inną osobą. Wiem, że to jest myślenie magiczne. Ja też upierałam się, że jest świetnie, a w plecach miałam dziury po 60 kulach, jakimi trafiło mnie życie.

Ale czasami myślę, jak Dorotka: że tak musiało być. Może wciąż byłabym korektorką, gdybym nie wyprowadziła się z tamtej wojny? Zebrałam spory zasób doświadczeń, co pozwala mi być pisarką.

Właściwie czemu nie została pani lekarką?

– Jako salowa pracowałam na oddziale wewnętrznym, gdzie w kilka miesięcy umarło kilkadziesiąt osób. Czuwałam przy nich, bo miałam nadzieję, że przy mnie nie umrą. Dla dwunastoletniej dziewczyny to zbyt mocne doświadczenie, dlatego zrezygnowałam, co nie znaczy, że nie odbiło się ono na moim życiu. Bo widząc, jak ludzie reagują na śmierć, co mówią w chwili agonii, uwierzyłam w Boga. Ochrzciliam się.

Pochodzi pani z laickiego, inteligenckiego domu?

– Tak, z babką, która wystąpiła z klasztoru przed złożeniem ślubów wieczystych, ale do końca życia pozostała głęboko wierząca.

Deklaruje się pani jako pokątna liberalnie katolicka i przypisuje taką postawę naszym rodakom. Co to znaczy?

– Podobnie jak większość Polaków wierzę w Boga, ale nie mogę się zgodzić z doktryną Kościoła katolickiego, która zabrania osobom żyjącym w kolejnym związku przystąpić do komunii. Denerwuje mnie hipokryzja księży, którzy grzmą z ambony o życiu w grzechu, a sami molestują dzieci lub wyprawiają na plebanię orgie.

Moja wierząca przyjaciółka straciła wiarę po tym, gdy ksiądz na spowiedzi zadawał jej obrzydliwe, pornograficzne wręcz pytania. Pomyslałam, że ja mu pokażę, i tydzień później o tej samej godzinie, co koleżanka, poszłam do tego samego kościoła się wyświadczać.

Księża spowiadają według grafiku?

– Tak myślałam. Weszłam do konfesjonału i powiedziałam, że porzuciłam męża, bo zakochałam się w innym mężczyźnie, i czekałam na wypytanie, ile razy, z kim i co.

Tymczasem po drugiej stronie siedział ksiądz, który zapytał, czy nie chcę uregulować swojej sytuacji, i zaproponował konsultację u prawnika. Wiem, że księża są różni, jeden jest mądrym i dobrym człowiekiem, a drugi niekoniecznie.

Wydaje się pani osobą empatyczną, autoironiczną z dużym poczuciem humoru, ale opisuje siebie jako kobietę smutną, o dużym poziomie lęku.

– Jedno drugiemu nie przeszkadza, prawda?

Umiem już nie przywiązywać się do swojego smutku i lęku i nie dożywiać ich w sobie, szczególnie ostatnio. Dostałam od przyjaciółki radio na baterie, więc w razie czego będę mogła posłuchać, co się dzieje. Mam zapas wody w plastikowych kanistrach i to musi mnie zabezpieczyć na wypadek...

Wojny?

– Czegoś. Wolę myśleć, że na wypadek braku wody...

Zabezpieczam się, ale nie będę żyć w lęku. Dbam o przyjaciół, bo kiedy to się stanie, nie będzie ważne grono lajkujących znajomych na Facebooku, których nigdy nie widzieliśmy na oczy, tylko sąsiadka, która wyhodowała w ogródku marchewkę, i kto wie, może się z nami nią podzieli.

I dopiero wtedy zrozumiemy, jak ważna jest bliskość z drugim człowiekiem, a to, kto na kogo głosował – nie ma żadnego znaczenia. ●

KOGO SIĘ BOJĄ KRYTYCY?

„Jest coś mocno nie tak z naszym życiem literackim, jeżeli obawiasz się zabrania głosu, bo boisz się konsekwencji”.

Z KRYTYKIEM LITERACKIM
PIOTREM SADZIKIEM,
ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**



Polska proza ulega sformatowaniu”, napisał Piotr Sadzik. Jego artykuł „Gry pozorów” stał się zarzewiem awantury o to, kto ma rację, czy można krytykować uznanych pisarzy i zarzucać im koniunkturalizm. Dostało się zarówno głośnym debiutantom, np. Kindze Sabak, ale też Mateuszowi Pakule i Małgorzacie Lebdzie.

Małgorzata Lebda za powieść „Łakome” została Odkryciem Empiku i finalistką Nagrody Literackiej „Nike”. Była też nominowana do Nagrody Conrada oraz do Angelusa. W swoim tekście porównujesz jej styl do Paulo Coelho i piszesz, że autorka „pozorując obiecujące gesty, staje się emanacją oportunistycznej odmiany konserwatyizmu”. Wszyscy ci jurorzy się mylili?

– Możliwe. Nie chciałbym jednak sprowadzać mojej krytyki do pojedynczych nazwisk.

Po pierwsze, nie chodziło mi o nazwiska, ale o występujące w polskiej literaturze tendencje, których jednak nie można opisać bez powoływania się na przykłady. Po drugie, celowałem również w krytykę literacką i kapituły nagród literackich. Uważam, że czasem nabierają się one na gesty pisarskie, które są wątpliwe.

Mojej krytyce nie można zarzucić resentymentu. Sam jestem członkiem kapituły Nagrody im. Gombrowicza i Nagrody Literackiej m.st. Warszawy.

Kapituły mogą się mylić. Ostateczny werdykt jest zresztą wypadkową bardzo wielu czynników.

Najpierw ukazuje się książka, krytyka literacka i dziennikarze ją windują, gremia jurorskie, słysząc to, przyznają nominacje i nagrody, a wtedy te ostatnie służą za rzekomo obiektywny dowód wartości książki, który ma chronić ją przed ocenami negatywnymi.

Czasem w kapitule panuje całkowity konsensus wobec tego, kto jest „najlepszy”. Częściej podczas gali słyszymy, że kapituła wyłoniła laureata bądź laureatkę w wyniku wielu sporów. To nie muszą być puste słowa. Czasem wybuchają prawdziwe kłótnie. Werdykty nie są przejawem jednomyślności.

Zwłaszcza gdy dochodzi do zwarcia, sporu. Gdy wewnątrz kapituły utworzą się dwie frakcje, z których każda „robi Rejtana” wobec książki popieranej przez drugą. Wtedy zaczyna się „urabianie”, które pozwoli wyjść z impasu. Jego efektem może być zwycięstwo kogoś innego niż faworyci jurorów.

Emocje jak w „Tańcu z gwiazdami” czy na Eurowizji...

– O nagrodach zbyt często myśli się w kategoriach sportowych. Stąd kult rankingów. Tymczasem literatura nie jest mierzalna. Nie da się określić, że ktoś przybiegł na metę o setną sekundę przed resztą stawki albo strzelił jedną bramkę więcej.

Pokłosiem sportowego myślenia o nagrodach jest jednak przekonanie, że najlepszy zawsze wygrywa. Czasem oczywiście tak się dzieje. Przy czym wystarczy sięgnąć po – mocno już zresztą zużyty – argument z Nobla, żeby zrozumieć, dlaczego nagród nie warto przeceniać. Na liście nagrodzonych Noblem brakuje wielu największych nazwisk w historii literatury, są za to autorzy podrzędni.

Nie oznacza to jednak, że trzeba odpuścić wartościowanie. Przeciwnie! Cała krytyka literacka jest wartościowaniem. I w kapitułach opowiadamy się za jakąś książką z przekonaniem, że jest lepsza od innej, przy czym jej wartość można oprzeć tylko na własnym warsztacie zawodowego czytelnika.

Kapituły nie są wcale miejscami, z których ma płynąć prawda objawiona o literaturze. Składają się z osób, mają swoje sympatie, przyzwyczajenia lekturowe i czasem rozbieżne sposoby rozumienia literatury.

Czyli Małgorzata Lebda tak pisała swoją książkę, by omamić jakieś dwadzieścia osób z niezłym kapitałem kulturowym?

– Wyobrażam sobie, że decyzje przychylnie dla jej książki podejmowały osoby, których ogląd literatury może się bardzo różnić od mojego.

Ale dziś nagroda potrzebuje nagrodzonych, którzy później będą ambasadorami nagrody. Jeżeli przez kilka lat wyróżniła undergroundowych pisarzy i pisarki, którzy nie mają tysięcy czytelników, to jej znaczenie będzie małe.

– Wciąż są nagrody, których werdyktom można zaufać.

Być może niektórym kapitułom potrzebny jest autor lub autorka z wyrobionym już wizerunkiem medialnym, głównie mówimy tu jednak o prozie. Rynekowa widzialność poezji czy eksperymentalnej powieści graficznej, którą zajmujemy się w nagrodzie warszawskiej, jest prawie zerowa.

Są też decyzje, które idą pod prąd werdyktów rynkowych. Kapituła Nagrody im. Witolda Gombrowicza zajmuje się debiutami i podbiutami, czyli drugimi książkami. W ostatnim roku reflektory udało nam się skierować na książki osób w dużej mierze przeoczonych przez krytykę i mniej rozpoznawalnych, a jak najbardziej zasługujących na uwagę, jak Joanna Mazur, Maciej Wnuk czy Barbara Elmanowska.

Czyli dobra książka dla kapituły to taka, która nie miała recepcji, przepadła. Innymi słowy – sukces przekreśla szansę na nagrodę?

– Oczywiście, że w sukcesie nie ma nic złego. W tekście z „Dwutygodnika” przywołuję aprobatywnie „Sońkę” Ignacego Karpowicza. Książkę, która była między innymi w finale Nagrody Literackiej „Nike” i cieszyła się czytelnictwem.

To, że Jul Łyskawa zjednał sobie czytelników i kapituły niektórych nagród, też nie jest argumentem przeciwko jego powieści. To bardzo dobra książka niezależnie od zasłużonej widzialności, którą zyskała.

Kapituła Nagrody Bookera od wielu lat składa się z bardzo różnorodnych osób. Od profesorów literatury przez pisarzy po aktorów. I – co ważne – jury zmienia się co roku, a ich kompetencje kulturowe są bardzo zróżnicowane. U nas kapituły są często homogeniczne.

– Nie mam przeglądu całego pola, ale bazując na znanym mi wycinku, nie mogę się zgodzić. Różnorodność jest spora. W Gombrowiczu skład kapituły był wręcz kompletny tak, żeby była ona możliwie najbardziej różnorodna. Pisarki i pisarze siedzą w niej obok krytyków i literaturoznawców, znawcy Gombrowicza obok znawczyń innych pisarzy. I faktycznie bardzo się między sobą różnią.

Kiedy nagrywaliśmy wypowiedzi o tym, co jest dla nas ważne w ocenie książek, Joanna Bednarek mówiła, że zależy jej na szukaniu w literaturze form wspólnotowości. Ja z kolei wygłosiłem pochwałę pojedynczości. To są zupełnie różne spojrzenia. I bardzo dobrze.

Mówisz o różnorodności. A jednocześnie o tym, że jurorzy dają się nabierać. Jak to się łączy?

– Osoby zasiadające w kapitułach są uwarunkowane tym, co się dzieje w polu literackim.

Głos, który wybrzmiewa w poprzek dominujących opinii, uwiera. Takie pacyfikowanie krytyki przypomina komendę „równaj do szeregu”. Wolalbym, żeby koszarowych zwyczajów nie wprowadzać do dyskusji literackich

Czyli nie są niezależni?

– Zależy, jak zdefiniować zależności i niezależności.

Zależność – koledzy nagradzają kolegów. Niezależność – profesjonalści nagradzają literaturę.

– Z osobami pracującymi w kapitułach jest trochę jak z sędziami piłkarskimi. Nie są najbardziej kochanymi przedstawicielami i przedstawicielkami środowiska. Zasiadanie w kapitule wytwarza mylny obraz przynależności do jakiegoś ezoterycznego kręgu, który przy użyciu nieprzejrzystych kryteriów dokonuje rozstrzygnięć. To budzi podejrzliwość.

Ale w znanych mi kapitułach siedzą tylko profesjonaliści i nie nagradzają kolegów. Nigdy nie widziałem w kapitułach kumoterstwa. Trudno byłoby je też uprawiać, bo przecież dobrze wiemy, kto jest z kim powiązany.

Środowisko literackie jest w Polsce na tyle małe, że oczywiście nie da się uniknąć sytuacji, w której pisarze znajdują się z krytykami czy jurorami. Jednak nieraz zdarzyło się, że ktoś wyłączał się z dyskusji i głosowania, bo tematem była książka napisana przez kogoś nam bliskiego. Podobnie powinno być z krytyką literacką.

Całkowicie zgadzam się z postulatem Zuzanny Sali, by krytycy wprost mówili o tym, jakie mają powiązania z osobami, o których piszą. By jasno określać stopień tej zażyłości i unikać konfliktu interesów.

Piszesz: „Pisarze wykonują gesty obliczone na zysk symboliczny i rynkowy”. Skąd to wiesz?

– Zdaję sobie sprawę z tego, że zarzut cynizmu jest nieweryfikowalny. A mimo to z niczego się nie wycofuję.

O co mi chodzi? O automatyczne, a więc nieuzasadnione korzystanie z chwytów, co do których utrwaliło się przekonanie, że są wyznacznikami literackiej jakości.

Wyobraźmy sobie książkę powszechnie chwaloną. Krytyka nie mówi jej: „Sprawdzam”, książka dostaje nominacje i nagrody. I wyobraźmy sobie, że w kolejnej książce autorka czy autor sięga po sprawdzony poprzednio środek stylistyczny. A inne osoby ją naśladują.

To dla mnie „gesty obliczone na zysk”. Zwłaszcza że mówimy o takim sposobie pisania, który od samego początku był zbiorem gotowców, a nie własnym idiomem. Późny Bernhard „robi Bernharda”, ale trudno mu robić z tego zarzut, skoro powtarza autorską, bernhardowską frazę.

Czego byś więc oczekiwał od pisarzy?

– Odwagi. Nawet jeśli wymagałoby to wykraczania poza język, który już nam się urobił jako własny. Oczekiwałbym albo ciągłego ruchu skoczka szachowego, po to by nie utwalił się w jakimś języku, albo wypracowania własnego idiomu.

Autorki i autorzy, o których pisałem, sięgają po zestaw gotowców.

Joyce mógł tworzyć własny idiom, bo był początek XX wieku i język dopiero wychodził poza okowy konwencji. Ale w XXI

wieku niemal niemożliwe jest wymyślenie czegoś, czego nie było.

– Jesteśmy już w pozycji „post” nawet wobec postmodernizmu. Wiadomo, że nie istnieje pełna oryginalność, pełen autentyzm wypowiedzi. Ale wciąż możemy zdobyć się na język wiarygodny, który będzie w jakiś sposób świeży. Dlatego nie podoba mi się udawanie nowości.

Warto może odróżnić od siebie dwa rodzaje nowości: innowację i inwencję. Żyjemy w epoce fetyszyzowania innowacji. Te jednak – gdy im się przyjrzymy – okazują się tylko pozornymi nowościami, które służą temu, żeby rynek dalej kręcił się na pełnych obrotach. Czym innym byłaby inwencja podejmująca ryzyko odklejenia się od sformatowanego języka, pozwalająca odsłonić niewidziane dotąd wymiary rzeczywistości.

Większość głosów krytycznych pod adresem mojego tekstu skupiła się na tym, czyją książkę krytykuje, a przecież pojawiły się w nim również przykłady książek udanych. Mówię o Wiktorii Biezuńskiej, Macieju Sieńczyku czy wspomnianym już Karpowiczu.

Dlaczego „Przechodząc przez próg, zagwiżdżę” Wiktorii Biezuńskiej to świetna książka?

– Autorka wzięła na warsztat historię, o której pozornie wszyscy już czytaliśmy, i to wiele razy: o przemocowym ojcu. Udało się jej jednak znaleźć dla swojej opowieści wiarygodny, uczciwy język, oszczędny i kondensujący grozę. Byłem wielkim obrońcą tej książki i uważam za jedną z moich jurorskich porażek to, że nie udało mi się jej przeforsować do wyróżnień, na które moim zdaniem zasługiwała.

Biezuńska niemal zupełnie nie uprawiała autopromocji. Co innego nagradzany Jul Łyskawa – osoba fantastycznie radząca sobie w mediach. Czy jurorzy biorą pod uwagę to, że dany autor bądź autorka pomoże sobie bez prestiżu nagrody, a innemu trzeba pomóc?

– W pierwszej kolejności kapituły powinny interesować literatura. Zarazem nie ma co ukrywać, że nagrody są elementem systemu wsparcia pisarzy.

Kiedy prowadzimy dyskusję o ubezpieczeniach dla twórców, o zapewnieniu im bezpieczeństwa, ty proponujesz skok na główkę, porzucanie fraz i ryzyko. Może jednak idealistyczne postulaty to trzeba mieć wobec rynku, a nie pisarzy?

OGŁOSZENIE PŁATNE

Kraj/34431432

W SPRZEDAŻY OD WTORKU

Renata Lis o polskiej traumie
Skąd ten sukces – Tomasz Kwaśniewski pyta Agatę Romaniuk

Zamów magazyn z darmową dostawą na: Prenumerata24.pl
Więcej na: Wyborcza.pl/ksiazki

– Systemowe bezpieczeństwo dla twórców jest równie konieczne, jak podejmowanie twórczego ryzyka. Żądanie uproszczenia pisania jest zaś żądaniem podporządkowania się rynkowi.

Wciąż są wydawnictwa, które podejmują ryzyko wydawnicze.

Tylko że autorzy publikujący w tych wydawnictwach niemal nigdy nie mogą przeżyć wyłącznie z pisania książek.

– Dopóki jednak nie mamy zbudowanych systemowych mechanizmów finansowania pracy twórczej pisarzy, to właśnie także kapituły powinny werdyktami pomagać w podejmowaniu ryzyka. To nagrody noszą istotny, choć jednorazowy, zastrzyk pieniędzy. A czasem nawet dosłownie ratują przed biedą.

Twój tekst podzielił wiele osób. Zwłaszcza fakt, że sporo miejsca poświęcasz w nim debiutom.

– Wyjątkowo irytował mnie stawiany mi zarzut, jakoby uderzał w początkujących pisarzy. Tak się jednak składa, że na polonistycie na Uniwersytecie Warszawskim prowadzę zajęcia na kierunku sztuka pisania, odpowiedniku „creative writing”. Z młodymi ludźmi, którzy myślą o pisaniu, pracuję więc na co dzień. Ich sądy na temat omawianych przeze mnie książek zawsze były bardzo ostre. Brzmiały czy to, nie są spętane żadnymi środowiskowymi uwikłaniami. Zadałem sobie więc pytanie: Dlaczego ci młodzi ludzie mogą w ten sposób zabierać głos, a tak rzadko słycać go w mediach?

Przy czym zdaję sobie sprawę z tego, że bardzo różne uwikłania grają rolę i skrytykowanie jakiejś autorki czy autora może mieć dla kogoś negatywne konsekwencje. Jednak jest coś mocno nie tak z naszym życiem literackim, jeżeli obawiasz się zabrać głos, bo boisz się konsekwencji.

Na szczęście środowisko literackie nie jest moim środowiskiem naturalnym, frakcyjne gry sympatii i antypatii nic mnie nie obchodzi. Nie jestem też finansowo zależny od mechanizmów rynkowych, pracuję na uniwersytecie, nie jestem więc zależny od decyzji osób, które mogłyby takim tekstem poczuć się urażone.

Wspomniałeś o konstrukcji silnika krytycznego. Z jakich części on się składa?

– Zdanie, które noszę w sobie od bardzo dawna, to zdanie z „Podzwonnego”, pięknego nekrologu, który Miłosz napisał dla paryskiej

„Kultury” po śmierci Gombrowicza. Zdanie to brzmi tak: „Największą cnotą Gombrowicza była dzielność”. Po czym Miłosz dorzuca: Gombrowicz „nie napisał ani jednego zdania dla kompromisu”. I oczywiście, kto z nas nie napisał ani zdania dla kompromisu? To ideał, któremu trudno sprostać, za którym idą różne nieprzyjemne konsekwencje, ale uważam, że zawsze powinien widnieć na naszym horyzoncie.

Od początku czytania towarzyszył ci Gombrowicz?

– Najpierw bardzo dużo czytali mi rodzice. Pierwsze własne lektury to były powieści historyczne typu „Gniewko, syn rybaka” Aliny Korty, bo planowałem zostać historykiem. Jednak pierwszy głębszy kontakt z literaturą przeżyłem w nastoletniości, czytając Schulza i Gombrowicza.

Konstanty Jeleński wspominał, jak to w wieku lat 15 wpadło w jego ręce „Ferdynand”. Był zszokowany, bo zdał sobie sprawę z tego, że oto znalazł klucz do rozumienia tego, co go otacza, że to list adresowany do niego samego. Przydarzyło mi się to samo. Choć najpierw był „Dziennik”, z którego obsesyjnie wynotowywałem zdania, nieraz przepisując całe strony.

Podobnie było u mnie z Schulzem. Schulz otwierał przede mną, kilkunastolatkiem na radomskim blokowisku przełomu wieków, wymiary doświadczenia, które były mi znane, a już jako zapomniane, dobierał się do dzieciństwa w niebywały sposób.

Od tego czasu niewiele się zmieniło – to jest moja wyjściowa formacja literacka, która – z pewnymi uzupełnieniami – do dziś mi towarzyszy. To impregnuje. W tym sensie, że potem trudno otworzyć się na języki mniej odważne.

I mój tekst też pracuje na tym silniku. Gombrowicz pisze w pewnym momencie, że literatura skazana jest na fałsz i błąd z samej definicji. Praca w fikcji to praca w kłamstwie. Dlatego powinien jej towarzyszyć rodzaj szczególnie wyostrojonej uczuciowości.

Ale ta bezkompromisowość skazuje na życie, którego byśmy nie chcieli prowadzić. Mówisz o faceciku, który przez lata tułał się niemal bezdomny.

– Kiedy Gombrowicz wyładował w 1939 roku w Argentynie, nie znał ani słowa po hiszpańsku i był praktycznie bez pieniędzy. Pierwsze dziesięć lat prawdopodobnie spędził na – jak to nazwał – tułaniu się po Buenos Aires.



FOT. DAWID ZACHOWICZ/AGENCJA WYBORCZA.PL

Piotr Sadzik

• eseista, krytyk i historyk literatury, wykładowca na Wydziale Polonistyki UW, zajmuje się m.in. filozoficznymi aspektami literatury, historią literatury XX wieku i filozofią żydowską.

Mieszkał w noclegowniach dla bezdomnych, chodził do jadłodajni. To prawda. I co zrobił Gombrowicz? Wymyślił „Trans-Atlantyk”, książkę, o której dobrze wiedział, że Argentyńczycy, z powodu jej idiomatyczności, nic z niej nie rozumieją, a większość Polaków się na nią wkurzy. Przecież w jego sytuacji rozsądne by było napisać książkę, która dałaby mu jakieś zakorzenienie, którą można byłoby przekładać na inne języki. Tymczasem jak sensownie przełożyć „Trans-Atlantyk”? Do dziś większość jego przekładów to pomniki kłeski tłumaczy.

Gombrowicz, zamiast więc iść na kompromisy, idzie na zwanie. Ze wszystkimi. Ale wychodzi na swoje. Dzisiaj już wiemy, że gdyby pożył kilka miesięcy dłużej, miałby Nobla. To krzepiąca historia o tym, że warto być odważ-

nym. Nie nakazuję oczywiście nikomu, żeby był jak Gombrowicz. Ale to postawa, która mi imponuje.

Gombrowicz jednak nie zginął też dzięki temu, że po prostu miał znajomych.

– Ci znajomi ratowali go drobnymi albo obiadem, kiedy stał na progu choroby głodowej. To nie były ciepłarniane warunki, w których korzystał z jakichś przywilejów. W „Testamencie” mówił: „Wojna zdruzgotała mi rodzinę, pozycję społeczną, ojczyznę, przyszłość, niczego nie miałem, niczym nie byłem”. To była deprivacja totalna. Przy czym Gombrowicz oprócz katastrofy widział w niej wyzwolenie. O stosunku do przywilejów dobrze świadczy jego relacja z krejmem Victorii Ocampo, który katapultował do międzynarodowej sławy Borgesa. Gombrowicz szybko zrozumiał, że nic tam po nim, i zamiast z literackim salonem trzymał z grupą nastoletników.

Książka, która cię ostatnio zachwyciła to...

– „Wnyki dla światła” Justyny Kulikowskiej. Arcydzielna książka poetycka, przy okazji której autorka potrafi wykrzesać w języku coś nowego, zarazem ostentacyjnie grając ze swoim dotychczasowym dorobkiem. Jeśli go powtarza, to z pełną inwencją różnicą. I potrafi siebie przelicytować, pisząc po świetnej książce („Obozie zabaw”), kolejną, która wydaje mi się jeszcze lepsza. To więc doskonały przykład autorki, która potrafi być odważna.

Co ci pokazała bardzo emocjonalna debata, która się rozpętała wokół twojego tekstu?

– Okazało się, że duża liczba osób pracujących wokół literatury, oczekuje krytyki milczącej lub potakującej. Raczej promującej książki niż je analizującej.

Ta debata w znikomym stopniu dotyczyła literatury. Pokazała, że jako społeczeństwo mamy problem z demokracją. Okazuje się, że głos, który wybrzmiewa w poprzek dominujących opinii, uwiera. Takie pacyfikowanie krytyki przypomina komendę „równaj do szeregu”. Wolalbyśmy, żeby takich koszarowych zwyczajów nie wprowadzać w pole dyskusji literackich.

W powojennej literaturze austriackiej wykształcała się tradycja Nestbeschmutzerów, „kalaczy gniazda”, którą zapoczątkował Thomas Bernhard, a którą dziś kontynuuje Elfriede Jelinek. Uważam, że byłoby lepszym społeczeństwem, gdybyśmy zdolność „kalania gniazda” uważali za cnotę. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34431433

Mózgosery już istnieją

Tyle dzieł w jednym życiu

William Shakespeare WYBITNY FACET ZE STRATFORDU

W SPRZEDAŻY OD WTORKU

Peter Watts mówi Marcinowi Zwierzchowskiemu: **„Dziś nie jestem już naiwny.”**

O największych tajemnicach Szekspira
Aleksandra Majak rozmawia ze Stephenem Greenblattem

Zamów magazyn z darmową dostawą na: Prenumerata24.pl

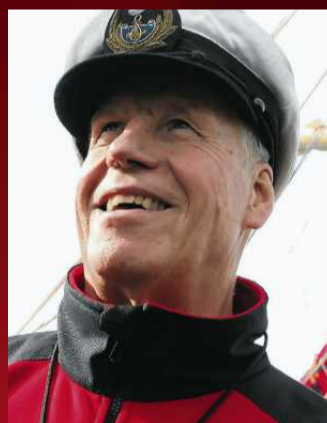
Więcej na: Wyborcza.pl/ksiazki

Kto zostanie

Człowiekiem Roku

Czytelników i Czytelniczek „Wyborczej”?

GŁOSUJ NA WYBORCZA.PL/PLEBISCYT



REKLAMA

MECENAS
STRATEGICZNY

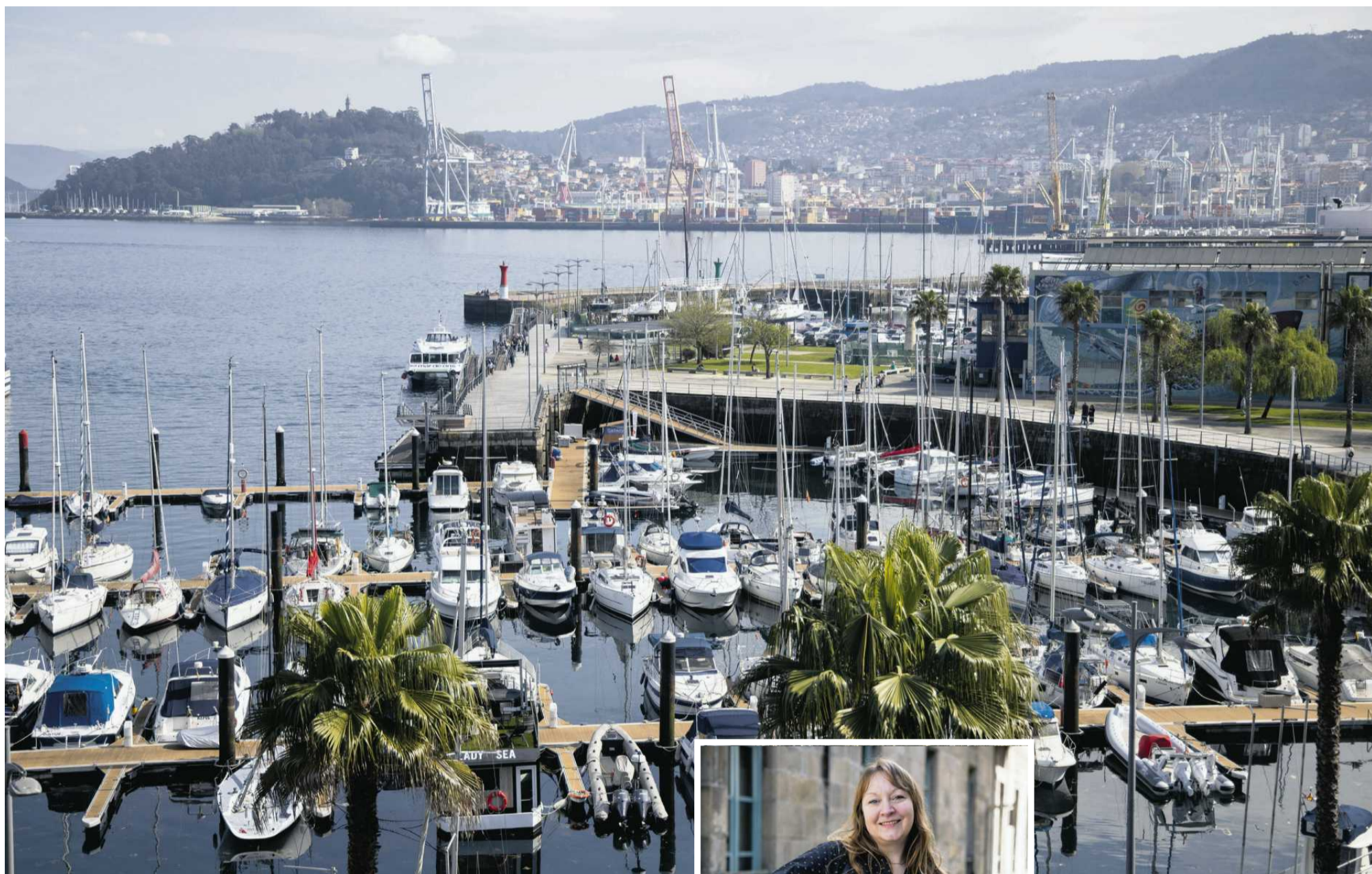


PATRON
MEDIALNY



MIASTO, KTÓRE WIDAĆ Z KSIĘŻYCA

Nie każdy jest w stanie wytrzymać tyle deszczu, ile spada na mieszkańców Vigo – mówi Anna.
– Ale to naprawdę dobre miejsce do życia.



• Widok na port w Vigo. Jeden z najlepszych naturalnych portów na świecie i pani Anna, nasza przewodniczka po nieformalnej stolicy Galicji

Tekst: **Ludmiła Anannikova**
Zdjęcia: **Jakub Orzechowski**
/Agencja Wyborcza.pl

Vigo leży na północno-zachodnim skraju Półwyspu Iberyjskiego. Według hiszpańskich, jak i międzynarodowych badań jest jednym z najbardziej przyjaznych miejsc do życia w Hiszpanii. W 2021 r. Organizacja Konsumentów i Użytkowników (*Organización de Consumidores y Usuarios*) poprosiła mieszkańców 15 miejskich aglomeracji o ocenę ich miejsca zamieszkania pod względem bezpieczeństwa, opieki zdrowotnej, edukacji, środowiska, kultury, rynku pracy, kosztów utrzymania, rynku nieruchomości oraz czystości. Okazało się, że najlepiej swoje miasto ocenili właśnie mieszkańcy Vigo.

Trzy lata później 300-tysięczne Vigo zostało uznane za najszczęśliwsze miasto Hiszpanii według rankingu Happy City Index, który co roku sporządza globalny think tank Instytut Jakości Życia (Institute for Quality of Life). Wśród wszystkich miast na świecie znalazło się na 59. miejscu.

Przyznam, że wcześniej niewiele o Vigo wiedziałam, choć w Hiszpanii byłam wielokrotnie. Wyniki rankingu mnie zaciękały, więc postanowiłam zobaczyć, co tak wyjątkowego kryje się w tym galicyjskim mieście.

Burmistrz, człowiek wyjątkowy

Vigo to największe miasto w Galicji i nieformalna stolica tego regionu, choć nie jest nawet stolicą prowincji Pontevedra, w której leży. To jedyne miasto w Hiszpanii tego formatu pozbawione stołecznego statusu.

Przez znajomych poznałam Annę, Polkę, która mieszka w Vigo od 20 lat i zgodziła się oprowadzić mnie i fotografa Jakuba Orze-



chowskiego po mieście. Anna pochodzi z Bytomia, skończyła Politechnikę Śląską, do Galicji przyjechała na rok jeszcze na studiach. Znalazła pracę najpierw w La Coruña, a potem poznała męża – Vigańczyka – i została.

Na dworzec przyszła po nas z córkami, 9-letnią Caroliną i 6-letnią Carlą. Na pytanie o rankingi odpowiada, że niespecjalnie w nie wierzy, ale gdy zaczyna mówić o Vigo, widać, że lubi swoje miasto i jest z niego dumna. Kluczowa – jak wyjaśnia – jest tu postać burmistrza, który rządzi Vigo od 2007 roku.

– Bardzo się stara. Dla dzieci, dla seniorów. O nikim nie zapomina. Córki chodzą na szermurkę i tenis dwa razy w tygodniu. Do wyboru jest wiele dyscyplin, bo burmistrz chce,

żeby dzieci mogły się sprawdzić w różnych sportach. Płacimy za zajęcia 46 euro rocznie. Gdyby nie dofinansowanie z miasta, każda z dyscyplin kosztowałaby nas 50 euro miesięcznie. Wszyscy głosują na tego burmistrza. Ci z lewicy i ci z prawicy, bo stara się, żeby miasto było czyste, żeby nie było zadłużone. Często można go spotkać na ulicy, jest przyjazny, rozmawia z ludźmi. Ostatnio zrobił dla osób starszych promocję na zajęcia informatyczne połączone z tańcem. Niby nie ma to ze sobą nic wspólnego, ale zarówno ruch, jak i nauka technologii są bardzo potrzebne seniorom. Na basenach są specjalne oferty dla dzieci i osób starszych – podkreśla Anna.

Idziemy ulicą Rua de Urzaiz w kierunku starego miasta. Jak na sobotę ruch spory, jeżdżą samochody i autobusy, otwarte są sklepy. Towarzyszymy jej w drodze do miejskiej biblioteki, gdzie jej córki chodzą na darmowe zajęcia z języka angielskiego. Anna będzie miała godzinę, żeby z nami pospacerować.



• Vigo jest położone na wzgórzach, chodzenie po nim to wspinaczka na różnych poziomach. Żeby mieszkańcom było łatwiej - wszędzie poukrywane są ruchome schody i windy



• Taras widokowy i futurystyczna kładka nad dworcem kolejowym i autobusowym

głośno zarówno wśród turystów, jak i mieszkańców Hiszpanii – to Dinoseto, żywoplot w kształcie wielkiego dinozaura. Gdy jesteśmy w Vigo, dinozaura akurat nie ma. Anna tłumaczy, że ostatnio tracił liście i jest „w naprawie”.

Dinoseto pojawił się w 2015 roku, gdy zbliżały się kolejne wybory samorządowe. Pomyślnie i wykonawcą projektu był zarząd zieleni miejskiej. Początkowo dinozaur miał być tymczasową instalacją na jednym z rond w centrum miasta, ale ponieważ szybko stał się wiralem, burmistrz zarządził, by przenieść go na stałe do ścisłego centrum. Rok później pojawił się także Dinosetiño, czyli dziecko Dinoseto. Dopóki zielona rodzina stała na swoim miejscu, odwiedzało ją wielu turystów.

Vigo jest również najbardziej rozwiniętym gospodarczo miastem Galicji. Ma przemysł samochodowy (fabryka Citroëna) i stoczniowy, a także port – pasażerski, towarowy i rybacki. Ryby, które przechodzą przez port z Vigo, zaspokajają nawet 80 procent potrzeb hiszpańskiego rynku.

Miasto jest także potęgą w przetworach. Ma wiele fabryk konserw, w których pracownicy pakują do puszek zebrane w Galicji owoce morza. W porcie można zobaczyć bateas – pływające platformy z linami spuszczoneymi w głąb, na których hodowane są małże – podstawowy produkt Galicji.

Dlatego Vigo przyciąga – jest tu praca. Cała aglomeracja liczy mniej więcej pół miliona mieszkańców.

Wśród gór, parków z widokiem na archipelag

Vigo otaczają góry i leśne parki, ma szerokie piaszczyste plaże, choć nie w centrum (najbliższa jest oddalona od centrum o ok. 6 km). Można stąd także popłynąć do wysp Cies nazywanych z uwagi na turskawą wodę atlantyckimi Karaibami; Rzymianie nazywali je Wyspami Bogów. W skład archipelagu Cies wchodzi wyspy: Monteagudo, Monte Faro, San Martiño. Archipelag jest częścią Parku Narodowego Atlantyckich Wysp Galicji.

W sezonie – od połowy maja do połowy września – można popłynąć na wyspy promem, który kursuje codziennie, ale trzeba wcześniej zarezerwować wizytę, bo jest dzienny limit odwiedzających (1300 osób). Bilet kosztuje ok. 25 euro od osoby w obie strony. Można zatrzymać się na wyspach na noc, na kempingu. Poza sezonem dotarcie na Cies jest możliwe tylko prywatną łodzią i wymaga załatwienia pozwolenia.

Movida Viguesa

Vigo ma swoje tradycje muzyczne. Właśnie tutaj w latach 80. narodził się ruch Movida Viguesa, kiedy w tym samym czasie w Madrycie rozkwitała Movida Madrileña, która była odpowiedzią na 40 lat dyktatury generała Franco. W tym okresie powstawały ważne dla hiszpańskiej kultury zespoły punkowe, rockowe i popowe. Przedstawicielem madryckiej części ruchu był m.in. Pedro Almodóvar.

W tym czasie Vigo zmagало się z kryzysem i wysokim bezrobociem, które spowodowała restrukturyzacja w przemyśle stoczniowym.

– Patrzcie, tam są takie jeżdżące platformy. – Anna wskazuje ręką na ulicę Gran Vía krzyżującą się z naszą Rúa de Urzaiz. – Vigo jest bardzo górzyste, chodzenie po nim naprawdę męczące – zanim tu zamieszkałam, chodziłam na obcasach, tu chodzę w tenisówkach. Dlatego nasz burmistrz próbuje robić Vigo wartościowe. Różne rampy, schody, windy, żeby było łatwiej przejść z jednej części miasta do drugiej – wyjaśnia.

Chce ścigać się z Nowym Jorkiem

Pomiędzy dwoma jezdniami (każda ma trzy pasy) jest chodnik, na którym zamontowano ruchome taśmy, jak na lotniskach, by podróżni mogli szybciej pokonać długie, nudne korytarze. Taśma jedzie w górę, by mieszkańcom było łatwiej wspiąć się do położonych wyżej części miasta.

Rúa de Urzaiz przechodzi płynnie w Rúa de Principe, tzw. górny deptak. Idąc nią prosto, dojdziemy do Praça Porto do Sol, ścisłego centrum. Od strony portu można tu wjechać ruchomą taśmą, z kolei w górę z placu prowadzą ruchome schody, nieco schowane pomiędzy budynkami. Oba rozwiązania techniczne nieprzypadkowo znalazły się akurat w tym miejscu – ułatwiają mieszkańcom dotarcie do mieszczącego się na górze urzędu miasta.

Z dołu widać tylko dwa poziomy schody, jednak gdy się na nie wjedzie, ukazują się kolejne dwa „piętra”. Zejść z powrotem można zwykłymi schodami albo chodnikiem.

Burmistrz Vigo nazywa się Abel Caballero. Ma 79 lat i należy do partii PSOE (Socjaldemokraci). Trwa jego piąta kadencja i trzecia, kiedy jego partia ma w Vigo większość absolutną. W 2023 roku Caballero otrzymał 60,9 proc. głosów, a jego partia zdobyła 19 mandatów w radzie miasta. Druga partia – Partido Popular (PP) – dostała 18,6 proc. i 5 mandatów.

– Caballero jest lewicowy, co jest raczej wyjątkiem w Galicji – mówi Anna. Rzeczywiście, regionem autonomicznym od lat rządzi prawica, podobnie jak poszczególnymi prowincjami. Również w większych miastach, takich jak Santiago de Compostela, Lugo, La Coruña – prawica ma większość.

Anna pokazuje w internecie zdjęcie burmistrza, jak otwiera kolejną windę. Niemłody, ale nie wygląda na swój wiek. Pytam ją, czy jest inny lider, który może w przyszłości go zastąpić.

– Trudno będzie, bo to niesamowity człowiek. Martwimy się, czy jego następcą będzie



• Juliusz Verne opisał Zatokę Vigo w książce „20 000 mil podmorskiej żeglugi”. W 2005 r. w setną rocznicę śmierci wystawiono mu ten pomnik na promenadzie Avenida da Beiramar

POZNAJMY NASZĄ EUROPE



• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej” i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.



tak pracował na rzecz mieszkańców jak on – odpowiada.

Burmistrz jest znany także poza granicami Vigo, podobnie jak jego inicjatywy. Podczas naszej podróży do Galicji wszyscy wspominają o świątecznych dekoracjach, z których słynie miasto. „Powiedział, że rozświetli Vigo tak, że będzie je widać z Księżycą” – słyszymy.

– W grudniu rzeczywiście jest tu szal. Mam tyle świateł, że zjeżdżają turyści nie tylko z całej Hiszpanii, ale i ze świata, by je zobaczyć – mówi Anna. – Burmistrz kiedyś powiedział, że chce, żeby Vigo było lepsze od Nowego Jorku. Jakiś czas temu byli tu nasi znajomi z USA i mówili, że już tak jest!

Anna z jednej strony cieszy się z corocznych świątecznych atrakcji, pokazuje zdjęcia, na których córki pozują na tle świecących reńfiferów, bombek i mikołajów, ale z drugiej – przyznaje, że to okres uciążliwy dla mieszkańców. Do Vigo zjeżdżają wtedy tłumy, a część ulic zostaje wyłączona z ruchu, więc w mieście tworzą się ogromne korki. Mieszkańcy zaciskają jednak zęby, bo wiedzą, że turyści to pieniądze dla miasta.

Dinoseto i prężna gospodarka

Inna – z pozoru dziwaczna inicjatywa, którą przypisują burmistrzowi, a o której zrobiło się

Miastem targaly protesty i strajki. W barach Vigo powstało wówczas wiele kapel grających, punk, pop, reggae, funk. Jednym z najbardziej znanych zespołów pochodzących z Vigo, który gra do dziś, jest założony w 1981 roku zespół punkrockowy Siniestro Total.

Vigo to także piłka nożna. Polakom miasto może kojarzyć się z meczem Polska – Włochy z mundialu w 1982 roku, w którym nasz kraj zajął ostatecznie trzecie miejsce. W Vigo zremisowaliśmy, Włochy ten mundial wygrały. Dziś drużyna klubu Celta Vigo gra w La Lidze. Obecnie zajmuje siódme miejsce w tabeli.

Tłumy jak w bibliotece

Docieramy z Anną i jej córkami do biblioteki, która mieści się w kamienicy na starym mieście. W suterenie jest część dla dzieci – regały z książkami po hiszpańsku i w innych językach (jest „Harry Potter” po polsku). Pomiędzy nimi stoją pufy, na których można wygodnie usiąść, a nawet się położyć i poczytać. By oddać książki, wystarczy podejść do urządzenia przypominającego kasę samoobsługową i zeskanować kod.

Cała biblioteka jest urządzona tak, by ludziom chciało się w niej przebywać. Przy schodach między piętrami widzę pokój, w którym kilka osób siedzi w fotelach i czyta gazety. W innym mieści się sala komputerowa, gdzie można skorzystać z internetu. Co zaskakujące, jest pełna. Na piętrze znajduje się czytelnia. Też pełna ludzi, mimo że jest sobota.

Anna odstawia dziewczynki na zajęcia i prowadzi nas do portu. Chce pokazać podwodne akwarium. Schodzimy po schodach do niewielkiego pomieszczenia pływającego na wodzie. Na środku jest ławka, by można było usiąść i podziwiać morski świat, po bokach wielkie szyby, przez które widać z jednej strony portowy mur, a z drugiej – otwartą wodę.

Na murze są rozgwiazdy i kraby, czasem przepłynie jakaś rybka. Po drugiej stronie pusto. Zwisają tylko liny, oblepione omułkami. Jest też pracowniczka, która opowiada, jakie ryby i inne morskie zwierzęta można tu spotkać. Nagle pojawia się ławica cefali. – To jest fantastyczne, że te ryby są wolne, przypływają, kiedy chcą. Kiedyś widzieliśmy tu nawet delfiny! – emocjonuje się Anna. – Moje córki bardzo lubią tu przychodzić. A teraz budują kolejne akwarium, większe, które będzie miało szyby dookoła – 360 stopni – i będzie znacznie większe od tego.

129 deszczowych dni

Po wyjściu z akwarium idziemy bulwarem wzdłuż portu. Wszędzie tłumy. Słychać odgłosy gaity, galicyjskich dudów, które są pozosta-



• **Ruchome chodniki i taśmy jak na lotniskach. Kolejny element, które tworzą miasto wertykalne**

łością z czasów celtyckich. Dzieci bawią się na placach zabaw, dorośli spacerują i siedzą w kawiarniach. Przypuszczamy, że chodzi nie tylko o dzień wolny, rozpoczynające się obchody święta Reconquisty 1809 r., kiedy podczas ludowego powstania mieszkańcy wyparli wojska Napoleona, ale także o pogodę. Na niebie ani chmurki, Vigo tonie w słońcu, temperatura dochodzi do 25 stopni.

– Dzisiaj jest naprawdę wyjątkowo. Jeszcze wczoraj kropiło – mówi Anna. Według badań meteorologicznych Vigo jest jednym z najbardziej deszczowych miast Hiszpanii, pada tu średnio przez 129 dni w roku.



Anna dodaje, że deszcz w Vigo potrafi zepsuć humor. – W tym roku padało prawie non stop od połowy grudnia do marca, pod koniec było już naprawdę dołująco. Nie każdy jest w stanie wytrzymać taką pogodę, niektórzy szukają szczęścia gdzie indziej. Poza tym jest tu bardzo wysoka wilgotność i wiatr. Nie raz wyjdiesz z parasolem i nie jesteś w stanie iść, bo parasol się łamie.

Na pytanie, kiedy najlepiej odwiedzić Vigo, mówi, że w czerwcu i lipcu, bo potem albo zaczyna się robić zimno, albo pada. – Tak naprawdę nigdy nie wiesz, jak będzie w wakacje. Często przychodzi mgła z morza i chłód. Cała Hiszpania ma 30 stopni, a u nas nic nie widać i marzniemy. Pogoda tu jest naprawdę oryginalna. Kapać się można, ale Morze Śródziemne to nie jest. Moje dzieci kąpią się w piankach.

Jednocześnie Anna podkreśla, że Vigo jest dobrym miejscem do życia, jeśli nie skupiać się tylko na pogodzie. Miasto niewątpliwie ma wiele zalet, a główna jest taka, że tu po prostu wygodnie się żyje. Vigo jest niewielkie, a jednocześnie wystarczająco duże, by się nie nudzić.

Ma lotnisko, uczelnię, starówkę i dobrą kuchnię z owocami morza w roli głównej i konkurencyjne ceny (za spory talerz paelli z naprawdę dużą ilością owoców morza w restauracji na Starym Mieście zapłaciłam niecałe 8 euro). Jest blisko Portugalii, więc wielu mieszkańców jeździ tam na weekend odpoczywać czy na zakupy.

– Co jeszcze mi się podoba w Vigo? Stowarzyszenia sąsiadki. Są w różnych częściach miasta, działają od wielu lat. Są dofinansowane z budżetu miasta i nie tylko – potwier-

dza moje myśli Anna. – U nas w stowarzyszeniu mamy zajęcia z pilatesu, zumbi, panderty (nauka gry na tradycyjnym bębnie). W cenach ekonomicznych dla sąsiadów, z profesjonalnymi trenerami. Robią też różne imprezy, wycieczki. Np. na wyspy Cies popłynęliśmy z naszego stowarzyszenia. Bilety mieliśmy za połowę ceny plus od razu był z nami przewodnik.

Patron literacki Vigo siedzi na kałamarnicy

Rozstajemy się przy pomniku Juliusza Verne'a, który stoi na promenadzie Avenida da Beiramar. Anna musi wracać po córki. Verne to figura znacząca dla mieszkańców miasta. Jest uważany za jego literackiego patrona. Opisał Zatokę Vigo w książce „20 000 mil podmorskiej żeglugi”.

Jak czytamy na stronie rady miasta Vigo, w 2005 roku, w setną rocznicę śmierci pisarza, Stowarzyszenie Przedsiębiorczych Kobiet z Pontevedry zleciło lokalnemu artyście José Moralesowi wykonanie rzeźby i podarowało ją miastu.

Od tego czasu pisarz siedzi na mackach kałamarnicy olbrzymiej na promenadzie. W mieście działa także Towarzystwo Juliusza Verne'a, które organizuje liczne wydarzenia związane z twórczością pisarza i co roku czci dzień, w którym według powieści słynny „Nautilus” kapitana Nemo wpłynął do Zatoki Vigo. Według książki było to 18 lutego 1868 roku.

W tym roku obchody 158. rocznicy wydarzenia odbyły się 21 lutego. Z tej okazji, jak co roku od powstania stowarzyszenia w 2012 r., miłośnicy pisarza przeczytali przy jego pomniku rozdział książki zatytułowany „Zatoka Vigo”.

Głównym językiem był galicyjski, ale czytano również po hiszpańsku, japońsku, niemiecku, angielsku, francusku, portugalsku i po raz pierwszy również w języku asturyjskim i leońskim.

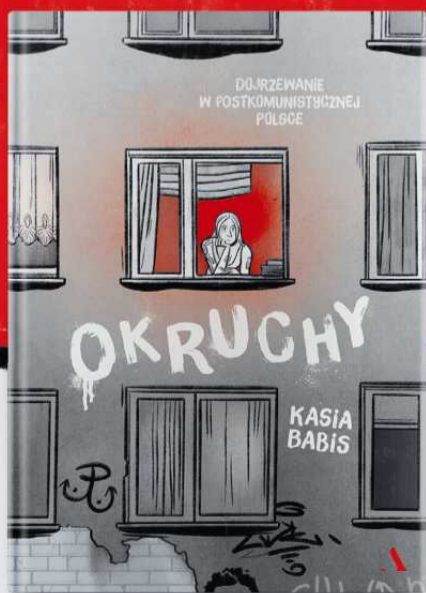
Już dziś Towarzystwo zaprasza na obchody 160. rocznicy wypłynięcia „Nautilusa” do Zatoki Vigo, która zbiega się z 200. rocznicą urodzin pisarza. Uroczystości odbędą się w Vigo w 2028 roku podczas V Międzynarodowego Kongresu Vernijskiego zorganizowanego przez Towarzystwo Hiszpańskie Juliusza Verne'a we współpracy ze Towarzystwem z Vigo.

„Vigo stanie się wówczas światową stolicą uniwersum Vernii” – czytamy na stronie Towarzystwa.

Jak to w Vigo, można się spodziewać niezapomnianej imprezy. ●

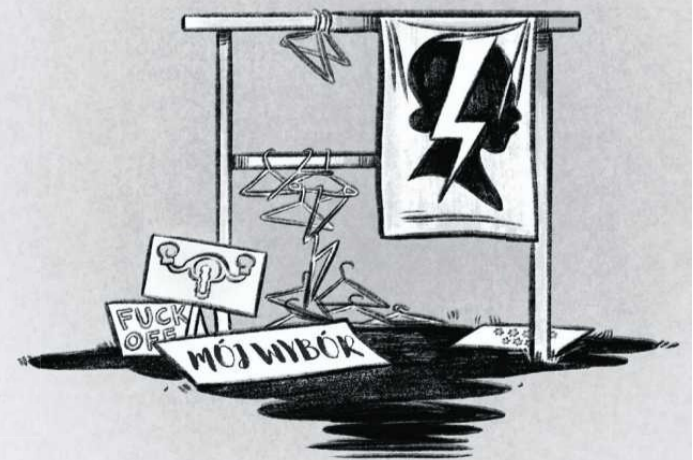
REKLAMA

Kraj/34423354



KASIA BABIS MA TALENT DO PRZEDSTAWIANIA WAŻNYCH SPOŁECZNYCH SPRAW W SPOSÓB, KTÓRY SPRAWIA, ŻE STAJĄ SIĘ CZĘŚCIĄ NASZEJ CODZIENNOŚCI. CHCĘ WIĘCEJ TAKICH OPOWIEŚCI!

SYLWIA CHUTNIK



Pełna empatii i poczucia humoru powieść graficzna

O DORASTANIU W CZASACH TRANSFORMACJI,

gdzie wielka historia Polski spleta się z najbardziej osobistymi doświadczeniami młodej bohaterki.

CZYTAŚ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ E-BOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

www.wydawnictwoagora.pl

Wydawnictwo
Agora



PŁATNY GWAŁT

Badaczki: nie uważamy,
że kobieta powinna etatowo,
przez osiem godzin dziennie,
uprawiać seks z mężczyznami

Z SOCJOLOŻKAMI MARTYNAŃ OLSZAK
I MARLENĄ BUŁANOW
ROZMAWIA DOMINIKA TWOREK

Posługujecie się słowem „prostytcja”, choć progresywne środowiska od lat przekonują nas do mówienia „praca seksualna” lub „sekswork”, aby poprzez tę językową zmianę zdjąć stygmę z kobiet, które się tym zajmują.

MARTYNA OLSZAK*: Faktycznie używamy słowa „prostytcja”, ale w określonym kontekście. Mówimy o kobietach w prostytucji lub kobietach funkcjonujących w seksbiznesie, co podkreśla systemowe znaczenie tego zjawiska – przede wszystkim wyzysk, jakiego doświadczają te osoby. Mówienie o tym, jak o każdej innej pracy, rozmywa istotę problemu świadczenia usług seksualnych za pieniądze.

Z naszego badania wynika, że aż 81 proc. Polaków – niezależnie od miejsca zamieszkania, wykształcenia czy płci – uważa „prostytcję” za właściwe określenie. Tylko 13 proc. jest za tym, żeby mówić „praca seksualna”, a 6 proc. – „sekswork”.

MARLENA BUŁANOW: Tej terminologii używają głównie osoby mieszkające w większych miastach, co może wskazywać na pewną społeczną bańkę reprezentującą określony nurt ideologiczny. My natomiast mówimy do ogółu społeczeństwa i zależy nam, żeby nasz język był jak najbardziej przystępny. Nie używamy też słowa „stygma”, które jest kalką językową z angielskiego.

W mediach dominują jednak głosy samych kobiet z seksbiznesu, które optują za tym, by mówić o nich „pracownice seksualne”. Część z nich określenie „prostytcja” uważa za krzywdzące.

M.B.: Sęk w tym, że samo to słowo wcale nie jest obraźliwe. Używają go kobiety, którym pomagamy. Posługują się nim także Unia Europejska. Oczywiście ono może być używane w krzywdzący sposób, podobnie jak wiele innych wyrazów, ale my nie mamy takiej intencji.

Nie ulega wątpliwości, że jest pewna grupa, dla której ta zmiana językowa jest ważna, i ma ona pełne prawo wypowiadać się we własnym imieniu.

Natomiast kolosalna większość kobiet w seksbiznesie nie ma takiej siły przebiecia – nie jest w stanie przedstawić swojego stanowiska w mediach, bo po prostu walczy o przetrwanie. My próbujemy być głosem tej milczącej większości.

Badania z całego świata – między innymi amerykańskiej badaczki Melissy Farley – pokazują, że dziewięć na dziesięć kobiet będących w prostytucji chce z niej wyjść. Potwierdzają to również polskie badania terenowe kryminolożki dr. Barbary Błońskiej opublikowane przez Polską Akademię Nauk.

M.O.: Dodałabym, że te kwestie językowe nie są dla nas kluczowe – jeśli zgłaszająca się do nas kobieta nazywa siebie pracownicą seksualną, nie negujemy tego.

Dlaczego prostytucja nie powinna być postrzegana jak każda inna praca?

M.B.: Tak jak wszyscy zgadzamy się, że nie można sprzedać swojej krwi albo organów czy dobrowolnie poddać się niewolnictwu, tak nie powinniśmy tworzyć świata, w którym czymś zupełnie normalnym jest zarabianie poprzez prostytucję.

Wyobraźmy sobie, że matka mówi swojej córce: nie idź na studia, nie kształć się, tylko sprzedawaj swoje ciało. Pytanie: „Czy chciałabyś, żeby robiła to twoja córka?”, dobrze działa na wyobraźnię, bo przestajemy mówić o jakiejś wymyślonej grupie osób, a zaczynamy myśleć konkretnymi obrazami. I umówmy się – są to jednak przykre obrazy.

W naszym badaniu 67 proc. Polek i Polaków wskazuje, że byłby to dla nich problem, gdyby bliska im osoba pracowała w branży seksualnej. Myślmy, że większość społeczeństwa zgodzi się z tym, że nie da się po-

wiedzieć, iż bycie w prostytucji jest takim samym zawodem jak praca kasjerki w supermarkecie.

M.O.: Czasami mówi się, że przecież w pracy również „sprzedajemy swoje ciało”. Z naszego punktu widzenia to nie jest jednak to samo. W żadnej innej pracy nie istnieje tak wysokie prawdopodobieństwo bycia zgwałconą, zabitą, zranioną czy wykorzystaną – co pokazują różne analizy, na przykład badanie „Prostytcja i handel ludźmi w dziewięciu krajach: aktualne ustalenia dotyczące przemocy oraz zespołu stresu pourazowego”. Naszym zdaniem żadna kobieta nie powinna być ani zmuszana, ani zachęcana do tego typu aktywności.

67 proc., czyli nie wszyscy.

M.O.: To jest dokładniej 73 proc. kobiet i 60 proc. mężczyzn. Nasze badanie pokazało, że percepcja prostytucji różni się w zależności od płci. W wielu kwestiach kobiety są jednak bardziej wrażliwe na ten problem.

Na przykład 55 proc. kobiet uważa, że seksu nie można traktować jako usługi, którą można kupić, podczas gdy taką odpowiedź zaznaczyło tylko 28 proc. mężczyzn.

Z kolei 41 proc. badanych kobiet wskazuje, że przeszkadzałoby im, gdyby ktoś z ich bliskich znajomych korzystał z prostytucji – to samo zdanie podzieliło tylko 18 proc. płci przeciwnej.

M.B.: Pewnym „metawnioskiem” z badania jest również to, że w kwestiach związanych z przemysłem seksualnym Polacy często nie mają wyrobionego zdania. W wielu pytaniach pojawia się dość wysoki odsetek odpowiedzi „trudno powiedzieć”, sięgający często 20-30 proc. Temat prostytucji jest jednak głęboko ukryty i rzadko poruszany w publicznej dyskusji.

Na przykład dwie na trzy osoby nie wiedzą, jaki model prawny dotyczący prostytu-

cji obowiązuje w Polsce – że nie karze się osób świadczących usługi seksualne w prostytucji czy klientów, ale karze się strony trzeciej, czyli sutenerów.

Może sam problem jest po prostu marginalny?

M.B.: W naszym badaniu do korzystania z prostytucji przyznało się aż 13 proc. mężczyzn. Szacując do populacji ogólnej dorosłych, daje to około 2 mln osób. Kolejne 5 proc. odmówiło odpowiedzi. Jednocześnie do takiej aktywności przyznało się tylko 1 proc. kobiet, co obala mit kobiet klientek. To przede wszystkim mężczyźni są klientami kobiet w prostytucji i to oni kształtują ten rynek. Częściej także opowiadają się za legalizacją prostytucji.

Dlaczego Polacy mieliby być przeciwko legalizacji prostytucji? Przecież to mogłoby rozwiązać wiele problemów, przede wszystkim ograniczyć szarą strefę handlu ludźmi.

M.O.: To nie do końca prawda.

Z danych Parlamentu Europejskiego wynika, że wraz z legalizacją problemy przemocy wobec kobiet i handlu ludźmi tylko narastają, ponieważ bardzo łatwo jest je przykryć legalnym biznesem. Wiele historii przemocy nie dociera wtedy do organów ścigania.

Jeśli praca jest formalnie legalna – z szefem i pracodawcą – a cały przemysł funkcjonuje w ramach prawa, władze rządowej interesują się tym, co się dzieje za drzwiami tych domów publicznych.

Tymczasem wciąż dochodzi tam do przemocy, a czasem nawet w większym nasileniu niż w szarej strefie, ponieważ sutenerzy czują się bezkarni. Tak dzieje się między innymi w Niemczech czy w Holandii, co wiemy z opublikowanego w zeszłym roku raportu Koalicji przeciwko Handlowi Kobietami.

Może legalizacja ułatwiłaby kobietom zgłaszanie gwałtów lub innych form przemocy?

M.B.: Teoretycznie, ale w praktyce rzadko się to zdarza, bo sprzeciw wobec klienta i pracodawcy jest bardzo trudny. Poza tym, że te kobiety zyskują prawo regularnych badań medycznych, wcale nie nabierają jakiejś niesamowitej samodzielności. Wciąż pozostają pod kontrolą sutenerów.

Jeśli weźmiemy pod uwagę, że wiele z nich to migrantki – na przykład w Niemczech osoby z Ukrainy lub Polski – łatwo zrozumieć, że nie mają wystarczających zasobów – wiedzy ani odwagi – by zgłosić problem odpowiednim organom.

Ważnym argumentem za legalizacją jest kwestia płacenia podatków – państwo zyskuje wpływy, a kobiety dostęp do usług publicznych.

M.B.: To jednak zakłada traktowanie prostytucji w kategoriach pracy. My się z tym nie zgadzamy – nie uważamy, że kobieta powinna etatowo, przez osiem godzin dziennie, uprawiać seks z mężczyznami, których wymagania mogą przekraczać jej granice i stanowić źródło niebezpieczeństwa.

Wierzmy, że kobiety mogą wykonywać inne zawody, które zapewnią im osobistą godność.

M.O.: Poza tym seksbiznes funkcjonuje w taki sposób, że to sutenerzy czerpią ogromne zyski z prowadzenia domów publicznych. Można przypuszczać, że nie byłoby skłonni odprowadzać należnych świadczeń społecznych jako pracodawcy. Ten biznes nie jest uczciwy – po prostu jest i zawsze był przestępczy.

M.B.: W naszym badaniu zadaliśmy też Polakom pytania o modele prawne, posługując się ich prostymi definicjami. Okazało się, że 41 proc. chciałoby wprowadzenia w Polsce modelu nordyckiego, który jako Stowarzyszenie Bez Mizoginii, Wyzysku, Przemocy popiera. Jednocześnie jedna piąta badanych nie miała na ten temat zdania.

Model nordycki obowiązuje między innymi w Szwecji, na Islandii czy we Francji. Zakłada, że prostytucja jest systemowo szkodliwa i krzywdząca dla kobiet. Z tego powodu nie karze kobiet w prostytucji, lecz klientów oraz „strony trzecie” czerpiące zyski z cudzej prostytucji.

Co ważne, 84 proc. Polek i Polaków zgodziło się z tym, że należy pomagać osobom, które chcą wyjść z prostytucji, a model nordycki takie polityki pomocowe zapewnia.

Kraje jak Szwecja czy Francja funkcjonują jako państwa opiekuńcze, u nas wiele z dotychczasowych usług publicznych nie działa tak, jak powinno, a wy chcielibyście stworzyć jeszcze nowy sektor pomocy.

M.B.: Uważamy, że każda osoba w kryzysie zasługuje na pomoc. Szczególnie że wiemy, iż często ów kryzys wynika z przyczyn niezależnych od osób, które w ten seksbiznes weszły – z biedy, przemocy seksualnej w dzieciństwie czy innych traumatycznych doświadczeń. Dlaczego mielibyśmy im jako państwo nie pomagać?

Popularna dziś platforma OnlyFans – gdzie kobiety rozbierają się przed kamerkami – umożliwiła też cyfrową, „lżejszą” formę prostytucji. Jest ona dla tych kobiet bezpieczniejsza.

M.O.: To prawda, że ryzyko fizycznego skrzywdzenia jest mniejsze, choć niektóre twórczynie bardzo ekstremalnie podchodzą do swojej działalności. Na przykład Bonnie Blue czy Lily Phillips podejmują się wyzwania, takich jak odbycie jak największej liczby stosunków w ciągu dnia, co może wiązać się z dużą traumą fizyczną i psychiczną.

Warto pamiętać, że często mówimy o osobach bardzo młodych. Młodość sprawia, że łatwiej ulec wizji polukrowanego i lukratywnego biznesu, w którym wydaje się, że można

zarządzać sobą i czerpać z tego zysk, że wystarczy tylko pokazywać zdjęcia. Jednak działalność w internecie przy ogromnej konkurencji rodzi presję, by nieustannie przesuwać własne granice.

Może to jednak szansa dla młodych kobiet z biedniejszych domów, aby dość szybko „wyjść na prostą”?

M.B.: Na OnlyFans działają całe agencje rekruterskie, które pozyskują młode kobiety z Instagrama czy TikToka, reklamując to dokładnie w taki sposób. Znaczna część zysków trafia jednak do kieszeni tych platform, które stały się takimi nowoczesnymi sutenerami. OnlyFans jest dziś najbogatszą firmą, która zatrudniła jak najmniej osób. Wyprzedza Apple, Metę i Nvidię z przychodem 37,6 mln dolarów na pracownika.

M.O.: Natomiast z perspektywy samych kobiet często okazuje się, że ta praca wcale nie wygląda tak, jak sobie ją wyobrażały. One wcale nie osiągają wysokich zarobków. Wręcz przeciwnie, średnia jest bardzo niska.

Tylko 12 proc. osób na OnlyFans zarabia ponad tysiąc dolarów miesięcznie, podczas gdy 60 proc. zarabia mniej niż 100 dolarów, jak wynika z badania Influencer Marketing Hub z 2023 roku. A będąc na takiej platformie, jednak narażają się na zepchnięcie na margines podejmowania się normalnej pracy zarobkowej.

Co popycha mężczyzn do korzystania z prostytucji?

M.B.: Z naszej perspektywy – bezkarność.

Na OnlyFans działają agencje rekruterskie, pozyskują młode kobiety z Instagrama czy TikToka. Większość zysków trafia do kieszeni tych platform, to nowocześni sutenerzy

13 proc. mężczyzn w Polsce przyznaje się do korzystania z prostytucji. Dla porównania: w Niemczech, gdzie obowiązuje model legalizacji, to już 26 proc., a w Szwecji, gdzie funkcjonuje model nordycki – tylko 7 proc.

Przecież prostytucja to „zawód stary jak świat”.

M.O.: Ten argument często służy do twierdzenia: skoro prostytucja istniała zawsze, będzie istnieć zawsze. My jednak uważamy, że to zjawisko wytworzone przez określone relacje wyzysku i mizoginii.

Proces utowarowienia kobiecego ciała wcale nie sięga samego początku historii ludzkości. Badania – na przykład historyczki Gerdy Lerner – pokazują, że korzeni prostytucji należy szukać w niewolnictwie i ubóstwie. Pierwszymi zawodami ludzi były zbieractwo czy rolnictwo, a nie prostytucja.

Może kieruje nimi poczucie samotności? Same kobiety z seksbiznesu opowiadają, że ich klienci nierzadko pragną czułości, bliskości, ciepła i rozmowy.

M.B.: Często próbuje się to w ten sposób tłumaczyć. Ja jednak myślę, że niektórzy mężczyźni mogą kierować się po prostu nienawiścią wobec kobiet czy brakiem szacunku do nich.

Ciepło i czułość wymagają jednak autentyczności oraz budowania relacji. Tymczasem część mężczyzn uważa, że może po prostu udać się do kobiety w prostytucji i za tę „bliskość” zapłacić, nie wkładając wysiłku w budowanie relacji.

To z kolei wpływa negatywnie na nasze życie społeczne i przekłada się na napięcia, które dziś często obserwujemy między kobietami a mężczyznami.

Czy wy również nie przyczyniacie się do wytwarzania napięcia – poprzez radykalne podejście do prostytucji i stwierdzenia, że mężczyźni nienawidzą kobiet?

M.B.: To, że mówimy, iż nie powinno być przemocy wobec kobiet, gwałtów ani kobietobójstw, oraz to, że wskazujemy sprawców tych przestępstw, z mojego punktu widzenia wcale nie jest czymś radykalnym. Po prostu nazywamy rzeczy po imieniu. Prywatnie same mamy przecież relacje z mężczyznami.

Mamy partnerów, mamy mężów, mamy rodziny. Mężczyźni, którzy szanują kobiety, istnieją i warto o tym mówić. Jednocześnie warto wprost nazywać problemy i dążyć do ich rozwiązania.

Być może część mężczyzn korzysta z prostytucji, by zrealizować fantazje, które w relacjach partnerskich byłyby uznane za niedopuszczalne. Kobieta, której zapłacą, staje się jedyną osobą, przy której mogą w pełni „być sobą” w sferze seksualnej.

M.O.: Absolutnie nie zgadzamy się z tym, że by za odpowiednią ilość pieniędzy móc odgrywać swoje perwersyjne fantazje. Podczas gdy zdesperowana kobieta potrzebująca pieniędzy musi się na to zgodzić.

Nie chcę wchodzić w szczegóły, co jest perwersją, a co nie, ale kluczowe jest to, że tego typu praktyki w normalnych relacjach nie wchodzi w grę. Możemy zadać sobie pytanie: Czy jest w porządku, że jeśli zapłacę kobiecie za zrobienie tego, co chcę, to staje się to akceptowalne?

M.B.: Warto podkreślić, że te fetysze często zapośredniczane są przez mężczyzn z filmów pornograficznych. Wchodząc na pierwszą lepszą stronę, można zobaczyć bardzo ekstremalne materiały, przedstawiające różne

przemocowe praktyki wobec kobiet, na przykład duszenie.

To jest skrajnie niebezpieczne i w zeszłym roku zostało zakazane w Wielkiej Brytanii. Naszym zdaniem seksu w ogóle nie powinno się kupować, często używamy nawet mocnego stwierdzenia, że prostytucja to de facto płatny gwałt.

Czemu gwałt? Przecież te kobiety świadomie się na to godzą.

M.B.: Właśnie tu nie ma zupełnie bezinteresownej, czystej zgody. Gdyby nie było tych pieniędzy, stosunek by się nie wydarzył – przynajmniej nie w takim kształcie, w jaki narzuca go klient.

M.O.: Często to, co określa się jako „wolny wybór”, w rzeczywistości nie jest świadomą zgodą. Kobieta podejmuje decyzję pod przymusem sytuacji – na przykład wobec bezdomności, niemożności wykarmienia dziecka czy perspektywy głodu przez kolejne tygodnie.

Takie historie często słyszymy od kobiet próbujących wyjść z prostytucji. Warto pamiętać, że wybierając ten „zawód”, wcale nie stawiamy obok siebie innych ścieżek kariery – na przykład pracy w księgowości czy w IT. Gdy ktoś jest w prostytucji, możemy z bardzo wysoką pewnością stwierdzić, że stoją za tym bardzo trudne, przykre okoliczności.

Choć część kobiet może po prostu lubić seks.

M.B.: Myślę, że sprawa Jeffreya Epsteina idealnie pokazała nam, na czym to wszystko tak naprawdę polega. Że to wcale nie jest wesołe ani wolnościowe. Widzimy tu też mechanizmy rekrutacji – dziewczynki zostawały wprowadzane przez zafanowaną kobietę Ghislaine Maxwell, zaczynało się od masaży, a ich granice były stopniowo przesuwane.

Jest też kontekst migracji z krajów peryferyjnych względem USA, w tym również z Polski. Elitom bardzo opłaca się, byśmy myśleli o tym

w kategoriach zgody i dobrowolnych relacji. Ofiary mówią jednak jasno, że tak nie jest.

M.O.: Niestety, dziś w przestrzeni publicznej niewiele mówi się o tych mechanizmach i sprawcach, a częściej o polityce i wielkich nazwiskach, jak Donald Trump czy Elon Musk. Nastąpiło pewne rozmycie tematu.

M.B.: My wychodzimy z założenia, że to ogromny sukces, że dzięki odwadze ofiar te pliki ujrzaly światło dzienne. To jest naprawdę wielką odwagą kobiet, które zdecydowały się mówić głośno i walczyć o odsłonięcie tego dywanu i wyciągnięcie całej sprawy spod niego.

Jesteście aktywistkami, a dziś aktywizm coraz częściej finansowany jest przez większe organizacje. Kto was finansuje?

M.O.: Nikt nas nie finansuje i to jest nasz atut. Radzimy sobie same, zbierając środki poprzez fundraising. Okazjonalnie otrzymujemy wsparcie z mniejszych grantów. Zasadniczo funkcjonujemy głównie dzięki dotacjom osób prywatnych.

M.B.: Działamy jako wolontariuszki, robimy to po godzinach, nie pobieramy wynagrodzenia. To nie tak, że my sobie zostawiamy te przelewy dla siebie – wszystko wydajemy na praktyczną pomoc. W normalnym świecie nie powinno w ogóle się zdarzać, że z prywatnych kieszeni finansuje się wsparcie dla osób w kryzysie, które chcą z niego wyjść.

Jakie wnioski z waszego badania chcielibyście szczególnie uświadomić ludziom?

M.B.: Pamiętajmy, że to mężczyźni napędzają rynek prostytucji – 13 proc. przyznaje się do kupowania seksu, a co trzeci zna kogoś, kto kupował seks. Co więcej, o problemie prostytucji nie mówi się wystarczająco głośno – dwie na trzy osoby nie wiedzą, jakie prawo obowiązuje względem prostytucji, a jeden na pięciu Polaków nie ma zdania na temat preferowanego modelu prawnego.

Wierzycie, że zmienicie świat, a przynajmniej polski krajobraz?

M.O.: To jest coś, do czego na koniec dążymy, choć robimy to małymi kroczkami. Jesteśmy jedyną organizacją w Polsce, która poświęca się zapewnianiu bezpośredniej pomocy kobietom, które chcą z tej prostytucji wyjść. Przewodzimy też działania edukacyjne na naszych social mediach.

M.B.: Dostajemy wiadomości, że dzięki nam wiele młodych dziewczyn nie weszło w seksbiznes, mimo że ktoś je kusił i do tego namawiał. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE (2)

*Marlena Bułanow i Martyna Olszak

• socjolożki i badaczki; członkinie Stowarzyszenia Bez Mizoginii, Wyzysku, Przemocy, które pomaga kobietom uwikłanym w przemysł seksualny; współautorki raportu „Praca jak każda inna? Polki i Polacy o prostytucji”.

• Raport „Praca jak każda inna? Polki i Polacy o prostytucji” powstał na podstawie pierwszego w Polsce badania dotyczącego podejścia naszego społeczeństwa do prostytucji. Badanie zostało zrealizowane przy współpracy z Ogólnopolskim Panelem Badawczym „Ariadna” metodą CAWI na ogólnopolskiej, reprezentatywnej próbie 1070 Polek i Polaków.

• Premiera raportu odbędzie się 13 maja o godz. 18.30 na Wydziale Socjologii UW.

PISANIE HISTORII PEŁNE PUŁAPEK

Trzeba stworzyć w Unii przestrzeń publicznej pamięci, w której historie narodowe uzupełniają się, a nie walczą ze sobą. Tak mówi europarlament. Wykonalne?



Georges Mink*

Jakiej historii i jakiej pamięci potrzebuje Europa? I jaka Europa? Oto kwestia, którą chciałbym rozważyć. Ale najpierw chciałbym przypomnieć w skrócie, na czym polega polityka historyczna Unii Europejskiej, wyrażona w najnowszej rezolucji Parlamentu Europejskiego [o świadomości historycznej, styczeń 2024] w formie zaleceń skierowanych do prezydencji Unii.

1) Krytyczne podejście do przeszłości: postrzeganie mrocznych kart historii jako lekcji, a nie jako niezmiennych narracji.

2) Poszerzać pamięć europejską: przejść od podejścia narzuconego przez instytucje do kultury wspólnej dla obywateli.

3) Zreformować nauczanie: poświęcić więcej miejsca historii europejskiej i światowej, zachęcać do krytycznego myślenia i szkolić nauczycieli w sferze podejścia transnarodowego.

4) Wzmocnienie programów europejskich: Erasmus+ i CERV [„Obywatele, równość, prawa i wartości”] muszą wspierać mobilność, wymianę i projekty związane z pamięcią.

5) Ochrona historii: odrzucenie wszelkiej instrumentalizacji politycznej i zwalczanie negacjonizmu.

Wizja przyszłości: po co to wszystko?

• Konieczne jest budowanie europejskiej kultury pamięci opartej na wspólnych wartościach (demokracja, tolerancja, praworządność).

• Konieczne jest także stworzenie europejskiej przestrzeni publicznej pamięci, w której historie narodowe uzupełniają się, a nie przeciwstawiają się sobie.

• A także uczynienie historii narzędziem edukacji obywatelskiej, a nie rywalizacji politycznej.

Temu optymistycznemu podejściu posłów do europarlamentu przeciwstawiłbym dobrze znane stanowisko poety Paula Valéry'ego z 1931 roku:

„Historia jest najniebezpieczniejszym produktem, jaki stworzyła chemia intelektu. Sprawia, że ludzie marzą, upaja narody, rodzi fałszywe wspomnienia, wyolbrzymia ich odruchy, podtrzymuje stare rany, nie daje im spokoju, prowadzi do majaczeń o wielkości lub prześladowań i sprawia, że narody stają się zgorzkniałe, wyniosłe, nie do zniesienia i próżne”.

Dzisiaj do słowa „historia” należy dodać słowo „pamięć”, co byłoby bardziej trafne z punktu widzenia społecznego wykorzystania historii.

Moje rozważania będą oscylować między tymi dwoma biegunami: między europejskim optymizmem legislacyjnym a emocjonalnym pesymizmem Paula Valéry'ego.

Kwestia europejskiej pamięci / pamięci europejskich i europejskiej historii wraca cyklicznie od lat 90. XX wieku. Odniesienie do Europy pojawia się w tych rozważaniach przede wszystkim w trzech częściowo ząbiejących się aspektach.

Pierwszy z nich dotyczy Europy jako „wspólnoty”, która cierpi z powodu braku „narodu europejskiego”, deficytu identyfikacji, braku emocji;

pamięć i historia są tu postrzegane jako zasoby tożsamościowe.

Drugi rozpatruje Europę (Parlament Europejski, Rada Europy) jako arenę mobilizacji, na której formułowane są liczne, krzyżujące się i/lub konkurujące ze sobą postulaty dotyczące pamięci (pamięć o Holokauście, pamięć o komunizmie, pamięć o kolonializmie, pamięć o frankizmie, pamięć ludności, która pod koniec II wojny światowej została wysiedlona lub przeniesiona itp.).

Wreszcie Europa jawi się jako źródło normatywności, pełniące rolę regulacyjną w zarządzaniu konfliktami pamięciowymi.

Integracja kontra Europa ojczyzn

Wpisując się w ogólny trend „globalizacji pamięci” (termin historyka Henry'ego Rousso), kwestia pamięci / historii europejskiej rzuca jednocześnie światło na bardziej szczegółowe pytania dotyczące projektu europejskiego i jego celów: czy można napisać historię europejską i co ona miałaby oznaczać? Czy oficjalna pamięć europejska uporządkowana zgodnie z zasadą konsensusu jest możliwa i pożądana?

Moja główna teza kontekstualizuje sekwencyjną historię sposobów wykorzystania pamięci w Europie. Oto ona:

W Europie rozpoczęła się nowa era, przypominająca XIX-wieczny proces budowania narodu, tym razem napędzany przez eurosceptyków i eurofobów, w opozycji do zwolenników pogłębiania integracji europejskiej. Innymi słowy, mamy do czynienia z regresem ponad-

narodowej, niemal kontynentalnej suwerenności europejskiej.

Przypomnijmy, że integracja transnarodowa była idealnym celem założycieli Wspólnoty Europejskiej. Obecny regres następuje na rzecz suwerenizmu motywowanego poszukiwaniem korzeni, zasadą „każdy dla siebie i przez siebie”, oraz walkami partyjnymi w większości państw członkowskich.

Wzrost suwerenizmu nacjonalistycznego pojawił się mniej więcej od czasu powstania konwentu ds. konstytucji europejskiej z 2002 roku, a zwłaszcza od czasu wielkich rozszerzeń Unii w latach 2004-07. Jego dotychczasowy, wciąż względny sukces opiera się na rewitalizacji narracji historycznej skoncentrowanej na własnej wielkości i własnych nieszczęściach narodowych.

Wzmocnia to dynamikę projektu dezintegracyjnego Europy ojczyzn, przeciwnego pogłębionej integracji. Niesie to ze sobą ryzyko ożywienia separatystycznych konfliktów pamięciowych. Dynamika ta zagraża jedności europejskiej.

Gramatyka pojednania

Od 1945 roku, pod wpływem bilansu traumatycznej przeszłości, dominowała tendencja do amnezji, czasem do amnestii, zapomnienia i wymazania pamięci. Jest to okres, w którym na świecie, a także w społeczności europejskiej, krąży gramatyka pojednania, które prowadzi do dyplomacji przebaczenia i skruchy.

Kopiowano model francusko-niemiecki, model polsko-niemiecki, a nawet w późniejszym okresie XX wieku model hiszpański, oparty na połączeniu amnestii i amnezji, który pojawił się w związku z upadkiem autorytarnych reżimów w południowej Europie. Później pojawia się kultowy model południowoafrykański.

Dominacja tendencji do pojednania w Europie powoduje powstanie wielu instytucji, których zadaniem jest neutralizowanie potencjalnych konfliktów pamięciowych wewnątrz niektórych krajów lub między krajami. Jest to rola licznych komisji historyków, które konfrontują sprzeczne relacje historyczne, aby złagodzić potencjał konfliktów.

Europejczycy tworzą w służącą pojednaniu rolę dwustronnych [tworzonych przez dwa różne kraje] podręczników szkolnych i muzeów, które próbują zbliżyć do siebie sprzeczne interpretacje bolesnej przeszłości, aby osiągnąć konsensus w sprawie ich publicznego odbioru. (Wróć do tego tematu w kontekście Domu Historii Europejskiej w Brukseli).

Jednak efekt tych wysiłków będzie często sprzeczny z mniej lub bardziej anielskimi intencjami ich autorów. Przypomnienie bolesnej przeszłości otwiera złe zagojone rany.

Moje wystąpienie będzie miało trzy etapy. Najpierw chciałbym pokrótce omówić współczesną konfigurację charakteryzującą się „globalizacją pamięci”.

Ostatnio tendencja ta została wzmocniona spoza Unii przez narrację Putina, legitymizującą inwazję na Ukrainę. Nawet jeśli starcia zbrojne ograniczają się na razie tylko do tego kraju, narracja ta ulega globalizacji za sprawą przeciwwstawiania się przez Putina cywilizacji zachodniej.

Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że suwerenistyczna i supremacjonistyczna narracja Donalda Trumpa wywiera taki sam efekt. Oznacza to przemiany w relacjach między historią, pamięcią i narracjami narodowymi, których echo rozbrzmiewa w debatach europejskich.

Następnie omówię kwestię europejskiej narracji historycznej, charakteryzujących ją niejasności oraz wynikających z nich problemów - zarówno politycznych, jak i historiograficznych.

Wreszcie wróć do tego, co wielu obserwatorów określiło jako „asymetrię pamięci” między Wschodem a Zachodem w Unii Europejskiej, a niektórzy posunęli się nawet do wspomnienia o istnieniu „żelaznej kurtyny pamięci” (zob. zwłaszcza, co pisał o tym historyk Emmanuel Droit).

Na pierwszym miejscu ofiara

Zacznijmy od globalnej pamięci i ofiary jako postaci centralnej. Od ponad 20-30 lat kwestia pamięci zyskała bezprecedensową widoczność zarówno w sferze politycznej, jak i „naukowej”. Obecnie mówi się o „nadmiarze pamięci” (hipermnezja) i „przesycie pamięcią” (historyczka Régine Robin).

Rzeczywiście obserwujemy wzrost liczby „specjalistów od pamięci” lub podmiotów zajmujących się rekonstrukcją i inwentaryzacją, mobilizacją i sprawami związanymi z pamięcią niemal na całym świecie.

Ta „obsesja” przeszłości - która poprzez swój sposób funkcjonowania wyjaśnia reżim historyczności, który

uczony François Hartog trafnie nazwał prezentyzmem - wydaje się powiązana z „zaćmieniem utopii” (określenie historyka Enzo Traverso), „końcem wielkich ideologicznych systemów interpretacji” (określenie moje) oraz pojawieniem się modelu transakcyjnego w stosunkach międzynarodowych.

Bez horyzontu oczekiwań i bez utopii spojrzenie retrospektywne skupia się na XX wieku postrzeganym jako „wiek wojen, totalitaryzmu i ludobójstw” (Traverso).

Spojrzenie to skupia się na wspomnianej postaci „ofiary”. Oprócz centralnej roli tej postaci globalizacja pamięci przekłada się na powstanie nowej przestrzeni publicznej - krajowej, regionalnej, światowej - w której głos zabierają „zapomniane” grupy. To „zabieranie głosu” prowadzi do podważania historii naukowej. W rezultacie dochodzi do zatarcia granic między dyskursami naukowców, polityków i aktywistów oraz do otwar-

Paul Valéry: – Historia jest najbardziej niebezpiecznym produktem, jaki stworzyła chemia intelektu. Sprawia, że ludzie marzą, upaja narody, prowadzi do majaczeń o wielkości lub prześladowań

cia „na mniej lub bardziej kontrolowany pluralizm interpretacji przeszłości” (Henry Rousso).

Nowe mobilizacje i nowe formy działania politycznego prowadzą do stopniowego pojawienia się międzynarodowej polityki pamięci, za którą odpowiedzialne są takie podmioty jak ONZ, Parlament Europejski, Rada Europy. Ta międzynarodowa polityka rozgrywa się na różnych poziomach (lokalnym, krajowym, regionalnym, międzynarodowym).

Strategie pamięci przebiegają w trzech etapach: uświadomienie sobie zbrodni przeszłości, uznanie ich i żądanie zadośćuczynienia. W ten sposób powstają miejsca i repertuary działań na poziomie transnarodowym lub międzynarodowym, w szczególności w dziedzinie wymiaru sprawiedliwości - judykalizacja [rozszerzanie zakresu władzy sądowniczej na nowe obszary] jest jedną z cech charakterystycznych tej zglobalizowanej pamięci. Pamięć o Holokauście (zbudowana w szczególności wokół pary ofiara/oprawca) odgrywa tu rolę paradygmatu.

Jednak pojawienie się polityki Netanjahu w Strefie Gazy, określanej jako ludobójcza, będzie miało lub już ma, nolens volens, wpływ na osłabienie, a nawet podważenie jego statusu modelu i rozszerzeń do monopolistycznej wyjątkowości.

Po co Dom Historii Europejskiej

Przejdźmy do europejskiej pamięci historycznej i europeizowanej historii. Choć istnieje powszechna zgoda co do istnienia europejskiej „kultury” i „cywilizacji”, kwestia tożsamości i identyfikacji europejskiej pozostaje nadal otwarta.

Była ona rzadko poruszana w debatach europejskich przed 1989 rokiem, ponieważ odniesienia do wojny - „nigdy więcej” - i do bloku komunistycznego na Wschodzie - w opozycji do którego Europa mogła jawić się jako przestrzeń wolności, demokracji i dobrobytu - stanowiły wystarczające punkty odniesienia dla tożsamości i pamięci.

Jednak upadek komunizmu - wydarzenie o charakterze globalnym, zwłaszcza ze względu na destabilizację wyobrażeń politycznych i symbolicznych geografii - nadał tej kwestii nowy wymiar w odniesieniu do przeszłości. Wymiar ten został wzmocniony przez skutki procesu rozszerzenia na Wschód.

„Wschód” Europy przyniósł ze sobą „swoich zmarłych” (- Tak dla Europy - powiedziała historyczka polskiego romantyzmu Maria Janion - ale wejdzmy do niej wraz z naszymi zmarłymi). Wschód Europy, nie będąc przestrzenią jednorodną, ma jednak swoje specyficzne cechy.

Oddalanie się II wojny światowej, a co za tym idzie odchodzenie świadków tych wydarzeń, oraz pojawie-

nie się nowych wyobrażeń o cierpiącej na „deficyt legitymizacji” Unii Europejskiej, która nie zapewnia wystarczającej ochrony w sytuacji kryzysu gospodarczego i społecznego, podsycały wątpliwości dotyczące projektu europejskiego i jego elitarnego charakteru. W ramach ruchu mającego na celu sprzyjanie powstaniu „narodu europejskiego” pojawiła się kwestia tożsamości Europy i jej historycznego fundamentu pamięci, tak aby Europa stała się nie tylko „miejscem prawa”, ale także „miejscem przynależności emocjonalnej”, co zostało natychmiast zakwestionowane.

Nie zapominajmy również, że Europa, w bardziej ogólnym sensie geopolitycznym, jest obciążona ciężką hipoteką pamięci pozaeuropejskiej, o czym przypomniał nam historyk Jack Goody w książce „Kradzież historii. Jak Europa narzuciła reszcie świata swoją wersję przeszłości”. Chodzi tu o Europę imperialnych podbo-

jów, która pozostawiła bolesne (lub nie) ślady pamięci poza Europą oraz w środowiskach imigranckich obecnych w byłych krajach kolonialnych Europy.

Stworzenie wspólnej pamięci historycznej, materializującej się zwłaszcza w muzeach, wydaje się zatem przedsięwzięciem pełnym pułapek. Argumenty przemawiające za utworzeniem (w 2007 roku) Europejskiego Domu Historii wyjaśniają niektóre z tych trudności. Projekt budowy Domu zamiast Muzeum podkreśla znaczenie semantyki dla uniknięcia poczucia upamiętniania miejsc pamięci, które w przeszłości dzieliły, i dla stworzenia poczucia integrującej wspólnoty.

Metafora Domu sugeruje, że w budynku „Europa” znajduje się kilka mieszkań różnej wielkości, ale pod jednym dachem. Jednak po otwarciu Domu Europy dla publiczności jego narracja pamięci spotkała się z wieloma krytycznymi opiniami. Niektórym historykom, zwłaszcza z Europy Środkowej, Dom Historii Europejskiej wydawał się „Domem Manipulacji Europejskiej”.

Tak samo jest w przypadku Platformy Europejskiej Pamięci i Sumienia (PEMC), utworzonej w 2011 roku z inicjatywy czterech krajów Grupy Wyszehradzkiej (Polski, Węgry, Słowacja i Czech): jej ostentacyjnym celem jest utworzenie międzynarodowego trybunału, który będzie osądzał zbrodnie komunizmu.

Według jej członków Dom Historii Europejskiej przekazuje jednostronny, silnie zideologizowany komunikat, propagujący neomarksistowską wizję historii kontynentu europejskiego.

Francuski historyk, specjalista od historii Niemiec, Étienne François, odpowiada na to: „Wystawa jest ambitna, a jednocześnie pełna pokory. Nie narzuca jednej interpretacji historii (...). Ma tylko jeden cel: dostarczenie zwiędzającym informacji, które pozwolą im samodzielnie zbudować wizję tego, czym jest Europa i czym powinna się stać. To wystawa poświęcona wolności”.

Z tych sprzecznych opinii jasno wynika, że wspólna, a więc konsensusowa pamięć europejska pozostaje przedmiotem kontrowersji i nieporozumień, co stanowi poważną przeszkodę w budowaniu tożsamości europejskiej.

Jeśli, jak podkreślała historyczka Valérie Rosoux, dyskurs europejski nie powinien mieć na celu „narzucania jednej interpretacji historii, ale zastanowienie się nad warunkami współistnienia różnych doświadczeń”, to opowieści proponowane w tym kontekście nie wymykają się spod wpływu modelu narodowego.

Wreszcie temat „historii europejskiej” - nawet po zdefiniowaniu horyzontu pisarskiego, który odchodzi od paradygmatu narodowego - zawsze rodzi pytanie o granice między historią militarną (nawet w imię szlachetnego ideału) a historią naukową (trudność naukowego zdefiniowania, co to znaczy „Europejczyk”).

• Kampania wrześniowa w Polsce 1939 r. Hitlerowcy rozstrzelują polskich cywilów. Dokładna data i miejsce nieznanne

FOT. BE&W

Z naukowego punktu widzenia przejście od „historii narodowej” do „historii europejskiej” oznaczałoby nie tylko zmianę skali, ale także podważenie starych metod, teorii, tematów, „europeizację pytań” opracowanych w ramach krajowych (pisali o tym Traverso i Rousso).

Wschód i Zachód, dwie pamięci

Zakończmy asymetrię pamięci Zachód-Wschód i przepływami europejskimi.

Zanim przejdziemy do kwestii rozbieżności pamięciowej między Wschodem a Zachodem, należy ponownie podkreślić, że poza tym podziałem pamięć europejska jest projektem. Nie jest to rzeczywistość społeczna.

Asymetria pamięci między Wschodem a Zachodem uwidacznia się w rywalizacji i roszczeniach pamięciowych, które były już szeroko wyrażane w Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy lub w Parlamencie Europejskim. Często przypominałem, że te nowe sceny zajmują aktorzy z Europy Środkowej i Wschodniej zaangażowani w „strategie historyzacji”. Nie można ich sprowadzać do zwykłej instrumentalizacji przeszłości; odnoszą się one do wrażliwości społecznej i traumatycznych doświadczeń, a także do szerszych rekonfiguracji pamięci wschodnioeuropejskiej.

Rozszerzenie Unii i postulaty Europy Wschodniej dotyczące włączenia pamięci o komunizmie do „fundamentu pamięci” Europy powodują podważenie europejskiego systemu pamięci, skoncentrowanego na Holokauście. Destabilizacja ta jest tym większa, że struktura pamięci o Holokauście oparta na parze ofiara/oprawca wydaje się trudna do ekstrapolacji w odniesieniu do komunizmu (który nie stanowi monolitu, a represje i przemoc nie były jedynymi formami jego dominacji).

Nie zmienia to faktu, że niektóre dyskusje wschodnioeuropejskie porównują nazizm i stalinizm (lub szerzej komunizm) jako równoważne. Kwestia pamięci staje się bowiem bardziej złożona, bo ofiar jest wiele, a granica między ofiarą a oprawcą jest czasami płynna.

Kim na przykład jest estoński „bojownik o wolność”? Współwinowajcą stojącym u boku nazistów? Obrońcą swojego kraju przed sowiecką opresją? Jednym i drugim? Podobnie w Polsce: czy „żołnierze wyklęci” to ci, którzy jako ostatni opierali się sowietyzacji? A może, przynajmniej dla niektórych, likwidatorzy mniejszości obecnych po 1945 roku w Polsce?

Obserwowanie rozbieżności w pamięci nie oznacza jednak odbudowywania jednorodności między „blokami pamięci” i reprezentowania Wschodu, który podkreśla zbrodnie komunizmu i oskarża Zachód o brak uznania, oraz Zachodu, który interpretuje to docenienie ofiar komunizmu jako relatywizację Holokaustu. A to skutkuje zaciemnieniem udziału społeczeństw wschodnioeuropejskich w zagładzie Żydów. Zostało to dziś szeroko wykazane przez nową szkołę historyczną zajmującą się Zagładą, zwłaszcza polską, lub przez ojca Dubois w jego pracy terenowej dotyczącej bystanders [świadków], zaangażowanych nolens volens w Zagładę przez rozstrzelanie.

Należy umieścić tę rozbieżność w kontekście historycznym, który wynika z dłuż-

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Jonathan Aaron*

Rodzaj wiedzy

Moi przyjaciele radzą mi
Żeby już przestał lamentować
Adam Zagajewski

Zastanawiałeś się, czy Schubert myślał,
że nie ma wesołej muzyki.
Bez podnoszenia głosu,
wierzyłeś w sensowność zakładu Pascala.
Byłeś zawsze otwarty na to, co niemożliwe
do ujęcia w słowa.

Dzisiaj rano naszała mnie myśl,
jak wiele wierszy
z twej ostatniej książki jest o śmierci,
choć, jak sam kiedyś powiedziałeś,
wszystkie wiersze są tak czy inaczej
o śmierci.

A także inna myśl, o twej miłości do kotów,
i potrzebie chodzenia godzinami
po ulubionych miastach w poszukiwaniu czegoś,
czego sam nie wiedziałeś, że szukasz.

I że w sierpniu, gdy morze ci sprzyjało,
wypływałeś daleko od brzegu
i traciłeś poczucie czasu,
wpatrując się w niebo.

Zdarzały ci się „niedobre dni”, „nuda”, „pustka”,
ale wiedziałeś, że
rodzaj wiedzy ponad wiedzą
wróci do ciebie
z nowym zwątpieniem, nowymi olśnieniami,

nowymi sposobami opiewania tego, co jest,
co niewymierne, okaleczone,
nieskończone.

przet. Irena Grudzińska-Gross



*Jonathan Aaron

– ur. w 1941 r. amerykański pisarz, poeta, emerytowany nauczyciel akademicki. Przyjaciół Josifa Brodskiego i Adama Zagajewskiego.

FOT. EMERSON COLLEGE

szej historii polaryzacji Wschód-Zachód oraz dynamiki wpisanej w krótszy okres postkomunistyczny. W tym krótkim okresie rozbieżność ta przejawia się zwłaszcza między względną dekonstrukcją narracji narodowej na Zachodzie, która idzie w parze z ponowną mobilizacją wokół definicji tożsamości narodowej, jak można było zaobserwować we Francji (pod wpływem wzrostu znaczenia suwerenistów, ale obecnie ma to miejsce niemal w całej Europie Zachodniej), a wysiłkami na rzecz odbudowy tej narracji narodowej na Wschodzie po upadku komunizmu – w szczególności poprzez ponowne przeczytanie historii XX wieku. Europeizacja pamięci o Holokauście odbywa się na tym kontrastowym tle.

Wreszcie należy rozważyć te różne konfiguracje pamięci, podkreślając jednocześnie, że pamięć o komunizmie w społeczeństwach postkomunistycznych jest daleka od ustabilizowania; co więcej, tak jak to ma miejsce w Polsce, Rumunii, krajach bałtyckich lub w różnych momentach na Węgrzech, nie jest pozbawiona problemów, ponieważ dehistoryzuje i dekontekstualizuje komunizm przedstawiony w rejestrze patologii społecznych jako klątwa narzucona z zewnątrz. Jednak uznanie „europejskie”, które powielaloby terminologię tych polityk historycznych, niekoniecznie jest pożądane.

Czy to da się zrobić?

Podsumowując i kończąc, przypominam:

Można sztucznie wyróżnić trzy etapy budowania „uspokojonej” pamięci zbiorowej w Europie i, odwrotnie, ożywienia strategii pamięci, które czasami nakładają się na siebie w Unii Europejskiej:

- 1) Okres pojednania.
- 2) Okres rywalizacji pamięciowej między Wschodem a Zachodem o przywrócenie równowagi w legitymizującej pamięci Unii, z jej elementem warunkowości. Ta ostatnia wynika z obowiązku przyjęcia przez kraj przystępujący do UE pewnego rodzaju wspólnotowego dorobku pamięciowego, co nie jest oczywi-

ste w przypadku pamięci „winy zbrodni”, tym samym wymazanej.

3) Wreszcie, można wyróżnić okres wzrostu suwerenizmu i zamknięcia się w tożsamości, co reaktywuje separatyzm pamięci w żądaniu, by zaprzestać integracji i na pierwszym miejscu postawić Europę ojczyzn.

Wystarczy pomyśleć o roli pamięci konferencji w Trianon w narracji Viktora Orbána [w wyniku tej konferencji Węgry straciły większość swych ziem historycznych] lub o micie Kosowego Pola w narracji Slobodana Milosevicia i serbskiego nacjonalizmu, uzasadniających agresję wobec Kosowa i nie tylko.

(Przedstawiciel węgierskiego MSZ wygłosił w Instytucie Studiów Politycznych w Paryżu wykład, w którym nawiązał do traktatu z Trianon, bolesnego dla zbiorowej pamięci Węgrów; na jego mocy, po przegranej I wojnie światowej, Węgry utraciły znaczną część swojego państwa na rzecz krajów sąsiednich.

„Czy było to bolesne? Oczywiście, że tak. Dzisiaj Ukraina musiałaby oddać jedną piątą swojego terytorium. Nie chcę mówić Kijowowi, co ma robić, mówię tylko, że nasze doświadczenie pokazuje, że pokój może być bolesny. Pytanie brzmi: co jest ważniejsze – zachowanie istnienia kraju czy zachowanie kilku tysięcy kilometrów kwadratowych?”)

Trudno jest stwierdzić, czy stworzenie europejskiej pamięci lub nawet ustabilizowanie i ujednoczenie różnorodnych pamięci poszczególnych krajów europejskich w celu włączenia ich do wspólnej europejskiej pamięci jest wykonalne.

Polacy stworzyli dwie metaforyczne maksymy, które ilustrują trudność wszelkich działań na rzecz zbiorowej pamięci kulturowej w Europie. Jedną z nich, już wspomnianą, mówi nam, że „do Unii Europejskiej wchodzi się ze swoimi zmarłymi”, druga, analogiczna, mówi nam, że często to „zmarli rządzą żywymi” (lub, w jeszcze bardziej obrazowej wersji, „trumny”). Socjolog Pierre Bourdieu również użył obrazowego sformułowania na ten temat, mówiąc o „zmarłym, który chwytą żywego”.

Renacjonalizacja narracji pamięciowych, które miały symbolizować projekt zbiorowej i solidarnej pamięci, wpisuje się w tendencję do rywalizacji między projektem integracji wspólnoty europejskiej a projektem jej fragmentacji, prowadzącym do Europy ojczyzn. Wynik nie jest jeszcze znany, ale przewidywania są pesymistyczne. ●

przet. arp



FOT. WIKIPEDIA

*Georges (Jerzy) Mink

• ur. w 1946 r., polsko-francuski socjolog i politolog. Profesor emeritus we francuskim centrum naukowym CNRS, profesor w Kolegium Europejskim w Natolinie.

• Tekst to jego wykład wygłoszony podczas międzynarodowej konferencji „Taking Stock of European Memory Policies - Democracy at Stake? Memory in Times of Uncertainty”. Odbyła się ona 9-10 października 2025 r. w Barcelonie.

• Tytuł tekstu - „Wyborcza”. Tytuł autorski: „Jaka historia i jaka pamięć dla jakiej Europy?”

• Cytowana i wykorzystana literatura: Wyborcza.pl/magazyn

wyborcza

REDAKCJA
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa

Telefon: 22 555 66 00
(czynny w dni powszednie w godz. 10-17);
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik

PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY
WYBORCZA.PL: Roman Imieliński
ZASTĘPCY: Agata Zelazowska, Bartosz T. Wielirski
PROJEKT GRAFICZNY: Jacek Utiko
KOLPORTAŻ: Michał Szalański
Problemy z dostępnością „Wyborczej” lub z właściwą mutacją lokalną: kolportaz@wyborcza.pl
Prenumerata cyfrowa: prenumerata.wyborcza.pl; pomoc@wyborcza.pl; 22 555 54 55, 519 255 455
Inne formy prenumeraty: wyborcza.pl/prenumerataGW
Gazeta Wyborcza w serwisach społecznościowych: facebook.com/wyborcza, bsky.app/profile/wyborcza.pl, instagram.com/gazeta_wyborcza
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl

WYDAWCA
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10
00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
PREZESKA ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
REKLAMA
Dyrektor sprzedaży: Bartosz Wysocki
Biuro reklam i ogłoszeń:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DRUK: Polska Press
ISSN 0860-908X
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



Szkodnicy i moralisci

Z mojej perspektywy świat wokół nas dzieli się na polityczny, publiczny i prywatny.



Jarosław Mikołajewski

Felieton z cyklu „Za pięć trzynasta”

Im bardziej nie cierpię lajdactwa, tym trudniej znoszę moralistów. Sprzeczność? Raczej krok ku dojrzałości, czyli do pogodzenia w sobie wykluczających się pozornie kondycji. Stanowi właściwemu sztuce, zwłaszcza poezji, a przecież jednoczącemu także bardzo doraźne odczucia i obserwacje.

Bo, proszę Państwa, jest tak, że z mojej perspektywy świat wokół nas dzieli się na polityczny, publiczny i prywatny.

Polska manichejska

Co do świata politycznego w Polsce, to dzieli się on w moich oczach z kolei dość manichejsko na stronę dobrą i złą. Dobra (inteligentna, mądra, taktowna) to ludzie, którzy kierują się pomyślnością kraju i obywateli, szanują róż-

norodność i wolność podejmowania decyzji w prywatnych sprawach.

Zła to głównie tzw. prawica, często nacjonalistyczna, cyniczna, nieelegancka, efekciarska, populistyczna, kłamliwa, w sumie propupinowska (wbrew deklaracjom). I jestem pewnie stronniczy, skoro ewentualne błędy popełniane po lewej stronie lub w centrum (tym prawdziwym, nie tym PiS-owskim) uważam za błędy, złe posunięcia pomimo dobrych intencji. A błędom popełnianym po stronie tzw. prawej (która nie ma nic wspólnego ze szlachetnym konserwatyżmem) przypisuję nikczemność, złą wolę, złe intencje, głupotę, służalczość.

W tak postrzeganym świecie politycznym poczuwam się do prawa racjonalnego osądzenia, lecz także sygnalizowania złych wróżen niepopartych dowodami. Nie ukrywam na przykład, że za złowrogie uważam nie tylko weto prezydenta, lecz również brunatne i nieżyczliwe wybuchy Kaczyńskiego, Macierewicza, Czarnka czy Brauna, choć tak naprawdę nie wiem, co oni sądzą w głębi serca. Ich serca mnie nie interesują. Boję się do nich zbliżyć.

Łagodny przyjaciel

Co do świata publicznego (lecz nie politycznego), to obserwuję tylko zjawiska, które mnie jakoś interesują, bawią, intrygują. Nimi zajmuję się wyłącznie na poziomie artystycznym – lubię lub nie, chcę je poznać lub nie chcę. I nie obchodzi mnie morale ani prywatne wybory ich bohaterów.

I jest w końcu też świat prywatny, który ku mojemu zdumieniu coraz bardziej zostaje poddany ocenom przynależnym światu politycznemu. To jest dla mnie pewna nowość. Bo oto coraz częściej spotykam się z przypadkami odrzucenia czy dystansowania się wobec osób, które na przykład zmieniły życiowych partnerów lub nadużywają alkoholu.

Kiedyś – jeżeli byliśmy ich przyjaciółmi – wspieraliśmy się mimo wszystko, wspierając równocześnie tych, których skrzywdziliśmy. W imię zasady, że życie samo w sobie jest już dość trudne, by dokładać do niego jeszcze ciężar ołowianego spojrzenia, wyrzutu, wykluczenia. Takie zachowania zarezerwowane były tylko dla politycznych wrogów wolności i ludzi perfidnych, wyrachowanych w kwestiach obywatelskich.

Taka postawa wynikała i wynika z podskórnego chrześcijaństwa, które tzw. życiowe błędy uważa za przynależne tym, którzy je popełniają. Dziś tak nie jest

Taka postawa – być łagodnym przyjacielem bez względu na wszystko – wynikała i wynika też z podskórnego chrześcijaństwa, które tak zwane życiowe błędy uważa za przynależne tylko tym, którzy je popełniają. A dzisiaj tak nie jest. Przynajmniej nie zawsze.

Świat świętych upadków i wsparć

Mówię o tym wszystkim po to, by odnotować (owszem, z przykrością) zmianę świata. Odalenie się od wolności roku 1968, która wydawała się niezbywalną zdobyczą, w kierunku moralizatorstwa, pokusy potępienia i wykluczenia, jakiegoś nowego zakonu.

Nic na to nie poradzę, że tęsknię za chwilą porozumienia w momencie, w którym przyjaciel, po nocnej libacji, w której stracił pamięć, szuka rano wzrokiem zapewnienia, że wszystko jest w porządku, że nic takiego w sumie się nie zdarzyło – i je otrzymuje. Tęsknię za uściskiem dłoni koleżanki ze studiów, która poprosiła, żeby ją odprowadzić do lekarza na zabieg przerwania ciąży, i po zabiegu tą samą dłonią pyta, czy źle o niej nie myśli. I dostaje krzepiącą odpowiedź.

Tak. Tęsknię za światem świętych upadków i świętych wsparć. Prawdziwej przyjaźni. Tych, którzy pragną pogłębić temat, odsyłam do wiersza ks. Jana Twardowskiego „Tylko mali grzesznicy”. I do epigramatu wielkiego Sandro Penny zatytułowanego „Moralisci”:

„Świat, który widzicie w łańcuchach, jest utkany z głębokich harmonii”.
Święte słowa. Lecz świat właśnie zgłupiał i prawie ich już nie rozumie. ●

REKLAMA

Kraj/34427422

radio
ZET

**100 TWARZY
CEZAREGO PAZURY**

▶ **WŁĄCZ I BAW SIĘ
RAZEM Z NAMI**

40 lat od katastrofy w Czarnobylu

Samosioły

Z ZAMKNIĘTEJ STREFY

Do niektórych ewakuowanych wsi niedaleko elektrowni ludzie wrócili już po roku.

Z **KRYSTIANEM MACHNIKIEM**, PODRÓŻNIKIEM, AUTOREM KSIĄŻKI „OSTATNI LUDZIE CZARNOBYLA”, ROZMAWIA **PIOTR GŁUCHOWSKI**



• **Maria Propowna Zagorna**, 86-letnia mieszkanka wsi Kupowate położonej 30 kilometrów od czarnobylskiej elektrowni
FOT. MACIEJ BOGACZYK / NAPROMIENIOWANI.PL

PIOTR GŁUCHOWSKI: Jak wyglądała sowiecka energetyka jądrowa w latach osiemdziesiątych?

KRYSTIAN MACHNIK: Związek Radziecki przodował pod tym względem w świecie. Już od lat siedemdziesiątych działało tam pięć elektrowni atomowych RBMK, w tym czarnobylska, oraz wiele elektrowni WWER.

Co oznaczają te skróty?

– Pierwszy pochodzi od słów reaktor bolszoj moszczności kanalnyj, gdzie moderatorem spowalniającym prędkość elektronów rozszczepiających jądra atomowe paliwa jest grafit, a chłodziwem woda. Z kolei WWER to wodno-wodnianoj reaktor, gdzie woda jest zarówno moderatorem, jak i chłodziwem.

Reaktory RBMK były wydajniejsze, ale ich technologia nigdy nie została do końca dopracowana, miała wady, o których jeszcze powiem. Między innymi dlatego Związek Radziecki eksportował wyłącznie drugi typ. WWER miał stać na przykład w polskim Żarnowcu.

Jak doszło do katastrofy w nocy z 25 na 26 kwietnia 1986 roku?

– Pracownicy przeprowadzali test bezpieczeństwa, który winni przeprowadzić przed uruchomieniem elektrowni trzy lata wcześniej. Jak to w komunizmie – nie zdążyli, a daty otwarcia wielkiej inwestycji nie można było przesunąć, bo już zaproszono najwyższych dostojników partyjnych. Potem, gdy elektrownia pracowała, test odkładano, gdyż jego przeprowadzenie wymagało pełnego odłączenia reaktora od sieci energetycznej, a ciągle nie można było tego zrobić z najróżniejszych powodów. Wreszcie ustalono ostateczną datę: 25 kwietnia.

Kiedy ekipa przeszkolonych inżynierów wzięła się do roboty, dyspozytornia z Kijowa po raz kolejny zakazała wyłączenia reaktora, a dokładniej – kazano czekać na zgodę, która nadeszła wieczorem, gdy inżynierowie kończyli zmianę. Przeszkoleni poszli do domów, ich miejsce zajęli pracownicy nieprzeszkoleni. To pierwsza z wielu przyczyn katastrofy.

Omówmy kolejne.

– Elektrownia jądrowa produkuje energię, ale też jej potrzebuje. Na wypadek wyłączenia reaktora, choćby w wyniku awarii. Gdyby padły linie energetyczne doprowadzające prąd do bloku atomowego, nie można by było go chłodzić. Dlatego zamontowano, podobnie jak w każdej elektrowni, generatory dieslowskie mające za zadanie pompowanie wody chłodzącej rdzeń w wypadku braku prądu.

Test z 25 kwietnia polegał na zasymulowaniu takiej sytuacji. Operatorzy celowo wyłączyli część systemów bezpieczeństwa, by sprawdzić, czy po odłączeniu zasilania z zewnątrz turbiny chodzące na ropę będą w stanie dostarczyć energię do zasilania pomp.

Nie poradziły sobie.

– Zasilane elektrycznie pompy cyrkulacyjne stanęły, a generatory potrzebowały minuty, by osiągnąć pełną moc. W efekcie przez kilkadziesiąt sekund reaktor nie był chłodzony w wystarczającym stopniu i doszło do dwóch wybuchów.

Swoją rolę odegrały wady konstrukcyjne, o których wspominałem. Reaktory RBMK miały między innymi skłonność do ulegania tak zwanemu zatruciu ksenonowemu. Ksenon 135 – pośredni produkt rozpadu jąder uranu, czyli paliwa – pochłania neutrony, zmniejszając moc reaktora. Aby zniwelować skutki zatrucia, trzeba zwiększać moc, tymczasem ksenon się rozpada i pochłanianie maleje, więc teraz trzeba moc zmniejszać... reaktor robi się niestabilny.

Po dalsze szczegóły odeślemy już do pańskiej książki. Ważne dwa razy o wpół do drugiej w nocy. Druga eksplozja wysadziła w powietrze ważącą ponad milion kilogramów pokrywę reaktora. Nazajutrz zaczęła się ewakuacja okolicznej ludności. Píše pan, że trwała 10 lat.

– Pierwszego dnia bardzo sprawnie – bo w ledwo trzy godziny – ewakuowano Prypeć, miasto przy samej elektrowni, tak zwany atomgrad. Potem latami opróżniano zonę. Radioaktywności nie czujemy, więc trzeba było ręcznie mierzyć promieniowanie w terenie i podejmować decyzje o losie kolejnych miasteczek i wsi. W sumie wywieziono 160 tysięcy ludzi z prawie stu miejscowości, w tym kilku miast. To były między innymi oddalone o 15 kilometrów od punktu wybuchu Czarnobyl i Czarnobyl-2 oraz bardziej odległe, położone na zachód od Prypeci i Czarnobyla miasteczko Poliske.

Nazwa brzmi, jakby ktoś zrobił literówkę w słowie „polskie”.

– Rzeczywiście mieszkali tam wcześniej Polacy, a miejscowość nazywała się Chabne. Stały tam magnacki pałac i drewniany kościół katolicki – oba zabytki popadły w kompletną ruinę za czasów sowieckich, długo przed katastrofą w elektrowni.

Ci wyjeżdżający 26 kwietnia zostawiali w mieszkaniach zwierzęta domowe, bo powiedziano im, że wrócą za trzy dni. Zrobiło na mnie wrażenie zdjęcie zмумifikowanego psa, którego znalazł pan po przeszło 30 latach od śmierci zwierzęcia w mieszkaniu w bloku w Prypeci.



• Opustoszałe bloki w Prypeci, gdzie mieszkało 50 tysięcy ludzi FOT. KRYSTIAN MACHNIK / NAPROMIENIOWANI.PL



• Zмумifikowany pies odnaleziony w jednym z mieszkań

FOT. KRYSTIAN MACHNIK / NAPROMIENIOWANI.PL



• Wraki zdezelowanych samochodów walają się po całej Zakazanej Strefie FOT. KRYSTIAN MACHNIK / NAPROMIENIOWANI.PL



• Krystian Machnik z dwojgiem samosiołów, czyli samo-osiedleńców, którzy po katastrofie wrócili do swoich domów

FOT. MACIEJ BOGACZYK / NAPROMIENIOWANI.PL

– Nie ma pewności, czy władze zakazały brania psów i kotów, bo w praktyce mogli o tym decydować kierowcy autobusów ewakuacyjnych. Rozbieżnych historii jest dużo. Jedni swoje zwierzęta brali, inni zostawili im jedzenie i wodę w nadziei na szybki powrót, który nie nastąpił. Zwierzęta domowe w Prypeci pomarły z głodu. A te po wsiach – krowy czy świnię – zabijała przez wiele tygodni specjalna ekipa, aby nie roznosiły skażenia.

Odbył się pokazowy proces winnych.

– Jeszcze w roku 1987, w mieście Czarnobyl, w domu kultury, z udziałem dziennikarzy z całego świata. Władza musiała pokazać, że to był błąd ludzki. Sądzone między innymi Wiktora Briuchanowa – dyrektora elektrowni, Nikołaja Fomina – naczelnego inżyniera, a także Anatolija Diatłowa – jego zastępcę, który bezpośrednio nadzorował test. Do tego trójkę mniej znanych kierowników.

Oskarżeni przyznali się do winy częściowo. Przykładowo Diatłow bronił się, że nie poinformowano go wcześniej o wadach RBMK. Główna trójka dostała po 10 lat. Wszyscy wyszli wcześniej, Fomin po próbie samobójczej.

Powstała Czarnobylska Strefa Zamknięta – cel pańskich licznych podróży.

– To ogromny teren, 2600 kilometrów kwadratowych, czyli dwa średnie powiaty w Polsce.

I jak to wszystko wygląda?

– Poszczególne miasta i wsie traktowano zależnie od poziomu skażenia. Najbardziej skażone były wioski leżące w okolicach elektrowni oraz te na trasie przelotu chmury radioaktywnej w kierunku zachodnim. Dwie z nich zostały zrównane z ziemią. Koparka wykopywała rów, a spychacz zwałwał doń całe chałupy z meblami w środku...

Do ewakuowanych wsi na południu strefy – gdzie skażenie było najmniejsze – ludzie wrócili już rok po ewakuacji. Kolchoz w Kupowat, 15 kilometrów od Czarnobyla i 30 kilometrów od elektrowni, wznowił pracę. Powstał ośrodek badania wpływu radioaktywności na organizmy żywe. Czyli hodowano bydło, dając im skażoną trawę. Badano, jak radionuklidy przechodzą do mleka, mięsa, do ciał nowo narodzonych cieląt.

Między miejscowościami zaoranymi a takimi jak Kupowate mamy wiele stadiów pośrednich.

– Zona jest przeciekawa.

W Prypeci stoją szkielety bloków porośnięte lasem. Liczba mieszkańców – zero. A w Czarnobylu są hotel, bankomat, szpital, komisariat milicji, zasięg w telefonie. Mieszka tu rotacyjnie około



Ostatni ludzie Czarnobyla

Krystian Machnik
Napromieniowani.pl



• **Olga Tymofiejewna Sapura w swoim domu we wsi Kupowate. Zmarła w 2020 roku w wieku 82 lat** FOT. MACIEJ BOGACZYK / NAPROMIENIOWANI.PL



• Pamiętki po dawnych mieszkańcach Prypeci

FOT. KRYSZTIAN MACHNIK / NAPROMIENIOWANI.PL (2)



• Zrujnowany „Punkt agitacyjny”, zapewne do Komsomolu, o czym świadczy plakat po lewej

FOT. KRYSZTIAN MACHNIK / NAPROMIENIOWANI.PL



• Wiktor Łukianenko ze wsi Poliske. Gdy w 2022 roku Rosjanie zaatakowali Ukrainę, został przez nich uwięziony. Z niewoli wykupiła go mieszkająca w Rosji córka

FOT. MACIEJ BOGACZYK / NAPROMIENIOWANI.PL

Katastrofa czarnobylska w liczbach

10

• procent energii dostarczała Ukrainie (wówczas Ukraińskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej) elektrownia jądrowa im. Lenina w Czarnobylu. Jej budowę – 18 kilometrów od tego miasta i 110 kilometrów od Kijowa – rozpoczęto w 1970 roku. Do 1983 roku oddano do użytku cztery reaktory. Dla pracowników i ich rodzin zbudowano miasto Prypeć, leżące około 4 km od elektrowni – żyło tam prawie 50 tys. ludzi.

80

• tyle helikopterów wzięło udział w akcji zrzucania na reaktor piasku, gliny, dolomitu i związków boru. Operacja rozpoczęła się kilkanaście godzin po wybuchu, a ratownicy próbowali w ten sposób wychłodzić rumowisko, które powstało na reaktorze, a także ograniczyć emisję promieniotwórczych substancji do atmosfery. Po czterech dniach akcję wstrzymano z obawy, że dojdzie do kolejnych, dużo silniejszych eksplozji. Żeby im zapobiec, śmigłowce zrzuciły na reaktor prawie 2,5 tys. ton ołowiu, jednak sytuacja wciąż była groźna.

3500

• tylu żołnierzy sprowadzono do Czarnobyla do pomocy podczas akcji ratunkowej. Potem nazwano ich biorobotami,

bo ubrani w skafandry i ochraniacze zrzucali szuflami z dachów reaktora radioaktywne pozostałości. Jednorazowo mogli być na dachach 45 sekund, ale nikt ich nie informował o prawdziwym poziomie radiacji dochodzącym do 12 tysięcy rentgenów. Wielu żołnierzy, a także górników sprowadzonych z Tuły do pomocy przy usuwaniu skutków katastrofy w następnych latach zmarło albo ciężko chorowało.

54

• tyle ofiar śmiertelnych według oficjalnych radzieckich danych pochłonęła awaria w Czarnobylu. W tej liczbie są zmarli na skutek choroby popromiennej oraz podczas prac przy zabezpieczeniu reaktora. Ale rzeczywista liczba ofiar jest trudna do oszacowania. Amerykańska historyczka Kate Brown w książce „Czarnobyl. Instrukcje przetrwania” pisze, że Ukraina wypłacała renty 35 tysiącom osób, których krewni zmarli wskutek kłopotów zdrowotnych spowodowanych katastrofą. Przytacza dane anonimowego naukowca, pracującego w czasach radzieckich we Wszechzwiązkowym Centrum Medycyny Radiacyjnej w Kijowie, który utrzymywał, że w samej Ukrainie zmarło na skutek chorób około 150 tysięcy ludzi.

23

• procent powierzchni Białorusi uległo skażeniu radionuklidami cezu-137



• W 2016 roku sarkofag wybudowany w 1986 na reaktorze przykryła dodatkowa kopuła

FOT. MACIEJ BOGACZYK / NAPROMIENIOWANI.PL

w wyniku katastrofy. Białoruska noblistka Swietłana Aleksijewicz w książce „Czarnobylska modlitwa” pisze, że 70 procent skażenia przypadło właśnie na jej kraj. „Dla porównania: skażone zostało 4,8 procent obszaru Ukrainy i 0,5 procent obszaru Rosji” – podaje pisarka. Zwiększone promieniowanie zarejestrowano w Polsce, Niemczech, Austrii, Rumunii, Szwajcarii, północnych Włoszech, Francji, Belgii, Holandii. Wielkiej Brytanii północnej Grecji, Izraelu, Kuwejcie i Turcji.

18 500 000

• dawek płynu Lugola rozdano w Polsce w ciągu kilkunastu dni po katastrofie. Był to roztwór jodu potasu. Bardzo niebezpieczne dla zdrowia mogło być bowiem gromadzenie się radioaktywnego jodu w tarczycy (potowę radioaktywności powietrza powodowały właśnie izotopy jodu). Ponad 95 procent dawek Lugoli przyjęły dzieci i młodzież, zwłaszcza z północno-wschodnich województw. Za dystrybucję płynu

pochwaliła Polskę nawet Światowa Organizacja Zdrowia. Jej sprawne przeprowadzenie było jedną z nielicznych zalet centralnie sterowanej gospodarki.

400 000

• metrów sześciennych betonu użyto do budowy ogromnego sarkofagu, który w 1986 roku przykrył czwarty blok energetyczny. Oprócz betonu na jego budowę poszło 600 000 metrów sześciennych żwiru i 7700 ton stali. Decyzja o zabezpieczeniu reaktora zapadła szybko, ale Michaił Gorbaczow oficjalnie nakazał budowę sarkofagu 5 czerwca 1986. Gotowy był na początku listopada, choć dokument potwierdzający formalnie ten fakt nosi datę 30 listopada 1986. Budowa pochłaniała od miliona do półtora miliona rubli dziennie.

29 000

• ton waży specjalna kopuła, zwana Arką, którą zakryto sarkofag 30 lat po katastrofie. Budowa tego dodatkowego zabezpieczenia trwała sześć lat, zakończono ją w 2016 roku. Arka ma 257 metrów szerokości, 108 metrów wysokości i 150 metrów długości. Zajmuje powierzchnię 84 tysięcy metrów kwadratowych, czyli około 12 boisk piłkarskich. Kosztowała 1,5 mld euro, a złożyło się na nią 40 państw, w tym Polska. Ma skutecznie zabezpieczyć reaktor co najmniej przez 100 lat. ●

dwóch tysięcy pracowników Strefy: administracja, straż pożarna, mechanicy... Pracują po dwa tygodnie, a potem mają dwa przerwy. Bo nie ma w Strefie legalnego osiedlenia się. Obowiązują okresowe przepustki.

Jaki jest cel ich obecności?

– Najprościej: utrzymywanie miasta przy życiu, ponieważ władze, najpierw sowieckie, a potem ukraińskie zdecydowały, że Czarnobyl ma – w odróżnieniu od Prypeci – istnieć dalej.

I co tam widać?

– Przy głównej ulicy toczy się życie: trzy sklepy, światła na przejściach, nowy asfalt. Ale w bocznych alejkach las już pochłania zapadające się domy.

Jakie tam jest promieniowanie?

– Bardzo nierówne. Nie jest tak, że im bliżej elektrowni, tym większe. Najwyższe wartości licznik pokazuje w Czerwonym Lesie na zachód od punktu eksplozji. W 1986 rosące tam sosny stały się czerwone – stąd nazwa. Tymczasem w Kupowatem poziom skażenia jest taki jak gdziekolwiek w Polsce. Zresztą nawet w Czerwonym Lesie nic człowiekowi nie zagraża, gdy pobędzie chwilę.

Czym są hotspoty?

– W slangu entuzjastów penetrujących Strefę to punkty o wysokim poziomie promieniowania. Najczęściej gdzieś, gdzie upadła cząstka radioaktywna, zwykle niewidoczna dla oka. Punkty migrują przez wodę i wiatr, chociaż są też stałe. Na przykład stos ubrań zrzucanych przez strażaków gaszących w 1986 roku pożar elektrowni. Te ciuchy leżą w piwnicy nieczynnego szpitala w Prypeci, nieruszone.

Szukanie hotspotów to element urbeksu, czyli penetrowania zurbanizowanych przestrzeni, od którego zacząłem przygodę ze Strefą.

A skończył ją pan jako opiekun „ostatnich ludzi Czarnobyla”, czyli samosiolów. Co to słowo znaczy?
– Samoosiedlenie. Choć oni tak o sobie nie mówią. Bo przecież mieszkali tam, często od pokoleń, i zwyczajnie wrócili do siebie. Mimo to nazwa się powszechnie przyjęła. Samosioly żyją w Strefie półlegalnie, gdyż – jak mówiłem – administracja nie daje nikomu zgody na osiedlenie. Są jednak tolerowani i przez milicję, i przez urzędników.

Dlaczego powracali?

– Powodów jest tyle, co przypadków. Złe traktowanie „tych z Czarnobyla” przez sąsiadów z nowych miejsc, po których rozwiozła ich władza. Tęsknota za domem i chęć powrotu do korzeni. Dla Ukrainca ze wsi dom to nie tylko budynek – to miejsce, gdzie rodzina żyła od dziada pradziada, na cmentarzu leżą przodkowie, w lesie rosną grzyby, w rzeczce ryby... A tu nagle wyładowali w blokach gdzieś daleko.

Wrócili więc do swoich wiosek, choć nie było w nich prądu. Tylko woda ze studni i tradycyjne piece opalane drewnem, które służyły zarówno do gotowania, jak i ogrzewania chaty czy spania.

Ilu samosiolów tam żyje?

– Nie wiadomo, ilu wróciło, bo nikt tego wówczas nie kontrolował. Dopiero pod koniec lat dziewięćdziesiątych władze zaczęły ich dostrzegać. Nadano im wówczas oficjalny status samosiola. Szacuję, że wróciło od tysiąca sześciuset do około trzech tysięcy spośród wywiezionych. Dziś jest ich mniej więcej 50.

Pisze pan, że gdy byli liczni, do strefy zajeżdżała jeszcze awtoławka, czyli obwoźny sklep.

– W niektórych zamieszkałych wioskach w latach osiemdziesiątych bądź dziewięćdziesiątych przywrócono prąd. W Ilinci na zachód od Czarnobyla działała nawet przychodnia – przez kilka lat, aż zabrakło pacjentów. Urzędnicy przywozili samosiolom emerytury, bo przecież się należą, a pocztą tam nie działa. Za urzędniczką z pieniędzmi zjawiała się awtoławka, która przywoziła zamówiony towar. Sól, nafta, cukier, mydło, mąka, kasza. Bez przemysłówki, choć jeśli prosili o coś drobnego – było im przywożone.

Samosiol samosiolowi nierówny. Opisuje pan kapitalne przypadki. Najpierw spotkanie z Olgą Juszczenko.

– Eksplorując latem 2016 roku dużą wioskę Łubianka w zachodniej części Strefy, od 30 lat opuszczoną, natknąłem się na babuszkę, która potrzebowała pomocy.

Miała chyba udar słoneczny, a nie miała wody. Chciała iść sześć kilometrów w upale do pracowników leśnych, żeby jej pomogli. Widziałem, że nie dojdzie. Wymiotowała, bałem się, że umrze. Wezwałem karetkę z odległego o 20 kilometrów Czarnobyla, czekaliśmy na nią dwie godziny. Ale babuszka przeżyła.

Kolejna samosiolka: Hania Czała...

– ...zmarła w 2022 roku, tak jak mi powiedziała: „Urodziłam się w czasie wojny i w czasie wojny umrę”. Życie miała sowieckie: jako dziecko mieszkała z rodziną w ziemiance, potem praca na roli w kolchozie i wokół domu, dalej awaria w elektrowni, ewakuacja, powrót do wioski Teremci na wschód od Czarnobyla tydzień po katastrofie. 36 lat przemieszała w Strefie, nie opuszczając gospodarstwa – musiała sobie wyhodować większość jedzenia, narąbać drewna na zimę...

Maria Werbicz – samosiolka, która prowadzi grupę byłych mieszkańców na Facebooku.

– Wesola babuszka, mieszka w Czarnobylu, ma prąd, ma telefoniczny internet. Żyje z emerytury jak wszystkie samosioly, bo ich średnia wieku to ponad 80 lat.

Iwan Balaszenko, nieżyjący już samosiol i zarazem wyjątek: wprowadził się do Strefy, choć nie był z niej wywieziony. Po prostu chciał tam żyć.

– Przyjechał 14 lat po katastrofie jako jeden z ostatnich. Wcześniej był milicjantem, mieszkał w Kijowie. Ale pochodził z Czapajewki, przysiółka na wschód od Prypeci, i prawdopodobnie zachował tamtejszy meldunek. Sprowadził się do sąsiedniego Teremci, gdzie łowił ryby, polował na leśne zwierzęta i pędził samogon, jak większość samosiolów.

Czarnobylski bimber daje po łbie, a rano nie ma kaca. Oni się nie skarżą na skutki promieniowania?

– Ich zdrowie badali ukraińscy radiologowie. Żadnych sensacyjnych wyników, a przynajmniej nic, czego by się nie spodziewano. Aby się pochorować wskutek promieniowania, trzeba by zamieszkać na stałe w Czerwonym Lesie. Strefa została wyznaczona z bardzo grubym zapasem. Do tego po 40 latach promieniowanie opadło, więc ludzie tam chorują na to, co i w Polsce. Ktoś dostał raka, ktoś umarł na typowe choroby wieku starczego...

...a ktoś zniknął, jak opisywany przez pana samosiol Fiodor Struk, którego mogli ostatecznie pożreć rozplenione tam wilki.

– Natknąłem się na niego lata temu, późną jesienią. Z najwyższym wysiłkiem taszczył przez zarośla baniaki brudnej wody, jak mi mówił, „na czaj”, czyli herbatę. Pomogłem mu dojść do chaty, w środku się poplakalem od dymu z nieszczelnego piecyka typu koza. Dałem mu trochę jedzenia, zapytałem, co przywieźć następnym razem – poprosił o sachar. Wróciłem po dwóch tygodniach z cukrem, a chata już spalona od tej choleralnej kozy.

Myślałem, że Fiodor też się spalił, ale żył schowany w chałupie obok. Przez dwa tygodnie jadł orzechy leśne, jakieś zgnile jabłka ze zdziczałych sadów. Nie miał żadnych zapasów na zimę, bo wszystko się spaliło, miał dziurawe buty i kurtkę przeciwdeszczową, która nie nadawała się na zimę. Pojechałem do Czarnobyla do administracji i proszę o pomoc dla niego... skończyło się na tym, że mu przywieźli dwa bochenki chleba i trochę makaronu, którego nie miał nawet na czym ugotować.

Zrobiłem w internecie zbiórkę na pomoc dla Fiodora i Ołgi Juszczenko. Zacząłem tę pomoc wozić. I tak jest do dzisiaj. Mam pod opieką jedenaścioro samosiolów po wsiach i drugie tyle w samym mieście Czarnobyl. A Fiodor faktycznie zniknął i nie jest wykluczone, że wilki go zjadły, bo jest ich tam po lasach sporo.

Do wybuchu wojny w Ukrainie pańska firma Napromieniowani.pl organizowała komercyjne wyjazdy do Strefy...

– Było ich łącznie 125. Od 2016 roku większość połączona z dowożeniem pomocy. Wojna to przerwała.

Najpierw Strefa popadła w rosyjską okupację, teraz stoi tam wojsko ukraińskie. Pilnują Czarnobyla, ponieważ leży na strategicznej drodze z Mińska do Kijowa. Ja tam jeszcze jeżdżę, ponieważ mnie znają, ale żadnej wycieczki nie wpuszczają. W zamian organizuję wyprawy do innych działających i niedziałających elektrowni jądrowych. Choćby do Ignalińskiej Elektrowni Jądrowej na Litwie, gdzie również zamontowano reaktor typu czarnobylskiego. ●

Jasne strony dziejów

Boks a polityka

Wiosną 1991 roku na polską arenę polityczną wchodziła Unia Demokratyczna. Partia, dla której państwo było wartością ważniejszą niż słupki z poparciem.



Brzeziecki

Tak, wiem – od razu uprzedzam marudzenie lewaków i antyklerykałów ostatniej godziny – to formacja Tadeusza Mazowieckiego „odpowiada” za religię w szkołach, konkordat i kompromis aborcyjny, który to w rzeczywistości był bardzo restrykcyjnym prawem antyaborcyjnym, oraz za milion innych win III RP. Użyłem cudzysłowu, bo ta odpowiedzialność dla mnie nie jest tak stuprocentowo po stronie tylko jednej partii, ale na potrzeby tekstu niech tak będzie.

Unia Demokratyczna zrodziła się z kłęski wyborczej Tadeusza Mazowieckiego w 1990 roku, choć on sam wolał mówić, że partia ta powstała z potrzeby kontynuowania polityki reform.

Rodzina się długo, bo zlepianie środowisk, które identyfikowały się z reformami lat 1989-90, okazało się wcale niełatwe.

Pod jednym szyldem zebrał się 11 maja 1991 roku Jacek Kuroń i Aleksander Hall – ludzie odwołujący się do zupełnie innych tradycji i myśli politycznych. Do niedawna łączyła ich wspólna walka z komunizmem, potem zaangażowanie w rządzie.

Gdy jednak scena polityczna zaczęła się krystalizować, coraz mniej ich łączyło. Już na wstępie z udziału w Unii zrezygnował Zbigniew Bujak, legenda „Solidarności” – dopiero kilka lat później „zmądrzał” i wrócił do Unii, ale już Wolności.

Cały czas wierzgało Forum Prawicy Demokratycznej – opcja Halla, która w końcu w 1993 roku wybrała samodzielny kurs – niestety, w stronę mielizn. Strat w następnych latach, także po połączeniu z Kongresem Liberalno-Demokratycznym, było więcej po obu skrzydłach: Barbara Labuda, Andrzej Celiński, Jan Rokita. Samo połączenie z liberałami także nastąpiło za późno, gdy KLD wyładował poza Sejmem w 1993 roku. Wszystko to zmuszało Mazowieckiego do odgrywania roli spinacza do czasu, aż koledzy partyjni odsunęli go z funkcji lidera partii.

Mimo wszystko partia, która powstała 35 lat temu (ist-

niała krótko i, jak widać, ciągle była targana sprzecznościami), zdołała w polskiej polityce zrobić więcej niż inne formacje przez całe lata samodzielnego rządów. Narzuciła też pewien styl kultury politycznej – choć, co ciekawe, w tej materii najbardziej pojętnymi uczniami okazali się postkomuniści w rodzaju Aleksandra Kwaśniewskiego.

Unici nie byli politycznymi naiwniakami, ale nie postrzegali polityki jedynie na zasadzie kto-kogo. Jeszcze przed formalnym powstaniem UD, bo wczesną zimą 1991 roku, na łamach „Tygodnika Powszechnego” Piotr Nowina Konopka bronił się przed zarzutem, jakoby formacja Mazowieckiego holdowała wartościom w polityce, a nie wzięła się do porządknej i skutecznej naprawy. No bo jak to tak – partia będąca w opozycji do zwycięskiego obozu Lecha Wałęsy nie wali w rząd jak w bęben? Konopka mówił: „Opozycyjność dziś w Polsce nie powinna polegać na blokowaniu wszystkich poczynań aktualnie rządzących i paraliżowaniu mechanizmów państwa. Przeciwnie, uważamy, że ponieważ państwo wreszcie stało się nasze, to troska o nie jest obowiązkiem zarówno rządzących, jak i będących w opozycji. Dlatego Unia Demokratyczna nie starała się od początku punktować przeciwnika. Nie chcemy być bokserami”.

Pod koniec kwietnia 1991 roku, tym razem w „Polityce”, sam Mazowiecki odpiął zarzut, że powstająca Unia Demokratyczna chce prowadzić kampanię intelektualną, a nie na pięści. Nie odzignął się od boksu, ale mówił: „Używając pańskich porównań sportowych, powiem, że wcale nie zamierzamy zdejmować rękawic, ale jesteśmy za boksem czystym, żeby nie rozwalić ringu. Dlatego bardzo mnie niepokoi taki nastrój, jaki się dziś rozpowszechnia, że aby być skutecznym, trzeba być maksymalnie nieodpowiedzialnym w kampanii wyborczej. To jest wniosek z poprzedniej kampanii, ale wniosek błędny i groźny. Gdyby rzeczywiście tak miało być, to perspektywy dla kraju byłyby smutne”.

Tęskno dziś za takimi bokserami jak Tadeusz Mazowiecki. ●

Andrzej Brzeziecki – historyk, dziennikarz, publicysta

Miroslaw Maciorowski

Gdy przed laty zapytałem wybitnego mediewistę prof. Henryka Samsonowicza (1930-2021), kim byli Prusowie, którzy w XII i XIII wieku regularnie najężdżali i obracali w perzynę północne kresy Mazowsza, scharakteryzował ich tak:

„Były to wszystkie ludy zamieszkujące tereny nadbałtyckie między dolnym biegiem Wisły po jej ujście do Zalewu Wiślanego, a Niemnem – aż do jego ujścia do Zalewu Kurońskiego. Te ludy były mocno zróżnicowane etnicznie”.

Znakomity historyk szacował, że przed podbojem plemion pruskich przez Krzyżaków na tym liczącym ponad 40 tysięcy kilometrów kwadratowych obszarze mieszkało około 170-200 tys. ludzi. Osiedlali się wśród licznych bagien, małych i wielkich jezior, na niedostępnym obszarze poprzecinanych rzekami.

Granice plemion były płynne, a różnice pomiędzy nimi uwidaczniały się w języku, zwyczajach i obrzędach pogańskich. Wiele plemion czciło te same bóstwa, np. Pomezanie i Pogezanie – Perkuna, boga gromu, błyskawicy i wojny. Trudnili się głównie łowiectwem, rolnictwem i hodowlą, wytapiali przedmioty z brązu i żelaza.

Badacz początków państwa polskiego prof. Gerard Labuda (1916-2010) w książce o dziejach zakonu krzyżackiego scharakteryzował poszczególne krainy pruskie. Pomezania, czyli „Podlesie” – rozciągała się na północ od ziemi chełmińskiej aż do gęstych puszczy, za którymi zaczynała się Pogezania, czyli „kraj porośnięty zarostami”. Warmię, czyli „czerwona ziemia”, leżącą na północ od Pogezanii, ograniczały rzeki Łyna i Pasłęka oraz Zalew Wiślany. Natomiast Skalowia (pochodzenie nazwy niejasne) leżała u samego ujścia Niemna do Zalewu Kurońskiego.

Między Warmią a rzeką Pregolą rozciągały się Prusy Dolne obejmujące częściowo Skalowie, a także Barcję, Natangię, Nadrowię i Sambię. Barcja, czyli „kraj bartników”, leżała na prawym brzegu rzeki Łyny, aż po jezioro Mamry. Natangia – „krajina spływających wód” – między Łyną a Pregolą. Nadrowia (pochodzenie nazwy niejasne) – w dorzeczu Pregoli. A Sambia – „kraj nizinny” – nad Bałtykiem, pomiędzy zalewami – Wiślanym i Kurońskim.

Wschód Prus zajmowali Jaćwingowie, Żmudzini i Litwini. Nazwa Jaćwież najprawdopodobniej wywodzi się od rzeki Czarnej Hańczy, w okolicach której osiedliło się to plemię. Na południu, na pograniczu z Mazowszem, znajdowała się Sasinia (pochodzenie nazwy niejasne), jedna z najsłabiej zaludnionych ziem Prus.

W XIII wieku najazdy Prusów stawały się coraz groźniejsze dla Mazowsza, gdzie w pierwszej połowie XIII wieku panował książę Konrad – wnuk Bolesława Krzywoustego, młodszy syn Kazimierza Sprawiedliwego oraz dziad Władysława Łokietka.

Prusowie atakowali pograniczne zamki, kościoły, osady, regularnie palili warownie obronne. Prócz Płocka, o którym pisał Długosz, kilka razy spalili Pułtusk. „Nawet najazdy Tatarów nie przyniosły tak dużych zniszczeń jak wyczyny Bałtów” – oceniał prof. Samsonowicz.

Prusowie stworzyli wodzowskie organizacje plemiennie, które z czasem zaczęły się konsolidować i współdziałać. W XIII wieku występowały już jako jednolita siła, coraz lepiej zorganizowana i coraz bardziej agresywna.

Działo się tak m.in. dlatego, że parło na nie chrześcijaństwo, i to jednocześnie z dwóch stron.

JAK OKIEŁZNAĆ PRUSÓW

Przez Bałtyk zaczęła się ekspansja z Zachodu. Najpierw, jeszcze w XII wieku, do Inflant przyplnęli Duńczycy, którzy opanowali ziemie dzisiejszej Estonii. Natomiast na przełomie XII



• Prusowie w natarciu! Tak ich sobie wyobrazili rekonstruktorzy historyczni podczas Festiwalu Bałtyjskiego zorganizowanego w 2011 roku w pruskiej osadzie na terenie Muzeum Budownictwa Ludowego w Olsztynku FOT. PRZEMYSŁAW SKRZYDŁO / AGENCJA WYBORCZA.PL

MAZOWSZE W OGNIU

Pod rokiem 1222 Jan Długosz zapisał: „Prusowie i Pomorzanie pustoszą i palą miasto Płock. Barbarzyńcy narażają na ciężkie straty zarówno Płock, jak i dzielnicę Mazowsze”.

i XIII wieku zaczęło napływać mieszczaństwo, głównie z Lubeki. „Kupcy z miast niemieckich zorganizowani w zawiązek Hanzy, dążyli do wytyczenia szlaków na Ruś, aż do Nowogrodu Wielkiego i zmonopolizowania handlu ze Wschodem” – tłumaczył prof. Samsonowicz.

Za kupcami napływało rycerstwo i nowa wiara. Głównym promotorem chrystianizacji Inflant stał się biskup Rygi Albert, który około 1202 roku powołał w Inflantach do życia rycerski Zakon Kawalerów Mieczowych. Mniej więcej pięć lat później nadał mu jedną trzecią podbitych już terytoriów, a także zapowiedział przekazanie kolejnych, które rycerze dopiero zdobędą. W ten sposób na obszarze dzisiejszej Łotwy i Estonii zakon zaczął organizować własne państwo.

Od strony Mazowsza i Pomorza presja na plemiona pruskie również była coraz większa. Jeszcze w XII wieku wyprawy przeciw nim organizowali poprzednicy Konrada na tronie mazowieckim – w 1166 roku jego stryj Bolesław Kędzierzawy, a w 1192 ojciec – Kazimierz Sprawiedliwy. Nie zakończyły się one sukcesami.

W pierwszych latach XIII wieku misję chrystianizacyjną w Prusach na mocy bulli

papieża Innocentego III rozpoczęli cystersi z wielkopolskiego Łekna. Najpierw do Pomezanii prawdopodobnie w 1207 roku wyruszył opat Gotfryd, a po jego śmierci jego następcy – mnisi Filip-Boguchwał i najbardziej znany oraz – jak się okaże – także najbardziej skuteczny, Chrystian z Oliwy.

Działania polskiego Kościoła i piastowskich władców przeciw Prusom musiały przyspieszyć, gdyż pojawiło się niebezpieczeństwo, że zamiast nich podbiją ich Duńczycy. „W 1210 król Waldemar II, nie licząc się z polską misją, podjął krwawą krucjatę na Prusy, zmuszając po drodze Mściwoja [księcia gdańskiego, nazywanego też Mszczujem – red.] do złożenia hołdu lennego” – opisywał przed laty świetny mediewista prof. Benedykt Zientara (1928-1983).

Natomiast współczesna badaczka prof. Agnieszka Teterycz-Puzio w najnowszej biografii Konrada Mazowieckiego pisze, że kwestia chrystianizacji Prus zapewne była ważnym tematem zjazdu Piastów w Borzykowej w lipcu 1210 roku. Oprócz Konrada uczestniczyli w nim jego starszy brat książę krakowski Leszek Biały, a także władca Śląska – Henryk Brodaty, oraz Wielkopolski – Władysław Odonic.

Organizacja misji chrystianizacyjnej na szeroką skalę była też najważniejszym tematem synodu zwołanego w 1212 roku w Mąkolnie przez arcybiskupa gnieźnieńskiego Henryka Kietlicza. Z jednym z najpotężniejszych wówczas ludzi na polskiej scenie politycznej debatowali tam Konrad Mazowiecki, Leszek Biały i wspomniany Mściwój gdański.

BEZ MIODU I PIWA NIE WALCZĘ

Trzy lata później na IV Soborze Laterańskim arcybiskup Kietlicz przedstawił ideę krucjaty pruskiej. Przeprowadził tam zresztą udaną akcję propagandową, gdyż razem z nim w Rzymie pojawił się wspomniany opat Chrystian, „prowadząc ze sobą dwu ochrzczonych pruskich przywódców – widome świadectwo rezultatów akcji”, pisał prof. Zientara. Oplacało się, bo za swe spektakularne sukcesy chrystianizacyjne w 1216 roku Chrystian został oficjalnie wyświęcony przez papieża Innocentego III na biskupa Prus.

Na soborze zapadła też decyzja o zorganizowaniu piątej wyprawy krzyżowej do Ziemi

Świętej. Do udziału w niej papież zobowiązał również polskich władców. Do krucjaty doszło w 1217 roku, zakończyła się, jak wiadomo, fiaskiem, a piastowscy książęta ostatecznie na nią nie wyruszyli. Leszek Biały wysłał do Honoriusza III, następcy zmarłego niedługo po IV Soborze Laterańskim Innocentego III, osobliwe usprawiedliwienie. Tłumaczył w nim, że jest zbyt otyły i odcieżył na taką eskapadę, a ponadto w Ziemi Świętej pije się tylko wino i wodę, tymczasem on i jego rycerze przyzwyczajeni są do piwa i miodu, bez których nie mogą walczyć. Wyjaśnienia zostały przyjęte ze zrozumieniem, tym bardziej że polscy władcy w zamian mieli zorganizować krucjatę przeciw Prusom i rozszerzyć chrześcijaństwo na ostatnie pogańskie terytoria w Europie.

Do wyprawy polskich książąt nie doszło od razu, na co wpływ miały m.in. konflikty między nimi. Krucjata polskich książąt, z błogosławieństwem Honoriusza III, który wydał w tej sprawie bullę, wyruszyła do Prus dopiero w 1222 roku. Wzięły w niej udział wojska Leszka Białego, Konrada Mazowieckiego oraz Henryka Brodatego. Ten ostatni, cieszący się największym autorytetem spośród piastowskich książąt, prawdopodobnie stał na jej czele. Jak twierdzi Benedykt Zientara, jego biograf, chrystianizacji Prus Brodaty nie traktował wyłącznie jako możliwości poszerzenia własnych wpływów politycznych, tylko widział w nim „cel ogólnopolski, zdolny połączyć w jednym obozie skłóconych książąt piastowskich”.

W źródłach brak szczegółów o przebiegu krucjaty w 1222 roku, ale badacze raczej są zgodni, że zakończyła się fiaskiem. Podobnie jak kolejna, podjęta w następnym roku.

TARCZA MAZOWSZA

Prusowie więc nie tylko trwali w pogaństwie, ale nieustannie łupili pogranicze, choć również zapuszczali się niekiedy w głąb Mazowsza. Skutkowało to coraz większymi nakładami na odbudowę zniszczeń, a w konsekwencji zapóźnieniem gospodarczym i cywilizacyjnym dzielnicy Konrada.

Niektórzy za niepowodzenia walki z Prusami obwiniali zresztą samego księcia. Powodem były wydarzenia z 1217 roku, kiedy pozbył się on człowieka, który według kronikarskich przekazów miał świetnie sobie z najazdami pruskimi radzić. Chodzi o wojewodę mazowieckiego Krystyna, którego „Rocznik kapituły krakowskiej” określił mianem „tarczy Mazowsza”.

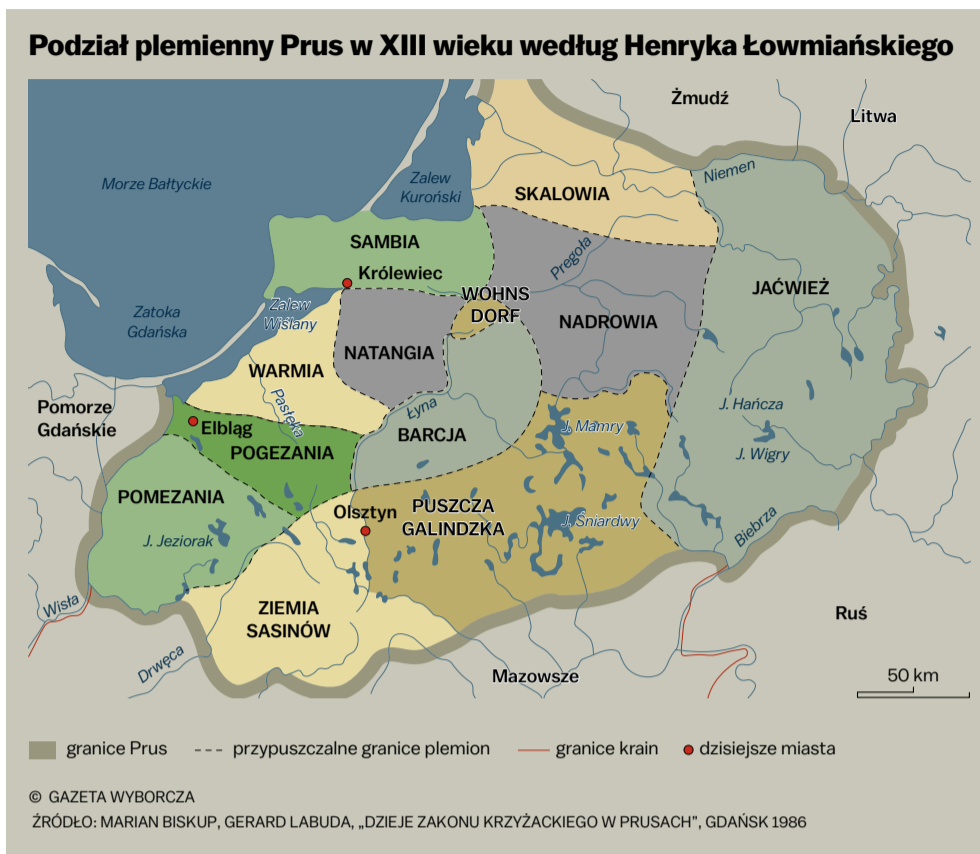
Wojewoda musiał cieszyć się wielkim mirem wśród współczesnych. Zapewne był dobrym wodzem, który m.in. odegrał ważną rolę w bitwie pod Zawichostem w 1205 roku, kluczowej dla sytuacji politycznej w tej części Europy Wschodniej. Wojska Konrada Mazowieckiego i Leszka Białego odparły najazd na Małopolskę księcia halicko-włodzimierskiego Romana. Ruski władca zginął pod Zawichostem, a jego wojska pozbawione wodza wróciły na Ruś. Prof. Teterycz-Puzio twierdzi też, że Krystyn mógł być także krzyżowcem, o czym świadczy wzmianka źródłowa o jego zamorskiej wyprawie.

Przed wszystkim jednak cieszył się sławą obrońcy Mazowsza. „Roczniki podają – pisze Długosz – że Krystyn odznaczał się taką dzielnością i odwagą, że pokonał całkowicie i ujarzmił Prusów, Litwinów i pozostałych pogan i zmusił ich do płacenia podatków i trybutów książętom polskim”.

Tymczasem Konrad Mazowiecki z nie do końca jasnych przyczyn kazał go uwięzić, osłepić, a w końcu udusić.

OKRUTNY I ZAPALCZYWY

Książę słynął z porywczego charakteru i skłonności do okrucieństwa. Prof. Samsonowicz określał go jako „choleryka, który najpierw działał, a potem myślał”.



© GAZETA WYBORCZA
ŹRÓDŁO: MARIAN BISKUP, GERARD LABUDA, „DZIEJE ZAKONU KRZYŻACKIEGO W PRUSACH”, GDAŃSK 1986



Konrad Mazowiecki.

• **Konrad I Mazowiecki (1187/88–1247) według Jana Matejki. Rządził Mazowszem, Kujawami, a także księstwami – łęczyckim i sieradzkiem oraz krótko – krakowskim**

FOT. ZE ZBIORÓW BIBLIOTEKI NARODOWEJ



• **W ramach pokuty za stracenie Jana Czapli Konrad i księżna Agafia ofiarowali katedrze w Płocku kunsztownie wykonany kielich wotywny wraz z pateną**

FOT. MUZEUM DIECEZJALNE W PŁOCKU

Jednym z najbardziej znanych i dramatycznych wydarzeń panowania Konrada była egzekucja scholastyka płockiego, kanonika Jana Czapli. Książę powierzył mu wychowanie jednego ze swoich synów Kazimierza, przyszłego władcy Kujaw i ojca Władysława Łokietka. Tymczasem w 1238 lub 1239 roku Kazimierz wbrew woli ojca pojął za żonę Konstancję, córkę Henryka Pobożnego, syna Henryka Brodatego. Kiedy sprawa wyszła na jaw, Konrad o pośredniczenie w tym ożenku oskarżył właśnie Czapłę. Wpadł w furję i – jak pisze anonimowy autor „Kroniki wielkopolskiej” – „opanowany diabelskim szałem” kazał schwytać scholastyka i „po ochłostaniu wielce udrażnionego powiesić jak złodzieja”.

Długosz sugeruje, że również zapalczywa co Konrad była jego żona księżna Agafia, która wywodziła się z rodu Rurykowiczów. Jeśli wierzyć słowom kronikarza, zaraz po egzekucji rozkazała odebrać mnichom ciało Czapli wiezione już na cmentarz i ponownie je powiesić „na zastraszający przykład i zgrozę”. Za zgładzenie kanonika na Konrada spadła klątwa arcybiskupa krakowskiego Pelki. Ekskomunikacja została cofnięta, dopiero gdy Konrad się ukorzył i nadał Kościołowi wielkie dobra. Zlecił także wykonanie przepięknego kielicha z pateną jako daru ekspiacyjnego za zabicie Czapli. Zabytek przetrwał do naszych czasów.

OSZUST I PORYWACZ

Wiele o charakterze Konrada mówią też późniejsze wydarzenia, których tłem była walka Piastów o rządy w Małopolsce.

W 1227 roku podczas wiecu w Gąsawie zginął w zamachu Leszek Biały, który pozostawił po sobie ledwie ponadrocznego syna Bolesława, zwanego później Wstydlwym. O tym, kto przejmie władzę w Krakowie, miało zadecydować to, kto zostanie opiekunem nieletniego następcy. Naturalnym kandydatem był jego stryj Konrad, ale wdowa po Leszku, księżna Grzymisława, a także krakowscy możni nie chcieli brutalnej autokraty, jakiego widzieli w mazowieckim władcy. Na skutek ich wspólnej decyzji oraz wcześniejszych układów między Piastami opieka nad małym Bolesławem została powierzona Brodatemu.

Konrad oczywiście ruszył z wojskiem na Kraków, tyle że książę Śląska pobił go w bitwie pod Skalą i przegnał z Małopolski. Władca Mazowsza oczywiście nie dał za wygraną i w 1229 roku, kiedy Brodaty zwołał na zjazd do Spytkowic możnych krakowskich i sandomierskich, podstępnie go porwał. „Podczas mszy został Henryk osaczony przez ludzi

Konrada; po krótkiej walce, w której odniósł rany, obezwładniono go i przewieziono do Płocka” – opisuje Benedykt Zientara.

Z niewoli wydobyła go dopiero żona Jadwiga Śląska, jedna z najważniejszych postaci polskiego średniowiecza, dziś święta. Księżna pojechała do Konrada i wynegocjowała uwolnienie męża. Brodaty musiał jednak zrzec się pretensji do krakowskiego tronu, z czego zresztą wkrótce zwolnił go papież, gdyż przysięga złożona pod przymusem w jego ocenie nie mogła być wiążąca.

Wkrótce po uwolnieniu Brodatego Konrad porwał więc bratową – księżną Grzymisławę. Zaprosił ją pojednawczo na rozmowy, a gdy, nie spodziewając się niebezpieczeństwa, przybyła wraz z kilkuletnim Bolesławem, uwięził ich oboje i przetrzymywał najpierw na zamku w Sieciechowie, a potem w Czersku. Grzymisława z Bolesławem odzyskali wolność dzięki nieznannej w szczegółach operacji rycerza Klemensa z Ruszczy, który – jak pisał później w jednym z dokumentów Bolesław Wstydlwy – „przemysłnością swą nas z niewoli naszego stryja [...], przez swych wywiadowców i wiernych wysłanników uwolnił”.

MUR MAZOWSZA SIĘ ROZPADEŁ

To, dlaczego Konrad porwał Henryka Brodatego oraz księżną Grzymisławę wraz z synem, nie jest tajemnicą – chodziło o władzę w Krakowie.

Dlaczego kazał zabić wojewodę Krystyna oraz scholastyka Jana Czapłę, tak naprawdę pozostaje jednak zagadką. Badacze nie do końca wierzą późniejszym przekazom.

Agnieszka Teterycz-Puzio zauważa, że „Rocznik kapituły gnieźnieńskiej” w ogóle nie łączy śmierci Czapli z niechcianym przez ojca małżeństwem Kazimierza. Stawia hipotezę, że decydujący mógł być po prostu wybuchowy charakter księcia, a Czapła „był po prostu osobą, na której Konrad wyładował swoją złość”.

Oceny dotyczące kaźni Krystyna również budzą wątpliwości. Wprawdzie wszystkie źródła odsądzają Konrada od czci i wiary, ale wyszły spod piór niechętnych albo wręcz wrogich księciu duchownych i nie są obiektywne, a poza tym powstały wiele lat po wydarzeniach. Długosz opisuje Konrada wręcz jako wzorzec złego władcy, ale trudno uwierzyć w to, że – jak twierdzi kronikarz – kazał zabić on wojewodę, ponieważ „nie mógł ścierpieć” jego sławy albo dlatego, że Krystyn ganił księcia za „wyuzdane i rozpustne obyczaje”.

Agnieszka Teterycz-Puzio zauważa, że nie ma śladu w źródłach współczesnych wydarzeniom potępienia Konrada przez Kościół. Badaczka wskazuje zupełnie inne podłoże tragicznych wydarzeń. Długosz wprawdzie pisał, że Krystyn był opiekunem księcia w początkach jego rządów, ale to raczej mało prawdopodobne. Konrad, obejmując władzę na Mazowszu po ojcu, przejął także mianowanych przez niego urzędników. „Mogło być tak, że ta współpraca od początku nie była łatwa” – domyśla się mediewistka. Konrad, jak wiemy, nie patyczkował się z ludźmi, którzy stali mu na drodze, więc może po prostu usunął nieloyalnego wojewodę.

„Rocznik kapituły krakowskiej” skomentował śmierć Krystyna dramatycznym komentarzem: „mur całego Mazowsza się rozpadł”, ale prof. Samsonowicz uważał, że zachwyty nad wojewodą były przesadzone i trzeba je traktować jako element czarnej legendy Konrada stworzonej przez krakowskich duchownych. Wojewoda czymś musiał narazić się Konradowi, być może otwarcie przeciw niemu wystąpił albo knuł z innymi władcami dzielnicowymi, domyślał się profesor.

Wielu badaczy uważa, że spór między Konradem a Krystynem mógł dotyczyć metod walki z Prusami. Konrad był zwolennikiem krwawej rozprawy, wojewoda – bardziej pokojowych rozwiązań. „Krystynowi przypisuje się zainicjowanie osadnictwa



rycerstwa na ziemi dobrzyńskiej, co miało zatrzymać Prusów w ich naporze w kierunku Mazowsza” – pisze prof. Teterycz-Puzio.

OSTATNIA NADZIEJA W „STRÓŻY”

Po fiasku wypraw w latach 1222 i 1223 sposobem na powstrzymanie najazdów plemion pruskich miało być utworzenie tak zwanej stróży. Prof. Samsonowicz określił ją jako „ogólnopolski system obrony ziem północnych Polski”. Polegał on na tym, że odbudowane po zniszczeniach pograniczne grody i warownie obsadzono doborowym rycerstwem ze wszystkich dzielnic. Nadano im oczywiście status krzyżowców. Taki sojusz obronny był możliwy tylko dlatego, że między piastowskimi władcami na pewien czas zapanowała zgoda. W „stróży” obok rycerstwa mazowieckiego i małopolskiego uczestniczyło także śląskie, gdyż najprawdopodobniej to właśnie Brodaty był inicjatorem jej utworzenia.

Prof. Samsonowicz oceniał, że „stróża” nie przetrwała nawet roku. Dość szybko powróciły nieporozumienia między Piastami, co miało m.in. związek z walką o władzę w Wielkopolsce między Władysławem Laskonogim a jego bratankiem Władysławem Odonicem.

Ostatecznie do rozpadu „ogólnopolskiego systemu obrony ziem północnych Polski” najbardziej przyczynili się sami rycerze, którzy go tworzyli.

Benedykt Zientara: „Wśród dowódców rycerstwa krakowskiego, pozostającego na granicy, oprócz dwu Odrowążów [jeden z najpotężniejszych małopolskich rodów] znalazł się Gryfita [równie ważny ród] Jan Klimontowicz. Pewnej nocy (1224 roku?) rycerze małopolscy padli ofiarą nagłego napadu Prusów, który zakończył się masakrą Małopolan; ale podczas gdy ginęli liczni rycerze oraz dwaj dowódcy Odrowążowie (Dersław Abrahamowicz i Budzisław Krzesławic, kasztelan wiślicki), Jan Klimontowicz i jego niewymienieni współrodowcy uratowali się ucieczką. Oburzenie głowy rodu Odrowążów – biskupa [krakowskiego] Iwona – udzieliło się zarówno Leszkowi Bialemu, jak i Konradowi”. Po tej dezercji na ród Gryfitów spadły ostre represje, a „stróża” po prostu się rozpadła.

NIECH SIĘ MĘCZĄ KRZYŻACY

I wówczas wśród władców piastowskich zrodził się pomysł, by rozprawić z Prusami powierzyć któremuś z zakonów rycerskich. Sprowadzenie Krzyżaków jest w polskiej historii nierozdzielnie związane z Konradem Mazowieckim, ale sprawa jest bardziej skomplikowana. Spory udział w zaproszeniu rycerzy zakonników miał prawdopodobnie też polski Kościół, a na pewno Henryk Brodaty, który utrzymywał z nimi kontakty i najpewniej był pośrednikiem.

Konrad Mazowiecki wysłał posłów do Hermanna von Salzy, wielkiego mistrza Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie, bo tak brzmiała jego pełna nazwa, i prawdopodobnie już w roku 1225 rozpoczęły się negocjacje. Za-

prośenie nadeszło w dobrym dla Krzyżaków momencie, bo akurat stracili swoje ziemie na Węgrzech. Nadał im je w Siedmiogrodzie król Andrzej II, ale gdy próbowali się usamodzielniać, wygnał ich ze swojego państwa.

Konrad, jak barwnie podaje „Kronika wielkopolska”, „przyznał na dwadzieścia lat ziemię chełmińską brodaczo, czarnym krzyżem znaczoną”. Natomiast król Niemiec i cesarz rzymski Fryderyk II Hohenstauf, protektor Krzyżaków, 26 marca 1226 roku w Rimini nadał zakonowi w posiadanie ziemie zamieszkałe przez Prusów. Niedawno minęło więc od tego doniosłego wydarzenia 800 lat. „Informacje z bulli z Rimini są najstarszym śladem rokowani Konrada Mazowieckiego z Krzyżakami – pisze prof. Teterycz-Puzio. – Pierwszy znany dokument Konrada dla Krzyżaków datowany jest dopiero na 23 kwietnia 1228 roku”.

Według legendy w tym samym roku powstała pierwsza krzyżacka warownia, a w zasadzie gródek o nazwie Vogelsang (Ptasi Śpiew). Prof. Gerard Labuda lokalizował go na lewym brzegu Wisły na terenie dzisiejszego Torunia. Inni badacze w miejscu nieistniejącej osady Okole, przy grodzie w Nieszawie.

Gródek, w którym początkowo zamieszkało dwóch lub trzech Krzyżaków, stał się początkiem tworzenia państwa zakonnego. Zmieniło to historię Mazowsza, Polski i północno-wschodniej Europy. Podbój Prusów połączony z ich chrystianizacją trwał jeszcze kilkadziesiąt lat. Plemiona wzniciły co najmniej dwa wielkie antykrzyżackie powstania, które zostały krwawo stłumione. Do 1285 roku autochtoni zostali zdziesiątkowani, a ich niedobitki z czasem wtopiły się w masę słowiańskich i niemieckich osadników sprowadzanych przez Krzyżaków.

Gdy przed laty zapytałem prof. Samsonowicza o ocenę panowania Konrada Mazowieckiego jako polityka, nie był szczodry w pochwałach:

„Nie cenię go zbyt wysoko. I powodem wcale nie jest sprowadzenie do Polski Krzyżaków, tylko zaniedbanie spraw polskich. Zamiast dążyć do jednoczenia piastowskich ziem, ciągłymi walkami przyczynił się raczej do ich większej dezintegracji. Ale na plus można mu jednak zapisać pierwsze próby przeprowadzenia lokacji Płocka na prawie samorządowym, a przede wszystkim zjednoczenie Mazowsza w granicach, które przetrwały do dziś”.

Korzystałem z książek:

- „Konrad I Mazowiecki, książka wielki lacki. (1187/89-31 sierpnia 1247)”, Agnieszka Teterycz-Puzio, Kraków 2019;
- „Konrad Mazowiecki. (1187/89-31 VIII 1247)”, Henryk Samsonowicz, Kraków 2008;
- „Henryk Brodaty i jego czasy”, Benedykt Zientara, Warszawa 1975;
- „Władcy Polski. Historia na nowo opowiedziana”, Beata Maciejewska, Mirosław Maciorowski, Warszawa 2018;
- „Roczniki, czyli Kroniki sławnego Królestwa Polskiego” księga 5 i 6, 1140-1240, Jan Długosz, Warszawa 2015;
- „Kronika wielkopolska”, przekład Kazimierz Abgarowicz, komentarze Brygida Kürbis, Kraków 2010;
- „Dzieje Zakonu Krzyżackiego w Prusach”, Marian Biskup, Gerard Labuda, Gdańsk 1986.

Antypolityka historyczna

Narody: ciągłość i zmiana

Dwie wsie dzieli od siebie kilometr czy dwa, a różnice kulturowe są takie, jakby leżały na różnych kontynentach.

Janowski



Nadrabiając zaległości czytelnicze, przeczytałem wreszcie książkę, którą od ponad ćwierć wieku miałem na liście lektur – „The Hidden Frontier. Ecology and Ethnicity in an Alpine Valley” Johna W. Cole’a i Erica R. Wolfa (1974). Amerykańscy antropolodzy spędzili rok w dwóch alpejskich wsiach w południowym Tyrolu – jednej niemieckiej, drugiej włoskiej. Region ten do 1918 roku należał do monarchii habsburskiej, a później – do Włoch. Badacze prowadzili klasyczną antropologiczną „obserwację uczestniczącą”. Przybyli z rodzinami; grywali w karty z chłopami w gospodzie, pomagali przy żniwach, grali na akordeonie podczas weseli; ich żony spotykały się z gospodyniami, ich dzieci chodziły do lokalnych szkół, a syn jednego z nich został pomocnikiem kowala. Efektem jest dzieło należące do klasyki antropologii społecznej XX wieku.

Obie wsie – Tret (włoska) i St. Felix (niemiecka) – są położone identycznie. Dzieli je od siebie kilometr czy dwa. Wysokość nad poziomem morza, klimat, geologia, ukształtowanie terenu, jakość gleb – wszystko jest takie samo. To przyroda narzuca pewien typ gospodarowania z dużą rolą pasterstwa, bo wysoko w górach nie da się uprawiać roli. Zarazem różnice kulturowe są tak głębokie, jakby wsie leżały na różnych kontynentach. Inna jest hierarchia prestiżu, inne zwyczaje dziedziczenia, inne formy samorządności, inne stosunki rodzinne, inny nawet układ zabudowy.

Nie ma otwartego konfliktu, chłopcy rozmawiają ze sobą przyjaźnie, utrzymują liczne kontakty. Jest jednak bardzo głębokie i ugruntowane przez wieki poczucie obcości: tytułowa „ukryta granica”, która – jak piszą autorzy – istnieje nawet wtedy, gdy się ją ciągle przekracza z obu stron.

Badacze pokazali chłopom każdej ze wsi zdjęcia z procesji u sąsiadów. Mieszkańcy St. Felix ze śmiechem komentowali: „Patrzenie, jak oni idą – jakby stado owiec!”. Z kolei dla mieszkańców Tret zdjęcia z niemieckiej wsi były równie śmieszne: „Patrzenie, jak oni idą – jak wojsko na paradzie!”.

I w XIX wieku na to wszystko nakłada się nowoczesny nacjonalizm. Jeśli chłopcy mieli dotychczas ja-

kąś świadomość polityczną, była to świadomość tyrolska. Teraz chłopcy niemieccy dowiadują się, że są Niemcami, a włoscy – że Włochami. Ich poczucie narodowe jest czymś nowym – ale to „nowe” nakłada się na bardzo stare, wieloletnie poczucie obcości kulturowej.

Świetna książka Cole’a i Wolfa porusza na ponad czterystu stronach bardzo wiele problemów, ale mnie szczególnie zainteresował jeden. Pokolenia badaczy zastanawiały się, czy nacjonalizm, w najszerszym rozumieniu tego słowa, jest zjawiskiem typowym dla czasów nowszych (powiedzmy od rewolucji francuskiej), czy też jest „stary jak świat”. Zdroworozsądkowe przekonanie, że narody i nacjonalizm istniały „od zawsze”, zostało w ciągu XX wieku zakwestionowane. Coraz liczniejsi badacze – Ernest Gellner, Benedict Anderson, u nas Józef Chlebowski – pisali o narodach jako o „wspólnotach wyobrażonych” (tytuł książki Andersona) powstałych w wyniku kapitalistycznej modernizacji. Ten obraz przyjął się z grubszą w literaturze naukowej, choć nie w popularyzacji. Nie jest jednak oczywisty.

Ostatecznie, już biblijna opowieść o wieży Babel pokazuje, że różnorodność językowa od zawsze powodowała konflikty. Podobnie jak wielu historyków mam poczucie, że obraz Gellnera czy Andersona, choć efektowny i skłaniający do namysłu, nie załatwia sprawy.

Otóż książka Cole’a i Wolfa proponuje rozwiązanie pośrednie. Nacjonalizm jest w obu wsiach czymś nowym, ale tworzy się na bazie dawnych różnic kulturowych i politycznych, nie powstaje – jak sądził Gellner – bez żadnego związku z przeszłością. Może rację mają ci badacze, którzy odróżniają „nowoczesne” i „przednowoczesne” formy poczucia narodowego? Chodzi o to, że mamy zarazem zmianę i ciągłość.

Oczywiście, nie ma tu reguły ogólnej. W Karpatach nie było tak mocnych różnic kulturowych jak w górach południowego Tyrolu, bo kolonizacja wołoska pokryła całe Karpaty jakby powłoką jednolitej kultury pasterskiej. Tu mechanizm powstawania nowoczesnych narodów musiał być inny. Co nie zmienia faktu, że książka „The Hidden Frontier” jest wspaniałym przykładem pracy, która na podstawie gruntownego badania społeczności lokalnych ukazuje zjawiska szersze, ważne dla zrozumienia historii całego świata.

Maciej Janowski – historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX wieku.

OGŁOSZENIE

Kraj/34427456



MAZOWSZE
W KORONIE

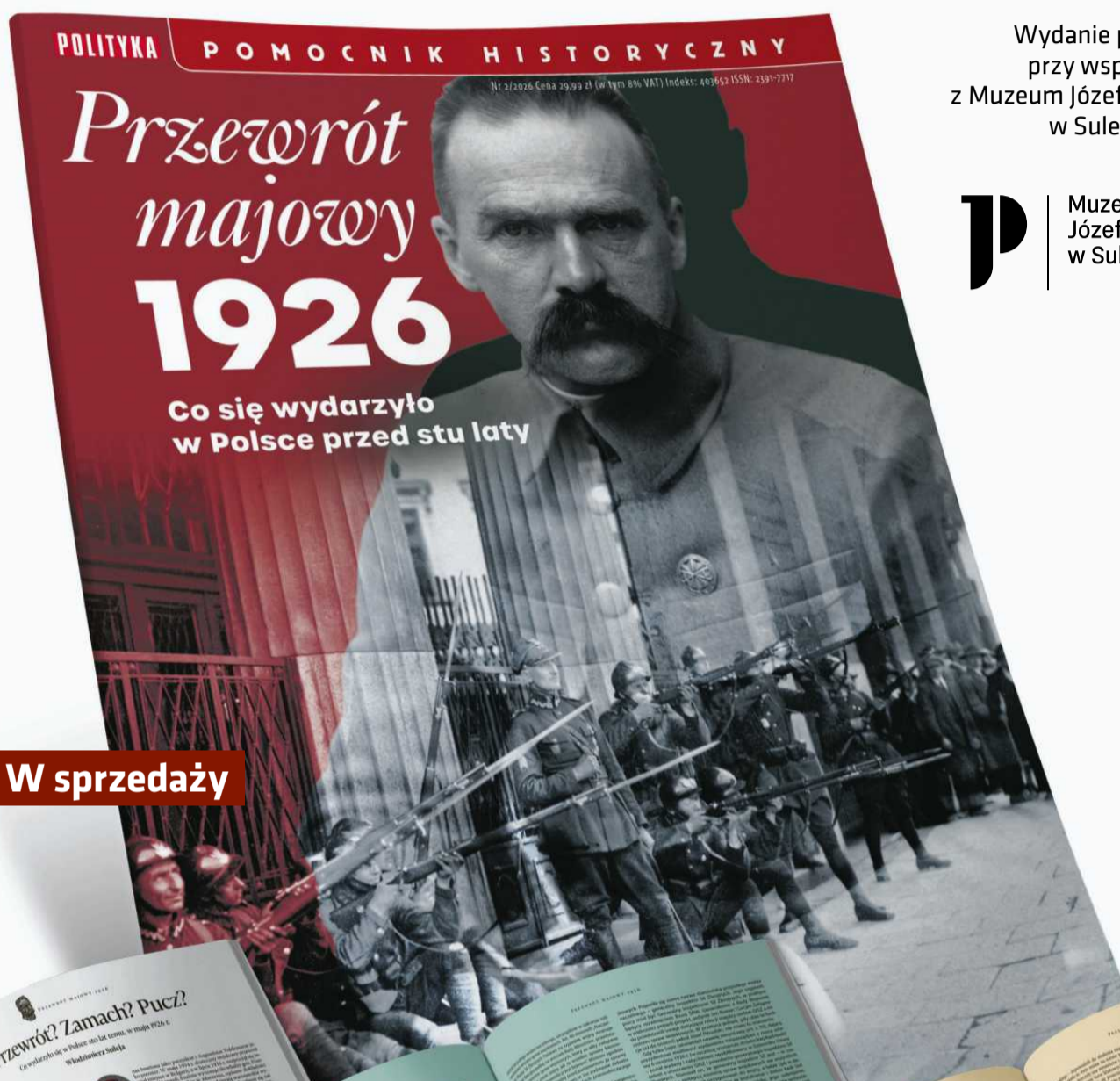
REKLAMA
PARTNER

ORGANIZATOR

GAZETA
wyborcza

Mazowsze.
serce Polski

ZAMACH STANU CZY SANACJA?



Wydanie powstało przy współpracy z Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku



Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku

W sprzedaży



148 stron

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na sklep.polityka.pl

Wydanie cyfrowe i audio – polityka.pl/pomocnik-histeryczny

Podkast POLITYKA o historii – polityka.pl/podkasty

Newsletter historyczny – polityka.pl/newslettery

KUP TERAZ



Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

weekend **ówka**PINGWIN
TO JEST GOŚĆ!

Są ptakami, ale większość życia i tak spędzają w wodzie, a nie w powietrzu. Jakies ¾ życia, ale mają ku temu narzędzia.

Choćby ich skrzydła, które działają jak pletwy. Dzięki nim nasi bohaterowie mogą pływać z prędkością blisko 40 km na godzinę. Mało tego, te umiejętności pozwalają im bardzo głęboko nurkować – taki pingwin białooki potrafi zejść na 150 metrów pod wodę.

Znacznie lepiej widzą pod wodą, niż na lądzie. Dlaczego? Ich oczy ewolucyjnie zaadaptowały się do trybu życia, który pingwiny prowadzą. Mają płaską rogówkę (co sprawia, że pod wodą obraz się nie rozmywa), nie przeszkadza im słabsze oświetlenie, mają wysoką czułość na barwy zieloną i niebieską wreszcie – oczy pokrywa specjalna membrana, która zapobiega zniekształceniu obrazu.

Pingwiny mogą też pić słoną wodę – ich ciała wyposażone są w specjalne gruczoły, które działają jak filtry i usuwają nadmiar soli, która wypływa przez dziób. To przypomina kichanie.

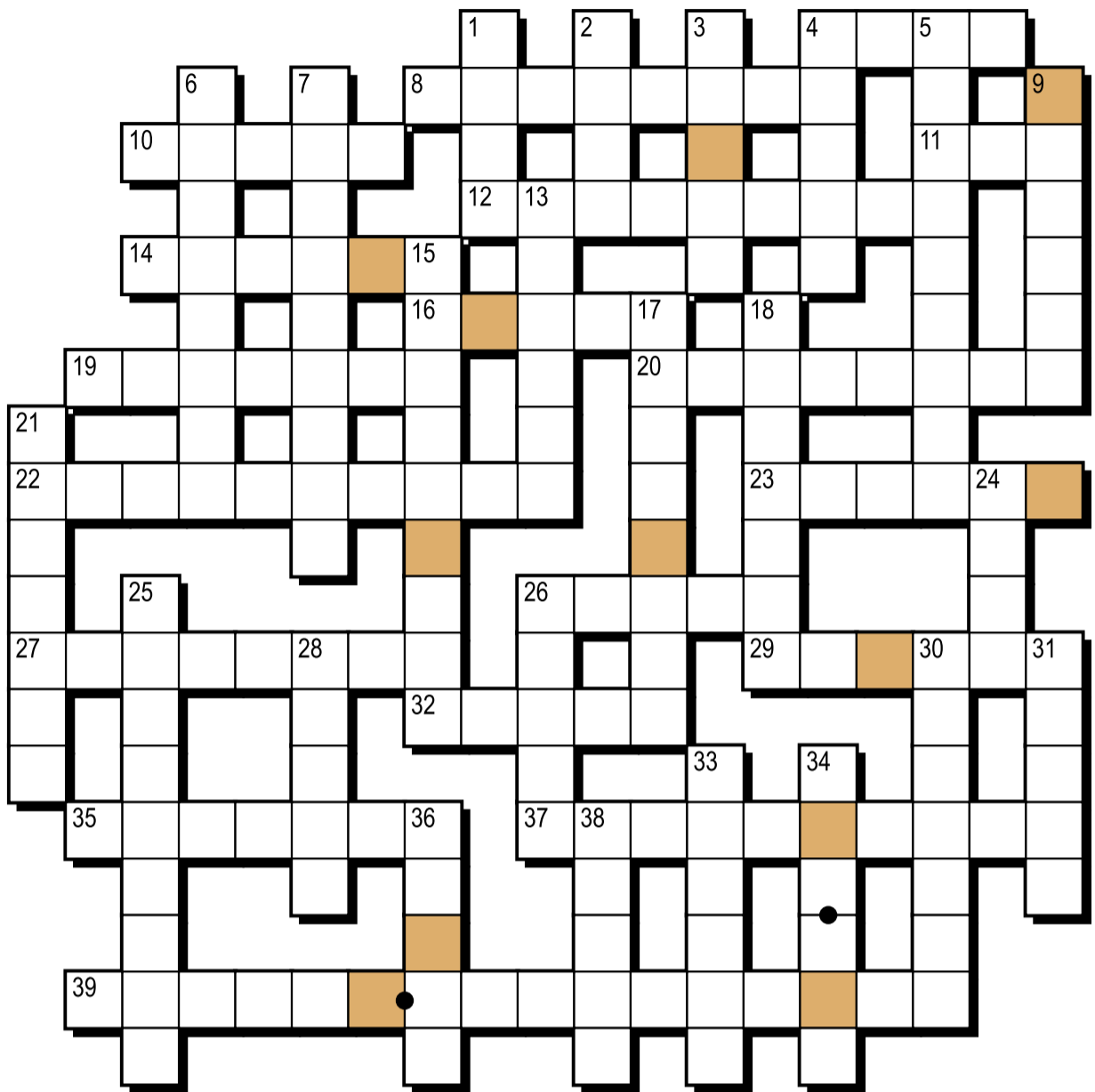
Skoro pływają, to przydałyby się kamizelka ratunkowa, ot tak, nawet jeśli mówimy o tak doskonałych pływakach. Otóż pingwiny mają coś na kształt takich kamizelek. Są w stanie magazynować pod piórami powietrze. Upierzenie ma wodoszczelne, dlatego jest to możliwe. Powietrze to podnosi ich wyporność i ułatwia utrzymywanie się na wodzie, a także zapewnia termiczną izolację, co chroni pingwiny przed zamrożeniem. Mało tego, nagromadzone pod piórami powietrze może działać jak nitro w samochodzie – gwałtownie wypuszczone sprawia, że pingwin nabiera wielkiej prędkości i może „wyszczerzyć” z wody na ląd.

Pingwinie niezwykłości nie ograniczają się tylko do ich naturalnego, wodnego środowiska. Otóż niezwykle te ptaki kultywują instytucję oświadczenia! Są gatunki, w których samiec wręcza samicy... kamyk, specjalnie wyszukany. Jeśli wybranka serca zaakceptuje kandydata, kamyk ląduje w ich wspólnym gnieździe.

Te same kamienie, jako naprawdę udane – wszak z byle czym się w konkury nie chodzi! – często bywają przedmiotem kradzieży. Kiedy właściciel straci czujność, inny pingwin – złodziejka rekrutują się szczególnie z gatunków Adeli i białobrewych – błyskawicznie zabiera kamyk jako idealny budulec gniazda.

Dzisiejszą „Weekendówkę” poświęcamy pingwinom, ale też generalnie obszarom polarnym. A dlaczego? Bowiemy dziś, 25 kwietnia świętujemy Światowy Dzień Pingwina. Data zbiega się z początkiem corocznej migracji pingwinów Adeli, które rozpoczynają przygotowania do sezonu lęgowego, a święto ma na celu nie tylko przybliżenie zwyczajów tych intrygujących zwierząt, ale i zwrócenie uwagi na czynniki, które zagrażają im: zanieczyszczenia, topniejące lody, czy utrata siedlisk. Wyzwania, którym nawet te dzielne ptaki mogą nie sprostać. ●

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl


KRZYŻÓWKA POLARNA
Litery w kolorowych polach,
czytane kolejno rzędami,
utworzą rozwiązanie.
Pozioomo:

- 4)** czarno-biały ptak morski, występuje m.in. na Grenlandii
8) badacz obszarów podbiegunowych
10) ciepłe okrycie na zimę
11) tu mieszkają pingwiny z Madagaskaru
12) jeden z pingwinów z Madagaskaru
14) np. Fram podziwiany w muzeum w Oslo
16) ... Arktyczny, zwany również Morzem Lodowatym
19) ptak strojny we frak
20) 27 poziomo lub 28 pionowo
22) odkryta przez rosyjskiego admirała Fabiana Bellingshausena

- 23)** Alistair MacLean („Stacja arktyczna Zebra”)
26) chronią przed ślepotą śnieżną
27) Roald, słynny norweski badacz polarny
29) ... lodowców, przyspieszony przez globalne ocieplenie
32) np. śmiałek antarktyczny – roślina występująca na Antarktydzie
35) ... Antarktyczny, międzynarodowa umowa regulująca polityczno-prawny status Antarktydy
37) Titanica – po zderzeniu z górą lodową
39) ze stacją polarną Amundsen-Scott

Pionowo:

- 1)** James, brytyjski polarnik; jego nazwisko nadano jednemu z antarktycznych mórz

- 2)** wielkie ssaki morskie
3) biały puch
4) Paul Walker („Przygoda na Antarktydzie”) lub Kurt Russell („Coś”)
5) ... polarna (właśnie ją rozgryzasz)
6) ... lodowa, obszar pozbawiony roślinności, pokrywający niemal całą Antarktydę
7) Henryk, polski badacz polarny
9) amerykańskie – na Antarktydzie podczas operacji Highjump (1946–47)
13) Wilkesa, Wiktorii lub Marii Byrd – na mapie Antarktydy
15) Antarktyda
17) kraj królowej Maud (jej nazwę nosi m.in. antarktyczne pasmo górskie)
18) szef pingwinów z Madagaskaru
21) ... morski, drapieżny ssak z wód Antarktyki (jak pantera)

- 24)** dorsz arktyczny lub antar polarny
25) miliony lat temu razem z Antarktydą tworzyła Gondwanę – superkontynent
26) zasiądzie nad planszówką „Antarktyda”
28) Robert (zm. 1912), badacz Antarktydy, zdobył biegun południowy miesiąc po 27 poziomie
30) erozyjne – spowolnione na obszarach biegunowych
31) ... polarny, kilkumiesięczne lato w okolicach biegunów
33) ... Ziemi; kto chce ją zdobyć, musi zaliczyć m.in. Masyw Vinsona
34) pingwin z książki dla dzieci autorstwa Adama Bahdaja
36) ... ocieplania się klimatu – zbyt szybkie, niestety
38) ... muzyczny, np. „Antarctica” Vangelisa

Leszek Rydz

Rozwiązania „Weekendówki” nr 201 z 18.04:

Pozioomo: 5) przysmaczek 7) kapary 11) bazylia 12) czarnuszka 13) sos 14) tymianek 16) szafran 17) alasz 19) kiełki 22) kurkuma 23) oregano 27) pomidor 29) sól 30) kradzież 31) maggi 32) kimchi 35) rozmaryn 37) nalewki 40) Turcy 41) ciastko 42) marynata.

Pionowo: 1) cykorja 2) herbata 3) nasionka 4) gyros 6) chrzan 8) Rzym 9) czosnek 10) curry 13) składniki 15) imbir 18) krople 19) kardamon 20) estragon 21) kostki 24) goździk 25) tyżki 26) ostrość 28) macerat 32) kwiat 33) mięta 34) hizop 36) marka 38) leczy 39) ocet. **Hasło: MISTRZ SMAKU**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34426992


CODZIENNIE w Wyborczej

Krzyżówka
Sudoku
Zakreślanka
Skojarzenia



Rusz głową!
Nie nudź się w domu!



GAZETA Kobiet

Sobota, 25 kwietnia 2026

Redaktor prowadzący: Artur Brzozowski



• W Kolegium Kobiet udział wzięły (od lewej): **Jolanta Dąbrowska**, dyrektorka ds. HR w KRUK S.A., **prof. dr hab. Aldona Izabela Wiktorska-Świećka**, Uniwersytet Wrocławski Instytut Studiów Europejskich, **Anna Horodyska**, zastępca dyrektora Wojewódzkiego Urzędu Pracy we Wrocławiu, **Beata Siworska**, Wyborcza.pl, **prof. dr hab. Katarzyna Piwowar-Sulej**, Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu, **Aleksandra Krzeszewska**, zastępczyni prezydenta Legnicy, **Alicja Przepiórska-Ułaszewska**, przedstawicielka Rady Fundacji Via Salutis w Wałbrzychu, **prof. Karolina Jaklewicz**, prorektorka ds. rozwoju i integracji wspólnoty Politechniki Wrocławskiej, **Agnieszka Urazińska**, dziennikarka „Wysokich Obcasów”, **Agnieszka Salach**, kierowniczka działu public relations w KRUK S.A., rzeczniczka prasowa FOT. KRZYSZTOF ZATYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



• Uczestniczki
Kolegium Kobiet
podczas dyskusji

FOT. KRZYSZTOF ZATYCKI /
AGENCJA WYBORCZA.PL

Kolegium Kobiet we Wrocławiu

Szklane sufity są często w naszych domach

Kobiety nie chcą mieć przywilejów. Chcą równości, zasad, procedur, fundamentalnej sprawiedliwości. Nie potrzebują niańczenia.

Agnieszka Urazińska

Mądre słowa, ważne przesłania, dobre emocje, siostrzeństwo – na spotkaniu kobiet we Wrocławiu było wszystko, czego potrzeba, żeby słowa miały siłę. Na Kolegium Kobiet, zorganizowanym przez „Gazetę Wyborczą” we Wrocławiu, we współpracy z „Wysokimi Obcasami”, spotkały się kobiety, które są w różnych miejscach w życiu, reprezentują różne branże, mają odmienne doświad-

czenia zawodowe i prywatne. Ale łączy je jedno – są otwarte, gotowe do rozmowy o tym, gdzie są, gdzie i jak chcą żyć. Opowiadały o swojej drodze, o sile i wyzwaniach.

Efektom tego spotkania jest właśnie „Gazeta Kobiet”.

Jak w 2026 roku żyje się kobietom?

– Bardzo się cieszę, że kobiety w różnych dziedzinach życia, także w biznesie i nauce,

sięgają po własne cele – mówiła prof. dr. hab. Aldona Izabela Wiktorska-Święcka z Instytutu Studiów Europejskich Uniwersytetu Wrocławskiego, która zajmuje się m.in. zarządzaniem różnorodnością.

Karolina Jaklewicz, artystka uprawiająca sztukę zaangażowaną społecznie i politycznie, pisarka i wykładowczyni oraz prorektorka ds. rozwoju i integracji wspólnoty Politechniki Wrocławskiej, podkreślała natomiast, że poprawiła się sytuacja kobiet na uczelniach.

– Na politechnice monitorujemy place i wszystko wskazuje, że nie mamy różnic



• **Zwrócono uwagę, że w Polsce nadal często panuje przekonanie, iż pracami domowymi zajmie się kobieta, bo mężczyzna ma być myśliwym**

FOT. KRZYSZTOF ZATYCKI
/ AGENCJA WYBORCZA.PL

placowych między kobietami, a mężczyznami – podkreślała. – W szkolnictwie i naukach wyższych kobiety radzą sobie coraz lepiej. Przybywa na przykład prodziekanek, a w szkole doktorskiej mamy więcej kobiet niż mężczyzn. Panów pracujących na naszej uczelni przekonujemy, aby chodzili na urlopy ojcowskie – jeśli się zdecydują, po powrocie dostają grant w wysokości 10 tys. zł oraz zmniejszenie pensum.

Możemy wspólnie uprawiać ogrody

Jakie sprawy są dla nas ważne? Anna Horodyska, zastępczyni dyrektora Wojewódzkiego Urzędu Pracy we Wrocławiu, samorządowczyni zaangażowana w samorząd lokalny i wojewódzki, podkreślała, jak dużo trzeba mieć siły i determinacji, aby działać na wyższych stanowiskach. I jak trudno jest, gdy w pracy, zamiast siostrzeństwa, pojawia się niezdrowa rywalizacja.

Natomiast Alicja Przepiórska-Ułaszewska, psychogerontolożka, członkini Wal-

brzyskiej Rady Kobiet, zwracała uwagę, jak ważna jest edukacja.

– Wychowuje się nas w modelu ról opiekuńczych, wciąż dużo jeszcze trzeba zrobić, aby wychowywać kolejne pokolenia w przekonaniu, że są równoprawnymi uczestnikami życia społecznego, zawodowego, politycznego, edukacyjnego. I domowego, bo przecież nadal w wielu domach równego podziału obowiązków nie ma. Wciąż często panuje przekonanie, że pracami domowymi zajmie się kobieta, bo mężczyzna ma

być myśliwym. A przecież możemy wspólnie uprawiać nasze ogrody – podkreślała.

Jak się jednak okazuje, wielu już tę lekcję odrobiło.

– Kobiety radzą sobie coraz lepiej – nie miała wątpliwości Anna Horodyska, zastępczyni dyrektora Wojewódzkiego Urzędu Pracy we Wrocławiu. – Choć ogólne bezrobocie wzrasta, liczba kobiet zarejestrowanych jako bezrobotne, maleje. Kobiety stanowią 49,3 procent ogółu bezrobotnych. W pracy są świetne, choć wciąż można mówić o szklanych sufitach, które są nie do przebiccia w naszych domach. Bo kobiety wciąż muszą łączyć pracę zawodową z domowymi obowiązkami, a w domach pełnią funkcje opiekuńcze: zajmują się dziećmi, osobami starszymi, osobami z niepełnosprawnościami. Aktywność kobiet na rynku pracy jest bardzo duża. Często są jeszcze blokowane przez rodziny. I tu trzeba zmian – zaznaczała Horodyska.

Poszukiwacze diamentów

Istotnym elementem dyskusji podczas wrocławskiego Kolegium Kobiet były tematy związane z pracą. Jolanta Dąbrowska, dyrektorka ds. HR w KRUK S.A. mówiła, jak ważne jest, aby organizacja dawała

Wychowuje się nas w modelu ról opiekuńczych. Wciąż dużo jeszcze trzeba zrobić, aby wychowywać kolejne pokolenia w przekonaniu, że są równoprawnymi uczestniczkami życia społecznego, zawodowego, politycznego, edukacyjnego. I domowego. Bo przecież nadal w wielu domach równego podziału obowiązków nie ma

ALICJA PRZEPIÓRSKA-UŁASZEWSKA

REKLAMA

34429552

WROSOUND '26
17-18.07
wrosound.com

Alice Phoebe Lou RPA
Son Lux USA
YIN YIN NL
Daria ze Śląska PL
Dawid Tyszkowski PL
Wczasy Orkiestra PL
Gaia Banfi IT

Strefa Kultury
Wrocław miasto spotkań
eprasa.pl 5a6043b2f0

pracownikom możliwości rozwoju, ale także wykorzystywała ich potencjał i dawała satysfakcję. – Firmy w Polsce zrobiły duży krok, aby dawać pracownikom autonomię. I z tego jestem dumna – tłumaczyła.

Anna Horodyska z WUP we Wrocławiu podkreślała, jak ważne jest poradnictwo zawodowe.

– Wzięłam sobie za cel, by dotrzeć do osób na życiowych zakrętach i żeby pokazać ludziom koło 50-tki, przemęczonym, przebodźcowanym, często wypalonym, że w życiu i pracy mogą zrobić bardzo dużo – mówiła. I dodawała: – Szukam możliwości, by pokierować takie osoby. Pokazuję, że urząd pracy ma świetne narzędzia, aby poszukać kompetencji, poszukać mocnych stron, a nad słabymi popracować.

Dyrektor Horodyska pochwaliła się autorskim projektem urzędu: Diamentową Rekomendacją, która służy badaniu kwalifikacji pracowników.

– Jeśli ktoś ma je bardzo wysokie w kilku z dziewiętnastu badanych zakresów, przyznajemy Diamentową Rekomendację, aby pokazać, że taki pracownik to diament w firmie. To cenna informacja, zarówno dla pracownika, jak i pracodawcy – podkreślała. – Są pracodawcy, którzy boją się takiego testowania. Ale ci świadomi, którzy inwestują w swoją załogę, chętnie z nami współpracują. Były nawet przypadki, że pracownicy wysoko ocenieni dostawali premie.

Z kolei Agnieszka Salach, kierowniczka działu public relations w firmie KRUK S.A., podkreślała, jak ważna jest edukacja finansowa najmłodszych i usamodzielnianie młodych ludzi z pieczy zastępczej.

Kobiecość nie rozplywa się po 60-tce

Podczas dyskusji była też mowa o wieku.

– Nie oszukujmy się, osoba 60-letnia nie pretenduje, by nazywać ją seniorem lub seniorką – tłumaczyła Alicja Przepiórska-Ułaszewska, która opowiadała o założonej przez siebie Fundacji Via Salutis w Wałbrzychu.

Choć ogólne bezrobocie wzrasta, liczba kobiet zarejestrowanych jako bezrobotne, maleje. Kobiety stanowią 49,3 procent ogółu bezrobotnych.

W pracy są świetne, choć wciąż można mówić o szklanych sufitach, które są nie do przebiccia w naszych domach. Bo kobiety wciąż muszą łączyć pracę zawodową z domowymi obowiązkami

ANNA HORODYSKA



• **Mam szczęście, że mój szef wspiera kobiety, dmucha w skrzydła. Pracuję w bardzo komfortowych warunkach – mówiła Aleksandra Krzeszewska (pierwsza z lewej)** FOT. KRZYSZTOF ZATYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

I opowiadała: – Chcemy propagować zdrowy styl życia, przygotowywać ludzi do starzenia się. A zaczęło się z powodów osobistych, gdy zmarł mój tata, a została mama, młoda seniorka. Stwierdziłam, że pora coś zrobić. W fundacji edukujemy, aktywizujemy i przygotowujemy do kolejnych etapów życia. Weźmy choćby moment przejścia na emeryturę, jeden z bardziej stresujących w życiu, obok śmierci bliższych czy rozwodów. Bo to jest kryzys emocjonalny, zdrowotny. Usługa poradnictwa psychogerontologicznego jest dla tych, którzy chcą żyć jak najpełniej i się rozwijać. I niekoniecznie chodzi o rozwój zawodowy, tylko o jak najlepsze życie. Wciąż mamy marzenie, że taki program trafi do szkół, bo tu jest dziura edukacyjna – podkreślała.

Jest jeszcze jeden cel: – Chcemy pokazać, że kobiecość nie rozplywa się po 60. roku życia. Warto pamiętać, że starość ma twarz kobiety. Żyjemy średnio o osiem lat

dłużej niż mężczyźni – argumentowała psychogerontolożka.

Było też o młodości, głównie dzięki Aleksandrze Krzeszewskiej, zastępczyni prezydenta Legnicy. – Bywa trudno, bo mam pod sobą 43 jednostki oświatowe w Legnicy oraz jednostki pomocy społecznej. Mam 28 lat, a dyrektorami są osoby nawet dwukrotnie ode mnie starsze. Czasami ich dzieci są w moim wieku. Dają radę przebić się argumentami, ale nie było to łatwe. Zdarza się, że na spotkaniach dla ludzi jest prezydent miasta, komendant straży pożarnej i ja, „Ola”. Ale mam szczęście, że mój szef wspiera kobiety, dmucha w skrzydła. Pracuję w bardzo komfortowych warunkach – opowiada Krzeszewska.

Czy o sprawach kobiet trzeba rozmawiać? Uczestniczki Kolegium Kobiet nie miały wątpliwości i planują kolejne spotkania.

– Dekadę temu próbowałam zainteresować redakcję tematami kobiet pracujących na rynku windykacji, chciałam pokazać, że nasz pracownik to nie tylko mężczyzna w skórzanym kurtce, tylko często kobieta: empatyczna osoba, która wysłuchuje różnych historii. Wtedy żadna redakcja nie chciała podejmować tematu. Trzeba było poczekać kilka lat, aby prokobiece tematy zaczęły wypływać, być słyszane coraz wyraźniej. Trzeba to jak najlepiej wykorzystywać – podsumowała Agnieszka Salach, kierowniczka działu Public Relations i rzeczniczka prasowa w KRUK S.A. ●

Siła kobiet w windykacji

Rola kobiet w branży zarządzania wierzytelnościami przez lata pozostawała niewidoczna – podobnie jak wiele innych zawodów, które stereotypowo przypisywano mężczyznom. Dziś ten obraz dynamicznie się zmienia. W Grupie KRUK kobiety nie tylko stanowią większość zespołu, lecz także zajmują kluczowe stanowiska menadżerskie.



Głos kobiet jest coraz bardziej słyszalny i zmienia rynek pracy. Różnorodność i inkluzywność optacają się w biznesie – co widać na przykładzie KRUK SA, jednej z największych europejskich firm na rynku zarządzania wierzytelnościami. Na koniec minionego roku 2025 w całej Grupie KRUK kobiety stanowiły 65% wszystkich zatrudnionych osób, a co ważne aż 57% stanowisk w top managemencie zajmują w naszej organizacji kobiety.

Windykatorka to zawód wymagający empatii, komunikatywności i umiejętności budowania relacji – kompetencji, które często są przypisywane kobietom, choć nie wynikają z płci, lecz z indywidualnych predyspozycji. W KRUKu te cechy są doceniane, a ścieżki rozwoju są dostępne dla wszystkich na równych zasadach. Liczą się kompetencje, doświadczenie i chęć rozwoju.

Firma podkreśla, że skorygowana luka płacowa zmierzona na koniec 2025 roku w Grupie KRUK – z uwzględnieniem różnicy w zarobkach kobiet i mężczyzn wykonujących taką samą pracę –

wyniosła zaledwie 0,1%, podczas gdy średnia krajowa według GUS sięga około 4,1%.

W kwestii inkluzywności płciowej polscy pracodawcy mają sporo do nadrobienia. Jak wskazują badania „Kobiety w biznesie” realizowane na zlecenie KRUKa, Polki wciąż mierzą się z różnymi barierami. Często są wobec siebie bardziej surowe niż mężczyźni, co widać już na etapie rekrutacji. Bardzo dużo od siebie wymagają, odczuwają presję i przeciążenie obowiązkami. Dlatego tak ważne jest budowanie role models i wzajemne wsparcie, które pozwala przełamywać stereotypy i wzmacniać poczucie własnej wartości.

Po 5. edycji badania Diversity IN Check KRUK SA znalazła się w gronie firm najbardziej zaawansowanych w zarządzaniu różnorodnością i inkluzywnością według Forum Odpowiedzialnego Biznesu. Za inkluzywną kulturę organizacyjną spółka została także wyróżniona przez 30% Club Poland.



• **Jolanta Dąbrowska (w środku):** – Gdybym miała radzić młodszym kobietom, to właśnie, aby miały odwagę iść własną drogą. FOT. KRZYSZTOF ZATYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jolanta Dąbrowska, dyrektorka ds. HR w KRUK S.A.:

Kobiety wnoszą do biznesu dużo empatii i ciepła

Bardzo cieszy mnie, że po latach nacisków na dziewczyny i kobiety, że mają dążyć do doskonałości, coraz więcej mówi się o tym, iż nie trzeba być ideałem. Ważne, aby być sobą, czuć się dobrze z własnym ciałem, emocjami – mówi Jolanta Dąbrowska.

AGNIESZKA URAZIŃSKA: Porozmawiamy o zmianach?

JOLANTA DĄBROWSKA: Z moich obserwacji wynika, że kiedyś kobiety wchodziły w świat bardziej niepewne, co w dużej mierze wynikało z wychowania. Wmawiano im od dziecka, co powinny. Na przykład, że „w pewnym wieku kobieta musi wyjść za mąż”, „w pewnym wieku powinna urodzić

dziecko”. W tym określaniu scenariuszy na życie znacząco zamykały się możliwości. Czasy się zmieniały, ale „musisz” zostało.

Ja od dziecka słyszałam „ty musisz iść na studia, kobieta bez studiów nie jest nic warta”. W mojej rodzinie wcześniej tylko pojedyncze osoby miały wyższe wykształcenie, to byli głównie mężczyźni. Dziadkowie bardzo ciężko pracowali fizycznie. Rodzice chcieli dla mnie czegoś lepszego. Nawet nie zakładałam, że można inaczej. Intencje rodziców były dobre. Jestem zadowolona z mojej drogi zawodowej. Ale mam też świadomość, że gdybym dziś miała 20 lat, to nie musiałybym iść na studia, tylko bym mogła.

To znacząca różnica.

– Zmian jest więcej. Na przykład, gdy w połowie lat 90-tych wybierałam kierunek studiów, panowało przekonanie, że politechniki są dla mężczyzn, a kobiety sprawdzają się w dziedzinach uznawanych za lżejsze – może w socjologii, psychologii, na jakiejś filologii. Ja skończyłam politologię, już na studiach pracowałam i zaczęłam dotykać tematów human resources. Szybko doszłam do wniosku, że chcę zrobić dodatkowe kursy, studia podyplomowe, żeby rozwijać się w tym kierunku.

Co słyszałaś?

– Tata pytał: „po co ci to?”. Przecież spełniałam podstawowy obowiązek – skończyłam studia. Ale miałam odwagę, żeby postawić na swoim, robić to, w co wierzę. Bardzo jestem dziś z tego zadowolona i gdybym miała radzić młodszym kobietom, to właśnie to, by miały odwagę iść własną drogą. Kobiety mają coraz więcej możliwości, ale czasem brakuje im determinacji, by realizować swoje potrzeby.

Jakie kobiety widzisz ze swojej pozycji?

– Coraz częściej są bardzo świadome swoich mocnych stron, znające swoją wartość. Ale także te, którym brakuje pewności, mają niską samoocenę. Wyraźnie widać, jak duży wpływ ma na nas to, w jakim domu zostałyśmy wychowane, jaki wpływ wywierało na nas najbliższe otoczenie, także związane z edukacją.

Mocno wpływa na nas także to, do jakiej firmy trafiamy, a dojrzałość organizacji jest na różnym poziomie. U nas kultura organizacji opiera się na dawaniu pracownikom równych szans i możliwości samorealizacji. Widzę więc kobiety na wysokich menedżerskich stanowiskach, pełniących odpowiedzialne role. Kobiety wnoszą do biznesu dużo empatii i ciepła. To niezwykle ważne w pracy, bo dbanie o dobrą atmosferę, dostrzeganie ludzi w ludziach i nieskupianie się wyłącznie na zadaniach i liczbach stanowi dużą wartość, dobrze wpływa na organizację.

Skąd w niektórych ta niska samoocena, o której wspomniałaś?

– Może wynikać z tego „musisz”, które kobiety słyszą od dziecka, a w związku z tym stają się bardzo wymagające wobec samych siebie. Potwierdzają to badania. Pamiętam, że czytałam w „Harvard Business Review”, jak drobiazgowo kobieta analizuje swoją aplikację przed wysłaniem do potencjalnego pracodawcy. Musi mieć pewność, że spełnia wszystkie albo prawie wszystkie wymagania na stanowisko, na które aplikuje.

Mężczyzna najczęściej takiej pewności nie potrzebuje. Badani, gdy już spełniali połowę wymaganych warunków, zdecydowali się aplikować o posadę. Jakby nie mieli wewnętrznego krytyka, który mówi im, że są niewystarczający.

Coś się z tym da zrobić?

– To pewnie praca pokoleniowa – dla rodziców i dla edukacji – żeby wzmacniać samoocenę dziewcząt. Ale to także zadanie dla pracodawców. Bardzo ważny jest pozytywny przekaz dla pracownika, wzmacniający feedback. W wielu firmach wciąż nie jest to powszechnie stosowane narzędzie. Może to wynika z nawyków, w Polsce sporo się narzeka, nie jesteśmy uczeni, jak chwalić innych, nieczęsto słyszymy pochwały.

To nie narzekajmy. Powiedzmy coś dobrego.

– Zmienia się rynek pracy i warto to docenić. Moje pierwsze zawodowe doświadczenia przypadły na okres, gdy poziom bezrobocia był bardzo wysoki, na rekrutację przychodziły tłumy kandydatów, którzy wręcz mijali się w drzwiach. Teraz, gdy bezrobocie jest niższe, pracodawcy z większą uważnością podchodzą do oczekiwań pracowników. Wszyscy mamy więcej możliwości, a wciąż chodzi o odwagę, by z nich skorzystać. Czasem nie trzeba zmieniać rzeczywistości, tylko przekonanie w sobie. Dorastamy do zmian. Wciąż wiele kobiet z powodu macierzyństwa decyduje się odkładać karierę na później. A przepisy dają więcej możliwości niż jeszcze kilkanaście lat temu, bo wydłużył się czas urlopu macierzyńskiego i wzrosły możliwości, aby kobieta mogła współdzielić czas wychowania dziecka z partnerem, który przejmuje część urlopu i włącza się w opiekę nad dzieckiem.

Widzę w u nas w firmie, że coraz częściej kobiety z takiej możliwości korzystają. My kobiety, nie musimy rezygnować z kariery, poświęcać się, wpisywać w stereotyp. Te czasy mijają, coraz więcej z nas ma odwagę i wsparcie w najbliższym otoczeniu, nie odkładamy kariery na później, dajemy sobie szansę.

Bardzo cieszy mnie też, że po latach nacisków na dziewczyny i kobiety, że mają dążyć do doskonałości, coraz więcej mówi się o tym, że nie trzeba być ideałem. Ważne, aby być sobą, czuć się dobrze z własnym ciałem, emocjami. To niezwykle cenny fundament, na tym powinniśmy budować nasz świat, a w tedy będzie on z pewnością będzie coraz lepszy dla kobiet. ●

Rozmawiała **Agnieszka Urazińska**

Rynek pracy

Kobiety są świetnymi windykatorami

Salach

Gdy w 2016 roku budowaliśmy oddział naszej firmy w Pile, szukałam ciekawostek, aby przedstawić firmę w regionie, opowiedzieć o jej działaniu. Sprawdziłam, jak kształtuje się u nas zatrudnienie pod względem płci. Już wtedy 60 procent pracowników to były kobiety, co mnie pozytywnie zaskoczyło. Przecież doradca terenowy – windykator – kojarzy się raczej z silnym, postawnym mężczyzną, prawda? A jednak kobiety wspaniale sobie radzą w tym zawodzie. Z najnowszego raportu zrównoważonego rozwoju wynika, że ta tendencja nawet się pogłębia – kobiet w firmie jest już ponad 65 procent.

Pamiętam, gdy zaczęłam się interesować kobietami na rynku pracy. To było jakąś dekadę temu, gdy zmieniły się przepisy i firmy były zobowiązane do przygotowywania raportów niefinansowych, a wśród tych danych pojawiały się między innymi wskaźniki HR-owe, dotyczące choćby różnych danych dotyczących zatrudnienia – w podziale na płeć, wiek, obejmowane stanowiska.

Zacząłam też obserwować rynek pracy, otoczenie biznesowe. Pojawiało się coraz więcej danych, raportów dotyczących rozwoju zawodowego kobiet, tego, jak ważny wpływ mają na rozwój firm i ich wyniki. Ogólnie kobiet w firmach przybywa, ale same mocno się nie doceniają. Często już na etapie rekrutacji widać, że kobiety są perfekcjonistkami i są względem siebie bardzo krytyczne. Zanim złożą aplikację, długo zastanawiają się, czy spełniają wszystkie wymagania. Mężczyźni nie mają z tym aż tak dużego problemu.

Warto też zauważyć, że częściej kobiety są wielozadaniowe, bo chcą sprostać stawianym im oczekiwaniom, a nawet je przekraczać, żeby być docenionymi. I chociaż ten trend się powoli zmienia, to nadal częściej panie niż panowie są społecznie zobligowane do tego, żeby zajmować się dziećmi, domowymi obowiązkami, bliskimi osobami starszymi, niesamodzielnymi.

W 2016 roku chcieliśmy zainteresować opinię publiczną tym, jak radzą sobie w pracy windykatorki z naszej firmy. Ale wtedy, te dziesięć lat temu, media, do których docierałam z tą informacją, nie były zainteresowane taką tematyką.

A ja z dużym podziwem obserwuję, jak dobrze nasze doradczynie terenowe radzą sobie ze swoimi zadaniami. Z pewnością ich wielkim atutem jest empatia. Ludzie, do których docieramy, nasi klienci, mają nie tylko problemy finansowe, ale często potrzebują po prostu życzliwej rozmowy. Dotyczy to zwłaszcza osób starszych, które popadają w dług. Umiejętności słuchania, wyjaśnienia pewnych spraw, edukacji, czasem po prostu pocieszenia, to bardzo istotne kompetencje. Kobiety sprawdzają się tu doskonale.

Z satysfakcją obserwuję, jak wzrasta zainteresowanie sytuacją kobiet na rynku pracy. Coraz głośniej słychać głos kobiet, które rozprawiają się ze szklanymi sufitami i dysproporcjami w płacach. Jest jeszcze wiele do zrobienia w tej materii, ale właśnie rozmowy o tym podnoszą świadomość, dodają odwagi i coraz łatwiej nam, kobietom, przychodzi upominanie się o swoje prawa. ●



Agnieszka Salach,

kierowniczka działu Public Relations i rzeczniczka prasowa w KRUK S.A.

Aleksandra Krzeszewska, wiceprezydentka Legnicy:

Władza nie jest zarezerwowana dla mężczyzn



• **Aleksandra Krzeszewska jest najmłodszą w historii Legnicy radną Rady Miejskiej**

FOT. KRZYSZTOF ZATYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Młode dziewczyny w social mediach powinny widzieć kobiety w ważnych miejscach, które podejmują kluczowe decyzje. Z takim obrazem powinny planować swoją przyszłość i iść w świat – mówi Aleksandra Krzeszewska.

AGNIESZKA URAZIŃSKA: Gdzie są kobiety w samorządzie?

ALEKSANDRA KRZESZEWSKA*: Na najniższych poziomach samorządów jest ich bardzo dużo, ale im wyżej, tym kobiet mniej. Na Dolnym Śląsku są tylko cztery wiceprezydentki. Najsilniejsza reprezentacja kobiet jest w gminach, które rozwijają się szybko, dynamicznie, mają nowego albo postępowego prezydenta. Czasami brakuje osób, które potrafią dmuchnąć kobietom w skrzydła, żeby mogły lecieć wysoko. A szkoda, bo kobiety są wspaniałe.

Skąd czerpiemy siłę?

– Od najbliższych, już w najmłodszych dzieciństwie. Ale także jako dorosłe wracamy do domu i to właśnie z bliskimi rozmawiamy o tym, co nam się w pracy przydarza, szukamy wsparcia i rad. To ogromna wartość. Ci, którzy w nas wierzą, sprawiają, że same zaczynamy ufać w swoją siłę, w to, że poradzimy sobie z każdą trudnością.

To wspaniale, że coraz rzadziej dziewczęta słyszą w swoich domach, że mają być uprzejme i empatyczne, a silni i ambitni są chłopcy. A przecież to my mamy zdobywać szczyty. Ważne jest też środowisko pracy. Jeśli sprzyja rozwojowi, nie trzeba

zużywać sił na przezwyciężanie trudności, tylko na właściwe działanie.

Na samorządowych posiedzeniach, na zdjęciach z oficjalnych uroczystości, wciąż dominują męskie garnitury.

– Najwyższy czas, by to się zmieniło. Przestrzenie związane z władzą, choćby w samorządzie, nie są zarezerwowane tylko dla mężczyzn. Bywa, że na konwencie starostów, spotkaniach wójtów czy burmistrzów wśród kilkudziesięciu uczestników są dwie kobiety. Tak to wygląda na zdjęciach, ale na szczęście powoli się zmienia. I bardzo dobrze. Młode dziewczyny w social mediach powinny widzieć kobiety w ważnych miejscach, podejmujące kluczowe decyzje. Z takim obrazem powinny iść w świat i z tym obrazem powinny planować swoją przyszłość.

Jak pani się odnajduje w samorządzie?

– Mam 158 wzrostu i 28 lat. Nie jestem wysokim mężczyzną „po czterdziestce”, więc jest zdecydowanie ciężiej. Zaczęło się już w 2018 roku, kiedy zostałam najmłodszą w historii Legnicy radną Rady Miejskiej i poczułam sprawczość. Chciałam i umiałam komunikować kwestie związane z miastem tak, aby trafiły do ówczesnego prezydenta Legnicy i jego współpracowników. Uznałam, że jest wiele tematów oczekiwanych przez mieszkańców, na które mogę mieć wpływ.

W 2023 roku byłam kandydatką w wyborach parlamentarnych. Kampania pokazała, że to jeszcze nie był mój moment, choć osiągnęłam naprawdę dobry wynik

– ponad 7,5 tysiąca głosów. A w 2024 roku zostałam szefową kampanii prezydenckiej Macieja Kupaja, aktualnego prezydenta Legnicy. Podczas kampanii wyborczej padła deklaracja, że będę jego zastępczynią i po wybranych wyborach – zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią – zostałam wiceprezydentką Legnicy.

Żadnej taryfy ulgowej?

– Nie. Tu płeć nie ma znaczenia. Liczy się zaangażowanie, dobra współpraca z ludźmi, znajomość aktów prawnych i intensywna praca, często od rana do nocy. Po dwóch latach na ulicach miasta już widać efekty naszej pracy. Słysząc to w opiniach mieszkańców.

Po co kobiety w polityce?

– Właśnie dlatego, że są ambitne, że im się chce i jeżeli czegoś „się nie da zrobić”, to wystarczy dać to kobiecie. Ona pokaże jak to się robi. ●

Rozmawiała **Agnieszka Urazińska**

*Aleksandra Krzeszewska

• jest wiceprezydentką Legnicy (KO). Jej kariera polityczna rozpoczęła się w 2018 roku, kiedy została radną Legnicy. Jest prawniczką i angażuje się w sprawy lokalne, wspiera młodzież, kobiety, osoby z niepełnosprawnościami oraz osoby wykluczone społecznie. ●

Problemy dyskryminacji kobiet

Między postępem a nierównością

Kobiety – choć lepiej wykształcone – rzadziej piastują stanowiska menedżerskie, a jeśli już, to zarabiają mniej niż mężczyźni, a różnica dochodzi do 20 proc. Uważa się także, że mężczyźni lepiej negocjują swoje warunki płacowe.

Katarzyna Piwowar-Sulej

Zrozumienie roli kobiet na rynku pracy jest kluczowe dla społeczeństwa, ponieważ ich aktywność zawodowa zwiększa zasoby pracy, innowacyjność i produktywność gospodarki, a różnorodność sprzyja lepszym decyzjom i kreatywności. W kontekście starzejącego się społeczeństwa znaczenie to dodatkowo rośnie, gdyż kobiety żyją dłużej niż mężczyźni. Jednocześnie temat dyskryminacji kobiet regularnie powraca w debacie publicznej. Z perspektywy naukowej szczególnie istotne są badania ekonomistki Claudii Goldin docenione w 2023 roku Nagrodą Nobla, które – mimo że obejmują ostatnie 200 lat – pozostają inspirujące dla współczesnej dyskusji.

Transparentność wynagrodzeń

Na przykład, aktualnym „hot topic” jest konieczność wdrożenia w Polsce kolejnych zapisów Dyrektywy UE 2023/970 dotyczącej transparentności wynagrodzeń. W tym kontekście przywoływane są dane na temat luki płacowej, która w Polsce (według różnych źródeł) wynosi między 4 a 8 proc. Co ciekawe, Goldin pokazała, że w XIX wieku, kiedy kobiety podejmowały tę samą pracę co mężczyźni, na przykład w przemyśle, tyle samo też zarabiała.

Różnice płacowe przysły wraz z rozwojem usług. Powszechnie uważa się, że aktualnej luce płacowej sprzyjają takie zjawiska jak segregacja pozioma, czyli koncentracja kobiet w niskopłatnych branżach (w usługach takich jak choćby edukacja czy opieka) oraz pionowa, utożsamiana z mniejszym udziałem kobiet na wyższych



• **Katarzyna Piwowar-Sulej: – Kobiety – choć lepiej wykształcone – rzadziej piastują stanowiska menedżerskie**

FOT. KRZYSZTOF ZATYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

szczeblach zarządzania. Najczęściej – tak jak wyżej – przywoływana jest tzw. luka nieskorygowana, a „diabeł tkwi w szczygółach”. Kobiety – choć lepiej wykształcone – rzadziej piastują stanowiska menedżerskie, a jeśli już, to zarabiają mniej niż mężczyźni, przy czym różnica dochodzi do 20 proc. Uważa się także, że mężczyźni lepiej negocjują swoje warunki płacowe.

Asymetryczny podział obowiązków opiekuńczych

Innym tematem jest problem aktywności zawodowej kobiet w Polsce, która wprawdzie rośnie, jest jednak nadal niższa niż średnia unijna. Problem ten wynika głównie z modelu asymetrycznego podziału obowiązków opiekuńczych w rodzinach. Powyższe jest odzwierciedlone w liczbach. Badania budżetu czasu z 2013 roku pokazują, że kobiety w wieku 25-60 lat średnio około 30 godzin tygodniowo poświęcają na nieodpłatną pracę w domu. Natomiast największe różnice wskaźników zatrud-

nienia między kobietami i mężczyznami obserwowane są wśród osób w wieku 20-39 lat – a więc w okresie, kiedy kobiety poświęcają czas na opiekę nad dziećmi.

W tym kontekście Goldin zauważyła, że kobiety decydujące się na macierzyństwo wyraźnie traciły na wynagrodzeniu nawet w perspektywie 10 lat od urodzenia dziecka. Z badań noblistki ponadto wynika, że rozwój przemysłu utrudnił pracę wielu kobietom, bo praca w fabryce wiązała się z opuszczeniem domu na cały dzień, przy jednocześnie funkcjonujących licznych obowiązkach domowych. Aktualna tendencja powrotu do pracy w biurze w pełni wpisuje się w barierę zatrudnienia kobiet z czasów pierwszej rewolucji przemysłowej!

W tym miejscu warto także zauważyć, że asymetryczny model obowiązków dotyczy także opieki nad starszymi (w tym rodzicami). Różnice wskaźników zatrudnienia między kobietami i mężczyznami dotyczące wieku okołoemerytalnego spowodowane są stanem zdrowia, niepełnosprawnościami, wspomnianymi obowiązkami opiekuńczymi. Istotne są także korzystanie z emerytur i rent, w tym niższy wiek emerytalny kobiet niż mężczyzn.

Można powiedzieć, że „starość jest ubogą kobietą”, gdyż niższe wynagrodzenia, przerwy w zatrudnieniu i szybsze przechodzenie na emeryturę prowadzą do niższych świadczeń emerytalnych kobiet. Dlatego realna równość na rynku pracy nie jest już tylko kwestią sprawiedliwości, lecz koniecznością dla stabilności gospodarki i przyszłości społeczeństwa. ●

*Prof. dr hab. Katarzyna Piwowar-Sulej

• pracuje w Katedrze Pracy, Kapitału i Innowacji Wydziału Zarządzania Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu. ●

Olga Nowakowska, dyrektor Strefy Kultury Wrocław:

Kobiety stały się odważniejsze

Coraz więcej kobiet odważa się powiedzieć: „Halo, dlaczego mam mieć gorszą pensję niż kolega?” – mówi Olga Nowakowska.

AGNIESZKA URAZIŃSKA: Kultura jest kobietą?

OLGA NOWAKOWSKA: Zdecydowanie. I to nie tylko z nazwy. Wiele jest wspaniałych kobiet, które tworzą kulturę i wspaniałe nią zarządzają. Jednak w wielu aspektach wciąż jest to męski świat. W przypadku bardzo dużych wydarzeń artystycznych najczęściej producentami są mężczyźni, firmy związane z kulturą też zarządzane są często przez mężczyzn i oni dominują w części obszaru muzycznego. Choć wśród wykonawców estradowych wiele jest kobiet, to gdyby popatrzeć na muzyków w składach zespołów – tam są zazwyczaj mężczyźni, nawet jeśli liderką jest kobieta. Z moich obserwacji wynika także, że choćby jazz czy techno to obszary, w których mężczyzn jest bardzo wielu. Widzę też, że to się zmienia. Powoli, ale się zmienia.

Rozmawiałam niedawno z Małgorzatą Potocką, aktorką, producentką, która pełniła przez lata funkcję dyrektora teatru. Podkreślała, jak nie podoba jej się, że pensje aktorek wciąż często bywają niższe niż pensje aktorów za tę samą pracę.

– Też byłam dyrektorem teatru i bardzo dbałam o to, żeby była zachowywana równość, nie tylko jako parytet w ilości mężczyzn i kobiet na scenie oraz w zespole aktorskim, ale także w kwestii wynagrodzeń. Faktem jest, że wciąż pokutuje w instytucjach kultury przeświadczenie, że mężczyźni zarabiają lepiej i rzeczywistość to się, niestety, zdarza, ale tu też sytuacja się zmienia. Jako dyrektor instytucji kultury dbam, by pracownicy na podobnych stanowiskach i wykonujący podobne zadania mieli sprawiedliwe wynagrodzenie. Bez względu na płeć czy wiek profesjonaliści na równym poziomie zarabiają tyle samo. Nie wyobrażam sobie, żeby



• **Dyrektor Strefy Kultury Wrocław Olga Nowakowska** FOT. MATERIAŁY PRASOWE

odtwórczyni głównych ról – a tych jest dla kobiet w teatrze wiele – zarabiały mniej od mężczyzn grających główne role.

Niektórym wydaje się, że w pewnych obszarach kultury takie dysproporcje są w porządku, bo tak było przez lata. Na szczęście jednak o takiej tendencji coraz częściej mówi się krytycznie. I coraz częściej kobiety upominają się o sprawiedliwość. Coraz więcej odważa się powiedzieć: „Halo, dlaczego mam mieć gorszą pensję niż kolega?”. Walczymy i zmusiliśmy decydentów, aby zauważyli dysproporcje i uznali naszą rację.

Czyli musimy walczyć, musimy zmuszać, a po dobroci się nie da.

– Dopóki pracownik nie domaga się wyższego wynagrodzenia, poszanowania praw, jakichś zmian dla siebie, to szef może uznać, że on tego nie potrzebuje. Sama spotykałam się z tym przez lata, bo różnych miewałam szefów. I nie raz ci szefowie – panowie – stosowali nawet pewien rodzaj psychicznej przemocy. Gdy mówiłam, że powinienam zarabiać więcej, bo kolega na takim samym stanowisku i z podobnymi osiągnięciami ma wyższą pensję, słyszałam, że jestem zbyt emocjonalna, albo że coś mi się wydaje, że źle postrzegam rzeczywistość.

Teraz do pani przychodzą pracownicy po podwyżkę.

– I nigdy nie usłyszą, że są zbyt emocjonalni, albo że „coś im się wydaje”. Lubię nagradzać. Doceniam mój zespół, który jest superprofesjonalny. Staram się zachować parytety i nie kierować uprzedzeniami. U mnie w zespole technicznym są też kobiety. W zespole do spraw promocji, choć większość stanowią kobiety, zatrudniamy też mężczyzn. Mężczyźni pracowali także w księgowości, tradycyjnie zdominowanej przez panie. Pracowników wynagradzam za pracę i efekty – niezależnie od tego, jakiej są płci, czy w jakim są wieku.

Kobiety stają się pewniejsze siebie?

– Zdecydowanie. Dobrze pamiętam siebie sprzed ćwierć wieku – jaki miałam w sobie niepokój, ile strachu przed rozmową z szefem. A teraz widzę przychodzące do mnie pracownice – i te młode, i te dojrzałe – które rzeczowo i spokojnie mówią o swoich potrzebach, prawach, oczekiwaniach. O pieniądzach też nauczyły się mówić i o nie upominać. Nie mam poczucia, że pracownicy są sparaliżowani rozmową ze mną, tak jak ja przed laty przed moimi szefami. Mam zasadę, że rozmawiać można o wszystkim, każdy może przyjść do mnie ze wszystkim, a jeśli będę mogła sprawę rozwiązać po myśli pracownika, na pewno tak zrobię. I ta zmiana w kobietach to nie tylko moja obserwacja, że kobiety stały się odważniejsze i głośniejsze mówią o swoich prawach.

Skąd ta zmiana?

– To pewnie kwestia wychowania młodszych pokoleń. Ale starsze też uczą się mówić pewniejszym głosem. Też się tego z czasem uczyłam. I muszę przyznać, że duża tu zasługa młodych – od tych dziewczyn wiele możemy się nauczyć. Warto otaczać się młodymi, bo wiele możemy sobie nawzajem dać.

Czy prowadzenie instytucji przez kobietę dyrektora jest inne niż gdyby robił to mężczyzna?

– Gdy obserwuję przedstawicieli obu płci na kierowniczych stanowiskach, widzę że są cechy typowe dla kobiet, które bardzo nam pomagają. Zwraca uwagę koncyliacyjna natura kobiet – my dążymy do rozwiązań i kompromisów, podczas gdy mężczyźni z natury są nieco bardziej konfrontacyjni. Chcą zaznaczyć swoją obecność, władzę, podkreślić, że ich decyzja jest nieodwołalna. To nie znaczy, że kobiety nie są stanowcze. Ja jestem. Łatwiej

nas jednak przekonać do dyskusji. Zmiana zdania nie jest dla nas tak dużym problemem, jak dla panów.

Czy program Strefy Kultury Wrocław odzwierciedla kobietą perspektywę?

– Na pewno w kontekście poszanowania potrzeb innych. Bo dokładam starań, żeby absolutnie każdy czuł się u nas mile widzianym gościem. Tworzymy program dla szerokiej publiczności – dla kobiet i mężczyzn, dla dzieci, młodzieży, dorosłych, także dla seniorów. Chodzi o to, by każdy znalazł w programie coś dla siebie. A, co ciekawe, nasza duma – WROsound, festiwal muzyki łączący jazz, hip hop, muzykę elektroniczną i alternatywną, którego dyrektorem artystycznym jest – uwaga – mężczyzna, tak bardzo przemawia do wrażliwości kobiet. Kuba Więcek to młody człowiek, jest jazzmanem, lubi eksperymentować z innymi rodzajami muzyki. Do współpracy przy WROsound zaprasza wspaniałe artystki, na przykład Alice Phoebe Lou, niezwykłą wokalistkę z RPA czy charyzmatyczną Darię ze Śląska.

Cały program festiwalu jest naznaczony dużą wrażliwością, empatią, ktoś mógłby nazwać go kobiecym. I okazuje się, że młodzi ludzie obu płci są tym zachwyceń – właśnie taka estetyka do nich przemawia, w takich dźwiękach i w takiej atmosferze czują się swobodnie i miło. 17 i 18 lipca odbędzie się kolejna, siedemnasta już edycja WROsound – w centrum Wrocławia, na zielonym terenie przed Impartem. Jestem pewna, że znów zachwyci publiczność.

Z czego Strefa Kultury Wrocław jest szczególnie dumna?

– Nie można się przy nas nudzić, wciąż dzieje się u nas wiele ważnych wydarzeń. Mamy dwie sceny – jedna to Impart Centrum przy ul. Piłsudskiego, druga to Klub Firlej przy ul. Grabczyńskiej – za to atrakcji masa. Gościmy artystów i artystki z Polski i zagranicy, organizujemy mniejsze i większe koncerty różnych gatunków muzyki, także z udziałem orkiestr. Mamy w sumie sześć festiwali – cztery muzyczne, dwa teatralne. Strefa Kultury Wrocław to strefa dla wszystkich – od miłośników teatru po wielbicieli muzyki. Dla fanów ciężkich i delikatnych brzmień. Przygotowujemy wydarzenia pod hasłem Ladies First, z udziałem kobiet-artystek, ale także Męską Stronę Piosenki, do udziału w której zapraszamy męskie głosy. Dzieje się bardzo dużo, skutecznie przyciągamy nie tylko wrocławian, ale także gości z całego kraju i zagranicy. ●

Równy status kobiet i mężczyzn

Zmierzamy w dobrą stronę

Wiktorska-Święcka

Przez lata aktywnie upowszechniałam tematykę równego statusu kobiet i mężczyzn – myślę o moich publikacjach, wystąpieniach medialnych. W 2011 roku otrzymałam za tę działalność tytuł Najbardziej Wpływowej Kobiety Dolnego Śląska. Prowadziłam wtedy badania ilościowe i jakościowe dotyczące płci.

Od tego czasu minęły lata, a ja przyglądam się tej sferze na nowo, z dystansem poznawczym. Zauważyłam, że istotne są dwie rzeczy. Po pierwsze, temat płci wszedł do mainstreamu. Kiedyś ludzie się dziwili, gdy go poruszano, niektórzy uważali, że nie wypada, a kwestia obecności kobiet w strefie publicznej, uważana była za domenę wojujących feministek. Teraz oczywistym jest, że o równości płci mówić trzeba. Druga istotna sprawa to powracające pytanie: czy o taki status kobiet i mężczyzn zabiegałam? Nie. Wciąż nie wszystkie tematy związane z równością zostały wysłuchane i zabezpieczone. Taką refleksję miałam, gdy przysłuchiwałam się uczestniczkom naszego Kolegium Kobiet, mówiącym np. o obecności kobiet w ciałach decyzyjnych na uczelni czy w biznesie. Panie, które odniosły sukces, to jaskółki. Jest ich coraz więcej, ale one jeszcze nie czynią wiosny.

Cieszymy się, że jeśli chodzi o lukę płacową, jesteśmy powyżej średniej unijnej, ale gdy przyjrzymy się w obszarom dużych przedsiębiorstw, w spółkach skarbu państwa czy na wysokich stanowiskach menadżerskich, równości nie ma. Tak wskazują badania jakościowe, bo w zrobieniu ilościowych przeszkadza brak jawności płac w wielu miejscach. Wydaje się, że zmierzamy w dobrą stronę, postulując, byśmy się nie zatrzymywali.

Warto się przyjrzeć sfeminizowanym obszarom, jak opieka zdrowotna, pomoc społeczna czy edukacja – jeśli mamy mówić o równości płci, nie sposób zauważyć, że tu mężczyźni jest za mało.

Wydawało mi się, że zmiany będą szybkie – zważywszy na szybki rozwój gospodarczy i cywilizacyjny. Jednak zmiany w obszarze równości płci wymagają zmiany świadomościowych i kulturowych, nie jestem zadowolona z ich tempa.

Pozytywne jest, że gdy mówimy o zarządzaniu różnorodnością, nie koncentrujemy się tylko na płci, jak dwie dekady temu, gdy wprowadzaliśmy ten termin. Płeć jest oswojona, teraz wprowadzamy do dyskursu także różnice światopoglądowe, kulturowe, wiekowe. Dopiero wtedy można mówić o różnorodności. ●



***Prof. Aldona Wiktorska-Święcka** jest kierowniczką Zakładu Zarządzania Publicznego i Administracji Instytutu Studiów Europejskich na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Wrocławskiego

Inny sposób myślenia o świecie

Wierzę w naturalną siłę kobiet

To nieprawda, że dziewczyny są gorsze z matematyki. Radzą sobie tak, jak koledzy.

Karolina Jaklewicz

Jestem zadowolona z tego, że jestem kobietą. Mimo, że przez tysiące lat kobiety miały gorzej niż mężczyźni i w dalszym ciągu w wielu obszarach nierówności występują, to pewne aspekty kobiecości są wspaniałe. Dla mnie absolutnie niezwykle jest to, że jestem matką, to dla mnie szczególny stan.

Kobiety są silne, ale to, co jest ich siłą, bywa także słabością, bo łatwo uderzyć kobietę w najwrażliwsze miejsca. Gdy wybuchła wojna w Ukrainie, napisałam esej opublikowany we wrocławskiej „Gazecie Wyborczej”, o tym, że gdy stajesz się matką, uświadamiasz sobie, że rodzisz broń. Gdy stajesz się matką, uświadamiasz sobie, że rodzisz cel. I jest to najdotkliwsza wiedza, jaką zyskujesz, kiedy zostajesz matką. Wojna, której autorami są mężczyźni, jest wynikiem systemu patriarchalnego, który potrafi odebrać kobietom wszystko, co najważniejsze.

W związku z wojną w Ukrainie stworzyłam także wystawę: „Jesteś sarną na ich polowaniu”, która odnosiła się do sytuacji kobiet podczas konfliktów zbrojnych. To nie są nasze wojny, a stajemy się ich ofiarami. Jednym z rodzajów broni, jaką stosują mężczyźni, są gwałty, które dopiero w ostatnich latach zaczęto uważać za zbrodnię wojenną. Kobiety nie dostają medali i odznaczeń za poniesione krzywdy. I z takiego punktu widzenia kobietom wciąż jest trudniej, gorzej.

Inna sprawa, że kobiety doskonale radzą sobie z wszelkimi przeciwnościami i obciążeniami. A tych nie brakuje, bo choć tworząc wystawę „Ojciec odchodzi” o upadku patriarchy, miałam nadzieję, że siła ruchu kobiet i energia, którą wypełnione były ulice, przewycięży przemocowy system, to już widać – w Stanach Zjednoczonych i w Europie, że konserwatywne i nacjonalistyczne wartości wracają. A to nie wróży nic dobrego.

• **Karolina Jaklewicz:**
– W kategorii równego dostępu do nauki, sztuki, kobiety wywalczyły sobie przestrzeń

FOT. KRZYSZTOF ZATYCKI
/ AGENCJA WYBORCZA.PL



Europa zdradziła prawa człowieka nie tracąc przy tym komfortu i samozadowolenia. Na polsko-białoruskiej granicy, gdzie życie straciło 130 osób, a kobiety musiały rodzić lub ronić w lesie, przy coraz mniejszej empatii Europy, której sumienie świetnie poradziło sobie z akceptacją tej sytuacji. Jednak nie wszystko zasypie śnieg.

Wierzę w naturalną siłę kobiet, w ich intuicję. Wraz z naszym cyklem miesięcznym jesteśmy bardzo blisko natury. Macierzyństwo jest fundamentalne, egzystencjalne. Poród i połóg to nie jest przecież abstrakcja.

Cieszę mnie, że w przestrzeni artystycznej i naukowej, która przez lata eksponowała głównie męski punkt widzenia i męskie nazwiska, coraz wyraźniej odnajdujemy kobiety – malarki, rzeźbiarki, architektki, badaczki, naukowczynie. Powstają wspaniałe, inspirujące historie, które dotyczą wszystkich dziedzin życia. W kategorii równego dostępu do nauki, sztuki, kobiety wywalczyły sobie przestrzeń. I to bardzo skutecznie.

Politechnika Wrocławska jest uczelnia techniczną i mogłoby się wydawać, że mężczyźni mają tam lepiej. Fakt, wciąż to więcej chłopaków aplikuje na studia na politechnice, co wynika z wychowania i wciąż funk-

cjonujących w niektórych przestrzeniach stereotypów. To nieprawda, że dziewczyny są gorsze z matematyki. Na wydziale matematyki liczba studentek i studentek zbliża się do równowagi, a na wydziale podstawowych problemów techniki studentek jest więcej. Bywają ofensywne i wycofane, niektóre neuroróżnorodne. I nie ma tu różnicy między płciami. Patriarchat wyrażał się w traktowaniu kobiet, w myśleniu o ich karierach, w dostępie do awansu. Na szczęście szanse się wyrównują, choć wciąż jeszcze bywa, że macierzyństwo wyłącza kobiety na dłuższy czas z życia zawodowego.

Jestem przekonana, że jeśli mamy dojść do pełnej równości, musimy zaważyć o przestrzeni symbolicznej – dbać o wartości ważne dla kobiet, o postaci, które mają na nie wpływ, do których się odnosimy i inspirujemy. Dzięki temu jest szansa na inny sposób myślenia o świecie. Nieprzemocowy. ●

***Karolina Jaklewicz**

• Pełnomocniczka rektora ds. przeciwdziałania dyskryminacji na Politechnice Wrocławskiej. ●

wysokieobcasy

wyborcza

SORAYA AKHLAGHI

Nagrałam swoje życie

– tekst Pauliny Reiter

L'ORÉAL
PARIS

*„W dermatologii najbardziej cenimy
wyniki potwierdzone badaniami
klinicznymi. Dane dotyczące tej formuły
są bardzo konkretne: 8-tygodniowe
badanie na grupie 47 kobiet wykazało,
że regularne stosowanie serum pozwala
cofnąć widoczność zmarszczek o 5 lat.*

*To obrazuje, jak zaawansowana
technologia może realnie wpływać
na strukturę i wygląd dojrzałej skóry”*

dr Ivana Stanković,
dermatolog, ekspertka marki L'Oréal Paris

PODWÓJNA MOC SERUM W JEDNEJ POMPCE

Powstało w wyniku 40 lat badań nad regeneracją skóry. Serum Le Duo od L'Oréal Paris to przełomowe połączenie dwóch potężnych formuł, które redukują aż 10 oznak starzenia skóry*.

Utrata jędrności, elastyczności, coraz głębsze i liczniejsze zmarszczki – obserwowane wraz z wiekiem procesy starzenia to wynik zmian w strukturze skóry. Liczba żywych komórek maleje, a kolagen i elastyna ulegają degradacji szybciej, niż są produkowane. Po 50. roku życia skóra traci nawet 30 proc. kolagenu.

Rewolucja oparta na 40 latach badań nad regeneracją skóry

Aby minimalizować skutki tych zmian, w laboratoriach L'Oréal od 40 lat trwają prace nad biologią skóry. Fundamentem tych prac stała się pionierska technologia Episkin – żywy model ludzkiego naskórka, który pozwala obserwować procesy regeneracji w warunkach laboratoryjnych.

Badania z użyciem Episkin doprowadziły do zaobserwowania, że wraz z wiekiem spada poziom NAD+. To kluczowa cząsteczka energii komórkowej, która pełni znaczącą rolę w funkcjonowaniu tkanek oraz chroni skórę przed stresem oksydacyjnym. Spadek jej poziomu przyczynia się do powstawania zmarszczek, utraty jędrności i gęstości skóry.

Naukowcy z L'Oréal odkryli, że wspieranie NAD+ może pomóc odwracać procesy starzenia się na poziomie komórkowym. To było impulsem do powstania Serum Le Duo.

21 składników aktywnych

W serum zastosowano dwie różne formuły w jednej pompce: fazę kremową i złocistą emulsję. Łączą się one dopiero w momencie aplikacji. To pozwala precyzyjnie zadziałać aż na **10 oznak starzenia skóry** jednocześnie*. Faza kremowa z peptydami pro-kolagenowymi **ujędrnia i redukuje zmarszczki**, a złocista emulsja z unikalnym kompleksem 21 regenerujących składników aktywnych **nawilża, regeneruje i wyrównuje koloryt**. W efekcie Serum Le Duo zapewnia kompleksowe działanie przeciwstarzeniowe.

„Kluczem do młodszego wyglądu cery dojrzałej jest stymulacja kolagenu. W tym preparacie połączono **peptydy pro-kolagenowe** z kompleksem **21 regenerujących składników aktywnych**. Peptydy działają jak sygnał dla skóry do odbudowy jej struktury, natomiast



bogata mieszanka witamin i minerałów zapewnia komórkom optymalne warunki do regeneracji i zachowania vitalności” – mówi dr Ivana Stanković, dermatolog, ekspertka marki L'Oréal Paris.

Nie tylko dla skóry dojrzałej

Serum jest odpowiednie dla każdego rodzaju skóry, także wrażliwej. Za sprawą pompki jest łatwe w aplikacji. Błyskawicznie się rozprzodkazuje i bardzo szybko wchłania. Badanie kliniczne przeprowadzone na 47 kobietach w ciągu 8 tygodni wykazało, że serum **cofa widoczność zmarszczek o 5 lat****. Z kolei z testów instrumentalnych wynika, że znacząco przyspieszają regenerację skóry – jędrność wzrosła aż o 18 proc., a rozświetlenie o 26 proc.***

Serum było testowane dermatologicznie i zostało zatwierdzone przez międzynarodową radę dermatologów L'Oréal Paris. Choć zostało stworzone z myślą o potrzebach skóry dojrzałej, warto sięgać po nie znacznie wcześniej, aby **spowalniać procesy starzenia** jeszcze zanim staną się widoczne.

*Test kliniczny, 47 kobiet, 8 tygodni. Testy instrumentalne, 24 kobiety i 40 kobiet, 24 godziny i 4 godziny. Zredukowanie zmarszczek, nawilżenie, ujędrnienie, wygładzenie, rozświetlenie, odbudowa bariery ochronnej, sprężystość, wygładzenie drobnych linii, wyrównany koloryt, regeneracja. | **Badanie kliniczne, 8 tygodni, 47 kobiet. | ***Testy instrumentalne.

Uśmiech Mony Lisy

**KATARZYNA
PAWŁOWSKA**



Mój pies lubi leżeć na kanapie. Ale ja zabraniam – to jedyne miejsce, gdzie nie może wskakiwać. Co więc robi? Wskakuje na kanapę, gdy tylko zamykam za sobą drzwi wyjściowe. Wiem, bo relacjonują mi to pozostali domownicy. A jeśli zadzwonię do kogoś, kto jest w domu, i Wera usłyszy przez telefon mój głos, zaraz zeskakuje z kanapy.

Każdy, kto ma w swoim otoczeniu jakiegokolwiek zwierzę, wie, że jest świadome tego, co się dzieje wokół niego. Czuje i przeżywa, jest więc podmiotem doznająco-poznającym, jak mówi w tym wydaniu „Wysokich Obcasów” bioetyk prof. Andrzej Elżanowski w rozmowie z Łukaszem Pilipem. Na odwieczne pytanie, czy zwierzę to ktoś czy coś, profesor odpowiada – zdecydowanie ktoś. Dlaczego więc tak bardzo nie chcemy jednak uznać, że kimś jest dzik, sowa, wilk, kura? I dlaczego filozofowie, teologowie i innego rodzaju myśliciele przez wieki odmawiali zwierzętom jakiegokolwiek podmiotowości? Przeczytajcie tę rozmowę, jest fascynująca.

Podobnie jak opowieść Pauliny Reiter o Irance Sorayi Akhlaghi, która przez pięć lat usiłowała uciec z nieprzyjaznego kraju, od męża, który ją bił. Żeby przetrwać, uciekała w sztukę – jak opowiada, gdyby nie rysunki czy rzeźby, już dawno by jej nie było. Teraz film o jej przeżyciach będzie można obejrzeć na festiwalu Millennium Docs Against Gravity. Film nosi tytuł, który nawiązuje do zwierzęcych wątków w tym nu-

merze tygodnika – „Lis i różowy księżyc”. „Lis jest mądrym, sprytnym, wrażliwym zwierzęciem – mówi Soraya. – Potrafi żyć w samotności, zając się sobą, przetrwać. Ja też byłam sama i musiałam stać się lisem”.

Zwierzęta są wielkimi nieobecnyymi w planowaniu przestrzeni miast. Pokazuje to afera z dzikami, która przetacza się teraz przez Warszawę. Nie ma miejsca na dzikie zwierzęta w wielkim mieście, a przynajmniej tak uważają władze stolicy. Ale, jak pisze Natalia Mazur w tekście „Ulubione niedorobione”, nie do końca zagospodarowane miejsca: parki, stare stadiony, brzegi rzek, to miejsca, których wcale nie trzeba dokończyć. Bo właśnie tam wolimy spędzać czas wolny, mówi socjolog Maciej Frąckowiak. – Od zgiełku miasta najchętniej uciekamy tam, gdzie możemy siedzieć w miejscach do tego nieprzeznaczonych, przechodzić przejściami, do których nie prowadzi drogowskaz, zjadać to, co sobie przynieśliśmy, odpinać smyczy psom, jeśli nikomu to nie zagraża.

Pozostawianie przestrzeni niedoprogutowanych jest też, zdaniem eksperta, podejściem głęboko etycznym – jakie mamy prawo, żeby zmuszać ludzi do jednej, bliskiej nam wizji miasta? I, dodam od siebie, jakie mamy prawo do tego, żeby decydować odgórnie, kto ma prawo w tej przestrzeni być, a kto nie?

Zostawmy sobie w życiu więcej niedookreślonego. To się sprawdzi nie tylko w przypadku uśmiechu Mony Lisy... ▲

Katarzyna Pawłowska – zastępczyni redaktorki naczelnej „Wysokich Obcasów”



JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA”

■ **NA OKŁADCE:** Anne Hathaway: Dziś jest kimś zupełnie innym • Katarzyna Zillmann: Weszłam na nowy poziom ■ **TEMAT NUMERU:** • Zwierzęta. Jak je mądrze kochać ■ **POZA TYM:** • Agata Turkot: Nie jestem typem aktywistki • Premierki Irlandii Północnej • Dorota Sumińska za córką Martą Stachowiak • Lily Collins: Tato, wybaczam ci • Paulina Cudna: SOR dla dzikusów ■ **HERSTORIA:** Ruth Asawa, jedna z najbardziej innowacyjnych artystek XX wieku ■ **PSYCHOLOGIA:** • Prawo matki do życia po swoim • Koniec miłości: Kiedy nie ma sensu walczyć o relację • Wirtualny seks: Proteza deficytu czy koło ratunkowe? ■ **ROZWÓJ:** Pułapki terapii • Destrukcyjny wpływ dysleksji

www.wysokieobcasy.pl

f wysokieobcasy

@ wysokieobcasy.pl

✉ listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA
PROWADZĄCA NUMER:
Katarzyna Pawłowska

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska
GRAFICZY:
Katarzyna Trzeczakowska
Marta Rozenbajger
Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Sylvia Sass

PRODUKCYJA:
Dorota Jezerska
INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloń
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
SZEFOWA WYDAŃ
SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTOR BIURA REKLAMY:
Marek Wilk
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Wioletta Napurka
SZEFE PROMOCJI:
Agnieszka Placek

Z-CA SZEFA PROMOCJI:
Katarzyna Stozek
DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szalański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa,
tel. 22 555 43 26
Redakcja nie zwraca tekstów
niezamówionych oraz zastrzega
sobie prawo do ich redagowania
i skracania.
Na stronach 2-3, 15, 27, 28
zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy” nr 17 (1388)
NA OKŁADCE:
SORAYA AKHLAGHI
FOT. KASJA BIELECKA





LIST TYGODNIA

Ty też możesz

Chciałbym napisać coś, co może kogoś zmotywuje, do czegoś zachęci lub przekona. Od prawie 20 lat walczę z niepełnosprawnością.

Wszystko zaczęło się od kontroli u okulisty, czułem się nienajlepiej od dłuższego czasu. Lekarz stwierdził, że mam uszkodzone nerwy wzrokowe. Rezonans wykazał guz w czwartej komorze mózgu. Ponieważ miałem też duży obrzęk mózgu, podjęto decyzję o natychmiastowej i bardzo ryzykownej operacji. Położenie zmiany było na tyle skomplikowane, że dopiero przy trzeciej operacji usunięto ją całkowicie. Potem miałem jeszcze nasświetlania, od tego starciłem włosy na połowie głowy.

20 lat temu miałem bardzo źle umiejscowiony złośliwy guz mózgu.

20 lat temu, na skutek operacji, prawie przestałem widzieć, mówić, ruszać rękami i nogami, miałem ogromny ślinotok, nie mogłem spać i miałem ogromne problemy emocjonalne. W zasadzie straciłem całe dotychczasowe życie: studia prawnicze, górską pasję, wielu znajomych. Przestałem być sobą. Nowe życie to była rehabilitacja, turnusy, szpitale, lekarze.

I chociaż mówi się, że w rehabilitacji mózgu najważniejsze są pierwsze trzy lata, tak naprawdę w moim życiu prawdziwe zmiany zaczęły się dopiero po sześciu latach. Obroniłem się i zostałem magistrem prawa, a potem skończyłem studia podyplomowe i kilka kursów angielskiego.

Jako podopieczny fundacji Poza Horyzonty zacząłem wyjeżdżać w góry i na obozy survivalowe dla osób niepełnosprawnych. Nagle zacząłem poznawać osoby bardzo blisko związane ze wspinaniem i z górami wysokimi. I to właśnie oni zaczęli zabierać mnie w góry i na skały. Równoległe nawiązałem też współpracę z łódzkim urzędem miasta, gdzie zacząłem działać na rzecz równego traktowania osób niepełnosprawnych.

Czasu szkoda, by wspominać tu teraz moją każdą aktywność. Chcę po prostu powiedzieć, że bez względu jak bardzo cię życie doświadczyło, kim jesteś i skąd pochodzisz, zawsze może zdarzyć się coś, co kompletnie odmieni twoje życie. Jestem przekonany, że każdy z nas ma w sobie piękny i nieodkryty potencjał i że przychodzimy na ten świat, żeby świecić.

We wrześniu 2025 zostałem szczęśliwym mężem Olusi.

Kiedyś bałem się różnych rzeczy i ich nie robiłem, a teraz boję się, ale robię! To jest podstawowa różnica między mną kiedyś a mną teraz.

Moja historia jest tylko jedną z wielu, które potwierdzają znana prawdę: Ty też możesz! ▲ Bartosz Michalak

NAGRODY

Autor listu otrzyma zestaw kosmetyków Dermika Imperial, oraz książkę „Łąki kwitnące purpurą” Edyty Świętek, Wydawnictwo Mando



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

OGŁOSZENIE

4 ceramidy

wsparcie dla maksymalnej witalności twojej skóry

- ✓ Intensywne, odczuwalne ujędrnienie.
- ✓ Poprawa napięcia i elastyczności.
- ✓ Widoczna redukcja zmarszczek i zapobieganie powstawaniu nowych.
- ✓ Wsparcie odbudowy bariery hydrolipidowej.

50+ 60+ 70+

dostępne w sklepach



Biedronka

tołpa.®
age vitality



■ KWAS HIALURONOWY ■ FITO KOLAGEN ■ PEPTYDY ■ BAKUCHIOL

Soraya, bohaterka filmu
„Lis i różowy księżyc”

PODRÓŻ SORAYI AKHLAGHI

Zawsze chciałam być jak *lis*

Lis jest mądrym, sprytnym, wrażliwym zwierzęciem, potrafi żyć w samotności, zająć się sobą, przetrwać. Ja też byłam sama i musiałam stać się lisem

TEKST PAULINA REITER

d

Dlaczego uciekała? Żeby dołączyć do matki, która zostawiła ją w Iranie i wyjechała do Austrii, gdy Soraya była dzieckiem. Żeby uciec od męża, który ją regularnie bił. Żeby uciec z kraju, który nie dopuszczał rozwodu. Żeby móc tworzyć sztukę. W poszukiwaniu lepszego życia. Żeby w ogóle przeżyć, bo w Iranie podjęła dwie próby samobójcze, chcąc uwolnić się od życia, którego już nie mogła znieść.

Nasza rozmowa jest trudna. O swoim życiu Soraya Akhlaghi opowiada mi w języku perskim. Często płacze. Wtedy zaczyna też płakać Michał Rezazadeh, tłumacz. Potem tłumaczy mi to, co powiedziała Soraya, na polski. I wtedy ja staram się nie płakać.

ZAGRAĆ W GRĘ

„Zagrać w grę” to idiom, którego używają ludzie, którzy chcą nielegalnie przekroczyć granicę. Soraya grała w grę kilka razy w przeciągu ostatnich pięciu lat. To gra wielopoziomowa; aby dojść do mety, jedziesz busem, idziesz godzinami przez góry, przechodzisz lasy, przepławiasz się przez morze. Wiele z tych prób zostaje udaremnionych przez strażę graniczną, wtedy wracasz na start i zaczynasz grę od nowa.

Soraya wszystkie próby rejestrowała przy pomocy swojego telefonu. Nagrywała też swoje życie w Iranie: jak powstają jej rysunki i rzeźby, jak tańczy, gdy nikt nie patrzy, jakie ślady nosi jej ciało, gdy bije ją mąż, jak jest wykończona pracą sprzątaczką, jak patrzy z dachu swojego budynku na księżyc. Jak patrzy w dół, na patio, na którym mogłoby się rozbić jej zmęczone życiem ciało.

Spotykamy się w Warszawie, gdzie przyjechała z Berlina – a więc nie skoczyła i „wygrała grę”. Do Warszawy przyjechała na sesję fotograficzną, jej twarz wynurzająca się z wody znajduje się na plakacie 23. edycji festiwalu Millennium Docs Against Gravity. Film, który opowiada jej historię, „Lis i różowy księżyc”, wyreżyserował uznany irański reżyser Mehrdad Oskouei. W całości oparł go na materiałach, które telefonem nakręciła Soraya podczas ucieczek i po powrotach do Teheranu. Ta niezwykła współpraca doświadczonego filmowca i młodej artystki, której sztuka jest kolorowa, ale skrywa w sobie mrok, przyniosły im na festiwalu filmowym IDFA w Amsterdamie – najważniejszej imprezie dla dokumentalistów – nagrodę dla najlepszego filmu.

WUJEK MEHRDAD

Soraya zaczęła rejestrować na telefonie swoje życie, gdy miała 16 lat.

– Nie знаłam się w ogóle na robieniu filmów i nie miałam pojęcia, jakie wyzwania się z tym wiąże – mówi Soraya. – Wszystko zaczęło się od tego, że chodziłam na warsztaty rzeźbiarskie w Teheranie do pana Alihana Abdullahiego.

Abdullahi to 60-letni rzeźbiarz, imigrant z Afganistanu, który w Iranie podjął pracę jako dozorca, a rzeźbić zaczął, by dorobić do pensji, z której nie mógł utrzymać rodziny. Do Teheranu przyjechał ponad 30 lat temu, uciekając przed wojną domową w Afganistanie. Rzeźbi w drewnie oraz z masy, która powstaje z opakowań po jajkach. Tej techniki nauczył Sorayę.

– Od dziecka lubiłam rysować i malować. Najbardziej interesowały mnie pejzaże, dobrze wychodziły mi portrety. Gdy malowałam, byłam w swoim świecie, mogłam zapomnieć o rzeczywistości – opowiada Soraya. – Warsztaty pana Alihana odbywały się w piwnicy, siedziałam zawsze w kącie, słuchałam muzyki i robiłam swoje. Do pracowni przychodzili różni ludzie, którzy interesowali się sztuką pana Alihana, chcieli kupić jego rzeźby. Zaglądał tam też od czasu do czasu wujek Mehrdad. Dziś mówię o nim wujek, choć nie jesteśmy spokrewnieni, jednak stał się najbliższą mi osobą.

Mehrdad Oskouei często wpadał do pracowni Abdullahiego, myślał o tym, by nakręcić o nim film. Pewnego razu podszedł do nastolatki, która pracowała w kącie pracowni, usiadł koło niej i obserwował, jak rzeźbi. Dziewczyna była bardzo drobna, a rzeźba wielka, dwumetrowa. Abdullahi zwrócił jego uwagę również na wiszące w pracowni pejzaże, które także wyszły spod ręki młodej artystki. Mehrdad wyciągnął z torby papier i kredki i poprosił, by narysowała coś innego.

– To był pierwszy raz, kiedy narysowałam klauna. Powiedziała mi, że utożsamiam się z tą postacią. Klaun zawsze się uśmiecha, nikogo nie interesuje to, co kryje pod maską – opowiada Soraya. – Mehrdad powiedział, żebym narysowała więcej takich rysunków i żebym nagrywała telefonem, jak powstają, a on je wszystkie kupi. Na początku nagrywałam tylko to, jak rysuję. Dopiero potem zaczęłam dodawać opowieści. Pewnego razu powiedziałam Mehrdadowi, że chciałabym wyjechać z Iranu, dołączyć do mamy, która od sześciu lat mieszkała już wtedy w Austrii. Wiedziałam, że będę musiała przejść granicę nielegalnie, bo nie miałam paszportu. Aby go wyrobić, musiałabym wrócić do Afganistanu, z którego pochodzą moi rodzice i gdzie nigdy nie byłam. Kiedy zdecydowałam się pojechać i wyrobić paszport, władzę przejęli talibowie. Nie było szansy, żebym tam pojechała. Jedynym sposobem, by wyjechać z Iranu, było przejście granicy nielegalnie.

Mehrdad Oskouei poprosił ją, żeby jeśli się zdecyduje, wszystko filmowała, zarejestrowała to, co widzi, czuje i co się z nią dzieje.

ŚMIERĆ OJCA

Soraya pokazuje mi swoje rysunki z klaunami. Przy jednym z nich zatrzymuje się dłużej. Klaun stoi tu obok leżącego na ziemi mężczyzny, z którego oczu, uszu i nosa wypływa krew. To rysunek o śmierci jej ojca.

– Moi rodzice poznali się w Afganistanie, byli w sobie bardzo zakochani, ale ich rodzice nie zgadzali się na ślub. Z Afganistanu uciekli przed talibami i przed swoimi rodzinami, po to, by móc być razem – opowiada Soraya. – Tata był nauczycielem, ale w Iranie sprzątał ulice, a na drugą zmianę pracował na budowie. Zmarł, kiedy miałam pięć lat. Spadł z rusztowa-



W pracowni u Alihana
Abdullahiego Soraya
tworzy nową rzeźbę

Pobita przez męża.
Kadr z filmu nagranego
telefonem

nia, z drugiego piętra, na beton. Zginął na miejscu. W domu nikt mi to tym nie powiedział, nie wiedziałam, co się z nim stało. Ciągłe pytałam, gdzie jest tata, ale nikt mi nie odpowiadał.

Soraya pamięta, że był pogodnym człowiekiem. Pamięta to, jak ją nosił na barana, jak się z nią bawił. I jak wieczorem, wracając z pracy, przynosił do domu kurapatwę, na którą rano, gdy wychodził do pracy, zastawiał pułapkę i którą jedli na kolację.

– Miałam siedem lat, gdy dowiedziałam się, jak umarł. Mieszkałam już wtedy u mojego stryja, pod opiekę którego oddała mnie mama, która jakiś czas po śmierci ojca wyjechała z Teheranu do Karadżu. Miała swoje powody, ale wtedy ich nie znalazłam – opowiada dalej. – W domu stryjka była skrzynka zamknięta na kłódkę. Otworzyłam ją przy pomocy noża. Dopiero nauczyłam się czytać. Pośród papierów znalazłam akt zgonu taty. Tam było napisane, jak umarł i że krew leciała mu z ust, uszu i nosa. Że jego twarz była cała sina. To był najgorzszy dzień mojego życia.

STRYJENKA BIJE

– W domu stryjka było mi bardzo ciężko. Nie czułam, by ktośkolwiek mnie kochał. Stryjenka i jej córki biły mnie. Darły moje obrazki i łamały kredki. Nauczyłam się chować rysunki pod dywanem, żeby ich nie zniszczyły. Telewizja nadawała program Boba Rossa, który uczył, jak malować. Zawsze, gdy chciałam go oglądać, stryjenka wyłączała telewizor lub przełączała na serial. Nie podobało jej się, że rysuję i maluję, mówiła, że brudzę dom i robię bałagan.

Soraya opowiada, że gdy miała 14 lat, stryjek uznał, że wystarczy już nauki, zabrał ją ze szkoły i postanowił wydać za męża. Znalazł jej męża, który miał 16 lat, jego rodzina zapłaciła stryjkowi za odstąpienie Sorayi 10 milionów tomanów. Tłumacz Michał Rezazadeh wyjaśnia mi, że za pannę młodą zwyczajowo trzeba zapłacić shirbahę, dosłownie pieniądze za mleko, którym została wykarmiona. 10 milionów tomanów, realnie licząc, w tamtym czasie to było około 10 tysięcy złotych, stryjkowi opłacano się wydać Sorayę za męża. Tego sa-

mego dnia, gdy Ali przyszedł prosić o rękę i uzgodniono kwotę, chłopak dał jej pierścionek i czador.

– Nawet się ucieszyłam – wspomina Soraya. – Pomyślałam, że z nim będzie mi lepiej. Tydzień po ślubie pobił mnie pierwszy raz, bo za późno mu podałam herbatę. Wtedy się dowiedziałam, że wpadłam z deszczu pod rynnę. Znęcał się nade mną bez powodu, bił mnie regularnie, raz lub dwa razy w tygodniu. Gdy byłam sina, dawał mi maść na siniaki i kazał smarować ciało, zamykał mnie w domu do czasu, aż siniaki zeszyły. Zmuszał mnie do pracy, chciał, żebym przynosiła pieniądze – opiekowałam się dziećmi, byłam też dozorczynią w budynku, w którym mieszkaliśmy. Do pracowni pana Alihana mogłam chodzić dlatego, że sprzedawałam potem rzeźby i rysunki.

Gdy Ali zasypiał, Soraya wymykała się z mieszkania na dach domu, gdzie uczyła się grać na gitarze. Podczas jednej z takich nocy, po tym gdy Ali pobił ją tak mocno, że całe ciało miała w siniakach, pomyślała, że jej życie jest tak bezsensowne, że lepiej, żeby skoczyła z dachu.

– Zadzwoiłam do mamy, żeby się pożegnać. Gdy jeszcze mieszkałam ze stryjkiem, odwiedzała nas czasami, raz na dwa miesiące. Wpadała na jeden dzień; gdy wyjeżdżała, jeszcze bardziej czułam jej nieobecność. Potem wyszła za męża, urodziła dziecko, wyjechała z nową rodziną do Turcji i sprowadziła z Iranu moją młodszą siostrę, którą zostawiła u swojego drugiego brata, gdy miała rok. Wszyscy razem wyjechali do Grecji. Pierwszy raz wtedy, stojąc na tym dachu, opowiedziałam jej o tym, jak cierpię; powiedziałam jej, że moje życie jest straszne i że chcę się zabić. Powiedziała, że widocznie los tak chciał. Ta rozmowa sprawiła, że byłam zdecydowana jeszcze bardziej, ale zadzwoniłam jeszcze do wujka Mehrdada, żeby się z nim pożegnać. Długo ze mną rozmawiał i przekonał mnie, bym tego nie robiła.

WRÓCIĆ DO MAMY

Pytam Sorayę o to, który impuls do wyjazdu z Iranu był dla niej najważniejszy. Czy nadzieja na to, że będzie mogła być artystką, a nie sprzątaczką? Możliwość spotkania z mamą? Chęć ucieczki w związku z sytuacją kobiet w Iranie i Afganistanie?

– Najważniejszym powodem był mój mąż Ali, który mnie bił. W Iranie, żeby wziąć z nim rozwód, musiałabym trzy razy stanąć przed komisją lekarską, żeby udowodnić, że faktycznie mnie bije – mówi Soraya.

– Nie wiadomo też, jacy ludzie siedzą w tych komisjach państwowych, zwykle to religijni fanatycy – wtrąca tłumacz.

– Zdecydowaliśmy się na wyjazd z Iranu razem z Alim, ale mój plan od początku był taki, że jak tylko dojadę do Europy zostawię go i wrócę do mamy.

Film „Lis i różowy księżyc” kończy się, gdy Soraya przeprawa się do Grecji i zawiadamia wujka Mahrada, że jej się udało. Wcześniej rozdzieliła się z mężem.

Co było dalej?

– Tego jeszcze nigdzie nie opowiadałam – mówi. Gdy znalazłam się na Lesbos, od razu wystąpiłam o ochronę międzynarodową. Procedura była w toku, gdy nagle na Lesbos pojawił się Ali. Kiedy tylko go zobaczyłam, powiadomiłam policję i pracowników ośrodka dla uchodźców, że to od niego właśnie uciekłam. Postanowiono wysłać mnie do ośrodka Malakasa, pod Atenami. Po trzech miesiącach dostałam genewski paszport z Grecji.



– Bez sztuki, która jest we mnie, dawno już bym się poddała. To moje rysunki, rzeźby i obrazy pomogły mi przeżyć – mówi Soraya.
Wiecej jej prac można zobaczyć na jej Instagramie @ sorayaakhlaghi_

W Atenach dołączyła do Hope Project, gdzie uchodźcy gotowali, tworzyli sztukę i spędzali czas razem. Czasami przychodzili tam turyści, którym Soraya sprzedawała swoje rysunki. Za uzbierane pieniądze kupiła bilet do Austrii.

– Po dziewięciu latach rozłąki spotkałam się z mamą (placze). Byłam tak bardzo przejęta, że nawet zapomniałam, żeby to nagrywać – wspomina. – Opowiedziałam jej o wszystkim, co się wydarzyło, o całym bólu, którego doświadczyłam od czasu, gdy mnie zostawiła. Pytałam ją, dlaczego to zrobiła. Nic nie mówiła, tylko płakała i zapewniała mnie, że to nie była moja wina.

– Co było dalej? – pytam. Chcę happy endu dla tej młodej dziewczyny, która tyle wycierpiała. Gdy tłumacz przekłada moje pytanie, Soraya znów zaczyna płakać.

– Nie wiem, jak to opowiedzieć, to dla mnie bardzo trudne. Zbyt długo tam nie zostałam. Nie czułam się członkinią tej rodziny. Moje rodzeństwo i mama rozmawiali w domu po niemiecku. Kocham mamę, codziennie rozmawiamy przez telefon, ale nie czułam, że tam przynależę. Ponieważ słyszałam, że w Berlinie łatwo dostać dokumenty i podjąć pracę, pojechałam do Berlina. Trzy miesiące później dostałam niemiecki paszport genewski. Chcę znaleźć pracę, stanąć na nogi i móc tworzyć.

SZTUKA PRZETRWANIA

– Bez sztuki, która jest we mnie, dawno już bym się poddała. To moje rysunki, rzeźby i obrazy pomogły mi przeżyć – mówi Soraya. Kiedy cierpiałam lub kiedy byłam wściekła, rzeźbiłam potwory. Wyładowywałam tak złość i lęk. Kiedy czułam ból, rysowałam klauny. Te klauny to moje cierpienie, od którego nie mogłam uciec, więc chciałam je zaakceptować.

W filmie pojawiają się też animacje, a w nich lis i księżyc.
 – Księżyc dla mnie oznacza cel. Moim celem, kiedy byłam w Iranie, było spotkanie z mamą. Czułam, że to cel bardzo daleki, nieosiągalny. Lis to ja. Chciałabym być jak lis, który jest mądrym, sprytnym, wrażliwym zwierzęciem, potrafi żyć w samotności, zając się sobą, przetrwać. Ja też byłam sama i musiałam stać się lisem.

Przed premierą na festiwalu IDFA Soraya nie widziała filmu. Pierwszy raz zobaczyła go w Amsterdamie.

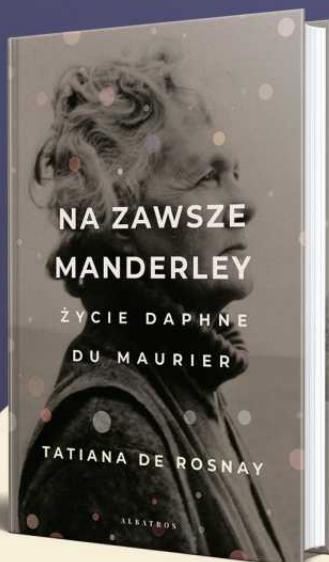
– Od początku do końca płakałam. Podczas seansu doświadczyłam wszelkiego rodzaju emocji: smutku, wściekłości, szczęścia. Na seansie były też moja mama i siostra. Między nami siedział wujek Mehrdad. W pewnej chwili, podczas seansu, moja mama zaczęła głośno płakać. Wujek zamienił się z nią na miejsce i już do końca siedzieliśmy przytulone. Gdy skończył się film, widzowie zaczęli klaskać i klaskali bardzo długo. Wujek Mehrdad zachęcił mnie, żebym wyszła na scenę się ukłonić. Szłam przez widownię i kręciłam to telefonem – tłum ludzi bijących nam brawo, owacje na stojąco. Miałam na sobie sukienkę, którą sama uszyłam. Czułam dumę – opowiada Soraya. – Po seansie podchodziły do mnie zapłakane dziewczyny i dziękowały za film. Mówiły, że jestem bardzo odważna. Na początku myślałam, że mówią to z litości. Ale one naprawdę były wzruszone. Kilka z nich zdjęło swoje pierścionki i dały mi w prezencie, tak były poruszone.

Scena, gdy tłum bije jej brawo, znajdzie się w kolejnym filmie, który szykują z Mehrdadem Oskouei. Soraya nadal mieszka w ośrodku dla uchodźców w Berlinie, uczy się języka, by móc podjąć pracę. Jej marzeniem jest mieć dom, w którym będzie mogła tworzyć i żyć bez lęku. Coraz rzadziej rzeźbi potwory. ▲

Film „LIS I RÓŻOWY KSIĘŻYC” znalazł się w konkursie głównym 23. Millenium Docs Against Gravity. Soraya Akhlaghi będzie gościnią festiwalu i weźmie udział w spotkaniach z publicznością. Więcej informacji na: mdag.pl.

Dziękuję Michałowi Rezazadehowi za tłumaczenie wywiadu.

OGŁOSZENIE



BIOGRAFIA WSZECHSTRONNEJ
 MISTRZYNI SUSPENSU,
 MUZY ALFREDA HITCHCOCKA
 I ULUBIONEJ AUTORKI
 STEPHENA KINGA.

”

Jej talent jest jasnym światłem, które poprowadzi cię przez mrok i przez najbardziej niezwykle historie.

STEPHEN KING

 WYDAWNICTWO ALBATROS



Zwierzę: ktoś czy coś?

W średniowieczu zwierzęta traktowano jak osoby. Uważano, że odpowiadają za swoje czyny. W związku z tym były sądzone przez rozmaite sądy, nawet z udziałem biskupów. Najczęściej je skazywano

Z PROF. DR. HAB.
ANDRZEJEM ELŻANOWSKIM,
ZOOLOGIEM I BIOETYKIEM,
ROZMAWIA ŁUKASZ PILIP

Zwierzę to bardziej ktoś czy coś?
– Zdecydowanie ktoś.

Tak bez zawahania?

– Nie ma możliwości, aby zwierzę było czymś. Jest podmiotem doznająco-poznającym. To znaczy, że czuje i przeżywa. Jest też świadome otoczenia i własnego ciała.

Jego mózg wytwarza w osobniczym rozwoju umysł. Dyskusja jednak rozpoczyna się w momencie, gdy zaczynamy się zastanawiać, czy takie zwierzę jest podmiotem osobowym zdefiniowanym w kategoriach zdolności poznawczych i emocjonalnych.

A jaśniej?

– Używam tych skomplikowanych terminów, bo nie mamy lepszych. Obciążenia językowe w kwestii zwierząt są bardzo trudne albo niemożliwe do przewyciężenia. Nauka zdefiniowała je jako organizmy cudzożywne

i pierwotnie zdolne do ruchu. Nie uwzględniła jednak ich zdolności poznawczych, a także doznaniowych. W związku z tym zrównano tasiemca z szympanse. To tragiczny dla zwierząt skutek działania pułapki zastawionej przez język nowoczesności.

Który zbliża je do „czegoś”.

– Takie rozumienie zwierząt w połączeniu z nadzwyczajnym statusem człowieka, który uważamy za oczywistość, ułatwia nam dzielenie świata na ludzi i rzeczy. Podział ten jest jednak całkowicie niezgodny z wie-

dą naukową. Zauważył to filozof Karl Popper współpracujący z neurobiologiem noblistą Johnem C. Ecclesem. Według nich rzeczywistość dzieli się na trzy kategorie bytów: świat rzeczy, świat umysłów, czyli subiektywnego doznania i poznania, a także świat wytworów umysłu, jak dzieła sztuki czy technologie.

Pierwszy jest oczywisty.

– Nie do końca. Należą do niego zarówno rzeczy martwe, jak i ożywione.

Ożywione?!

– Są nimi bakterie, rośliny, pierwotniaki i wiele bezkręgowców, poza niektórymi głowonogami, najbardziej rozwiniętymi owadami, jak trzmiele, czy skorupiakami – krabami i ich krewnymi. Ożywione rzeczy funkcjonują tylko jako przekazańniki swojego DNA do następnego pokolenia. Nie potrzebują do tego nawet prostej świadomości. Wystarczy poznać odruchy tych organizmów, żeby w pełni zrozumieć ich zachowanie. Co nie znaczy, że można je beztrudno niszczyć, bo są ważne dla ekosystemów, ciekawe naukowo i zwykle piękne. Przynajmniej pod mikroskopem.

Świat drugi?

– To już świat umysłów i doznań, który powstał w wyniku ewolucji kręgowców, stawonogów, mięczaków. Najbardziej skomplikowane umysły wyewoluowały u ssaków i ptaków, które w pewnym stopniu wciąż mogą porozumieć się po ponad 300 milionach lat niezależnej ewolucji ich umysłów. Zwierzęta posługujące się umysłem należą do podmiotów doznająco-poznających.

Czyli?

– Tak jak my są świadome zdarzeń w otoczeniu. Mają także świadomość własnego ciała. Dzięki temu wiedzą choćby, co je boli. Posiadają te same co człowiek podstawowe potrzeby z piramidy Masłowa, których realizacja wpływa na ich dobrostan.

Na pewno? A widział pan, co zrobiono z dzikami w Warszawie?

– Widziałem, jestem nawet formalnym członkiem grupy przeciwstawiającej się temu, co się stało. Fakt, że dziki zostały zabite i wrzucone do pojemnika na śmieci, zdradza mentalność i podejście niektórych ludzi do zwierząt. Lasy Miejskie przeprosiły mieszkańców, którzy widzieli zdarzenie. Zrobili to jednak pod naciskiem opinii publicznej. Chyba zdali sobie sprawę, że

nie wszyscy widzą w dzikach coś, tylko kogoś. Doznające podmioty, a nie szkodniki.

Skoro zwierzęta czują ból tak samo jak my, dlaczego uważamy je za „coś”?

– Bo nadal tkwimy w pułapce błędnego podziału bytów na rzeczy i osoby, a większość z nich nie jest osobami w ścisłym psychologicznym sensie tego terminu.

Znów robi się trudniej.

– Podmioty osobowe mają szczególne zdolności. Wyróżnia je samoświadomość refleksyjna. Czyli są w stanie postrzegać siebie jako sprawców. To z kolei oznacza, że rozumieją przyczynowość. Najlepszym potwierdzeniem tej umiejętności jest wytwarzanie narzędzi do osiągnięcia doraźnego celu. A skoro podmioty osobowe rozumieją swoje sprawstwo, mogą też poddać je samoocenie. Nauka potwierdziła te wszystkie

Koty nie są ani dobre, ani złe. Bez samoświadomości refleksyjnej *nie mogą* *czuć odpowiedzialności za* *cokolwiek*

zdolności u człowiekowatych, słoni, delfinów i niektórych krukowatych, jak sroki.

A pan ma zwierzęta?

– Nieosobowe. Osiem wspaniałych, nierasowych, przygarbiętych kotów. W większości za sprawą „empatycznego zwiadowcy” w osobie mojej żony. Powiedziałbym jednak, że raczej to one mają nas. Cieszymy się ich szczęściem, co znaczy, że je kochamy.

Czyli „ktosie”?

– Oczywiście. Wszystkie podmioty doznająco-poznające, a zatem kierujące się umysłem, a nie tylko odruchami, są „ktosiami”. Ich życie jest wartością samą w sobie. Nie uważam, że wartość mojego życia jest większa niż każdego z nich. Ona może być nawet niższa, biorąc pod uwagę mój wiek!

Nie przesadza pan?

– Przesadą byłoby zapewne twierdzenie, że cała wartość mojego życia nie jest większa

od wartości życia kota. Natomiast w stosunku do immanentnej wartości życia twierdzenie to jest uzasadnione.

A może słonie, które rozumieją więcej, są lepsze od kotów?

– Koty nie są ani dobre, ani złe. Przecież nie dysponują złożonym systemem motywacyjnym sprawstwa moralnego. W dodatku bez samoświadomości refleksyjnej nie mogą czuć odpowiedzialności za cokolwiek. Choć zadają cierpienie zdobywcy, nie robią tego świadomie czy intencjonalnie. Bawią się ranną myszą tak samo jak zabawką na sznurku. To zło naturalne wynikające z drapieżnictwa.

Większość drapieżników to „zabójcy bez winy”. W tym sensie osoba dobra, która czyni innym podmiotom wiele dobrego, czyli ma wysoką pochodną wartość życia, jest lepsza od kota. Jednak to wciąż nie uzasadnia dyskryminowania kotów.

Z drugiej strony osoby człowiekowate, czyli szympansy i ludzie, mają duży potencjał zła. Ich okrucieństwo wyłącza albo nawet wykorzystuje działanie sprawstwa moralnego, choćby poprzez nadmierne kary. W związku z tym pochodna wartość życia obu grup może być ujemna. Wówczas są one gorsze od kotów.

To jak określiliby pan nasz stosunek do zwierząt?

– To zależy od tego, jak określamy pojęcie „my”. Mogą je tworzyć różne grupy: ludzie ogółem, Polacy, hodowcy rasowych kotów i psów na sprzedaż, sprzedający zwierzęta na ubój rytualny, opiekunowie zwierząt adoptowanych czy rolnicy domagający się wybicia wszystkiego, co może zaszkodzić ich hodowlom. Globalnie przeważa stosunek amoralny. Kontynuowana jest bezwzględna, masowa eksploatacja zwierząt, w której przodują Chiny. Nadal masowo wybijamy dzikie zwierzęta. Na mięso, afrodyzjaki i pseudolekarstwa. W kulturze zachodniej i nielicznych krajach tzw. globalnego południa zaczyna się jednak uznawać prawa zwierząt. To przyczyniło się do zakazów hodowli zwierząt futerkowych w Europie. W Polsce troskę o zwierzęta konsekwentnie deklaruje 60-70 proc. społeczeństwa, ale zadeklarowanych wegan mamy tylko 3-6 proc. Wegetarian zaś, łącznie z weganami, 10-12 proc.

W „my” nie wymienił pan Kościoła.

– Bo księża chyba w ogóle nie zastanawiają się nad tym, o czym teraz rozmawiamy. Dla

nich zwierzęta się nie liczą. Chrześcijaństwo przywłaszcza sobie produkty ewolucji jako dary boże i stawia wartości na głowie, zakładając, że dobro pochodzi z góry, od Boga, i dociera tylko do istot stworzonych na jego podobieństwo.

Ludzi?

– Tak. Jak więc zwierzęta mają się liczyć, skoro nie mogą wychwalać żadnego wierności i posłuszeństwa Boga?

Jeden z księży powiedział, że krowa może to zrobić, ale dopiero jak ją zjemy. Bo wtedy staje się częścią nas, ludzi.

– Groteskowo-absurdalne. Ale nie tak zaskakujące, bo księża notorycznie błogosławią zabijanie zwierząt dla przyjemności. Wielu z nich poluje, a Polski Związek Łowców i jego oddziały mają swoich polujących kapelanów. Uczestniczyłem kiedyś w procesie księdza, który zimą zabił w okresie ochronnym ciężarną sarnę. Kilku polujących doktorów teologii z lokalnego uniwersytetu papieskiego napisało do sądu listy w jego obronie.

Jeśli nauka uważa zwierzęta za podmioty, to dlaczego pozwala na eksperymenty na myszach, ale nie na szympanсах?

– Powody są dwa. Pierwszy – pieniądze. Myszy są tanie. Kosztują kilkanaście złotych za „sztukę”. Powód drugi? Antropocentryzm, czyli pogląd stawiający człowieka w centrum. Zdziwiałem, że kierował się nim francuski „ojciec” biomedycyny Claude Bernard. Był człowiekiem, który nie wykazywał żadnych skrupułów wobec większości zwierząt. Przybijał psy żywcem do stołu i ledwo żywe dawał studentom, by uczyli się na nich anatomii i wykańczali je. Jego antropocentryzm okazał się jednak na tyle rozwinięty, że nie przeprowadzał badań na naczelnym.

Tak jak Stany Zjednoczone, które zakazały testów na szympanсах.

– Bo obecnie liczy się antropocentryzm opinii publicznej. Dzięki temu w Unii Europejskiej eksperymentowanie na naczelnym objęte jest szczególnymi restrykcjami. Zaś na czelkoksztalnych – jak goryle, orangutany czy szympansy – zabronione. Stany również wycofały się z tego pod wpływem protestów ludzi. Inaczej biomedycyna nie ustąpiłaby. Dla jej przedstawicieli zwierzęta to zasoby do badań.

Coś?

PROF. DR HAB. ANDRZEJ ELŻANOWSKI

zoolog, bioetyk. Wykładowca Wydziału Artes Liberales Uniwersytetu Warszawskiego. Autor ponad stu prac naukowych. Od wielu lat zaangażowany w poprawę losu zwierząt. Weganin.

– Tak. Wprawdzie zdarzają się eksperymentatorzy wykazujący troskę o złagodzenie zadawanego cierpienia. Ale życie tych zwierząt wciąż się nie liczy.

Goryl ma lepiej niż szczur przez podobieństwo do nas?

– Zgadza się. W dodatku sytuację szczurów pogarsza ich wizerunek jako szkodników. Tymczasem badania opublikowane w „Science” dowodzą, że szczury mają niesłychane zdolności poznawcze. A szczególnie – emocjonalne. Potrafią być empatyczne. Nie tylko troszczą się o innych, ale też czerpią z empatii motywację do pomocy. To najwyższy stopień zachowań empatycznych, porównywalny do zachowań ludzkich. Szczury jednak nie są tak szczerze jak delfiny czy słonie, które potrafią pomóc przedstawicielom innych gatunków. Ograniczają empatię wyłącznie do swojej grupy. Tak samo robią ludzie i szympansy. Temu, kto jest do nas podobny, zapewniamy zatem większą ochronę.

Jak to przejawia się u szczurów?

– Jeśli rozdzielimy dwa znajome sobie osobniki i jednego zamknijemy, to drugi pomoże mu się wydostać. Potem jeszcze podzieli się kawałkiem jedzenia z uratowanym towarzyszem. To odkrycie zszokowało naukowców. Wiadomo było, że szczury są inteligentne. Ale że aż tak?

To dlaczego nie są podmiotami osobowymi?

– Empatia to tylko jedna ze zdolności tych podmiotów. Problem w tym, że szczury nie rozpoznają własnego odbicia w lustrze. Być może dlatego, że nie wzrok, a słuch i węch są ich dominującymi zmysłami. Nie wykluczałbym więc u nich samoświadomości refleksyjnej. Natomiast biomedycy i tak zapytali by, dlaczego mają hamować się z eksperymentami na tych zwierzętach. Przecież łapiemy je na lepy czy masowo zatruwamy. Ciekawe, że biomedycyna, która sama jest lukratywnym przemysłem, sprzymierza się przeciwko zwierzętom zarówno z przemy-

słem, jak i z Kościołem. To trójprzymierze chętnie głosi wyjątkowość człowieka, a także przepaść między nim i innymi zwierzętami.

Sytuacja prawna zwierząt w Polsce wcale nie jest lepsza. Słyszałem, jak jeden sędzia porównał psa do zegarka.

– W średniowieczu zwierzęta traktowano jak osoby. Uważano, że odpowiadają za swoje czyny. W związku z tym były sądzone przez rozmaite sądy, nawet z udziałem biskupów. Najczęściej je skazywano. W epoce oświecenia i modernizmu zostały jednak uprzedmiotowione. Dzisiaj pierwsze zdanie polskiej ustawy o ochronie zwierząt mówi, że zwierzę nie jest rzeczą. Ale drugie spieszy z przypomnieniem, że „w sprawach nieuregulowanych w ustawie o ochronie zwierząt stosuje się odpowiednio przepisy dotyczące rzeczy”. To znaczy, że nie mają osobowości prawnej. Potrzebujemy zatem wprowadzenia w prawie podziału jak z początku naszej rozmowy: na różne podmioty czy „osoby prawne”, które będą podlegać odmiennej ocenie. Osoby mają przecież szczególnego rodzaju zdolności. Rozumieją przyczyny i konsekwencje swoich zachowań. Powinny więc odpowiadać za nie. Natomiast podmioty nieosobowe – jak koty i psy – nie są i nie mogą być odpowiedzialne za swoje zachowania. Nie znaczy to jednak, że nie mają indywidualnych interesów w spełnieniu własnych potrzeb.

Widziałem sondę uliczną, w której pytano o najinteligentniejsze zwierzę świata. Mimo że uważamy za nie siebie, wymienialiśmy delfina, świnię, królika czy małpę.

– No właśnie... Wie pan, dlaczego ustawiamy siebie na szczycie? Z powodu silnego narcyzmu gatunkowego. Wydaje mi się, że nawet świeckie i postępowe elity intelektualne nie dają mu należytego odporu, bo nie mają odwagi dogłębnie spojrzeć w lustro z perspektywy przedstawicieli własnego gatunku.

Coś jeszcze, poza narcyzmem, stoi za tym?

– Nasz samozachwyty staje się tym większy, im bardziej rozwijamy się technologicznie. Chociaż przyczyniają się do tego wyłącznie elity naukowe i intelektualne, duża część społeczeństwa – która nie byłaby do tego zdolna – i tak czuje swoją wyższość gatunkową. A każde poczucie wyższości nabytej przez urodzenie jest na wagę złota, bo nie podlega weryfikacji. Nawet nie musimy się starać, żeby tę wyższość utrzymać. Bo czy się stoi, czy się leży, wyższy status się należy. ▲

TEMAT NUMERU:

ZWIERZĘTA, JAK JE KOCHAĆ MĄDRZE

Katarzyna Zillmann: Taniec zmienił moje życie

Psychologia: Nadmiar terapii szkodzi

Matki i córki - da się je pogodzić

Kuchnia: Przepisy na dania bogate w kolagen



Numer dostępny z prezentem:

szampon lub serum
do włosów ARTISHOQ

eprasa.pl 5a6043b2f0



Jean Smart i Hannah Einbinder
jako Deborah i Ava w serialu „Hacks”

SERIAL

Świat trochę mniej zabawny

Ostatni sezon „Hacks” zadebiutował już w HBO Max. Będzie wzruszająco, trochę nostalgicznie i nieco milej, ale na szczęście wciąż będzie się też z czego pośmiać. Dla tych, którzy nie trafili jeszcze na tę jedną z lepszych komedii ostatnich lat, krótkie wprowadzenie. „Hacks” to nagrodzona Emmy i Złotymi Globami bezpretensjonalna produkcja o nieoczywistej relacji Avy Daniels (świetna Hannah Einbinder), młodej scenarzystki i komiczki, która pisze żarty do programów telewizyjnych, i Deborah Vance (znakomita Jean Smart), siedemdziesięcioletniej divy, królowej stand-upu i komedii, która występuje i mieszka w Las Vegas. Splot zdarzeń sprawia, że agent Deborah wpada na pomysł, żeby żarty zaczęła pisać dla niej właśnie Ava, chwilowo bezrobotna po tym, jak opublikowała kontrowersyjny wpis na Twitterze. Tak zaczyna się ich wspólna przygoda.

„Nie musi być ważne, wystarczy, żeby było śmieszne” – to zdanie z jednego z odcinków nowego, piątego i ostatniego już niestety sezonu „Hacks”, mogłoby stać się mottom całej serii. Choć to nie do końca prawda, bo twórcy zadbali i o to, żeby lekka forma nie była tylko wydmuszką, przemycając konsekwentnie tematy aktualne, trudne i społecznie istotne. Niemniej największą siłą serialu jest to, że nie udaje czegoś, czym nie jest. W końcu ma przede wszystkim bawić i z tego zadania wywiązuje się znakomicie.

Piąty sezon „Hacks” podejmuje akcję dokładnie w tym miejscu, w którym skończyła się poprzednia część serii. Zakneblowana wyjątkowo niekorzystną umową Deborah wraca do Las Vegas z Singapuru, gdzie korzystając z kruczka prawnego, występowała ze swoim stand-upem w kasynie. W czasie jej nieobecności Bob Lipka, CEO stacji telewizyjnej, w której miała swój wieczorny talk-show, rozkręcił przeciwko niej oszczerczą kampanię w mediach, której apogeum była informacja o śmierci Deborah. Nic więc dziwnego, że kiedy całkiem żywa i raczej wściekła podjeżdża pod bramę prowadzą-

cą do jej okazałej rezydencji, zastaje tam kwiaty, pamiątkowe zdjęcia i pogrążonych w smutku fanów z tabliczkami głoszącymi, że bez niej „świat jest teraz trochę mniej zabawny”.

Jak mało kto, Deborah miała szansę przeczytać swoją pośmiertną sylwetkę opublikowaną w mediach i, mówiąc oględnie, nie jest z niej zadowolona. Zrobiono z niej wariatkę, która zniszczyła uwielbiany przez Amerykanów format wieczornego programu. Postanawia więc zrobić coś spektakularnego, czym zapewni sobie trwale miejsce w historii i zasłuży przynajmniej na lepszy nekrolog. Nieodzowna będzie w tym oczywiście pomoc Avy oraz pozostałych członków zespołu, w tym Josefiny granej ze swadą przez Rose Abdo, Damiena (Mark Indelicato) i Marcusa (Carl Clemons-Hopkins). A ponieważ droga do stand-upowej nieśmiertelności prowadzi ponoć przez Madison Square Garden, akcja serialu przeniesie się też na chwilę do Nowego Jorku, a nawet Paryża, ale tu powód będzie zgoła inny.

„Hacks” został stworzony przez Paula W. Downsa, Lucię Aniello i Jen Statsky, którzy pełnią również funkcję showrunnerów. Downs wielokrotnie powtarzał, że myślał o serialu jako o skończonej całości i planował zakończyć produkcję na piątym sezonie. To pożegnanie czuć zresztą przez wszystkie odcinki, choć najmocniej w emocjonalnym finale całej serii. Dynamika relacji między Deborah i Avą opierała się w znacznej mierze na wzajemnych docinkach oraz mniejszych i większych uszczypliwościach. Klóczyli się na serio i na zabój, ale kiedy było trzeba, z równą żarliwością się wspierały. Tym razem jest zdecydowanie... milej, co trochę tępi pazur serialu. Na szczęście twórcy wychodzą z tego obronną ręką. Fundują nam co prawda też łzy, ale bez nich nie byłibyśmy przecież w stanie docenić momentów radości. ▲ Joanna Wróżyńska

„HACKS” jest już dostępny na platformie HBO Max. Nowe odcinki będą pojawiać się tam co tydzień, aż do finału serialu 29 maja.

FILM

Wakacje życia



Ta historia wita nas górą tostowych bochenków, które wysypują się z rozpedzonej ciężarówki. Lądują tuż pod oknami mieszkania Sandry i jej kilkuletnich córek – Harrie i Stelli. Będą mogły się najeść i trochę zarobić. Sandra, bohaterka „Treat Her Like a Lady”, drugiego filmu holendersko-chilijskiej reżyserki i scenarzystki Palomy Aguilery Valdebenito, wychowuje dziewczynki samodzielnie. Zajmuje mieszkanie socjalne, w którym od czasu do czasu potajemnie nocuje też William, ojciec młodszej z córek.

Będąc na zasiłku, Sandra reperuje domowy budżet niezadeklarowanymi dochodami z dorywczych prac, a kolejne rachunki przykrywa rysunkami córek.

Amsterdam, w którym Valdebenito osadziła swój film, nie jest taki, jaki znamy z Instagrama. Nie ma tu urokliwych, wąskich kamienic ani beztroskich rowerzystów. Są za to surowe przedmieścia. Okno mieszkania zajmowanego przez Sandrę i jej córki wychodzi na czteropasmową autostradę, a w ramach wakacyjnej rozrywki rodzina rozsiada się na parkingu przy pasie startowym pobliskiego lotniska. Jest początek upalnego lata. Sandra dowiaduje się, że musi opuścić mieszkanie – naruszyła zasady, więc państwo nie będzie jej więcej pomagać. Musi też zapłacić wysoką grzywnę, a jakby tego było mało, na jaw wychodzi romans Williama. Sandra i dziewczynki zostają przesiedlone do obskurnego, taniego hotelu. Ich piętro zamieszkuje galeria postaci, którym w rozdaniu przypadły od losu równie słabe karty.

To mogłaby być historia opowiedziana przez Kena Loacha, specjalistę od realistycznego kina społecz-

nego, ale Valdebenito obiera tu inną ścieżkę. „Treat Her Like a Lady” trycka soczystymi kolorami, tętni życiem i humorem, przez co udaje jej się odciążyć ten ekranowy dramat. Napisała tę historię, czerpiąc z własnych doświadczeń. Dorastała w robotniczej dzielnicy Amsterdamu, w warunkach podobnych do tych, w jakich żyły dzieci Sandry. Na własne oczy widziała też odpływ lokalnej społeczności, dla której życie w mieście stawało się zbyt drogie. Ten postępujący proces gentryfikacji zaznacza zresztą w filmie.

Valdebenito opowiada o macierzyństwie poświęceń, ale na własnych warunkach. Sandra jest tak interesującą bohaterką (brawurowo sportretowaną przez holenderską komiczkę i aktorkę Nienke Plas), bo nie daje sobie wmówić, że jest niewystarczająco dobrą matką. Wbrew przeciwnościom pozostaje radykalnie radosna i pełna dumy. Nie wchodzi w dyskusję z systemem, tylko robi swoje. Bo w jej macierzyństwie nie chodzi o spełnianie cudzych norm, tylko o nieustanne wybieranie siebie i swoich dzieci. ▲ (Justyna Grochal)

„TREAT HER LIKE A LADY”
w reż. Palomy Aguilery Valdebenito bierze udział w Konkursie Głównym festiwalu Mastercard OFF CAMERA, który odbędzie się w dniach 24.04-3.05 w Krakowie. Szczegóły na stronie festiwalu.

KSIĄŻKA

Patrząc w niebo



Hanna Krall działała przy okazji pisanie tej książki jak szefowa kuchni, redukując sos – to, co pozostaje, jest zagęszczone i pełne smaku. Tekst to esencja, którą kosztować należy powoli. Czasami mam wrażenie, że Krall została kanonizowana za życia na świętą od reportażu, i myślę, że musi to być męczące. Jednocześnie sama po przeczytaniu tej niewielkiej rozmiarem książki – padam na kolana. Jedna rzecz to precy-

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI POLECA WIERSZ

Delikatne, zwiewne z bólem

– wklepuje pod oczy trzy krople serum,
krusząc trzy nieregularne linie, te pęknięcia już z nią zostaną
– lodyżka perelkowca drży, kiedy na zewnątrz pracuje śmieciarka.
tak roztrzaskuje się perła po perle, aż lodyga staje się galęzią
– cicha muzyka posuwania palcem po okręgu kubka
– opad szkieletu, padające szkielety lutowych drzew
– płaty włosów ginące we śnie
– ciało cieliste, czerwone, purpurowe, w końcu białe
– ciało na bakier z dogadzaniem
– ciało, które nie może przestać się cielić
– gdy pada: ciąć
– widok zawodu między nami dwiema

NATALIA KOSTRZEWA, ur. 1998. Poetka i czechofilka.

Pochodzi z Poznania, obecnie mieszka we Wrocławiu. Powyższy wiersz drukujemy dzięki uprzejmości Domu Literatury w Łodzi.

MAŁGORZATA HALBER RYSUJE



zja w doborze słów i ich ułożeniu w zdania, akapity, rozdziały. Druga – tematy. Są dla Krall charakterystyczne – wracają historie i bohaterowie, których opisywała wcześniej. To opowieści z jej życia i te powierzone jej przez ludzi, z nadzieją, że je uratuje.

„Jaka jest sytuacja?” – pyta Ojczenasz. Krall próbuje odpowiedzieć. Przywołuje przeszłość, opowiada terażniejszość, której korzenie są w przeszłości. Świat obiecywał, że będzie lepszym miejscem, że nigdy więcej wojny, nigdy więcej nienawiści, tymczasem jest, jak jest, i reportarka rejestruje to uważnie.

Rozdziały tej książki czyta się jak wiersze. Łukasz Chotkiewicz, redaktor, wymyślił, by teksty ilustrował Zbigniew Libera, a ten wpadł na pomysł, by zrobić rysunki nieba. Tak proste, pojemne i poetyckie, choć zupełnie realistyczne, w niezwykle sposób pasują do rozmowy „prawdomównej reporterki” – jak sama o sobie pisze – z Ojczenaszem, który powinien być wszechwiedzący, ale tylu rzeczy zdaje się nie pojmować. ▲ (Paulina Reiter)

Hanna Krall, Zbigniew Libera „Nie mówi się takich rzeczy”, wyd. Znak Literanova

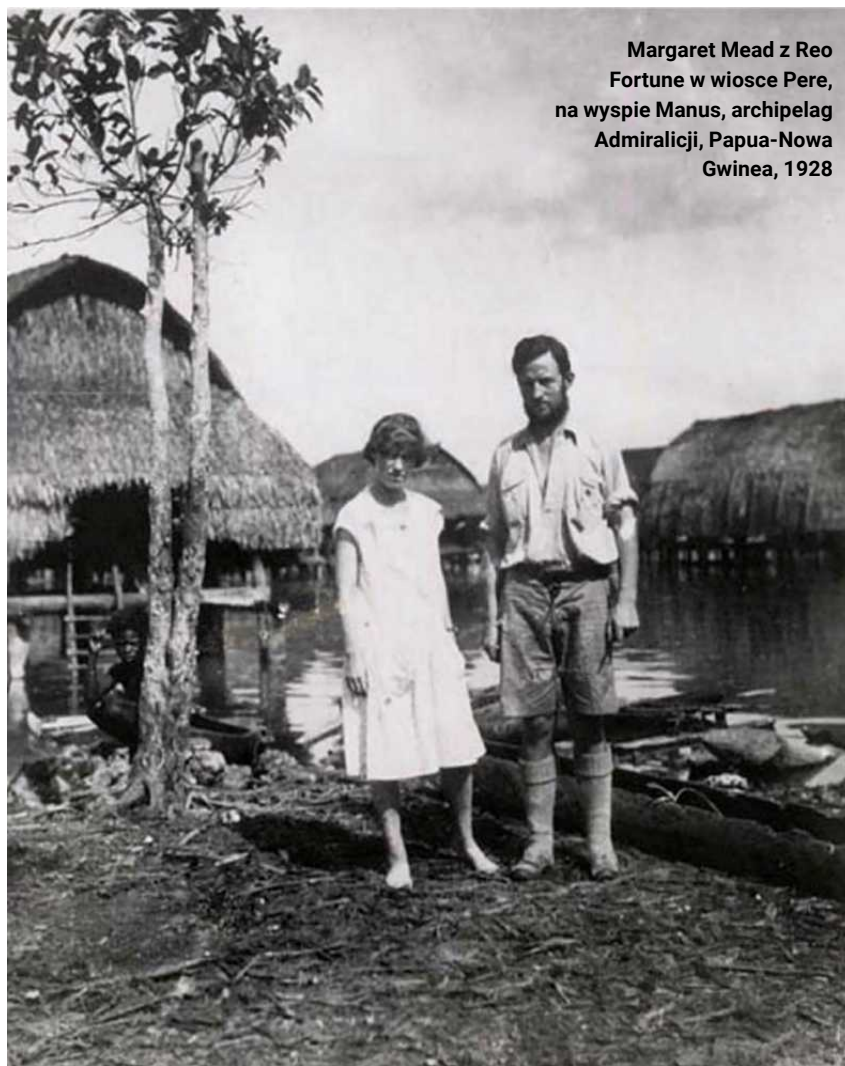
Wyspy zakwitających dziewcząt

W czasach poprawności politycznej i debaty o tym, kto może się wypowiadać w czyim imieniu, obserwacje młodziutkiej antropolożki czytają się jak korespondencję z utopii

TEKST URSZULA JABŁOŃSKA

Polska okładka książki jest prosta – gra tylko kolorem i typografią. Jednak kryje w sobie niesamowitą historię, którą lepiej zapowiada okładka jednego z ostatnich wydań angielskich. Jest na niej czarno-białe zdjęcie. Młoda dziewczyna z fryzurą na pazia z stoi między dwiema innymi, o ciemnej skórze i włosach. Wszystkie ubrane są w spódniczki z cienkich mat wplecionych z liści pandanu. Jest rok 1925. Dwudziestotrzyletnia Margaret Mead, świeżo upieczona magistra antropologii, przybywa na wyspę Samoa na Pacyfiku, by badać tamtejsze dziewczęta. Zajmują ją jednak pytania o problemy amerykańskiej młodzieży, która w okresie dojrzewania zwykle przeżywa kryzys i buntuje się przeciw autorytetom. Czy to wynika z samej natury okresu nastoletniego, czy jest skutkiem życia w Ameryce?

Mead sądzi, że znajdzie odpowiedź, badając młodzież, która wyrasta w innej kulturze, najlepiej nie tak skomplikowanej jak jej własna – na przykład na Samoa. Przez dziewięć miesięcy rozmawia z grupą nastolatków z trzech sąsiadujących ze sobą wiossek. Wypytuje je dokładnie o życie rodzinne, relacje, marzenia. Niedługo po jej powrocie ukazują się książki „Dojrzewanie na Samoa”. „Z pierwszym brzaskiem wstającego dnia, padającym na gładkie, brunatne dachy, kiedy smukłe palmy ukazują się na tle bezbarwnego połyskliwego morza, kochankowie wymykają się z kryjówek w cieniu palm albo w cieniu czółen wyciągniętych na brzeg i biegną do domu, żeby dzień zastał każdego na wyznaczonym do spania miejscu” – czytamy w pierwszym rozdziale. Dalej następuje opis beztrudnego dorastania we wspólnocie, w której cała wioska jest rodziną dla



Margaret Mead z Reo Fortune w wiosce Pere, na wyspie Manus, archipelag Admiralicji, Papua-Nowa Gwinea, 1928

dzieci – jeżeli źle im w jednym domu, mogą zamieszkać w innym. We wspólnocie, w której nastolatki cieszą się wolnością, a miłość hetero i homo kwitnie w cieniu rzeczonych palm i czółen. Młodzi nie angażują się za bardzo w relacje, licznym ro-

mansom nierzadko nie kładzie kresu nawet małżeństwo.

Mead ustaliła, że Samoanki nie mają problemów w czasie wkraczania dorosłość. A to dlatego, że nie muszą wybierać między wieloma sprzecznymi wartościami, jak ma to

miejsce w Ameryce, gdzie często dziewczyna musi być religijna w domu, a swobodna w gronie przyjaciół. Doszła do wniosku, że o tym, jak wygląda czas dojrzewania, decyduje więc przede wszystkim wychowanie. Na końcu książki apeluje, by rodzice oraz nauczyciele w USA wyciągnęli wnioski ze studium nastolatki na dalekim Samoa i zostawiali młodzieży więcej swobody w życiowych wyborach.

Książka „Dojrzewanie na Samoa” wyniosła młodą antropolożkę na pozycję intelektualnego autorytetu. A później położyła podwaliny pod rewolucję seksualną lat 60. – idea, że większa swoboda w relacjach może położyć kres frustracjom, nerwicom i problemom społecznym, rozkwitła w pełni w hipisowskiej koncepcji wolnej miłości.

Jednak ponad pół wieku później antropolog Derek Freeman dotarł na zupełnie inne wyspy niż Mead – okrutne i krwawe, rządzące się purytańskimi zasadami. Samoanicy mężczyźni, którzy studiowali w Nowej Zelandii, powiedzieli mu, że Mead napisała o ich kraju nieprawdę i prosili, by to sprostował. Freeman przez wiele lat prowadził badania na Samoa, rozmawiał jednak głównie z mężczyznami w średnim wieku. Został przyjęty do starszyny i mógł uczęszczać na jej zebrania. Jej członkowie opowiedzieli mu, że na wyspach najważniejsza jest ranga i rywalizacja, a mężczyźni są chorobliwie zazdrośni, więc o żadnej wolnej miłości pod palmami nie może być mowy. Dziewictwo kobiety jest kluczowe dla Samończyków, którzy zresztą od lat są już chrześcijanami.



MARGARET MEAD

(1901-1978) - amerykańska antropolożka kulturowa. Badała Ludy Oceanii. Napisała głośną książkę „Dojrzewanie na Samoa”. Opis wolnej miłości ludów pierwotnych, który w niej zawarła, przyczynił się do rewolucji seksualnej lat 60. XX wieku.

Natomiast nastolatki – wtedy już kobiety – w rozmowie ze starszym, białym mężczyzną zarzekały się, że celowo wprowadziły młodą Margaret w błąd, opowiadając jej to, co, jak sądziły, chce usłyszeć, i chichocząc za jej plecami. Freeman zarzucał Mead, że jako kobieta nie mogła brać udziału w politycznym życiu wyspy i ważnych

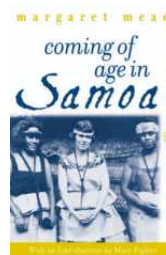
ceremoniach, więc nie mogła dowiedzieć się, jacy naprawdę są jej mieszkańcy.

„Samończycy są dumnym, skrupulatnym i bogobojnym narodem. Mówcy z rozkoszą wychwalają piękno poranków, które wstają, a wraz z nimi wstaje świętość i godność starożytnej polityki, która trwa nie naruszona” – napisał Freeman w książce „Margaret Mead in Samoa”, która ukazała się w 1983 roku.

Antropolożka nie miała szans, żeby się obronić przed zarzutami – zmarła kilka lat wcześniej – jednak wybuchł skandal, który nie ma chyba równych w dziedzinie antropologii. Dyskusja toczyła się między innymi na łamach „New York Timesa”. Kto ma rację? Czy Samoa to wyspy zakwitających dziewcząt? Czy może wyspy okrutnych, zazdrośnych mężczyzn?

Sto lat później, w czasach poprawności politycznej i debaty o tym, kto może się wypowiadać w czym imieniu, obserwacje młodziutkiej antropolożki o bezstresowym życiu na rajskich wyspach Pacyfiku czyta się jak korespondencję z utopii, która być może więcej mówi o niej niż o badanych osobach. Podobnie zresztą jest z książką Freemana. Wraca-

jąc do nich, nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że każdy badacz dociera na takie wyspy, na jakie sobie zasłużył. ▲



MARGARET MEAD
„Coming of age in Samoa”, 1928

OGŁOSZENIE

Natalia de Barbaro
PRZEJŚCIA
KTÓREJ DO MIŁOŚCI

NOWA KSIĄŻKA AUTORKI

CZUŁEJ PRZEWODNICZKI

Natalia de Barbaro, mistrzyni wrażliwego pisania, powraca w wielkim stylu.
„Przejścia” to opowieść, która niesie prawdziwą nadzieję.

JUŻ W SPRZEDAŻY

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA **KULTURALNY SKLEP.PL**

www.wydawnictwoagora.pl

WOLISZ E-BOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA **publio.pl**

**Wydawnictwo
Agora**

eprasa.pl 5a6043b2f0

Centrum nie musi być tylko salonem.

Na zdjęciu: oczko wodne
na Placu Centralnym



Ulubione *niedorobione*

Do miasta powinniśmy podchodzić jak szczęściarze, którzy odziedziczyli po dziadkach za duże mieszkanie. Zamiast od razu ciasno wypełniać je meblami, zostawiają przestrzeń i czekają, jak potoczy się życie

TEKST NATALIA MAZUR

Na wizualizacjach widzimy uśmiechniętych ludzi w kawiarniach, drzewo, ławkę; będzie to wyglądało ładnie i przyjemnie”.

„Ten plac jest dla turystów, dla matki z dzieckiem lub żeby po prostu usiąść – są ławki, śmietniki, nie ma bałaganu”.

To wypowiedzi z badania, w którym socjologowie chcieli wychwycić wyobrażenia na temat przestrzeni publicznych Warszawy. Może być ono jak **salon**: czysty, uporządkowany, elegancki. Bez „pawilonów, sex-shopów, kebabów, całej tej brzydoty”. Z takim wyobrażeniem śródmieścia spotykamy się dość często, jest najbardziej oczywiste i konwencjonalne. Chcemy centrum, do którego można zaprosić gości, w którym jak odświętny obrus położymy elegancką kostkę brukową pomiędzy odrestaurowanymi fasadami.

Nieważne, do jakich adresów odnoszą się powyższe cytaty, ale jeśli pragniesz salonu, każdy plac musi być „kompozycyjnym sukcesem”. Bez ludzi spontanicznie przysiadających na murkach i krawężnikach. A przy tym sterylne „jak sieciowa przychodnia” (to też z wypowiedzi respondentów).

Ale wizja centrum jako salonu nie jest jedyna. Grupa socjologów takich podstawowych wyobrażeń – imaginariów opisała pięć. Artykuł ukazał się w piśmie naukowym „Cities”.

W 2022 r., kiedy budowa Nowego Centrum Warszawy zdążyła się już rozkręcić, podobnie jak dyskusja o tym, jaka może być Warszawa, dr Maciej Frąckowiak, prof. Marek Krajewski oraz Elżbieta Marciszewska z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza wraz z zespołem przeprowadzili m.in. wywiady pogłębione z osobami, które na różne sposoby (jako inicjatorzy, projektanci, komentatorzy) uczestniczyły w zmianach.

W artykule wykorzystano materiały z szerszego przedsięwzięcia, realizowanego przed kilku laty przez Fundację Bęc Zmiana oraz Biuro Architektury i Planowania Przestrzennego m.st. Warszawy.

AGORA I KOMFORT

Jeśli więc nie salon, to co? Na przykład **montaż atrakcji**. Montaż, bo ma być jak w filmie, jedna emocjonalna scena goni kolejną. Tu koncert, tu dzieło sztuki, tam karuzela; tu parada warszawskich syrenek, tam

święteczny jarmark. Centrum ma nas przyciągać i rozrywać.

Trzecią wizją jest agora (z definicji: plac, miejsce, wokół którego toczy się życie miasta). Miasto jest czymś więcej niż zespołem budynków – ma umożliwić integrację, socjalizację, wymianę. Musi uwzględniać obecność różnych mieszkańców, także słabszych: dzieci, mniejszości, osób nieuprzywilejowanych ekonomicznie, zwierząt. Agora oznacza obywatelskość. Można ją uprawiać przez włączanie mieszkańców w procesy decyzyjne, a także dając im przestrzeń do manifestowania swoich poglądów.

Czwarta wizja: centrum jako miejsce komfortowe. Lounge, czyli znów salon, ale tym razem z sofą do polegiwania – tu reprezentowaną przez wygodną ławkę, zatopioną w zieleni i ptasim śpiewie. Estetyka i czystość to za mało, ma być także komfortowo – z uwzględnieniem potrzeb różnych grup.

Komfort to także cień, który chroni nas przed upałem, mała retencja, dzięki której nie brodzimy w kałużach. Jedna z wywiadowanych mówi o komforcie, kome-

Niedoprojektowane centrum miasta jest bardziej odporne na kryzysy. *A przeciw tego w dzisiejszych czasach potrzebujemy*

tując odmianę Placu Pięciu Rogów. – Miałam lzy w oczach, po 20 latach wreszcie mogłam wyjść na ulicę bez obaw, że zostaną przejechana.

I wreszcie **piąte imaginarium: centrum może być niedoprojektowane, nieformalne**. To przeciwieństwo sterylnego salonu z punktu pierwszego; ten obrazek dopuszcza nieprzycięte krzaki, wydeptaną ścieżkę, garaż pokryty graffiti. Niektórzy powiedzieliby, że jest po prostu brzydki, ale jak widać, można być ekspertem od miasta i właśnie takiej przestrzeni oczekiwać.

TEST Z OTWARTOŚCI

W rodzinnym mieście zawsze byłam po którejś stronie sporów o wspólną przestrzeń, warszawskim dyskusjom przyglądałam się z zaciekawieniem, ale bez większych emocji.

Gdy Michał Wojtczuk ze stołecznej „Wyborczej” cytuje architekta Wojciecha Kotckiego, mówiącego, że Aleje Jerozolimskie potrzebują pierzei od strony Pałacu Kultury, mówię: no tak, rzeczywiście, turkotala-

bym z dworca walizą, oglądając sklepowe wystawy. I czekam na tę pierzeję. A gdy kilka tygodni później inny architekt, Kuba Snoppek, mówi Katarzynie Pawłowskiej z „Wysokich Obcasów”, że w miejscu ewentualnej zabudowy rośnie jedyna w Warszawie aleja platanów, kiwam głową ze zrozumieniem i na pierzeję czekać przestaję.

„Wyborcza” niedawno w ramach cyklu „Zaprojektowane po ludzku” zorganizowała debatę o przyszłości centrum. Michał Lejk, pełnomocnik prezydenta miasta ds. Nowego Centrum Warszawy, wyliczał kolejne planowane remonty. Rafał Szczepański, wiceprezes BBI Development, zapowiadał jesienną prezentację projektu Roma Tower (170-metrowego, luksusowego wieżowca w Warszawie, który ma powstać na rogu ul. Emilii Plater i Nowogrodzkiej), podkreślając, że firma zamierza wydać 20 mln zł na przebudowę okolicznych ulic i uczynienie ich przyjaznymi dla pieszych i rowerzystów.

Cieszę mnie nowe drogi rowerowe i pasy dla przechodniów. A jednak to właśnie wyobrażenie miasta niedoprojektowanego porusza jakąś szczególnie czułą strunę.

Imaginarium bywają zanurzone w nostalgii. Zdarza nam się marzyć, że jakaś ulica zmieni się np. w żywy trakt handlowy, i zapominamy, że zakupy częściowo przeniosły się do internetu. Analogicznie: za tęsknotą za niedoprojektowaniem kryć się może nostalgia za czasami, gdy dużo młodszy po raz pierwszy odkrywaliśmy miasto, którego nie stać było na dzisiejsze remonty.

Ale niedoprojektowanie nie oznacza pozostawienia bałaganu. I potrzebne jest miastu w każdym czasie. – To świadoma strategia projektowa, a nie odpuszczenie. Zgodnie z nią należy tak projektować przestrzeń, by została dopowiedziana przez użytkowników. Zakładasz, że w danym miejscu może się w niej wydarzyć coś nieprzewidzianego, a dopiero gdy już się zdarzy, możesz to projektowo podeprzeć – mówi dr Maciej Frąckowiak, jeden z autorów badań.

Do miasta powinniśmy podchodzić jak szczęściarze, którzy odziedziczyli po dziadkach za duże mieszkanie. Zamiast od razu ciasno wypełniać je meblami, czekają, jak potoczy się życie, i wtedy dopiero urządzają nadmiarowy pokój. Nie chcą przeprojektować i potem płacić za wymianę sprzętów.

Socjolog Richard Sennet głosi ideę miasta otwartego, w którym przestrzenie publiczne nie mają dookreślonych funkcji, poddają się adaptacjom, a grupy różniące się statusem, stylem życia czy pochodzeniem etnicznym nie są od siebie oddzielone. To

nie eliminuje z miejskiego życia konfliktów, ale pozwala je dostrzec i rozwiązywać.

Architektura nie ma wychowywać, ma umożliwiać – to z kolei credo holenderskiego architekta Rema Koolhaasa, który uważał, że w taki sposób projektować należy choćby miejsca publiczne. Nie ma jednego sposobu bycia w bibliotece ani jednego sposobu bycia w mieście.

Otwarte miasto jest bardziej odporne na kryzysy, o czym mogliśmy się przekonać w 2022 r., kiedy po wybuchu pełnoskalowej wojny w Ukrainie Warszawie nagle przybyło mieszkańców. Warszawskie parki – jak zauważa Frąckowiak – stały się przedłużeniem przeludnionych mieszkań, ważnym miejscem, w którym mogą spędzać czas ludzie z doświadczeniem uchodźczym.

Na trawnikach odbywały się pikniki rodzinne, toczyły dziecięce zabawy. Raczej w Parku Świętokrzyskim, na Polu Mokotowskim niż w Łazienkach albo ogrodach Zamku Królewskiego. Przybysze czuli, że te przestrzenie ich przyjmą – bez względu na pochodzenie czy status materialny.

MIEJSCA ZAPOMNIANE

Aneta, która prawie całe dorosłe życie mieszka na Żoliborzu, lubiła dzikość Cytadeli. Teraz obawia się, że budowa pieszej kładki z al. Wojska Polskiego, szóstego już wejścia na niedostępne niegdyś tereny, całkowicie ten klimat zburzy. – Polanka pod kładką to najlepszy, ograniczony zagłębieniem terenu wybieg dla psów – mówi.

Narzeka na kurczącą się przestrzeń dla natury, a i tak ma szczęście, bo mieszka w starej części dzielnicy. – Nowa jest tak zagęszczona, że gdyby postawić Żoliborz na wadze, nowa wyrzuciłaby tę starą w kosmos – żartuje.

Wielu z nas ma swoje ulubione niedoprojektowane. Takie miejsca wiążą nas z miastem, czynią je bardziej naszym, mieszkańców. Dawid Żuchowicz, który robił zdjęcia do tego tekstu, sfotografował m.in. obrzeża Parku Saskiego, gdzie na tyłach Pałacu Błękitnego niespodzianie można odetchnąć od krzyku i turystów, brzeg Wisły wzdłuż Żoliborza z popularnym wśród kolarzy barem, podziemną ro-



W czasie wolnym szukamy miejsc, w których możemy „klusować”. Tu: Ogród Saski



A tu: okolice jeziora Balaton na Gołławiu

tundę w parku za Giełdą Papierów Wartościowych, w którym salon przyjemności prowadził książę Kazimierz Poniatowski. – Te miejsca wyglądają, jakby ktoś o nich zapomniał – mówi Dawid.

Jednym z ulubionych celów moich warszawskich spacerów jest skwer Wodiczki, a konkretnie – klepisko za Uniwersytetem Muzycznym, na którym czasem ludzie grają w bule. Ani to salon, ani to lounge, stoją tam dwie niemodne ławki bez oparcia, trochę brakuje śmietników. Nie skierował mnie tam przewodnik, nikt nie napisał, że jest tam instagramowo – bo nie jest. Ale wygląd nie ma znaczenia – chodzi o krajobraz dźwiękowy, kakofonię ćwiczeń dobiegających z otwartych okien uczelni, które razem tworzą awangardową melodię.

Brzmienie miasta jest ważne. Pamiętam, jak się poczułam, gdy przed laty, idąc z dworca ulicą Emilii Plater w stronę politechniki, minęłam Marriott i usłyszałam hałas szkolnego boiska. Rytm odbijanej piłki jest jak komunikat: Warszawa nie jest bezduszną makietą, ludzie tu żyją i dobrze się czują.

Szkoły już tu nie ma, ale boiska wciąż działają – dawną tysiactłatką i otaczającym

ją terenem opiekuje się teatr Komuna Warszawa. Takiej instytucji nie da się ustanowić odgórnie, gestem planistycznym, założyć, że w miejscu dawnej szkoły powstanie nowoczesny budynek z biurami i mieszkaniami, a na parterze otworzy się salę widowiskową i siłownię, by „zachować” dotychczasowe funkcje. Komuna to miejsce niedoprojektowane – takie, które wciąż na nowo się wymyśla.

Niedoprojektowanego potrzebuje młodzież i inne grupy określane przez Frąckowiaka jako „słabsze konsumpcyjnie”. Ale tak naprawdę jest ono niezbędne każdemu.

– Są przestrzenie takie jak lotniska, w których szukamy podpowiedzi, jak się zachować, którędy przemieszczać. Ale z teorii urbanistyki wynika, że spędzać czas wolny, realizować się towarzysko, woliśmy w miejscach, w których nie odgrywamy narzuconych ról – mówi socjolog. – Od zgiełku miasta najchętniej uciekamy tam,

„Zaprojektowane po ludzku. Warszawa - miasto bardziej wspólne” to cykl, w którym chcemy pokazać empatyczne oblicze Warszawy. Bo dobrze zaprojektowana przestrzeń może budować relacje, zaufanie i poczucie bezpieczeństwa. Czytaj więcej: Wyborcza.pl/Zaprojektowanepoludzku

OGŁOSZENIE

<p>ZAPROJEKTOWANE POLUDZKU WARSZAWA MIASTO BARDZIEJ WSPÓLNE</p>	ORGANIZATORZY
	SPONSORZY

gdzie – posługując się określeniem Michela de Certeau – możemy „klusować”.

Czyli siadać w miejscach do tego nieprzeznaczonych, przechodzić przejściami, do których nie prowadzi drogowskaz, zjadać to, co sobie przynieśliśmy, grać na instrumentach, na których nikt grać nas nie uczył, odpinać smycze psom, jeśli nikomu to nie zagraża. Nawet jeśli bywamy „uśmiechniętymi ludźmi w kawiarniach”, jak na wizualizacjach, nie chcemy być nimi cały czas.

ODWAŻNY GEST

Imaginaria są użyteczne, można wokół nich budować poparcie dla różnych rozwiązań. Np. nawoływać do uporządkowania śródmieścia, by lepiej się prezentowało turystom, mówiąc: potrzebujemy salonu. Albo przekonywać do zakładania oczek wodnych, mówiąc: potrzebujemy komfortu.

Czasem wokół wyobrażeń tworzą się kibicowskie kluby przekonane, że tylko ich wizja jest słuszna, a jakiegokolwiek elementy innej doprowadzą miasto do ruiny. Tak było w przypadku Placu Pięciu Rogów – betonowa nawierzchnia wywołała takie

poruszenie, jakby samo jej położenie usuwało trawę z całej Warszawy.

Plac oberwał za brak zieleni, choć – jak podkreśla jeden z uczestników badań – rosnące tam drzewa dopieszczone są nawet bardziej niż te sadzone w przyulicznej glebie, między innymi dzięki specjalistycznemu systemowi nawadniania. Ponieważ jednak wyrastają z betonowej nawierzchni, dla zwolenników bardziej zielonej wizji miasta nie mogły uchodzić za prawdziwą przyrodę. Estetyczne wyobrażenie miejskiego salonu przesłoniło wszystko inne.

Dlatego tak trudno przekonywać do pozostawienia niedoprojektowanych obszarów miasta. Zaraz kibice innych drużyn oskarżą cię, że zamiast zabytków chcesz poustawić pawilony i wysmarować je graffiti.

– Pozostawianie przestrzeni niedoprojektowanych jest gestem skromności. To moment, w którym miasto przyznaje: jeszcze nie wiemy, co się wydarzy, dlatego rezygnujemy z ambicji, by już dziś domknąć wszystko w jednej, ostatecznej opowieści formalnej – mówi Frąckowiak. – Taka postawa wprowadza do myślenia o przestrzeni miejskiej także wymiar etyczny. Bo jakie

właściwie mamy prawo zmuszać ludzi do jednej, bliższej nam wizji miasta? Zarówno tych, którzy żyją tu dziś, jak i tych, którzy zamieszkają tu za dwadzieścia czy trzydzieści lat – w świecie i klimacie, których kształtu nie potrafimy jeszcze przewidzieć.

Pomijając przypadki, gdy jest to wymuszone skomplikowaną sytuacją prawną, niedoprojektowanie to bardzo odważny gest. – Z czegoś takiego miasto musi się gęsto tłumaczyć, bo jest to rozwiązanie mniej oczywiste – mówi badacz.

Jego zdaniem ta odwaga jest możliwa właśnie tutaj, nad Wisłą. – Warszawa była już Feniksem z popiołów, była miastem socjalistycznym, postsocjalistycznym, neoliberalnym – wylicza. – Dziś, jak sądzę, odrzuciła nostalgę za sobą z przeszłości, nie kopiuje rozwiązań, które znamy z wycieczek na Zachód, staje się miastem postimitacyjnym. Bardziej przypomina przez to rozwijające się miasta Azji czy Oceanii niż te z Europy Środkowej. Wymyśla się i odbudowuje na więcej niż jeden sposób. Wszyscy chcą dobrego miasta, nawet jeśli rozumieją je różnie.

Z wieżowcami, z parkami, z gładkim brukiem i z krzaczorami – jestem dumna z mojej stolicy. A wy? ▲

OGŁOSZENIE



**AKADEMEIA
HIGH SCHOOL**

akademeia.edu.pl

Prestiżowe **międzynarodowe liceum** w Warszawie oferujące **brytyjski program nauczania** dla uczniów w wieku 13–18 lat. Nasze środowisko przeduniwersyteckie otwiera **drogę do czołowych światowych uczelni** – Cambridge, Oxford, Yale, Princeton, Bocconi i wielu innych.

- ◆ Brytyjski program nauczania (iGCSE i A Levels)
- ◆ Unikalny program Pre-A
- ◆ Małe klasy (maks. 12 uczniów)
- ◆ Interdyscyplinarne podejście do nauki
- ◆ Wyjątkowe przygotowanie do studiów
- ◆ Indywidualny mentoring i wsparcie w nauce
- ◆ Możliwość zamieszkania w internacie
- ◆ Bogata oferta zajęć dodatkowych

APLIKUJ!

akademeia.edu.pl

ahs.admissions@akademeia.edu.pl
+48 22 299 87 80
+48 538 052 454



Św. Urszuli Ledóchowskiej 2
02-972 Warszawa

eprasa.pl 5a6043b2f0



Dni Rekrutacji

26–27 maja 2026

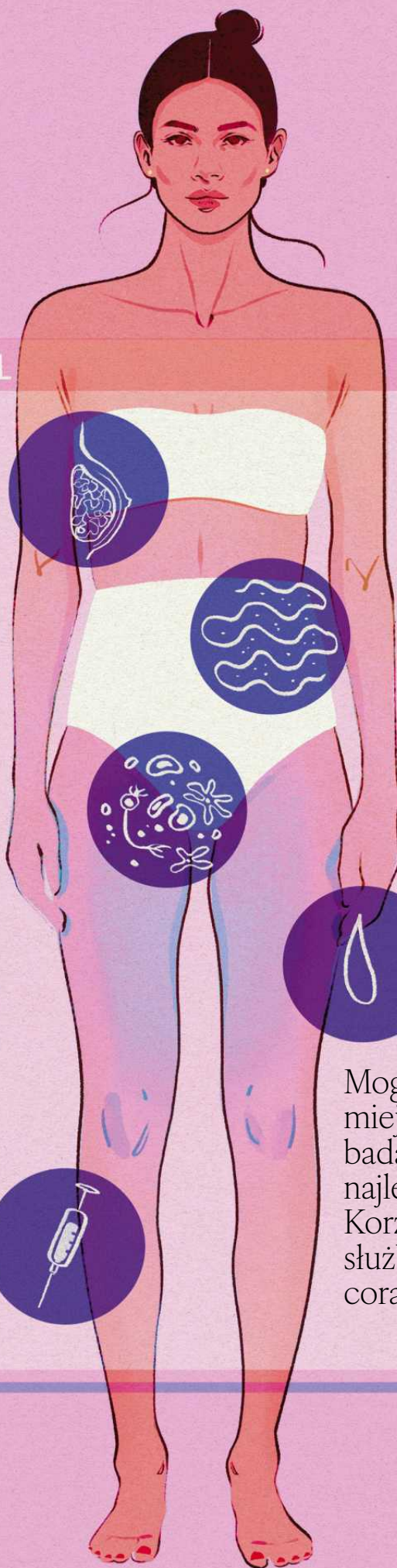




PACJENT.GOV.PL



Wyklikaj
sobie
badania



Mogłam sama wybrać
miejsce, dzień i godzinę
badania. Wybrałam
najlepszy szpital.
Korzystanie z publicznej
służby zdrowia jest
coraz łatwiejsze



TEKST KATARZYNA STASZAK
RYSUNEK MAGDALENA PANKIEWICZ

Tego dnia na liście zadań do zrobienia miałam „zapisać się na mammografię”. Prześwietlenie piersi – profilaktycznie, żeby sprawdzić, czy nie ma w nich zmian nowotworowych – może zrobić bezpłatnie co dwa lata każda kobieta w wieku 45-74 lata.

Mieszkam w Warszawie, mam blisko do najlepszych specjalistów od raka w Narodowym Instytucie Onkologii. Profilaktycznie badać można się w osobnym, nowym budynku. Właśnie tu chciałam zapisać się na badanie.

Zadzwołam do poradni, ale nikt nie odebrał telefonu. Kiedyś musiałabym albo uzbroić się w cierpliwość i dzwonić do skutku, albo porzuciłabym dzwonienie do rejestracji, a próbę umówienia się na badania odłożyłabym na nieokreśloną przyszłość. Na szczęście przypomniałam sobie, że na profilaktyczne badania można zapisywać się przez Internetowe Konto Pacjenta (IKP).

KALENDARZ, KTÓREGO NIE ZNAMY

Jak większość Polek i Polaków pierwszy raz z IKP skorzystałam w czasie pandemii, żeby zapisać się na szczepienie przeciwko COVID-19. Zapisanie się na mammografię okazało się równie proste. Korzystam ze strony, gdy jestem przy komputerze. Loguję się profilem zaufanym, czyli danymi konta bankowego. Zamiast tego można logować się mejlem i wymyślonym hasłem. Jest też opcja logowania się e-dowodem.

Na telefonie mam dostęp do konta przez aplikację mojeIKP, ale jako pacjentka jakoś rzadziej korzystam z telefonu, wolę zaglądać do mojej wirtualnej kartoteki na laptopie. Z aplikacji mojeIKP korzysta aktywnie około 5 mln osób, a aktywne konto IKP ma w sumie ponad 20 mln osób w Polsce. 62 proc. osób, które korzystają z IKP, ma 18-59 lat. Rodzice korzystają z dostępu do 4 mln kont dzieci i ponad pół miliona kont nastolatków w wieku 16-17 lat. Osoby w tym wieku mają wgląd do swojego konta, ale – zgodnie z prawem – nie podejmują samodzielnych decyzji w sprawach swojego zdrowia. Z IKP najrzadziej korzystają osoby po 60. roku życia – jest ich 10 mln, a konto ma tylko około jednej trzeciej tej grupy.

Konto, które czeka na zalogowanie, ma każda osoba w naszym kraju, która ma numer PESEL.

IKP porządkuje to, co przez lata było rozproszone: recepty, skierowania, wizyty, wyniki badań. Pozwala samodzielnie umawiać badania profilaktyczne, takie jak na przykład mammografia.

Gdy mojego telefonu w poradni profilaktyki Narodowego Instytutu Onkologii nikt nie odebrał, zajrzałam do IKP. Weszłam w zakładkę E-rejestracja, a dalej „Umów wizytę” i „Profilaktyka raka piersi”.

Najpierw wybiera się datę, może być to konkretny dzień w przyszłości, kiedy na pewno mamy czas, albo przedział czasowy. Potem program pyta o lokalizację. Możesz wpisać swój kod pocztowy i określić, że interesują cie placówki w promieniu np. 2,5 czy 10 km od domu. Możesz też zobaczyć wszystkie placówki w swoim mieście czy województwie albo wpisać konkretną przychodnię czy szpital. Mnie zależało na konkretnej placówce.

Nagle otworzyła się przede mną lista możliwych terminów badania z godzinami dostępnymi co 15 minut. Wybrałam termin, patrząc jednocześnie w mój kalendarz; nie musiałam się do niczego dostosowywać, to ja decydowałam. Takie umawianie wizyty daje bardzo miłe uczucie satysfakcji.

Z DOKŁADNOŚCIĄ CO DO MINUTY I NAZWISKA

Niedawno usłyszałam, jak koleżanki w redakcji rozmawiają o „nowej cytologii”. Czy naprawdę ta płynna cytologia, która sprawdza, czy mamy wirusa HPV, jest dostępna bezpłatnie i łatwo? Jak sprawdzić, gdzie można się zbadać? Zaczęłam więc koleżanki uświadamiać i przypominałam sobie, że miesiąc temu robiłam to samo z przyjaciółką. Znowu zapłaciła za prywatne badanie w gabinecie ginekologa, choć należy jej się bezpłatna płynna cytologia w ramach NFZ.

Czy przyjaciółka wie, kiedy i dokąd pojechały jej komórki z szyjki macicy? Mały prywatny gabinet zapewne nie robi wielu takich badań. Jak lekarz radzi sobie z logistyką? Jeśli pójdziemy na badanie do dużej przychodni, która robi wiele badań, możemy mieć pewność, że ma stałą umowę na transport materiałów do laboratorium. W medycynie nie zawsze to, co opłacone i prywatne, jest z zasady lepsze.

Piszę ten tekst i jednocześnie w drugim oknie przeglądarki umawiam się na bezpłatną cytologię. Poprzednią płynną cytologię robiłam prywatnie, bo opcja „na NFZ” nie była jeszcze dostępna.

Badanie warto robić bardzo regularnie, bo rak szyjki macicy wykryty na wczesnym etapie jest wyleczalny w ponad 99 proc. przypadków. Do niedawna w Polsce robiło się głównie cytologię klasyczną, czyli badanie komórek pod mikroskopem. Od zeszłego roku NFZ refunduje cytologię płynną. To nowocześniejsza i szersza wersja badania.

Teraz, gdy mówimy, że idziemy na cytologię, nie zawsze musi to oznaczać badanie z użyciem mikroskopu. Do tego etapu dojdzie tylko, jeśli w naszej próbce specjaliści wykryją wirusa HPV. To ten wirus wywołuje raka szyjki macicy.

Jeśli wirusa nie ma, nie robi się badania komórek pod mikroskopem. Gdy wirus jest wykryty, komórki są badane w zakładzie patomorfologii.

Żeby zapisać się na to badanie, wpisałam swój kod pocztowy i wybrałam placówkę w odległości 5 km. Znowu mogę iść do Narodowego Instytutu Onkologii i wiem nawet, jak nazywa się położna, która wykona mi to badanie. Szybszy termin mam jednak w przychodni w pobliżu domu. Położne pracują również w przychodniach podstawowej opieki zdrowotnej. Każda kobieta może sobie wybrać położną i korzystać z jej porad i badań przez całe życie. Jednak mało która z nas o tym wie, kojarzymy położne z ciążą i położeniem. Dziś położne masowo szkolą się z najnowszej wiedzy o menopauzie, mogą być naszym pierwszym kontaktem, gdy po czterdziestce mamy jakiegokolwiek objawy spadku hormonów. Wybieram położną na osiedlu, bo dzieli mnie od niej 250 m.

WIEK OKREŚLA, CO MASZ NA KONCIE

Skorzystałam już z mammografii, więc przez najbliższe dwa lata nie zobaczę tej opcji na moim koncie IKP. Chyba że wynik, który odbiorę, pokaże coś niepokojącego. Wtedy moja ścieżka diagnostyczna nie jest już tylko czystą profilaktyką – lekarka czy lekarz zdecyduje o kolejnych badaniach i będę mogła się na nie umówić na postawie wystawionego skierowania. W takim wypadku skierowanie też zobaczę na swoim koncie.

Od sierpnia 2026 r. do listy lekarzy widocznych w IKP dojdą kolejni specjaliści – teraz można zapisać się do kardiologa, a w wakacje pojawi się tu m.in. endokrynolog, angiolog, pulmonolog.

Za żadne badanie umówione za pomocą IKP na pewno nie zapłacimy ani złotych (oczywiście dodatkowo, bo przecież składki zdrowotne opłacamy co mie-

siąc). Ale w IKP są zakładki, które sporo powiedzą o wydatkach na nasze leczenie.

Po pierwsze recepty – nie każdy lek jest refundowany w pełni, do wielu leków musimy dopłacić. W dziale „Recepty” mam jednak tylko leki pełnopłatne. Do leków hormonalnych, które przyjmuję, NFZ się nie dokłada, więc nie uwzględnia ich w swoim rejestrze. (O tym jeszcze z przedstawicielami NFZ porozmawiam, bo przecież terapia hormonalna obniża ryzyko chorób układu krążenia i osteoporozy. Dokładnie więc wpisuje się w hasło „Lepiej i taniej zapobiegać, niż leczyć”. Może więc NFZ powinien dokładać się do takiej terapii?).

Osoby, które mają choroby przewlekłe i stale przyjmują leki, w receptach znajdują sporo informacji. Tak samo w dziale Historia Leczenia.

Gdybym miała wszczepioną endoprotezę, na swoim koncie mogłabym sprawdzić, jaki dokładnie model dostałam – czy to ortopedyczny Mercedes, czy raczej Toyota.

W dziale Historia Wizyt zobaczymy zapis kontaktów z lekarzami, pobyty w szpitalu, kontakty z pogotowiem, wypisy ze szpitala. To cenne informacje, jeśli kontynuujesz leczenie i dawne zdarzenia mają związek z obecną sytuacją.

Tu możesz też zobaczyć, ile NFZ wydał na twoją terapię.

Gdy masz skończone 65 lat, widzisz na swoim koncie pacjenta więcej informacji o szczepieniach niż ja. Możesz np. skorzystać z bezpłatnych szczepień przeciwko półpaściowici czy RSV. System na takie szczepienia zaprasza osoby z grupy wiekowej szczególnie narażonej na zachorowanie.

Ja skierowanie na takie szczepienie zobaczą tylko, jeśli wystawi mi je lekarz. Szczepionka przeciwko RSV dla osób w moim wieku jest całkowicie płatna, a za półpaśnicę mogą zapłacić połowę, jeśli lekarz uzna, że stan mojego zdrowia podnosi ryzyko zachorowania.

KONTO PIERWSZEGO KONTAKTU

IKP ułatwia życie, gdy chcemy zająć się przegłędem zdrowia. Ostatnie szerokie badania krwi robiłam prywatnie, więc wciąż mogę skorzystać z programu Moje Zdrowie. Wypełniam ankietę i dostaję listę badań, na które zgłoszę się do mojej przychodni.

Osobom, które biorą leki z powodu chorób przewlekłych, konto się przydaje do zamawiania kolejnej recepty bez wizyty u lekarza. Dotyczy to przychodni, które korzystają z tej funkcjonalności. Gdy recep-

POTRZEBUJESZ FIZJOTERAPII? MOJE FIZJO+ MASZ OD ZARAZ W DOMU

Bóle kręgosłupa, biodra i barku to najczęstsze powody zgłaszania się na fizjoterapię. Na tę bezpłatną czeka się tygodniami. Dlatego NFZ pokazuje, jak samodzielnie rozmasować sobie plecy, biodro, bark i jak ćwiczyć. Porady krok po kroku znajdziesz w aplikacji Moje Fizjo+. To ścieżki terapii opracowane przez ekspertów: fizjoterapeutów dr. hab. nauk o kulturze fizycznej Krzysztofa Kassolika i dr. nauk o zdrowiu Elżbietę Rajkowską-Labori oraz specjalistkę medycyny rodzinnej prof. Donatę Kurpas.

Te same ćwiczenia zaleciłby nam, gdybyśmy spotkali się z nimi w gabinecie. Fizjoterapia opiera się przecież głównie na samodzielnych ćwiczeniach pacjenta. Fizjoterapeuci uczą nas, jak się ruszać, nie robią tej pracy za nas.

Jeśli nie możesz pobrać aplikacji NFZ na telefon lub tablet, możesz znaleźć te same instrukcje na platformie YouTube. Najprościej wejść tam ze strony Pacjent.gov.pl, gdzie jest spis wszystkich filmów.

Moje Fizjo+ to nie tylko ścieżka terapii, ale także porady dla osób, którym dokuczają bóle kręgosłupa. Z rubryki „Szkoła pleców” można się dowiedzieć, jaka pozycja jest najbardziej korzystna, gdy odkurzamy czy wiążemy buty.

ta jest gotowa, dostaje się powiadomienie SMS-em lub mejlem. O ile w swoim koncie dodamy takie dane kontaktowe.

Jeśli nie lubisz już swojej przychodni, nie masz zaufania do lekarza podstawowej opieki medycznej lub z innego dowolnego powodu chcesz zmienić placówkę, możesz zrobić to również poprzez konto. Kiedyś trzeba było pójść do wybranej przychodni i wypełnić formularz na miejscu.

W dziale „Upoważnienia” możemy wpisać, kto z naszych bliskich dostaje naszą zgodę na dostęp do informacji medycznych o naszym zdrowiu i do przeglądania dokumentacji medycznej. Takie deklaracje składa się z myślą, że nigdy nie będą potrzebne. Jednak w razie wypadku, gdy jesteśmy nieprzytomni, może okazać się, że daliśmy bliskim upoważnienia do lepszego zaobserwowania i naszego zdrowia. O tym warto porozmawiać ze swoimi rodzicami, rodzeństwem i innymi bliskimi osobami. Może

nie wiedzą o tych możliwościach? Może zechcą upoważnić do informacji o swoim zdrowiu właśnie siebie?

W ŚRODKU NOCY NA LOTNISKU

IKP rozwija się w kierunku pełnej cyfrowej obsługi naszego zdrowia w ramach publicznego systemu opieki medycznej. W świecie, w który wciąż brakuje nam czasu, takie usprawnienia są cenne. Czasem w razie nagłego wypadku przyda się możliwość sprawdzenia wyników badań o północy, bez konieczności czekania, aż przychodnia się otworzy.

Przyda się też możliwość rejestracji z dowolnego miejsca na świecie o dowolnej porze. Może mieliście sytuację oczekiwania na lotnisku o 6 rano? Przychodnia jeszcze nie działała, a akurat mieliście wolną chwilę, żeby zapisać się na badanie.

Jeśli twój lekarz wziął pod uwagę twoje choroby przewlekłe i ustalił dla ciebie tzw. Indywidualny Plan Opieki Medycznej, to w tej zakładce znajdziesz wszystkie badania i konsultacje.

IKP ma swoje ograniczenia: nie wszystkie placówki oferują zapisy online; część badań specjalistycznych nadal wymaga telefonu lub wizyty; dostępność terminów zależy od regionu i tego, ile placówek w twojej okolicy ma kontrakt z NFZ.

Internetowe Konto Pacjenta oszczędza nasz czas i pokazuje, co nam się w ramach systemu należy. Może sprawić, że więcej osób skorzysta z bezpłatnych badań. Wiele z nas ma przecież chęć sprawdzić stan zdrowia, ale nie ma chęci spędzać godzin na próbach dodzwonienia się do rejestracji. Gdy ta bariera pada, droga do badań okazuje się całkiem prosta. ▲

OGŁOSZENIE

Cykl redakcyjny
sponsoruje

cez Centrum
e-Zdrowia

RECEPTY, SKIEROWANIA I MOŻLIWOŚĆ REJESTRACJI NA BADANIA I WIZYTY W TELEFONIE.

Pobierz aplikację mojeIKP i zaloguj się do zdrowia

Zdrowie przenosi się do telefonu. Dzięki mojeIKP – bezpłatnej aplikacji Ministerstwa Zdrowia, można łatwo odbierać recepty i skierowania, przeglądać historię zdarzeń medycznych i wygodniej kupować leki. Do tego nowa funkcja – centralna e-rejestracja, pozwala na szybkie umawianie terminów badań oraz wizyt u specjalistów, a także ich odwoływanie czy zmianę terminu.

Internetowe Konto Pacjenta (IKP) to rewolucyjne narzędzie przygotowane przez Ministerstwo Zdrowia, które w jednym miejscu gromadzi wszystkie informacje o naszym stanie zdrowia. IKP ma każdy, kto ma PESEL. Jest dostępne bezpłatnie, wystarczy się do niego zalogować. Zdecydowało się na to już ponad 20 mln osób.

Zdrowie w telefonie

Aby jeszcze wygodniej korzystać z Internetowego Konta Pacjenta, warto pobrać aplikację mojeIKP na telefon. Dzięki temu za pośrednictwem smartfona można odbierać i przeglądać recepty oraz skierowania,

otrzymywać powiadomienia o wystawionych e-receptach czy e-skierowaniach, przeglądać historię zdarzeń medycznych i łatwo kupować leki w aptece. Wystarczy okazać farmaceucie kod QR, bez konieczności dyktowania numeru PESEL i kodu recepty.

Aplikacja mojeIKP umożliwia również sprawdzenie ulotki i dawki leku, a nawet ustawienie przypomnienia o tym, by zażyć lek. Do tego, o ile przychodnia świadczy taką usługę, za pośrednictwem aplikacji można zamówić e-recepty na stałe brane leki.

Jeszcze więcej możliwości

Na więcej możliwości pozwala dostępna w aplikacji funkcja Rejestracja na wizyty. Umożliwia umawianie za pomocą telefonu terminów badań oraz wizyt u specjalistów, ale także ich odwoływanie czy przesuwanie.

Na razie, korzystając z niej, można umówić się na mammografię, test HPV HR (który zastąpił dawną cytologię) i pierwszą wizytę u kardiologa. Od sierpnia możliwa będzie e-rejestracja na wizyty u kolejnych ośmiu specjalistów, m.in.: pulmonologa, lekarza chorób zakaźnych czy endokrynologa. Dzięki tej funkcji można umawiać wizyty i badania online o każdej porze i w każdym miejscu, przeglądać wolne terminy w dowolnej placówce w Polsce (pod warunkiem, że dołączyła już do systemu centralnej e-rejestracji), a także ustawić się w wirtualnej poczekalni i automatycznie zająć wolne miejsce. To wszystko sprawia, że aplikacja mojeIKP znacznie ułatwia zarządzanie własnym zdrowiem.



Artykuł sponsorowany przez

ceZ Centrum e-Zdrowia

Zaloguj się do zdrowia!

Wejdź na pacjent.gov.pl i dowiedz się więcej.

wdech

wydech

wiosna

chillizet

słuchaj nas w aplikacji